

BARBARA WYSOCZAŃSKA

Opowieść o sile
kobiet w czasach
rewolucji i cenie
wolności.

Historia ludzi, którzy
nie cofną się przed
niczym w walce o miłość
i wolną Polskę.

Cena wolności

Nowa powieść autorki
bestsellerowej *NARZECZONEJ NAZISTY*

FILIA

BARBARA WYSOCZAŃSKA

Cena wolności

FILIA

Moim kochanym rodzicom - za to, że dali mi tyle wolności, ile potrzebowałam

(...) od wypatrywania z cudzej ręki kawałka powszedniego chleba, od wiecznego zamykania przed nimi dróg poważnej i użytecznej pracy, mają i winny emancypować się kobiety.

Eliza Orzeszkowa, Kilka słów o kobietach

CZĘŚĆ PIERWSZA
1904–1905

ROZDZIAŁ 1

Wszystkie byłyśmy młode, szczęśliwe w niewinnej nieświadomości prawdziwego życia i gorąco zbuntowane.

Jasne promienie majowego słońca przenikające przez gęste, soczyście zielone liście kasztanowca i delikatny zapach kwiatów otaczały nas subtelną aurą, kiedy siedziałyśmy na trawie, w kojącym cieniu drzewa, żywo dyskutując. Z daleka z pewnością tworzyłyśmy uroczy obrazek, idealną inspirację do kolejnego dzieła Degasa.

– „Ogólnie więc z przekonaniem lub z pozorem przekonania powtarzają wszyscy, że kobieta równym jest mężczyźnie człowiekiem. Pojęcie to jednak istnieje tylko w teorii, a w zastosowaniu kobieta zawsze zostaje istotą ludzką wprawdzie, ale niepełnoletnią, naturą swoją więcej zbliżona do kwiatu, lalki, anioła niż do człowieka”^[1].

Głos Marianny Wąsowicz, która czytała niemal szeptem, żeby przypadkiem jej słowa nie dotarły do uszu rosyjskich żandarmów, w naszych brzmiał nadzwyczaj wyraźnie. Jej policzki zaróżowiły się od emocji, ale żadnej z nas to nie dziwiło, bo słowa o mentalnej niewoli kobiet zawsze odbierałyśmy z niemalże równą ekscytacją. Kiedy Marianna skończyła czytać, uniosła twarz znad trzymanej na kolanach książki i spojrzała na nas, upewniając się, że właściwie zrozumialiśmy przekaz.

Tego majowego popołudnia w parku na Książęcym było nas sześć i wszystkie z nabożnym skupieniem słuchałyśmy fragmentów rozprawy Elizy Orzeszkowej. I choć treść znałyśmy bardzo dobrze, zgodnie uważałyśmy, że idee w niej zawarte należy często przypominać, by przypadkiem nie zatary się w naszej świadomości, którą tak łatwo tłumiała szara codzienność.

Pomimo że uważnie słuchałam Marianny, to jednak w głowie układałam kolejne akapity artykułu do czasopisma „Bluszcz”, choć ostatni – o męskiej dominacji w powszechnie obowiązującym prawie – oddałam ledwie wczoraj. Zrobiłam to, zanim pobiegłam na wieczorne zajęcia Uniwersytetu Latającego, które tym razem nie odbywały się ani na tyłach ciasnego sklepu, jak w poprzednim tygodniu, ani w ukrytej na poddaszu pracowni artystycznej, co zdarzało się

nadzwyczaj często, tylko w pięknym ogrodzie przy starej willi, należącej do rodziców jednej ze studentek.

Moja młoda i szalona głowa pełna była pomysłów, które buzowały we mnie i nie dawały mi spokoju, domagając się spisania. Od kiedy udało mi się po kryjomu – to znaczy bez wiedzy rodziców, bo ci byli tradycyjnie konserwatywni – zatrudnić w najbardziej znanym w Warszawie kobiecym czasopiśmie, poczułam, że dostałam wiatr w skrzydła. Miałam mnóstwo pomysłów i uważałam, że każdy jest lepszy od poprzedniego. Nie bałam się poruszać kontrowersyjnych tematów, jak na przykład rola kobiety w domu czy praca zarobkowa kobiet. Podobnie jak moje koleżanki z Uniwersytetu Latającego, byłam przekonana, że pełna emancypacja, o której dzięki sufrażystkom stało się głośno w Europie, to tylko kwestia czasu. A rolą piszących artykuły – czyli moją – jest uświadamianie ludzi o randze wolności kobiet. Choć czyniłam to pod pseudonimem, starałam się pisać z wyczuciem, by nikogo nie obrazić, ale czując potrzebę spełnienia misji. Uważałam za kompletnie bzdurne owo wielowiekowe przekonanie, że nam, kobietom, równe mężczyznom prawa się nie należą, bo zostałyśmy stworzone wyłącznie do roli żony, matki i gospodyni. Wmawiano nam, że jesteśmy głupsze, nierozsądne i nie dorównujemy mężczyznom rozumem i siłą. Nie zgadzałam się z tym ani ja, ani moje szanowne koleżanki.

– Paulinko, a nie dalej jak wczoraj twój Stasiak nazwał cię swoim aniołem, sama słyszałam! – zadrwiła jedna z dziewcząt, kierując słowa w stronę bez wątplenia najładniejszej z nas, Pauliny Skowrońskiej. – Przecież tak nie można! To określenie niegodne współczesnej emancypantki!

Paulina się spłoniła i nic nie odpowiedziała.

– Och, daj spokój! – odezwała się inna, stając w obronie koleżanki. – Jak się zakochasz, zaczniesz inaczej gadać. Sama będziesz chciała, żeby twój ukochany nazywał cię aniołem.

– Miłość to pierwszy stopień do kobiecego piekła!

– Więc uroczyście przysięgnijmy, że nigdy się nie zakochamy!

Dziewczęta jak na komendę uniosły palce wskazujące i środkowe prawej dłoni, lewą kładąc na piersi w okolicach serca, i zaczęły zaśmiewać się jedna przez drugą, udając, że składają przyrzeczenie. Ja nie byłam gorsza, więc oczywiście zrobiłam to samo, choć sytuacja wydała mi się wielce niedorzeczna.

– Uroczyście przysięgam, że nigdy żaden młodzieniec, choćby był najprzystojniejszy, nie zawróci mi w głowie...

– Paulina, tobie nie wolno przysięgać! Ty już jesteś zakochana, więc za późno!

– Ciekawe, co powiedzą wasi ojcowie na te uroczyste przysięgi...

Dziewczęta odwróciły się w stronę stojącego w cieniu pobliskiego drzewa Jędrzeja Witebskiego. Młodzieniec, nienagannie ubrany, w jasnych prążkowanych

spodniach i dopasowanej letniej marynarce, spoglądał na nas z uroczym kpiącym uśmiechem na ustach.

– Jędrzej! No wiesz co! Ładnie tak nas podsłuchiwać?! – skarciła go któraś.

– Skoro chciałyście się skryć przed widownią, trzeba było wybrać dyskretniejsze miejsce, a nie trawnik przy głównej alei – zaśmiał się, zbliżając się do nas niespiesznie.

Uśmiechnęłam się w duchu. Miałam przyjemność zobaczyć się z Jędrzejem poprzedniego dnia, gdy tylko wrócił do Warszawy z Petersburga, ale teraz znów poczułam radość, że go widzę. Jego pobyt w Rosji trwał kilka długich miesięcy i przez ten czas zdążyłam za nim okropnie zatęsknić. Brakowało mi tych uroczych docinków, swobody, jaką przy sobie czuliśmy, niewymuszonej czułości okazywanej wzajemnie przy byle okazji. Jędrzej od dziecka był mi bliskim przyjacielem, którego szczerze i po koleżeńsku kochałam. Ja to wiedziałam, on to wiedział i wiedzieli wszyscy wokół, traktując naszą relację z tolerancyjną pobłażliwością.

Kiedyś, jako chłopiec, Jędrzej rozczulał gładką, niemal dziewczęcą urodą; błękitne oczy okolone jasnymi rzęsami i blond czupryna wprawiały w zachwyt damy, a panów w konsternację – zwłaszcza jego ojca, który obawiał się, że syn od zbytku urody stanie się zniewieściały. Tymczasem Jędrzej wyrósł na przystojnego młodego mężczyznę, za którym dziewczęta z zainteresowaniem wodziły wzrokiem. Doskonale wiedziałam, jakie wrażenie mój przyjaciel robi na koleżankach, i bawiło mnie to. Choć niekiedy wzbudzało też politowanie, bo przecież każdy w towarzystwie wiedział, że jedynym obiektem jego westchnień byłam ja. Wyłącznie ja. Jędrzej tego nie ukrywał. Od lat mnie adorował, a ja przyjmowałam to z naturalną obojętnością, jak na przyjaciółkę przystało. No cóż, kochałam go jak brata, a może nawet bardziej, bo nie przypomielałam sobie, żebym do tego rodzzonego – Feliksa – miała tyle tkliwości, sympatii i czuła tak głębokie przywiązanie, jak do tego chłopaka, który był moim towarzyszem od maleńkości. Nie nazwałabym jednak tej miłości inaczej jak wyłącznie przyjacielską.

Raz doszło między nami do fizycznego zbliżenia. Jeden jedyny raz, dwa lata temu nad rzeką w Konstancinie, i... Jak ja potem tego żałowałam!

Ciekawi siebie, owładnięci młodzieńczym pragnieniem cielesnej bliskości, ukryliśmy się wówczas między gęstymi szuwarami z dala od spojrzeń przypadkowych gapiów. Pozwoliłam mu się rozebrać i całować jak nikomu innemu. Sama też próbowałam dotykać go w miejscach dotąd mi nieznanach. Zrobiliśmy to po raz pierwszy w życiu, powodowani wyłącznie ciekawością i nagłym nieopanowanym pożądaniem. I o ile na mnie w konsekwencji nie zrobiło to szczególnego wrażenia, a nawet uznałam nasze niezdarne zbliżenie za karygodny błąd, o tyle Jędrzej wyraźnie nie umiał o tym zapomnieć. Co jakiś czas wracał do tego wstydliwego zdarzenia, jakby nasz jeden raz był świętością. Czymś, nad czym należało szczególnie się roztkliwiać. Tymczasem ja roztkliwiałam się wyłącznie

nad tym, że straciłam dziewictwo z chłopcem, do którego nie czułam prawdziwej namiętności, a jedynie głęboko przyjacielskie przywiązanie. I wyrzucałam sobie, że mogłam to zrobić z kimś innym, bo może wówczas miałabym bardziej ekscytujące wspomnienia.

– Jak miło cię widzieć po tak długiej nieobecności, Jędrusiu! Klara wspominała nam, że wróciłeś. Czyżby już na dobre? – zagadnęła go wyraźnie ucieszona jego widokiem Marianna.

Jędrzej przysiadł na kocu obok mnie.

– Raczej tak. W Petersburgu robi się gorąco. Od kiedy Rosja zaczęła wojnę z Japonią, ulica wrze. Ludziom ta wojna się nie podoba. Coraz więcej poddanych cara wyraża niezadowolenie z warunków codziennego życia.

– Więc wróciłeś do Warszawy, żeby czuć się bezpieczniej?

– Wróciłem przede wszystkim po to, żeby pomóc ojcu w zarządzaniu fabryką. Ma coraz więcej pracy, a lat mu przybywa.

– Och, to i żona by ci się przydała – zauważyła druga spośród moich koleżanek, Lidia Mąkiewicz, obdarzając Jędrzeja powłóczyстым spojrzeniem.

Jędrzej zaśmiał się głośno i serdecznie.

– Pewnie by się przydała, ale na żadną z was, drogie ślicznotki, liczyć nie mogę, skoro złożyłyście przed chwilą tak uroczystą przysięgę.

– Wszystkie oprócz Paulinki! Nasza Paulinka za miesiąc wychodzi za mąż za Stasia Gęborka. Wiesz, tego, co właśnie skończył prawo.

Jędrzej uśmiechnął pod nosem.

– Wiem, słyszałem. Winszuję serdecznie panience! Koledze Gęborkowi także już pogratulowałem.

– Koleżanki wyraźnie dobrze się bawią moim kosztem – odparła Paulina z urazą. – Bo jeszcze same nie wpadły w męskie sidła. Zobaczymy, jakie przysięgi będą składać, gdy się zakochają na amen.

Od razu odezwały się głosy oburzenia.

– My się poświęcimy dla dobra emancypacji polskich kobiet i udowodnimy, że kobieta może znaleźć szczęście i bez wychodzenia za mąż! – rzuciła któraś poważnym tonem, niczym Abraham Lincoln podczas przemówienia do republikanów.

Pozostałe dziewczęta jak na komendę wybuchły perlistym śmiechem.

– A hrabianki Domańskiej z wami nie ma? – zainteresował się Jędrzej. – Przecież ona zawsze najgłośniej wyraża swoje opinie.

Dziewczęta nagle przestały się śmiać i jakby zmarkotniały, a Jędrzej zerknął na mnie wyczekująco.

– Klaro?

– Marii nie ma z nami już od dawna – odparłam. – Przestała uczęszczać na zajęcia z uniwersytetu. Niedawno dowiedziałyśmy się od służących hrabiostwa

Domańskich, że wyjechała z rodzicami na wypoczynek do Szwajcarii.

– Tak po prostu? – zdziwił się Jędrzej. – Rzuciła naukę? To do niej niepodobne. Przecież bardzo chciała zdobyć wykształcenie.

– Owszem. Ale okazało się, że Maria jest w ciąży – mówiąc to, poczułam na sobie ciężkie spojrzenia koleżanek.

Jędrzej popatrzył na mnie szczerze zdumiony. Najwyraźniej ta wiadomość zrobiła na nim nie mniejsze wrażenie niż na z nas, kiedy się o tym dowiedziałyśmy.

– I nie wiadomo, kto jest ojcem... – dodałam. – Oczywiście Domańscy oficjalnie wszystkiemu zaprzeczają.

Zauważyłam, że niektóre z moich towarzyszek, choć na co dzień otwarte, a wręcz pyskate i o nowoczesnych poglądach, nagle zawstydzila moja bezpośredniość, bo zażenowane spuściły wzrok.

– No cóż... nie ma się co dziwić, że zaprzeczają. Pewnie to dość kłopotliwe – skwitował Jędrzej, nieco dłużej zatrzymując na mnie spojrzenie, tylko po to, by za chwilę z pewnym zmieszaniem odwrócić ode mnie głowę.

Mogłabym przysiąc, że w tym momencie pomyśleliśmy dokładnie o tym samym – po naszym miłosnym wybryku również obawiałam się, że zaszłam w ciążę. Jędrzej zapewniał mnie wówczas solennie, że jeśli tak się stało, natychmiast weźmiemy ślub. W rzeczywistości chciał się ze mną ożenić i bez tego, nawet nie czekając na potwierdzenie, czy jestem w ciąży, czy nie. Ale ja absolutnie nie miałam takiego zamiaru. Odetchnęłam z ulgą, kiedy się okazało, że nasz miłosny wyskok nie będzie miał konsekwencji w postaci małego brzdąca.

– Dziwna sprawa – powiedziałam. – Żadna z nas nie domyślała się, że Maria się z kimś spotyka. Nic nikomu nie mówiła, aż nagle zniknęła ot tak, z dnia na dzień. Profesorowie też nie wiedzieli, co się stało. Próbowaliśmy się z nią kontaktować, pisałyśmy listy, nawet pojechałam do domu Domańskich, ale jej matka nie wpuściła mnie, oświadczając, że Maria jest chora i nie przyjmuje gości...

– Domańscy próbują całą sprawę zatuszować, ale kiedy Maryśka wreszcie urodzi, to i tak każdy się dowie – wtrąciła Marianna z rumieńcami ekscytacji na policzkach.

– Ledwie kilka miesięcy nie ma mnie w Warszawie, a tu takie wiadomości! – podsumował Jędrzej i podniósł się energicznie. – Wybaczcie, drogie panie, ale już pójdę. Mam sporo spraw do załatwienia, a już prawie popołudnie. Możecie więc ze spokojem wracać do interpretacji Orzeszkowej i składać kolejne przysięgi. – Puścił do nas oko.

– Och, to wcale nie takie proste, gdy co chwila kręcą się tu rosyjscy żandarmi!

– Przecież żandarmi wam niestraszni, uroczę buntowniczkami!

– Feministki! – poprawiła go jedna z dziewcząt, a inne zaśmiały się w odpowiedzi.

I choć teraz były to jedynie żarty, każda z nas rozprawy feministyczne, jak choćby tę autorstwa Orzeszkowej, traktowała z należytą powagą. I w obliczu przeciwności kobiecego losu, z którego coraz lepiej zdawałyśmy sobie sprawę, potrafiłyśmy walczyć o własne zdanie jak lwice. Co nie zmieniało faktu, że znienawidzone carskie patrole zawsze stanowiły dla nas nie lada wyzwanie. W czasach, kiedy wszelkich przejawów polskości zakazano, a już zwłaszcza mówienia i czytania w języku polskim, musiałyśmy się niezłe nagimnastykować, żeby nosić książki do nauki w języku polskim i po kryjomu je wypożyczać. Nieraz zdarzało się, że zaczepiali nas policjanci celem rewizji, ale wówczas pokazywałyśmy tylko te po rosyjsku, polskie chowając na dnie torby i tak zagadując mundurowego, żeby nie chciało mu się drążyć tematu.

– Zobaczymy się później? – zwrócił się do mnie Jędrzej, jeszcze zanim się oddalił.

– Dziś mam sporo zajęć i pewnie późno wrócę do domu. Jutro, Jędrus.

Kiwnął głową i odszedł, a dziewczęta zmierzyły mnie karcącymi spojrzeniami.

– Niby taka twarda jesteś i się go wypierasz, a trzymasz krótko, jak na sznurku.

– Bo przyjaźni nie oddam!

– A jeśli któraś zdobędzie jego miłość?

Nie odpowiedziałam, uznając dyskusję na ten temat za zupełnie bezsensowną. Nie wybiegałam tak daleko w przyszłość. Co ma być, to będzie. Jeśli Jędrzej znajdzie sobie kobietę, będę musiała to zaakceptować. Na razie jednak był moim najlepszym przyjacielem, nawet jeśli wyobrażał sobie naszą zażyłość zupełnie inaczej.

Siedziałyśmy na kocu jeszcze dobrą godzinę, rozprawiając na kobiece tematy, aż wreszcie trzeba było się rozejść. Każda z nas miała jeszcze swoje obowiązki czy projekty, a później czekały nas wieczorne wykłady. Koniec roku akademickiego wiązał się z zaliczeniami i nauki było sporo, a my wyjątkowo skrupulatnie się do niej przykładałyśmy. I choć edukowałyśmy się na tajnym uniwersytecie, pogardliwie przez niektórych nazywanym „babskim uniwersytetem”, to jak przystało na inteligentki – wcześniej gruntownie kształcone na słynnej pensji Jadwigi Sikorskiej – dawałyśmy z siebie wszystko. To była dla nas sprawa honoru. Pragnęłyśmy udowodnić, że tak samo jak do zarządzania domem i zajmowania się dziećmi nadajemy się również do nauki i pracy zawodowej. Uniwersytet Latający ukończyła przecież – nim jeszcze wyjechała do Paryża na Sorbonę – pierwsza na świecie kobieta noblistka, Maria Skłodowska-Curie. Świadomość ta sprawiała, że czułyśmy się bardzo nobilitowane, choć oczywiście wiedziałyśmy, że niestety żadna z nas nie dorównywała intelektem wybitnej fizyko-chemiczce z Warszawy.

[1] Eliza Orzeszkowa, *Kilka słów o kobietach*, Lwów 1873.

ROZDZIAŁ 2

Wieczorem po zajęciach odwlekałam powrót do domu; szłam spacerowym krokiem, delectowałam się chwilą i czerpałam z tego przyjemność. Było ciepło, choć słońce schowało się już za horyzontem. Na ulicach Warszawy, pomimo późnej pory, panował przyjemny gwar. Wśród toczących się po bruku konnych powozów i dorożek raz na jakiś czas przejechał piękny lśniący automobil, wywołując prawdziwą sensację wśród przechodniów. Ja również lubiłam patrzeć na te pojazdy i wyobrażać sobie, że kiedyś wsiądę do takiego eleganckiego cacka, a potem pognam przed siebie hen, daleko. Wiedziałam, że papa miał chętkę na taki cud techniki; automobil wciąż jednak kosztował majątek, a mama powtarzała ze strachem, że nigdy w życiu do czegoś takiego nie wsiądzie, bo to jak proszenie się o śmierć.

Szłam, rozmyślając już nie tak wiele o nowym artykule do gazety, ile o Marysi Domańskiej. Właściwie od czasu, gdy dowiedziałam się o jej ciąży, myślałam o niej bardzo często. Zachodziłam w głowę, kto mógł być ojcem dziecka? I dlaczego Maria mi się nie zwierzyła? A może był nim jakiś Rosjanin i dlatego bała się wyznać prawdę? Ta myśl uwierała mnie szczególnie, bo zdawało mi się, że byliśmy ze sobą dość blisko. Ja opowiedziałam jej o tym, że między mną i Jędrzejem doszło do fizycznego zbliżenia i że później bardzo tego żałowałam. Z jej strony liczyłam na podobne zaufanie.

Jeszcze kilka miesięcy temu wspólnie z Marią rozpoczęliśmy kolejny rok nauki, a prócz tego regularnie chodziliśmy na spotkania emancypantek – entuzjastek wierzących, że naprawdę możemy odmienić położenie kobiet. Spotykałyśmy się coraz częściej: w zaprzyjaźnionych kawiarniach albo mieszkaniach którejś z feministek. Maria była w tych poglądach jeszcze bardziej radykalna niż ja czy inne koleżanki, i gorąco wierzyła w równouprawnienie. To również za jej namową brałyśmy udział w poważnych wiecach, organizowanych przez młodych socjalistów przeciwko wszechwładzy rosyjskiego imperium. A tam, słuchając kwiecistych przemówień przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej, uwierzyliśmy w możliwość wyzwolenia polskiego narodu spod jarzma zaborcy.

I nagle z dnia na dzień Maria – pilna studentka i dusza towarzystwa – przestała pokazywać się publicznie i uczestniczyć w zajęciach na uniwersytecie. Z niewiadomego powodu zamknęła się w domu rodziców, nie przyjmując gości ani nie chodząc do nikogo z wizytą. Plotkom i ciekawskim domysłom nie było końca, lecz hrabiostwo Domańscy stanowczo zaprzeczali, jakoby ich córka spodziewała się nieślubnego dziecka. Hrabia chciał nawet wytoczyć komuś proces sądowy o pomówienie, ale i tak ludzie w Warszawie wiedzieli swoje.

Byłam już niemal pod domem i szłam wzdłuż ulicy Pięknej niedaleko parku Ujazdowskiego, kiedy nagle usłyszałam za plecami stukot końskich kopyt o bruk. Obejrzałam się i w tym momencie ktoś z całym impetem wpadł na mnie i popchnął na chodnik. Przewróciłam się, a książki, które trzymałam w podręcznej torbie, wypadły z niej z łoskotem. Człowiek, który mnie pchnął, również niemal się przewrócił, cudem tylko zdołał utrzymać równowagę. Zrobił nade mną susa i pobiegł dalej przed siebie. Zatrzymała go dopiero kula, która trafiła go w nogę.

Podnosząc się z kolan, z trwogą zobaczyłam, jak chłopaka – uciekający przed żandarmami wyrostek – pada po postrzale na ulicę. W okamgnieniu znalazło się przy nim trzech konnych.

– Brać go! – usłyszałam twardy rosyjski rozkaz.

Jeden z szeregowych zsiadł z konia i chwycił jęczącego z bólu chłopaka za poły brudnej koszuli.

Nim zdołałam pojąć całą sytuację, podjechał do mnie drugi mundurowy, rosyjski oficer.

– Nic się panience nie stało? – spytał, świdrując mnie uważnym wzrokiem.

– Co z nim? – Z przejęciem wskazałam na chłopaka, z którego nogi broczyła krew. – Dokąd go zabieracie?

– Tam, gdzie jego miejsce. Do aresztu.

Uniosłam twarz i popatrzyłam na oficera. Był bardzo przystojny. Na koniu trzymał się prosto i dumnie. Szarymi chmurnymi oczami sunął po mojej postaci, aż zatrzymał wzrok na pustej torbie, którą ściszałam w dłoniach. Książki, owinięte w papier, by ukryć polskie tytuły, wciąż leżały na chodniku.

– Co zrobił? – spytałam bez strachu, a oficer uniósł brwi w wyrazie zaskoczenia moją zuchwałością.

– A co to panienkę interesuje?

Pomyślałam, że to bardzo niegrzeczne, żeby oficer zwracał się w ten sposób do damy, ale zatrzymałam tę myśl dla siebie.

– Chcę wiedzieć, jak mogłabym mu pomóc – odparłam hardo.

Zaśmiał się ironicznie.

– Pomóc? Czy ten obwieś to panienki znajomy?

– Nie.

Na ułamek sekundy nasze oczy się spotkały – moje jasnozielone, o upartym spojrzeniu, i jego, szare i posępne. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz.

– Pomóc to może panienka sobie, zbierając te książki i chowając je przede mną. Zdaje się, że lepiej dla panienki, bym nie przeglądał ich zawartości.

Zmarszczyłam brwi i powoli schyliłam się po egzemplarze. Rzeczywiście lepiej byłoby, gdyby oficer nie wiedział, co czytałam.

– Czym ten chłopak zawinił? – powtórzyłam pytanie, kiedy książki bezpiecznie spoczęły w mojej torbie.

– Jest panienka nadzwyczaj dociekliwa, panno...

– To raczej pan powinien przedstawić się pierwszy – upomniałam go sucho.

Nie wiedziałam, skąd we mnie tyle buty i odwagi wobec tego oficera, ale nie bałam się go. Nie peszył mnie swoją przewagą; hamował jedynie moje wypowiedzi, które cisnęły mi się na usta. Wiedziałam, że w rozmowie z nim powinnam gryźć się w język.

Mięsień na jego policzku drgnął.

– Kapitan Lejb-Gwardyjskiego Pułku Ułanów Jego Wysokości, Aleksander Dmitrij Kirsanov, pomocnik generała-gubernatora Michaiła Iwanowicza Czertkowa do usług – przedstawił się.

Nie dałam po sobie poznać, że ta informacja zrobiła na mnie spore wrażenie, bo fakt, że miałam przed sobą kogoś tak wysoko postawionego w carskiej gwardii, nie był bez znaczenia. Błyskawicznie przeszło mi przez myśl, że biedny, trafiony kulą chłopak tak naprawdę nie miał w starciu z nim żadnych szans.

– Panna Klara Tyszkowska – zrewanżowałam się. – Kapitanie, za co chcecie aresztować tego chłopca?

– Bezmyślnie zrywał ze słupów obwieszczenia o poborze rezerwistów do armii Jego Wysokości Mikołaja II. Domyśla się panienka, że zepsuł mi tym wieczorną przejażdżkę po mieście.

– Może nie był świadom, co zrywa? Wiecie, kapitanie, że analfabetyzm jest powszechny wśród robotników i biedoty.

Oficer zachnął się z drwiną.

– Za to, co zrobił, powinien dostać parę lat katorgi.

Ukradkiem zerknęłam w stronę dragonów, którzy bez litości szarpali teraz już nieprzytomnym chłopakiem. Jego noga zwisała bezwładnie. Zastanawiałam się, czy zemdlął z bólu, czy ze strachu. Ogarnął mnie jeszcze większy gniew; machinalnie zacisnęłam pięści z wściekłości.

– Może pan kapitan również okazać wspaniałomyślność i wypuścić biedaka – powiedziałam powoli, z trudem panując nad emocjami. – Chłopiec już dostał nauczkę. Pański człowiek go postrzelił, więc pewnie będzie kaleką do końca życia.

Kirsanov uśmiechnął się krzywo, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Pani nie jest świadoma wagi przestępstwa, które ten smarkacz popełnił. Buntowanie się przeciwko rozkazom Jego Wysokości to surowo karana zbrodnia.

– Nie śmiem się mierzyć z pańskim rozumem, kapitanie. Jestem tylko kobietą – odparłam z powagą, ale on chyba wyczuł ukrytą w moim tonie drwinę. – Nie widzę w jego postępowaniu zarzewia buntu. Ot, zwykły głupi chuligański wybryk dzieciaka, co ledwo od ziemi odrósł.

– Jest panienka zuchwała – zauważył oschle Rosjanin.

– Raczej zdesperowana – poprawiłam go łagodnie. – Chcę nieszczęśnikowi pomóc.

Kirsanov wygiął wargi w cynicznym uśmiechu i skręcił konia w stronę żołnierzy. Nie zastanawiając się nad tym, co właściwie robię, pobiegłam za nim.

– Panie kapitanie, proszę mnie posłuchać... Z pewnością jest pan rozsądnym człowiekiem. Jeden nieszczęśnik nie przyniesie panu chwały.

W akcie desperacji gotowa byłam błagać go niemal na kolanach, byle wypuścić tego rannego chłopca. Już tyle razy patrzyłam na niesprawiedliwości popełniane przez carskich żołnierzy i żandarmów, którzy bez zastanowienia bili i szykanowali obywateli za najmniejsze przewinienia. Takie obrazki na ulicach Warszawy były na porządku dziennym.

Mężczyzna wstrzymał konia i odwrócił się do mnie. Spojrzenie wciąż miał twarde i nieustępliwe.

– Zapłacę... – rzuciłam, nie dając za wygraną. – Mam przy sobie kilka rubli. – Zaczęłam gorączkowo przetrząsać torbę w poszukiwaniu skórzanej portmonetki, którą zawsze nosiłam przy sobie.

Pamiętałam, że łapówka zawsze była dobrze widziana, i zdarzało się, że działała cuda.

Nie zorientowałam się, że kapitan zsiadł z konia i podszedł do mnie. Zauważyłam to dopiero, gdy zbliżył się na tyle, że poczułam bijącą od niego woń wierzchowca zmieszana z zapachem męskiego potu, a przed oczami miałam guziki jego gwardyjskiego munduru. Był wysoki, dużo wyższy ode mnie, i odczułam tę przewagę bardzo intensywnie.

– Ile jest panienka gotowa zapłacić za tego parszywego szczeniaka?

Wolno uniosłam twarz i spojrzałam mu w oczy. Wpatrywał się we mnie intensywnie, niemal drapieźnie, a ja poczułam nieznośną słabość w nogach. Mimowolnie zaczęłam drzeć, ale nie ze strachu, tylko z buzującego we mnie gniewu.

– Nie wiem, ile mam przy sobie...

Kciukiem uniósł moją brodę i pochylił się nade mną tak, że nasze oddechy niemal się mieszały.

– Ile jest panna gotowa zapłacić? – powtórzył zuchwale, ślizgając się spojrzeniem po moich wargach.

Zrobiło mi się niedobrze. Odwróciłam od niego twarz i cofnęłam o dwa kroki.

– Jest pan bezczelny! – wyszeptałam ze wzdargą.

Błysk w jego oku nie gasł.

– To panienka jest bezczelna, proponując mi byle łapówkę za zaniechanie służbowych obowiązków.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, wskoczył na konia i dał rozkaz żołnierzom do odjazdu.

Stałam w bezruchu, zaciskając boleśnie usta i patrząc, jak wywożą nieprzytomnego, przerzuconego przez końskie siodło chłopca. Coś gwałtownie zakłuło mnie w piersi. Wiedziałam, że chłopak nie przeżyje. Nie wiedziałam jednak, że moja znajomość z kapitanem Aleksandrem Kirsanovem dopiero się rozpoczęła i miała odcisnąć niezbywalne piętno na moim życiu.

ROZDZIAŁ 3

Lato minęło wyjątkowo szybko i nadzwyczaj spokojnie. Mama jak co roku, już na początku czerwca spakowała kufry i wyjechała z Warszawy do pobliskiego Konstancina, gdzie ojciec nabył dawno temu uroczą willę, którą nazwaliśmy „Pałacyk Magnolia”. Mama spędzała tam każde lato, oddając się przyjemności obcowania z naturą i plotkując z towarzystwem kobiet tak jak one uciekających przed miejskim zgiełkiem. Cały sezon wydawała przyjęcia dla znajomych, a ja towarzyszyłam jej w tym błogim wypoczynku, raz w tygodniu wracając na jeden dzień do Warszawy pod pozorem spotkania się z koleżankami, a w rzeczywistości po to, by oddać do redakcji „Bluszczu” gotowe artykuły. Wówczas obowiązkowo spotykałam się też z Jędrzejem, który narzekał, że beze mnie Warszawa traci blask.

To był przyjemny, beztroski czas i nic nie zapowiadało burzy, która nadciągała od wschodu, choć wielu ludzi przeczuwało, że idą zmiany mające istotnie zaważyć na sytuacji w naszej zniewolonej ojczyźnie. Zmiany, które obudzą ducha rewolucji, a ta już po kres zaborczej niewoli będzie przypominać, że nie wolno ustawać w walce.

Wojna z Japonią, w której imperium Romanowów miało być z założenia stroną wygraną, okazywała się porażką dla Wszechrusi. Car nie tylko nie umiał zdobyć przewagi nad – zdawałoby się – słabszym przeciwnikiem, ale wzbudzał w swoim narodzie coraz większe niezadowolenie. Docierały do nas informacje, że Rosjanie chętniej i z większą zaciętością wychodzili na ulice Petersburga, Moskwy i innych dużych miast, domagając się od Mikołaja II zakończenia wojny. Bo przecież ta wojna, która w założeniu miała ugruntować wpływy imperium w Mandżurii, w rzeczywistości doprowadziła do gwałtownego zwiększenia cen, podnoszenia podatków, a tym samym do tego, że obywatele zaczęli cierpieć głód. Rewolucyjne nastroje docierały również do Królestwa Polskiego; szczególnie Warszawa odczuwała niezadowolenie z polityki prowadzonej przez zaborcę. Do udziału w wojnie powoływano kolejnych Polaków z terenów całego Królestwa: młodych, silnych mężczyzn zmuszano do walki w imię znienawidzonego imperatora, w razie odmowy grożąc im zsyłką na daleki Sybir lub śmiercią. Coraz więcej chłopców,

szczególnie ze społeczności robotników, wszczyła bunt. Zaczęto stawiać odważny opór przeciwko rażąco niesprawiedliwej brance i wiadome było, że wraz z nadejściem jesieni sytuacja jeszcze się zaogni.

Ja sama, choć sprawa wojska nie dotyczyła mnie osobiście, też byłam głęboko przeciwna przymusowemu poborowi moich kolegów i znajomych. Czułam głęboki sprzeciw i popierałam tych, którzy w akcie desperacji uciekali pod osłoną nocy, jak niegdyś mój brat Feliks, by nie dosięgnął ich carski dekret. Gdyby nie to, spędzałabym konstancińskie lato w o wiele większym spokoju, oddając się jedynie lekturze i rozmyśleniom na temat kobiecej niezależności.

Jesienią wydarzyło się jednak coś, co nie miało nic wspólnego ani z odległą wojną, ani z rosyjskim zaborcą, a co wstrząsnęło mną głęboko. Na początku października dotarł do mnie list, przekazany w tajemnicy przez służącą hrabiostwa Domańskich – list skreślony ręką mojej przyjaciółki, Marii.

Droga Klaro,

pewnie wiesz, dlaczego od tylu miesięcy jestem nieobecna, dlaczego tak nagle zrezygnowałam z nauki, którą uwielbiałam, oraz z życia towarzyskiego. Moje losy bardzo się pogmatwały, bo jak już pewnie doszły Cię słuchy, spodziewam się dziecka. Prawdopodobnie wydaje Ci się, że ja, gorąca zwolenniczka emancypacji, kobieta świadoma i niedająca się omamić ciemnocie, straciłam czujność i dałam się ponieść emocjom. Cóż. Sprawa jest zbyt delikatna... I niestety nie mogę Ci wyjawić, kto jest ojcem mojego dziecka. Ten mężczyzna i ja nigdy nie mielibyśmy szansy na wspólne życie.

Piszę do Ciebie, bo bardzo się boję i nie wiem, co robić, a strach odbiera mi zdrowy rozsądek. Niemal nie wychodzę już z łóżka, bo na dniach spodziewam się rozwiązania i dramatycznie obawiam się o życie mojego dziecka! Matka z ojcem zamknęli mnie w domu i trzymają pod kluczem, żeby nikt nie miał do mnie dostępu. Słyszałam, jak rozmawiali między sobą, że po narodzinach zamierzają oddać moje dziecko komuś na wychowanie. Nie mogę na to pozwolić! Nie zniosę, jeśli odbiorą mi moje maleństwo. Nie wiesz, Klaro, jakie to szczęście czuć pod sercem rosnące życie. Poza tym jest ono owocem wielkiej, choć niespełnionej miłości. Nie mogą zmusić mnie do oddania mojego dziecka. Proszę, błagam Cię, Klaro, pomóż mi, bo nie mam już siły walczyć i boję się, że przegram.

*Twoja przyjaciółka
Maria Domańska*

Tamtej nocy po otrzymaniu listu nie mogłam zasnąć. Rzucalam się nerwowo na łóżku, nie potrafiąc wyrzucić z głowy myśli o przyjaciółce. Potajemnie wysłany list mną wstrząsnął, a zawarte w nim słowa wywołały we mnie chaos i wzbudziły złe

przecucia. Postanowiłam, że na drugi dzień z samego rana pojadę do posiadłości Domańskich i zażądam widzenia się z Marią.

Zrobiłam, jak zamierzałam, ale napotkałam na stanowczy sprzeciw jej matki, która, oburzona moją wizytą, nie pozwoliła mi nawet przekroczyć progu domu.

– Dostałam wczoraj list od Marii z prośbą o spotkanie – rzekłam, nie dając za wygraną.

Hrabina kolejny raz stanowczo potrząsnęła głową.

– Marii nie ma w domu. Informowaliśmy z mężem, że wyjechała z Warszawy.

– Nieprawda! Wczoraj napisała do mnie... Wiem, że spodziewa się dziecka i że wkrótce nastąpi rozwiązanie!

– Dość! Proszę natychmiast opuścić mój dom! – Poczerwieniała na twarzy hrabina patrzyła na mnie z gniewem. – Nie pozwolę powtarzać takich kłamstw pod adresem mojej córki!

– To nie kłamstwo! Maria przyznała się w liście... – Nie zdążyłam jednak dokończyć, bo hrabina zatrzęsła mi drzwi przed nosem.

Oburzona i zrezygnowana odeszłam stamtąd, ale mój niepokój nie zmniejszył się ani odrobinę. Przez kolejne dwa dni rozmyślałam nad tym, co robić. Postanowiłam nawet spotkać się z Jędrzejem i poprosić go o pomoc. Mój przyjaciel uznał, że nie możemy naruszać prywatności Domańskich.

– Ale Maria napisała jednoznacznie, że oczekuje pomocy! – Usiłowałam go przekonać do tego, że należy coś zrobić. – Ona chce, żebym się zaangażowała.

Jędrzej wzruszył ramionami.

– Pewnie źle oceniła sytuację. Zobaczysz, że jak tylko urodzi się dziecko, wszystko się poukłada, a i sama Maria spojrzy na to bez emocji.

Miałam co do tego sporo wątpliwości, ale nadal nie wiedziałam, co począć.

Trzeciego dnia postanowiłam spróbować po raz kolejny z wizytą u Domańskich. Uznałam, że jeśli znów napotkam opór, będę tkwić pod drzwiami tak długo, aż mnie wpuszczą. Byłam nawet gotowa krzyczeć pod oknami do skutku i wołać Marię po imieniu. Okazało się jednak, że nie musiałam robić nic, bo służba wpuściła mnie natychmiast. Przeraził mnie widok wstrząśniętego kamerdynera, który choć zawsze poważny i dystyngowany, teraz zdawał się przygarbiony i był blady jak ściana. Dłonie mu drżały, kiedy zamykał za mną drzwi.

– Czy coś się stało? – spytałam z przestachem, ale mężczyzna nie odpowiedział, tylko wycofał się w głąb wielkiego domu.

I wtedy usłyszałam płacz – potwornie bolesne zawodzenie, które przeszło mnie dreszczem grozy. Wbiegłam na schody prowadzące na piętro, gdzie mieścił się pokój Marii. Widok, jaki tam zastałam, zmroził mi krew w żyłach. Zachwiałam się na nogach i musiałam podtrzymać się ściany.

Ciało mojej przyjaciółki, odziane jedynie w bieliznę, zwisało z belki pod sufitem, z pętlą z prześcieradła zaciśniętą wokół drobnej szyi. Pod jej zwłokami

klęczała i zanosila się płaczem hrabina Domańska.

* * *

Październik był przeszywająco zimny. Jesienny chłód przenikał przez wszystkie warstwy ubrań, a wilgotne powietrze kładło się mgiełką na policzkach. Nie zważając jednak na to, siedziałam na dachu oficyny rodzinnej kamienicy, podkulając nogi pod halką i długą spódnicą. Czułam zimno bardzo wyraźnie, jednak zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo w środku płonęłam gniewem, spalając się niczym pochodnia. Wiedziałam, że nic nie jest w stanie ugasić we mnie tego żaru. Złość i bezsilność, pomieszane ze wściekłą rozpaczą, rozgrzewały mnie od środka do czerwoności. W chwilach głębokiego wzburzenia mój niepokorny temperament zawsze dawał o sobie znać, jakbym była niesfornym dzieckiem, a nie młodą, stateczną kobietą. Swojej krnąbrnej natury nie zdołałam powściągnąć nawet w trakcie żałobnej stypy, tuż po pogrzebie Marysi. Gotowa byłam ten głupi, niesprawiedliwy świat rozerwać na strzępy. Powtarzałam sobie w myślach drwiąco, że gdybym żyła parę wieków wcześniej, za swoje zachowanie i poglądy spłonęłabym na stosie. Jednakże czasy się zmieniły i kobiet już nie karano w ten sposób. Teraz doprowadzano je do ostateczności, każąc przestrzegać zasad obrzydliwej, fałszywej moralności – jedynie po to, żeby one same w akcie największej rozpaczycy odbierały sobie życie.

Myśląc o tym, nerwowo wypuściłam spomiędzy warg dym z cygaretki i mrużąc powieki, spoglądałam na obłoczek tytoniu, rozpływający się w aurze zimnego wieczoru. Zaraz potem objęłam wzrokiem okolice – ciemną o tej porze ulicę Piękną i przytulone do siebie dachy budynków, otulonych gęstniejącym mrokiem. Z niektórych kominów wydobywał się dym, który świadczył o tym, że jego mieszkańcom z pewnością było ciepło i przytulnie. Jego zapach wgryzał się w moje nozdrza wraz z zapachem tytoniu oraz zupełnie nieprzyjemną wonią zalegających w rynsztokach nieczystości.

Podążając wzrokiem przed siebie, widziałam oświetlony latarniami gazowymi fragment gwarnych o każdej porze Alei Ujazdowskich i parku Ujazdowskiego.

Świat wciąż istniał, godzina płynęła za godziną, a Marii... Nie było.

– Znowu tu siedzisz! – usłyszałam dochodzący z dołu karzący głos Jędrzeja.

– I co z tego? – odparłam ze złością, nawet na niego nie patrząc.

Bałam się, że jeśli na niego spojrzę, emocje mnie pokonają i zwyczajnie się rozpłaczę, a nie chciałam więcej płakać. W ciągu ostatnich dni napłakałam się już dość.

– Twoi rodzice nie wiedzą, gdzie jesteś, i bardzo się niepokoją. Jak cię tu nakryją, w dodatku z tym papierosem...

– Przestań! Ty też zamierzasz mi prawić morały?

– Ani myślę! Po prostu po przyjacielsku cię ostrzegam.

Zmarszczyłam brwi i wymuszenie uśmiechnęłam się pod nosem. Zamrugałam, żeby opanować niechciane łzy, które nie dawały mi spokoju. „Boże! – myślałam w panice – jeśli się rozplacę, to już na dobre!” Cały żal i gniew, które ścisnęły moje ciało i przez cały dzień kumulowały się we mnie, teraz gotowe były przerwać tamę pozornego opanowania.

Znów zaciągnęłam się papierosem raz i drugi i w końcu spojrzałam na Jędrzeja.

Mój przyjaciel stał na chodniku, na lekko rozstawionych nogach, z zadartą głową i przekrzywionym w tył kapeluszem. Patrzył na mnie.

Pomyślałam, że jeśli już ktoś musiał zakłócić moje samotne rozmyślenia, to dobrze, że to był on.

– Klara, zejdź. Pogadamy – zaproponował ugodowo, ale pokręciłam głową na tę propozycję.

– Jeśli chcesz pogadać, to musisz wejść na dach. Ja nie zamierzam się stąd ruszać. Tu mi dobrze.

– Zachowujesz się jak dziecko!

– A ty jak moja wiecznie marudząca matka!

Niemal słyszałam, jak Jędrzej sapnął pod nosem, nie zamierzałam mu jednak ustępować. Wiedziałam, że chce dla mnie dobrze. Zawsze chciał dobrze, ale teraz ani myślałam się temu poddać, kiedy myśl o jakimkolwiek pocieszeniu z jego strony zdawała mi się nie do przyjęcia. Potrzebowałam tego szczególnego miejsca, tej przestrzeni, którą miałam przed sobą. A że akurat był to dach oficyny – trudno. Tylko tu byłam w stanie odetchnąć i podjąć próbę poukładania sobie w głowie tego, co się niedawno wydarzyło. Od kiedy pamiętałam, ilekroć coś się ze mną działo albo kiedy obrażona na cały świat nagle potrzebowałam samotności, uciekałam na dach oficyny. Ani ojciec, ani matka, ani nikt ze służby – nikt nigdy nie odważył się po mnie tu wejść i sprowadzić na dół – zapewne z obawy przed ośmieszeniem albo upadkiem. I choć teraz nie przystawały mi takie dziecinne wybryki, nie zmieniłam swojego przyzwyczajenia, wręcz przeciwnie: poszerzyłam je o regularne zaciąganie się papierosem, choć dobrze wiedziałam, że gdyby ojciec lub matka nakryli mnie na paleniu, zrobiliby straszną awanturę. Jednak w tym osobliwym miejscu, poza zasięgiem wzroku innych, spoglądając na dachy Warszawy, czułam się sobą.

Znów zaciągnęłam się dymem z cygaretki, a Jędrzej zaczął wspinać się po drabinie przytwierdzonej do ściany oficyny. Poruszał się tak sprawnie i energicznie, że drabina telepała się i skrzypiała pod naporem jego młodzieńczego ciała. Kiedy wszedł na dach, poprawił na sobie elegancki płaszcz i kapelusz.

– Jesteś najbardziej upartą oślicą, jaką znam – mruknął z irytacją. – Kto to widział, żeby młoda dama przesiadywała na dachu!

Skrzywiłam się na tę uwagę.

– A co według ciebie powinna robić młoda dama? Siedzieć w saloniku z robótką w rękach i spuszczonej pobożnie wzrokiem, rumieniając się na każdą wzmiankę o sprawach tak zwanego prawdziwego życia? Wiesz, że nie ze mną takie numery.

– Wiem, kochanie.

– Och, nie mów tak do mnie! – obruszyłam się, mimo że słyszałam ten pieszczotliwy zwrot z jego ust niemal zawsze, gdy się widzieliśmy.

Jędrzej przysiadł obok tak blisko, że zetknęliśmy się ramionami.

– Chociaż w tym jednym mogłabyś ustąpić – rzekł z nutą żalu w głosie. – Powinnaś mi na to pozwolić. Powinnaś zgodzić się na dużo więcej.

Wypuściłam z ust obłok dymu i lekceważąco wzruszyłam ramionami.

– A co to da? Czy to coś zmieni? Przecież łączy nas przyjaźń, a określenie „kochanie” nie pasuje do przyjaciół.

– Jesteś okrutna. Wiesz, że nadal łudzę się, iż pewnego dnia zmienisz zdanie co do mnie. I że kiedyś...

Sapnęłam z irytacją. Że też znów musiał zaczynać z tymi swoimi miłostkami, i to akurat teraz, kiedy byłam wściekła i zrozpaczona jednocześnie. Nie miałam ochoty kolejny raz tłumaczyć mu tego, co wydawało się oczywiste i z czego oboje zdawaliśmy sobie sprawę.

Jędrzej nic nie powiedział, ale spuścił głowę.

Zerknęłam na niego. Wiedziałam, że wyłącznie na moje życzenie zdusił w sobie to, co chciał mi jeszcze wyznać. I doskonale wiedziałam, co to miało być.

– Domyślam się, że przeżywasz historię z Marią... – zaczął ostrożnie. – To, co widziałaś... I ten pogrzeb. Wiem, że jesteś przygnębiona.

– Przygnębiona? – prychnęłam pogardliwie. – Skoro tak to widzisz, to znaczy, że mnie nie znasz. Nie jestem przygnębiona. Jestem wściekła! Mam ochotę wrzeszczeć! Mam ochotę obrócić ten parszwy świat w proch!

– Ale to niczego nie zmieni – odparł Jędrzej spokojnym tonem, a ja popatrzyłam na niego z iskrami buntu w oczach.

– A może właśnie zmieni?! Może trzeba okazywać wściekłość, bo w inny sposób nie da się dotrzeć do tych tępych głów, które uważają, że wszystko wiedzą najlepiej? Kto dał tym zakłamanym ludziom prawo do decydowania o życiu nieszczęśliwej dziewczyny? O jej wyborach?

Jędrzej bezwiednie przytaknął.

– Klara, to, co się stało, to prawdziwa tragedia i też nad tym boleję, ale rodzice Marii byli przekonani, że postępują słusznie. Wiesz, że nie mogli postąpić inaczej. Maria popełniła straszny błąd, pogubiła się i...

– O czym ty mówisz? – przerwałam mu. – Ona urodziła dziecko! To nie był błąd ani pogubienie się!

– Zaszła w nieplanowaną ciążę. Bez męża – tłumaczył mi dobitnie Jędrzej, jakbym była nierozumnym dzieckiem. – Coś takiego to prawdziwy skandal.

Zerwałam się na równe nogi.

– Jędrzek, jeszcze raz usłyszę od ciebie takie brednie i przestaniemy się przyjaźnić! Mam ci przypomnieć, że wskutek tego, co zrobiliśmy nad rzeką, też mogłam zajść w ciążę? Gdyby tak się stało, również uznałbyś to za skandal?

– My to co innego! Wiesz, że ożeniłbym się z tobą natychmiast! A ten mężczyzna, z którym Maria...

– Właśnie! Ten mężczyzna nie zamierzał się z nią ożenić! Omamił ją, uwiódł i zostawił z kłopotem zupełnie samą! Nie przejmował się ani trochę tym, że miała urodzić jego dziecko. A ona tego dziecka pragnęła. Nie chciała go nikomu oddawać! Jędrzej pokręcił głową.

– Wiesz, jak jest, Klara... Nie zmienisz rzeczywistości tylko dlatego, że widzisz ją inaczej niż inni. Nieślubne dziecko to kłopot dla takiej rodziny jak Domańscy, w ogóle to kłopot dla panny z dobrego domu. Maria miałyby straszne życie, cierpiałyby pod gradem ciągłych plotek i pogardliwych spojrzeń. Nigdy nie znalazłyby sobie męża, bo piętno urodzenia bękarta ciążyłoby na niej do końca życia. Jej rodzice chcieli jej jedynie pomóc.

– Bzdura! – Aż zadygotałam ze złości. – Ona się bała! Poprosiła mnie o pomoc! Gdyby nie odebrali jej dziecka, Maria nadal by żyła. Odzyskiwałyby teraz siły po porodzie i trzymała w ramionach swoje maleństwo! A tymczasem... – Głos mi się załamał, a łzy, choć bardzo tego nie chciałam, popłynęły po policzkach. – Leży w grobie. A jej dziecko... – umilkłam.

Jędrzej milczał. Patrzył na mnie bezradnie, nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć. Też miał wypisaną w oczach bolesć. Choć mówił te wszystkie rzeczy o skandalu, to wiedziałam, że w głębi duszy zgadza się ze mną. Bo jakie to miało znaczenie w obliczu śmierci młodej i pięknej kobiety, której siłą odebrano nowo narodzone dziecko, doprowadzając ją tym na skraj rozpacz? Czy ktokolwiek mógł przypuszczać, że hrabianka Maria Domańska dwa dni po tym, jak odebrano jej synka, powiesi się na skręconym prześcieradle we własnej sypialni? Czy ktokolwiek to przewidywał? Wiedziałam, że barbarzyńskie praktyki odbierania pannom z dobrych domów ich nieślubnych dzieci były powszechne. Nikt nie przejmował się rozpaczą młodej matki; teraz okazało się, że krzywda, którą wyrządzono Marii, nie pozwoliła jej dalej żyć.

Stałam na dachu, obejmując się bezradnie ramionami. Już nie trzymałam w palcach cygaretki, wyrzuciłam niedopałek. Zimny wiatr szarpał połami mojego płaszcza, ciemne włosy wysunęły się ze spinek i ślizgały po twarzy. Łzy, choć tak usilnie próbowałam je powstrzymać, płynęły po policzkach.

Jędrzej doszedł do mnie. Nie sprzeciwiałam się, kiedy objął mnie ramionami. Komuś innemu nie pozwoliłabym na taką poufałość, ale Jędrzek... od zawsze był

moją opoką. Tyle razy już mnie przytulał, że doskonale znałam kształt jego opiekuńczych ramion.

– Wiem, jaka jesteś szalona, moja Klarciu ... – szeptał, wtulając twarz w moje włosy. – Wiem, że swoim gorącym temperamentem gotowaś rzeczywiście podpalić świat. Ale proszę cię, spróbuj to przeboleć.

– Jak? – Z każdym kolejnym słowem wypływała ze mnie żalność zmieszana z wściekłością. – Tego się nie da przeboleć. O tym trzeba pamiętać, Jędrus.

– Ale po co? Żeby się umartwiać?

Poczułam, że jego dłonie zaczynają bezwiednie wędrować po moich plecach. Mimo woli poczułam przyjemne ciepło.

– Nie. Żeby zmieniać ten parszwy świat na lepsze – odparłam.

Wytarłam mokre policzki w kołnierz jego płaszcza i wysunęłam się z jego objęć. Usłyszałam, że cicho westchnął.

Kiedy na niego spojrzałam, moje oczy znów płonęły ogniem.

– Za kilka dni idę na spotkanie z Walerym Sławkiem – odparłam zduszonym głosem.

Jędrzej zeszywniał.

– Ty? A po co?

– Bo coś się szykuje. Czuję to. Coś większego niż poprzednia demonstracja przy Karmelickiej[2].

Zmarszczył brwi.

– Klara, doprawdy, tego już za wiele! Te sprawy nie dotyczą kobiet!

– A kogo? – zapytałam drwiąco, wydymając wargi.

– Nas! Mężczyzn! To my pod carskim jarzmem musimy giąć kark i wbrew woli wstępować do rosyjskiej armii!

– Ach, tak! – Podparłam się pod boki i buńczucznie wysunęłam podbródek. – A kobiety to niby gdzie żyją? Nie pod carskim jarzmem?

Potrząsnął gwałtownie czupryną.

– Nawtykałyście sobie głupot do głowy na tych waszych feministycznych spotkaniach! Ta walka to nie sprawa kobiet, a już zwłaszcza nie młodych pańienek!

Zignorowałam jego gadanie i zbliżyłam się do miejsca, gdzie stała drabina.

– Dokąd idziesz? – spytał Jędrzej, wyraźnie poirytowany.

– Do domu. Sam mówiłeś, że rodzice się o mnie martwią.

– Przecież przed chwilą oświadczyłaś, że wybierasz się na spotkanie z Walerym Sławkiem!

– No mówiłam.

– Więc pogadajmy o tym!

– Po co? Żebyś mi prawil te swoje dyrdymały? Idę, i już. Wiem, że na spotkaniu będzie sporo dziewczyn. Wierz mi lub nie, ale my też chcemy walczyć o wolność.

I to taką, która będzie prawdziwa również dla nas, bez tych pseudomoralnych bzdur, w imię których zabierają matkom ich ledwie narodzone dzieci. Kobiety mają w tym kraju wiele do zrobienia, Jędrrek.

– W to akurat nie wątpię.

* * *

Sztywnym krokiem weszłam do rzęsiście oświetlonej jadalni. Nie zdążyłam jeszcze się przebrać, zdjęłam jedynie płaszcz i odświeżyłam twarz oraz dłonie wodą różaną, którą naprędce podała mi Dusia, moja pokojówka, żebym mogła zamaskować woń papierosa. Wciąż miałam na sobie tę samą czarną suknię, w której byłam na pogrzebie Marii Domańskiej, bo nie chciałam jeszcze bardziej nadwyreżać cierpliwości rodziców i tak już długim spóźnieniem.

Matka i ojciec siedzieli przy zastawionym stole, ale żadne z nich nie tknęło wieczornego posiłku. Wyraźnie czekali na mnie.

Kiedy z cichym „przepraszam” zasiadłam na odsuniętym przez kamerdynera krześle, natknęłam się na spojrzenie matki. Patrzyła na mnie z wyrazem najwyższej nagany. Jej na co dzień nieco rozmarzony, jakby od nadmiaru myśli wyraz twarzy, teraz zdradzał nadzwyczajną trzeźwość, a muśnięte różem policzki poczerwieniały jeszcze bardziej, najpewniej pod wpływem wzburzenia.

Tymczasem ojciec spojrzenie miał nieprzeniknione i nie potrafiłam odgadnąć, czy był na mnie wściekły podobnie jak mama, czy raczej potraktuje mnie jak zazwyczaj – z oschłą pobłażliwością.

– Zapomniałaś, kiedy gosposia podaje kolację? – zapytała mama zimnym tonem, jakiego dawno u niej nie słyszałam.

Z pozoru eteryczna, niemal wiecznie pogrążona w stanie nadwrażliwego półomdlenia, raczej nie miała predyspozycji do okazywania gwałtowniejszych uczuć. Ożywiała się jedynie na wzmiankę o moim bracie Feliksie; stawiała się wówczas niemal tak pogodna jak przed laty, zanim jej syn uciekł do Francji przed karą zsyłki na Sybir.

– Nie zapominałam – odpowiedziałam spokojnie, choć emocje wciąż we mnie buzowały.

Nim się pożegnaliśmy, obiecałam Jędrzejowi, że przy rodzicach postaram się powściągnąć gniew, aby ich bardziej nie denerwować. Przyznałam mu rację, że każdy z nas miał dość przykrych doznań jak na jeden dzień.

– Więc dlaczego zjawiasz się nie w porę? Uważasz, że to, co dzisiaj zrobiłaś, to jeszcze mało i musisz nam dołożyć więcej zmartwień? – drążyła mama, jakby za wszelką cenę postanowiła mnie sprowokować do kłótni.

– Nie zamierzałam was denerwować ani martwić, mamó. Chciałam jedynie dłużej pobyc sama. Ten dzień był trudny nie tylko dla ciebie. Mnie zasmucił

szczególnie, bo uczestniczyłam w pogrzebie bliskiej koleżanki.

Mama zacisnęła wargi w wąską kreskę. Zauważyłam, że przebiera nerwowo palcami w pobliżu talerza.

– Chyba niewiele cię to obeszło, skoro postanowiłaś zrobić przedstawienie. To, co wygadywałaś na stypie u hrabiostwa...

– Przestań, Eluś! – upomniał mamę ojciec, wbijając w nią znaczące spojrzenie. – Nie rozmawiajmy o tym, bo jak sama zauważyłaś, kolacja czeka.

– Chyba nie będziesz jej bronić! – fuknęła mama. – Jesteś jej ojcem i powinieneś wyrazić swoje zdanie. Niemal zemdlałam, kiedy Klara...

Z trudem stłumiłam irytujące westchnienie. Moja matka, gdy już okazywała niezadowolenie, robiła to w nadzwyczaj teatralny sposób.

– Mamo, wybacz, że doprowadziłam cię do takiego stanu, ale znasz mnie i wiesz, że nie godzę się na jawną niesprawiedliwość! Nie mogłam słuchać tych głupich komentarzy i oszczerstw pod adresem biednej Marii. Odebrała sobie życie, bo była głęboko nieszczęśliwa, a ci ludzie tuż po jej pogrzebie zachowywali się tak, jakby jej śmierć nic ich nie obeszła! Szeptali między sobą z oburzeniem, a łyżycierali wyłącznie na pokaz.

– To rozumiałe, że byli zbulwersowani! Panna z dobrego domu, w dodatku córka hrabiego, rodzi nieślubne dziecko. To skandal, jakiego dawno nie było! Wiesz, jak musieli czuć się jej rodzice? Masz pojęcie, jakie to upokorzenie? Zwłaszcza że zrobili, co mogli, żeby całą tę niezręczność zachować w tajemnicy! A Maria? Maria odebrała sobie życie i służba natychmiast rozniosła wieść o tym po całym mieście. A ty, zamiast uszanować ich ból, postanowiłaś głośno skomentować, co o tym myślisz! Prawie zesłam na serce, kiedy usłyszałam, jak bez skrępowania i szacunku mówisz hrabiemu przy wszystkich żałobnikach, że nie powinno się było odbierać Marii dziecka!

Znów coś się we mnie zakotłowało, coś nakazało mi po raz kolejny tego dnia wykrzyknąć, że gardzę dwulicowością świata, w którym kobiety są niczym marny pył, który można zdmuchnąć. Nim jednak się odezwałam, odetchnęłam głęboko, pragnąc zdusić w sobie gniew, by nie prowokować matki do dalszej dyskusji. Wiedziałam, że ona mnie nie zrozumie, bo wychowana na konwenansach i według sztywnych reguł, nie rozumiała nic z tych rzeczy, które budowały moją tożsamość, ani nie chciała mieć własnego zdania. I choć przecież była kobietą, uważała emancypację za niedojrzałe pokrzykiwanie zdesperowanych panien. Nie była w tym myśleniu zresztą odosobniona; powszechnie uważano, że jakiegokolwiek odgórne prawa nie są kobietom do niczego potrzebne, skoro u boku troskliwych mężów żyje im się całkiem znośnie. A jeśli tylko popuści się kobietom cugle, gotowe wywoływać skandal za skandalem i burzyć właściwy porządek świata.

– Uspokójcie się obie! – zagrzmiał ojciec ostrym tonem, a jego czoło zmarszczyło się gniewnie nad drucianymi oprawkami okularów. – Kolacja czeka.

Elu, jutro porozmawiam z naszą córką na osobności i wyjaśnię jej, co masz na myśli. Teraz jednak skupmy się na posiłku, aby gosposia nie pomyślała, że ignorujemy jej starania.

Popatrzyłam na ojca, ale nie umiałam wyczytać nic z jego poważnej twarzy. Nie wiedziałam, czego mogę się jutro spodziewać: ostrej reprimendy, której z pewnością oczekiwała mama, czy czegoś znacznie gorszego. Ojciec był nieprzewidywalny. Bywały chwile, kiedy myślałam, że nauczył się tolerować moją inność – jak zwykł nazywać mój charakter. Jednak chwilę później, w przypływie nagłej stanowczości, zabraniał mi spotkań z przyjaciółmi czy wytykał moje, według niego, zbytne poświęcanie się nauce, dywagując, że edukacja to dla kobiety niepotrzebne zawracanie głowy. Wprawdzie oboje rodzice wiedzieli, że regularnie uczestniczę w zajęciach Uniwersytetu Latającego i że kształcę się pod okiem wybitnych polskich wykładowców, ale nie traktowali tego poważnie, choć właśnie zaczęłam ostatni rok na Wydziale Nauk Społecznych. Moje przywiązanie do nauki i książek uważali za fanaberię niezamężnej panny, z której na pewno się wyleczę, jak tylko znajdę właściwego mężczyznę. Z tego też powodu nie zamierzałam im mówić o moich publikacjach w „Bluszczu”.

Zjedliśmy kolację w całkowitym milczeniu i ciszy, którą mąciło jedynie subtelne pobrzękiwanie srebrnych sztućców, lecz przez cały czas nad stołem unosiła się nabrzmiąca od emocji atmosfera. Po posiłku mama wstała od stołu i wyrzuciwszy z siebie lakoniczne „dobranoc”, wyszła z jadalni, a ja poczułam na sobie spojrzenie ojca. Myślałam, że teraz zacznie ze mną rozmawiać, ale się nie odezwał; wytarł jedynie chusteczką poplamioną sosem wąsy i poprosił kamerdynera o podanie mu w saloniku porcji żytniówki.

Dopiero gdy wstałam od stołu, surowe spojrzenie szarych oczu przygwoździło mnie do miejsca.

– Jutro z samego rana chcę cię widzieć w moim gabinecie – rzekł krótko.

– Jeśli chcesz mnie zbesztać, papo, zrób to teraz. Po co czekać do jutra? – zaproponowałam nadzwyczaj spokojnym tonem, próbując ukryć urazę spowodowaną stanowczością ojca.

– Nie. Jutro. Punktualnie o ósmej. I ani minuty spóźnienia, bo później mam ważne spotkanie.

Skinęłam głową i bezszelestnie opuściłam jadalnię.

Po wieczornej toalecie, w której pomogła mi Dusia, zasiadłam przy orzechowym biurku w swoim pokoju i wyjęłam z szuflady arkusz papieru i pióro. Tym razem nie zastanawiałam się zbyt długo, o czym chcę napisać. Myśli same wypływały z mojej głowy, a zdania krzyczały, tak jak krzyczało moje młode serce, rozżalone po śmierci przyjaciółki. Cały czas trzęsła mną wściekła rozpacz i poczucie winy. Nie mogłam się pogodzić z odejściem Marysi. Z trudem pojmowałam, jak mogło do tego dojść. Jak ktokolwiek mógł do tego dopuścić?

Sytuacja kobiet jest dramatyczna w wielu dziedzinach życia, ale odbieranie matce prawa do wychowywania dziecka tylko dlatego, że urodziło się nieślubne i bez ojca, to obrzydliwe barbarzyństwo. Niemoralnością nie jest urodzenie nieślubnego potomstwa; niemoralnością i ogromnym złem jest odbieranie dziecka matce bez jej zgody i woli, w imię fałszywie pojętych konwenansów...

[2] 28 października 1904 roku warszawski komitet Polskiej Partii Socjalistycznej zorganizował na Lesznie przy ul. Karmelickiej pierwszą manifestację przeciwko przymusowej mobilizacji rezerwistów z Królestwa Polskiego do udziału w wojnie rosyjsko-japońskiej. Manifestacja została krwawo rozpedzona przez kozaków i policję. W wyniku tej interwencji zostało rannych około osiemdziesięciu osób.

ROZDZIAŁ 4

Bladość jesiennego poranka przenikała przez szyby wysokich okien do surowego wnętrza gabinetu, w którym mój ojciec zwykł spędzać samotne chwile, kiedy pracował, czytał czy rozmyślał, paląc fajkę. Dziś jak co rano siedział za wysokim biurkiem i przeglądał prasę, ale kiedy zamknęłam za sobą drzwi, odłożył gazetę.

Zauważyłam, że nie wygląda dobrze. Owszem, ubrany był jak zwykle nienagannie – w codzienny garnitur z kamizelką ozdobioną złotą dewizką. Posiwałe włosy miał równo zaczesane, a wąsy idealnie podkręcone pomadą. Jednak jego twarz zdradzała niezdrowe zmęczenie. Choć zwykle trzymał się prosto i nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt lat, to dziś odniosłam wrażenie, jakby nagle przez noc bardzo się postarzał.

– Usiądź, Klaro. – W jego głosie brzmiało znużenie i po tym zyskałam już całkowitą pewność, że ojciec nie spał zbyt dobrze.

Ja również zasnęłam długo po północy, bo wpieryw pracowałam nad artykułem, a później nie mogłam zmrużyć oka, udręczona myślami o Marysi.

– Obiecałem matce, że porozmawiam z tobą o tym, co się wydarzyło u Domańskich. Prócz tego chcę ci oznajmić coś bardzo ważnego, co ma duże znaczenie dla przyszłości naszej rodziny... Ale po kolei.

Usiadłam posłusznie na wskazanym przez ojca fotelu. Przeczuwałam, że to nie będzie ani przyjemna, ani łatwa rozmowa, jednak odbyłam z ojcem już tyle podobnych dyskusji, że czułam się przygotowana. Tak naprawdę od chwili ucieczki do Francji mojego o osiem lat starszego brata Feliksa byłam ciągłym obiektem krytyki i niezadowolenia ze strony rodziców. Po części to rozumiałam: stracili jedyne go syna, w którym pokładali wielkie nadzieje, i mieli prawo okazywać frustrację. A ja przeważnie byłam pod ręką, więc trafiało na mnie. Poza tym nie interesowali się mną zbyt wiele. Nie obchodziło ich, co lubię i czym zajmuję się na co dzień ponad to, że bym zawsze dbała o właściwe maniery, odpowiednio się prowadziła i korzystnie wyglądała. Szczególnie obchodziło to mamę, która nie lubiła prostoty ani niechlujstwa i sama kreowała się na wyrefinowaną damę. Jeśli któreś z rodziców decydowało się okazać mi odrobinę zainteresowania, wiązało się

to zwykle z krytyką mojego zachowania, niewłaściwych – bo zbyt śmiałych – wypowiedzi czy niezbyt gorliwego przykładania się do zajęć godnych panny w moim wieku, czyli do nauk prowadzenia domu, gry na fortepianie i częstego uczestnictwa w kościelnych nabożeństwach. Do żadnej z tych rzeczy nie miałam zapалу i każdej z nich unikałam jak ognia.

– Twoja matka ma absolutną rację – zaczął ojciec teraz już ostrzejszym tonem. – To, jak się wczoraj zachowałam po pogrzebie świętej pamięci Marii Domańskiej, było poniżej wszelkiej godności i krytyki... Nie przerywaj mi! – Uniósł się, gdy tylko otworzyłam usta, by się wtrącić. – Wygłosiłaś bezczelną i mocno krzywdzącą hrabiostwo Domańskich tyradę o tym, że kobiety powinny samodzielnie decydować o swoich sprawach, choć wiedziałaś, że ich córka odebrała sobie życie, będąc pod wpływem szoku. Twoje zachowanie było karygodne! Przyniosłaś wstyd mnie i matce! Upokorzyłaś nas i zbulwersowałaś innych żałobników! Hrabiostwo żałowali, że w ogóle zaprosili nas na uroczystości.

– Papo, pozwól mi wytłumaczyć...

– Dość! Nie będziesz mi już nic tłumaczyć! Nasłuchałem się tych twoich górnolotnych tłumaczeń ponad miarę i stwierdzam, że byłem w stosunku do ciebie zbyt pobłażliwy. Traktowałem cię ulgowo, w przekonaniu, że nadejdzie czas, kiedy pójdziesz po rozum do głowy. Ale widać się myliłem! Skoro nie umiesz powściągnąć języka, to znaczy, że potrzeba ci właściwej dyscypliny! Twoje niedorzeczne poglądy coraz dalej odbiegają od tego, co słuszne i właściwe. Widziałaś na własne oczy, co razem z matką przeżywamy od czasu ucieczki Feliksa. Wiesz, że jesteś naszą jedyną nadzieją, bo twój brat najprawdopodobniej nigdy nie wróci z wygnania i nikt też nie wróci życia twoim dwóm małym braciom, zmarłym w niemowlęctwie. Nie mamy zatem męskiego potomka, który mógłby godnie odziedziczyć po nas to, na co tak ciężko pracowałem całe życie. Jesteś tylko ty, Klaro. A musisz wiedzieć, że czas nagli. – Ojciec zrobił krótką pauzę i odchrząknął, jakby to miało pomóc mu w doborze odpowiednich słów. – Skończyłaś już dwadzieścia dwa lata. Nie jesteś podlotkiem, a w pełni dojrzałą kobietą, gotową do wejścia w dorosłe życie.

– Wiem, papo, do czego zmierzasz – odparłam szybko.

– Nie przerywaj mi, mówiłem! Kiedy skończę, będziesz mogła wyrazić swoje zdanie. Otóż zdecydowałem, i twoja matka mnie w tym poparła, że do końca tego roku wyjdiesz za mąż albo... Wyprowadzisz się z naszego domu!

Krew odpłynęła mi z twarzy; bezwiednie zacisnęłam palce na fałdach długiej spódnicy. Spodziewałam się wielu rzeczy, ale nie tego. Nie tak radykalnie postawionej sprawy.

– To niemożliwe... – wyszeptałam.

– A to dlaczego? Martwi cię, że nie masz narzeczonego? Otóż masz, moja droga córko. O wszystko zadbałem.

– Papo...

– Zdecydowałem, że oddam twoją rękę Władysławowi Wierzbickiemu. To zdolny, myślący człowiek ze sporym majątkiem i głową na karku. Po waszym ślubie przejmie moje interesy związane z handlem i magazynowaniem towarów, bo świetnie orientuje się w tych tematach.

– Jest dla mnie za stary! Ma ponad czterdzieści lat!

– Różnica wieku nie ma tu nic do rzeczy, a wręcz stanowi dodatkową korzyść, bo mężczyzna po czterdziestce jest już w pełni ustatkowany i wie, czego chce.

Miałam wrażenie, że dudniące serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. Nie mogłam uwierzyć, że dotąd przymykający oczy na mój niezamężny stan ojciec nagle podjął tak radykalną i absurdalną decyzję! Owszem, raz na jakiś czas suszyli mi wraz z mamą głowę, że powinnam wyjść za mąż, a przynajmniej być już zaręczona, ale ponieważ nie wykazywałam w tej kwestii zaangażowania, nie podejmowali żadnych działań. Byłam więc święcie przekonana, że wbrew panującemu obyczajowi, iż w pewnych kręgach to rodzice wybierają córce małżonka, moi dali mi wolną rękę. Teraz jednak decyzja ojca mnie przeraziła!

– Jeszcze dziś poinformuję pana Wierzbickiego o swojej decyzji, bo musisz wiedzieć, że dowiedziawszy się o pomysle małżeństwa z tobą, okazał się wielce entuzjastyczny. Zapewniał mnie, że bardzo mu się podobasz.

Mgłiście próbowałam przypomnieć sobie Władysława Wierzbickiego. Elegancki, dystyngowany, lekko otyły, z irytującą manierą machania laseczką, jakby odpędzał od siebie brzęczącą muchę. Spotkałam go kilka razy w magazynie u ojca, raz na wyścigach konnych i chyba ze dwa razy w teatrze. Zawsze był w stosunku do mnie sztywny i nazbyt opanowany, jakby moja osoba zmuszała go do zachowania zdystansowanej postawy. Myśl, że ktoś tak nad wyraz poważny miałby zostać moim mężem, wzbudzała we mnie przerażenie. A gdzie bliskość? Gdzie przywiązanie? Lub tak niepopularne wśród kojarzonych małżeństw pożądanie?

Może nie byłam piękną, ale miałam dość urody, żeby wzbudzić w mężczyźnie pociąg. Bez trudu dostrzegałam to w ukradkowych spojrzeniach młodzieńców. Łęchały one moją kobiecą próżność i napawały przyjemną dumą, ale na co dzień nie czerpałam z tego pożytku, jak czyniły to inne panny. Raczej uśmiechałam się pobłaźliwie, kiedy mężczyźni różnymi sposobami próbowali wzbudzić we mnie zainteresowanie albo zachęcić do spotkania na osobności. Kilka razy poczułam szczerą ochotę, by się poddać, korciło mnie nawet, żeby znaleźć się z tym czy tamtym w nieco bardziej intymnej sytuacji, bo choć miłosna przygoda z Jędrzejem mnie rozczarowała, to równocześnie dodała zapалу do dalszych poszukiwań. Byłam jednak rozsądna i przeczuwałam, czym to się może skończyć. Dokładnie tym samym, czym zakończył się tajemny romans Marii Domańskiej.

– Papo, nie możesz mi wybrać narzeczonego – wyrzuciłam z siebie, czując nagły przypływ paniki.

Wiedziałam, że muszę coś zrobić, bo jeśli pozwolę ojcu zrealizować ten szalony pomysł, będę skończona. Będę mogła zapomnieć o niezależności i jakiegokolwiek wolności, której tak łaknęłam. I w dodatku zostanę żoną człowieka, którego nie znałam i którym nieco pogardzałam.

– A to dlaczego? – spytał ojciec z wyraźną kpina. – Bo ubzdurałaś sobie, że to ty będziesz decydować? A jakie masz do tego prawo, moja panno? Co możesz zaoferować swojemu przyszłemu małżonkowi oprócz urody? Bez mojej szczodrości nie posiadasz przecież nic.

– Próbujesz mnie poniżyć, papo.

– Nie, córko, to ty poniżasz mnie i matkę swoim głupim uporem i tymi dyrdymałami, które publicznie wygłaszasz, mając się za śmieszoną emancypantkę. Moja decyzja jest ostateczna i nieodwołalna: albo wyjdiesz za mąż w ciągu najbliższych kilku tygodni, albo musisz opuścić ten dom. Oczywiście jeśli zdecydujesz się na to drugie, nie otrzymasz ode mnie nawet jednego rubla na utrzymanie. Będziesz musiała poradzić sobie sama, jak na emancypantkę przystało. – Ostatnie słowa ojciec wypowiedział z czystą pogardą.

– Dobrze więc... W takim razie...

Czułam, jak serce coraz mocniej kołata mi w piersi. Ojciec wbijał we mnie ostre spojrzenie, oczekując reakcji na jego ultimatum. Cóż mogłam zrobić? Jak postąpić? Skoro chciałam zyskać trochę czasu, żeby poukładać wszystko po swojemu i nie pozwolić na realizację niedorzecznego pomysłu poślubienia Wierzbickiego, musiałam posunąć się do ostateczności.

Jeszcze mocniej zacisnęłam palce na fałdach eleganckiej spódnicy, aż zbieleły mi kostki. Zasznurowałam wargi.

– Papo... – zaczęłam powoli. – Zmuszasz mnie do wyjawienia ci tajemnicy, o której nie chciałam dotąd mówić. Pragnęłam dać sprawom trochę więcej czasu, ale w obecnej sytuacji, kiedy jesteś tak stanowczy... – Byłam zdumiona, że mój głos brzmiał tak pewnie. Nie zawahałam się nawet przez sekundę, kiedy błyskawicznie układałam w głowie szalony plan zniweczenia zamiarów ojca. Niemal fizycznie czułam myśli, które desperacko kotłowały się w mojej głowie. – Nie mogę zgodzić się na poślubienie pana Wierzbickiego, ponieważ jestem już zaręczona – wypaliłam.

Widziałam, jak ojciec w zdumieniu wybałusza oczy ukryte za okularami, i modliłam się w duchu, żebym za to, co właśnie wymyśliłam, nie spłonęła w ogniu piekielnym. I żeby Jędrzej mi to wybaczył. Bo pomimo że kochałam go jak przyjaciela, to jednak zamiary miałam iście nieprzyjacielskie.

– O czym ty, do diabła, mówisz? Czemu nic o tym z matką nie wiemy?

Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

– Bo chcieliśmy to przez jakiś czas utrzymać w tajemnicy, dopóki... nie skończę nauki. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Mój narzeczony szanuje moją potrzebę

edukacji – kłamałam jak z nut.

– Kto to jest, do cholery?! – Ojciec był coraz mocniej wzburzony.

Twarz mu poczerwieniała, a żyły na pomarszczonej szyi nabrzmiały tak, że przestraszyłam się, by nagle nie dostał ataku serca.

– Papo, spokojnie, nie denerwuj się! – poprosiłam ugodowo. – Przecież to nic takiego!

– Ostrzegam cię, Klaro! – wycharczał i opadł bezsilnie na oparcie fotela.

Zerwałam się z miejsca, by napełnić szklanek wodą z karafki. Sama byłam tak zdenerwowana, że miałam ochotę wypić duszkiem całą jej zawartość.

– Weź to, papo. I wypij.

Ojciec spełnił moją prośbę i pociągnął kilka łyków, po czym odetchnął. Przyglądałam mu się z uwagą. Machnął na mnie ręką, żebym się odsunęła, więc posłusznie wróciłam na fotel.

– Więc z kim łaskawa byłaś się zaręczyć bez mojej wiedzy i zgody? – zapytał po chwili, wciąż z nerwowością w głosie.

– Z Jędrzejem.

– Jędrzejem Witebskim?

Czułam, że moja twarz oblewa się rumieńcem, ale bardziej z powodu kłamstwa, które właśnie wygłosiłam, niż pod wpływem emocji.

– Tak. Nie powinno cię to dziwić, papo.

– Otóż dziwi, i to bardzo! Nigdy nie traktowałaś tego młodzieńca poważnie. Wyśmiewałaś jego zaloty.

– Och, tak się z nim tylko droczyłam. Jędrzej wie, że go kocham. – To akurat nie było kłamstwo, przynajmniej niezupełne.

– Nie wiem, co powiedzieć... – Ojciec zdawał się nie tylko zdumiony, ale i niezadowolony.

Pomyślałam, że może jednak przesadziłam z tym pomysłem. Z drugiej strony uznałam, że lepiej brnąć w kłamstwo na temat zaręczyn z Jędrzejem i w konsekwencji nawet wyjść za niego za męża, niż pozwolić sobie na beznadziejne małżeństwo z Wierzbickim.

– Zgódź się, papo – poprosiłam z fałszywym uporem. – Znasz Jędrzeja, wiesz, że to porządny chłopak z dobrej rodziny. I szaleje za mną.

Ojciec zmierzył mnie krytycznym wzrokiem znad okularów.

Przygryzłam wargi. W duchu pomyślałam, że widok zdumionego ojca to jeszcze nic; byłam ciekawa, jak na to wszystko zareaguje główny bohater całej maskarady, gdy dowie się o moim pomysle.

– To zdecydowanie nie jest dobry pomysł! – Ojciec wciąż był wzburzony. – Czy wspominałaś o tym matce? Czy ona o tym wie?

– Nie...

– Więc zrobiłaś to za naszymi plecami!

– Papo, wiesz przecież, że zawsze byłam niezależna w podejmowaniu decyzji. A Jędrzej i ja znamy się już tyle lat...

– Co za nedorzecznosc! Zawsze powtarzałaś, że ten chłopiec jest tylko twoim przyjacielem! A tu nagle takie rzeczy! Nie wiem, co o tym myśleć, i nie wiem, czy się na to zgodzić! On jest inny niż Wierzbicki, dużo młodszy...

– Przecież go lubisz. Oboje z mamą go lubicie. Skoro już muszę wyjść za mąż, to niech to będzie Jędrzej.

Ojciec sapnął z irytacją, a następnie zlustrował mnie spojrzeniem.

– Mówisz o tym tak, jakby ci było wszystko jedno! – warknął. – I nie podoba mi się, że ukrywałaś to przed nami. To nie wygląda dobrze. Poza tym nie chcę robić z gęby cholewy, a obiecałem cię Wierzbickiemu!

– Jeszcze nie ogłosiłaś oficjalnie naszych zaręczyn, więc z pewnością wytłumaczysz zmianę decyzji. Jędrzej jest moim narzeczonym, i basta!

– Muszę się z nim rozmówić.

– Oczywiście – odparłam przymilnym tonem, choć w duchu wystraszyłam się, czy ojciec nie będzie próbował zniszczyć mojego planu i mimo wszystko oddać mnie Wierzbickiemu. – Ale proszę, byś go nie naciskał. Już ustaliliśmy, że ślub weźmiemy dopiero za jakiś czas. Jędrzej ledwo wrócił z Petersburga i teraz zajmuje go praca w zarządzie fabryki ojca.

– Do diabła! I jeszcze na dodatek będę miał zięcia cukrownika! Za jakie grzechy!

– Papo, wiesz, że to świetny interes. Rodzina Jędrzeja dorobiła się majątku na produkcji cukru...

– Dobrze, już dobrze! – Zniecierpliwiony ojciec machnął ręką. – Teraz muszę rozważyć, jak załatwić sprawę z Wierzbickim, a to nie będzie łatwe. I porozmawiać z matką... – Popatrzył na mnie z wyrzutem. – Wciąż nam sprawiasz kłopoty! Jakbyś się uparła!

– Więc zgadzasz się na moje małżeństwo z Jędrkiem? – Gdy to mówiłam, moje serce zatrzepotało z nadzieją. Nie z radości, że wyjdę za mąż za mego przyjaciela, ale że moje kłamstwo ma szansę powodzenia.

– Tak, wstępnie się zgadzam, ale tylko dlatego, że znam tego dzieciaka i wiem, że macie się ku sobie. To dobry młodzieniec. Bardzo grzeczny – dodał już łagodniej.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Ciekawe, czy ojciec powtórzyłby to, wiedząc, że Jędrzej dwa lata temu odebrał mi dziewictwo i bynajmniej nie zrobił tego z grzeczności.

– Muszę się z nim jednak rozmówić. Chcę znać jego plany wobec ciebie.

Skinęłam głową.

– Oczywiście, zaprosimy go na obiad. Pozwól jednak, że najpierw sama z nim porozmawiam. Muszę mu wyjaśnić, dlaczego nie możemy dłużej trzymać naszych

zaręczyn w tajemnicy. Zapewne będzie zdumiony, że postawiłeś sprawę tak radykalnie. Nie wspomnę jednak o twojej propozycji wyrzucenia mnie z domu.

Ojciec z pewnym niezadowoleniem podkręcił wąsa, ale nie skomentował ostatniej uwagi.

- Twoja matka będzie zaskoczona – odparł.
- Wiem, papo, ale liczę, że się ucieszy.
- Możesz się rozczarować. Wiesz, że od ucieczki Feliksa nie pała optymizmem.
- Wierzę, że jednak zrozumie. Tak jak ty zna Jędrka i powinna być zadowolona.

Kiedy chwilę później wyszłam z gabinetu ojca, nogi się pode mną trzęsły i nie mogąc już dłużej trzymać nerwów na wodzy, zaczęłam oddychać spazmatycznie. Boże, co ja najlepszego zrobiłam! A jeśli Jędrzej się nie zgodzi? Jeśli uzna ten pomysł za niedorzeczny?

Powoli wspięłam się po szerokich, wyłożonych dywanem schodach na piętro. Za godzinę, wyjątkowo o tak wczesnej porze, musiałam udać się na zajęcia z prawa cywilnego i choć lubiłam się uczyć, teraz byłam pewna, że nie uda mi się skupić na profesorskim wykładzie. Poza tym musiałam zanieść do redakcji kolejny artykuł. Dobrze, że napisałam go wczoraj, bo zbliżającego się wieczoru raczej nie miałabym do tego głowy. Nie dość, że wciąż przygniatała mnie myśl o śmierci koleżanki, to jeszcze wyniknęła ta niedorzeczna sprawa z zaręczynami...

ROZDZIAŁ 5

Z Jędrzejem spotkałam się w parku Ujazdowskim, zawiadomiwszy go przez chłopca na posyłki, że muszę się z nim natychmiast zobaczyć – sprawa jest pilna, niecierpiąca zwłoki. I choć nie otrzymałam odpowiedzi zwrotnej, byłam pewna, że Jędrzej mnie nie zawiedzie.

Tak jak się spodziewałam, mój przyjaciel przybył na miejsce spotkania punktualnie, kiedy dzwony kościelne i cerkiewne w całej Warszawie były na wieczorną mszę i boską liturgię.

Opierając się plecami o pień drzewa, obserwowałam zbliżającego się Jędrzeja. Lustrowałam wzrokiem jego szczupłą, prostą sylwetkę, na której świetnie leżał długi modny płaszcz, i zastanawiałam się, jak ów chłopak zareaguje na to, co zamierzałam mu powiedzieć.

– Cóż to za tajemnicza schadzka? – rzekł, obdarzając mnie uśmiechem. – Co było aż tak niecierpiące zwłoki?

Wyznałam mu wszystko bez ogródek: że ojciec zmusił mnie do poślubienia Wierzbickiego i że w żaden sposób nie mogłam go od tego pomysłu odwieść. Jędrzej, słuchając mnie, gwałtownie poczerwieniał na twarzy.

– I zamierzasz go poślubić?

– Oszalałeś? Powiedziałam ojcu, że jestem już zaręczona.

– Z kim? – niemal krzyknął z oburzenia. – Czemu nic nie mówiłaś?

Spojrzałam mu w oczy, nerwowo przygryzając wargę, i bezwiednie ścisnęłam nienaturalnie spocone dłonie w pięści.

– Bo to nieprawda! Wymyśliłam to naprędce, żeby papa dał mi spokój z tym całym Wierzbickim. Powiedziałam mu, że... Zaręczyłam się z tobą.

Jędrzej gwałtownie wciągnął powietrze.

– Mówisz poważnie? – wyszeptał.

– Tak.

Odetchnął głęboko. Przez chwilę przyglądał mi się przenikliwie, jakby chciał się upewnić, że mówię prawdę, aż nagle roześmiał się kpiąco.

– Powiedziałaś to ojcu, żeby zyskać na czasie?

– Trochę tak, ale... Jędrzek! Przecież mnie znasz! – Zrobiłam niewinną minę. – Może powiedziałam to za szybko, zbyt pochopnie, bo bez twojej zgody, ale ciągle powtarzasz, że chcesz się ze mną ożenić. Myślę więc, że w obecnej sytuacji powinniśmy to rozważyć.

Przestał się śmiać i patrzył teraz na mnie pełen zdumienia, wręcz wstrząśnięty tym, co usłyszał. Jego zwykle błękitne oczy nieco pociemniały i kolorem przypominały wieczorne niebo nad nami. Odruchowo zrobił krok w moją stronę, ale z nagłą się zatrzymał, jakby napotkał jakąś niewidzialną przeszkodę.

– Ty... Ty naprawdę mówisz poważnie?

– Tak...

Jego twarz mieniła się od emocji: widziałam na niej i niedowierzanie, i przebliski rozczarowania. Wyraźnie się miotał; wyglądał, jakby chciał na mnie nakrzyczeć, ale się powstrzymywał. To mnie zdumiało, bo byliśmy w bliskich stosunkach i przyjacielskie potyczki słowne między nami pojawiały się dość często. Wolałabym, żeby zaczął na mnie krzyczeć; wtedy przynajmniej wiedziałabym, jak mu odpowiedzieć.

– Jędrzek, wybacz, że tak to wyszło – zaczęłam powoli, nie bardzo wiedząc, czego mogę się spodziewać.

Tak naprawdę sama nie wiedziałam, dokąd ta rozmowa ma nas doprowadzić. Miotalam się pomiędzy tym, co należy uczynić, a tym, co grało w mojej duszy. A w środku wszystko we mnie krzyczało, że nie chcę żadnych zaręczyn ani tym bardziej małżeństwa. Wciąż nie byłam na nie gotowa.

– Znów próbujesz ze mnie zakpić. Wykorzystać mnie – powiedział dobitnie Jędrzej, nie siląc się na uprzejmy ani przyjazny ton. – Wiesz, co do ciebie czuję, i drwisz ze mnie w żywe oczy.

– Nie! To nie tak!

– A jak? Powiedziałaś ojcu, że jesteśmy zaręczeni, choć to kłamstwo! I co ja mam z tym zrobić? Myślisz, że dam sobą manipulować? Zwłaszcza gdy na samą myśl o tym, że ty i ja... Że my...

Zawsze byłam spontaniczna. Byłam też dość odważna i nie przejmowałam się konwenansami. Nie martwiłam się nawet tym, że w parku wciąż kręciło się sporo przechodniów, a nawet krążył carski patrol. Ja i Jędrzej staliśmy w cieniu, ukryci pod ciężkimi gałęziami buku. Zbliżyłam się do mojego przyjaciela i cmoknęłam go w usta. Delikatnie, ale na tyle długo, żeby dobrze poczuł dotyk moich warg. Kiedy próbowałam się odsunąć, on gwałtownie przyciągnął mnie do siebie i znów pocałował, ale już inaczej – mocno, zaborczo, jak kochanek szukający spełnienia. Pomimo jesiennego chłodu poczułam bijące od niego ciepło i instynktownie oddałam mu pocałunek, a wówczas, ku własnemu zdumieniu, odkryłam, że nasza bliskość nie jest w tej chwili ani odrobinę przyjacielska. To, co poczułam, zupełnie odbiegało od moich dotychczasowych wyobrażeń o Jędrzeju. Przez ostatnie dwa

lata zupełnie zapomniałam, jak całuje, albo też bardzo wprawił się w Petersburgu, bo nie dość, że zaczęło brakować mi tchu, to w dodatku moje ciało samowolnie i chętnie poddało się jego bliskości. Chciałam czuć na ustach jego wargi. Chciałam, żeby mnie obejmował.

– Jesteś prawdziwą czarownicą, Klaro – wyszeptał, odrywając ode mnie usta. – Wodzisz na manowce i burzysz spokój. Niech Bóg ma w opiece tego, który cię kiedyś zdobędzie...

– Mówisz o sobie? – zapytałam zalotnie, próbując złapać oddech.

Wokół nas coraz bardziej gęstniał mrok i robiło się przejmująco zimno. Gdzieś w gąszczu poruszył się z szelestem jakiś zwierz.

Jędrzej zaśmiał się gorzko i odsunął ode mnie.

– Ty o tych zaręczynach tak poważnie?

– No tak! Jędrzek, przecież nie mogę wyjść za mąż za jakiegoś starego dziada!

– Wierzbicki wcale nie jest stary.

– Dla mnie jest.

Znów spojrzał mi głęboko w oczy i to spojrzenie niemal mnie spaliło na popiół. Było inne niż zawsze, pełne żaru i czegoś, co widziałam po raz pierwszy. Rozczarowania? Niespełnienia?

– Klaro, wiesz, że kocham cię od lat. Od kiedy pamiętam. Od chwili, gdy uświadomiłem sobie, że z niesfornej dziewczynki zmieniasz się w jeszcze bardziej niesforną kobietę. – Zaśmiał się z goryczą. – Był czas, kiedy zasypiałem i budziłem się z twoim obliczem przed oczami wyobraźni....

– Więc w czym problem?

– W tym, że ty mnie nie kochasz!

– Ależ kocham! – wykrzyknęłam gorliwie, szczerze wierząc, że to, o czym go właśnie zapewniłam, jest najczystsza prawda.

– Nie jak mężczyznę, tylko jak przyjaciela.

Lekko przechyliłam głowę i zmrużyłam oczy.

– To nie to samo?

Westchnął i gwałtownie zaprzeczył.

– Uwierz mi, że nie. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, czym jest małżeństwo?

– Nie rób ze mnie głupiej – prychnęłam. – Wiem doskonale i dlatego nie chcę Wierzbickiego! Nie mogę spędzić życia z kimś takim. W dodatku miałabym urodzić mu dzieci!

– A mnie mogłabyś urodzić dziecko?

Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu, a on chyba czekał, aż zrobię coś, co go przekona, że naprawdę go kocham. Nic takiego jednak nie uczyniłam, bo nic nie przyszło mi do głowy.

– Mogłabym – odparłam rzeczowo. – Tobie tak, bo jesteś porządnym człowiekiem.

Jędrzej skrzywił się, jakbym go obraziła.

– Na litość boską! Jaka ty jesteś brutalnie szczerą! W sumie nigdy nie dawałaś mi żadnych złudzeń. Jestem dla ciebie wyłącznie porządnym człowiekiem. – Miałam wrażenie, że przygarbił się pod naporem tych słów. – Kiedy kochaliśmy się wtedy nad jeziorem, łudziłem się, że właśnie spełnia się moje największe marzenie. Że w końcu cię zdobyłem! Ale ty szybko sprowadziłaś mnie na ziemię. I w naszym małżeństwie byłoby dokładnie tak samo, bo jestem dla ciebie wyłącznie porządnym człowiekiem!

– I co w tym złego? – Nie rozumiałam jego pretensji.

– To, że ja nie chcę być jedynie przyjacielem swojej żony. Chyba mam prawo oczekiwać czegoś więcej! Sama głosisz wszem wobec, że ludzie podejmujący decyzję o małżeństwie powinni się kochać. Niby jesteś taka nowoczesna w poglądach, a proponujesz mi związek z rozsądku! – Gwałtownie potrząsnął głową. – Nic z tego, Klaro. Ja się na to nie godzę.

– Więc nie mogę na ciebie liczyć? – zapytałam z goryczą. – Nie zgadzasz się na zaręczyny?

Odwrócił się ode mnie, jakby mój widok stał się dla niego nieznośny. Widziałam, że głęboko oddychał, że był poruszony, bo nabierając powietrza, unosił ramiona.

– O niczym innym nie marzę – odparł w końcu szczerze, zwracając ku mnie zboląłą twarz. – Pragnę się z tobą ożenić, Klaro, ale nie na niby. Chcę prawdziwego małżeństwa.

– Więc zrobmy to. Nie znam innego mężczyzny, który by mi odpowiadał bardziej niż ty. Znasz moje zdanie na temat małżeństwa, ale skoro zostałam do tego zmuszona...

Doszedł do mnie i gwałtownie złapał za ramiona. Przenosił spojrzenie to na moje oczy, to na usta, a ja pomyślałam, że mógłby pocałować mnie jeszcze raz.

– Czy ty siebie słyszysz?! Nie ożenię się z kobietą, która co chwilę powtarza, że wcale tego nie chce!

– Więc co mam zrobić?

Odsunął mnie od siebie.

– Nie wiem, wymyśl coś innego. Dam ci trochę czasu, nie musisz od razu przyznawać się ojcu do kłamstwa, ale nie licz na to, że wezmę udział w tej maskaradzie.

Westchnęłam głęboko rozczarowana. Tak naprawdę nie miałam Jędrzejowi za złe, że odmówił. Powinnam była to przewidzieć, a tymczasem głupio wymyśliłam sobie, że mogę go wykorzystać do własnych niecnych celów.

– Dobrze więc – powiedziałam, nie kryjąc irytacji. – W takim razie chyba zostaje mi tylko wyprowadzka z domu.

Popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Jesteś niemożliwa! – prychnął.

Wzruszyłam ramionami.

– Znasz mnie, wiesz, jaka jestem. Prędeż szczenę gdzieś w przytułku dla bezdomnych, niż dam się wbić w małżeński kaganiec...

– Przestań dramatyzować! Zresztą... Twój dziwny plan, nawet gdybym się na niego zgodził, i tak byłby w tej chwili trudny do zrealizowania, bo... – Jędrzej gwałtownie wciągnął powietrze. – Dostałem rozkaz mobilizacyjny.

– Co takiego? – Rozszerzyłam oczy ze zdumienia.

– Car wzywa mnie na służbę wojskową. Chce, żebym jak inni został rekrutem w wojnie z Japonią.

– Przecież to barbarzyństwo! – oburzyłam się. – Jesteś Polakiem, więc to chyba logiczne, że nie będziesz walczył za cara! Zresztą ty nawet nie jesteś żołnierzem!

– Myślisz, że kogoś to obchodzi? Że car przejmuje się moim pochodzeniem i pogardą wobec jego władzy i imperium? Dla takich jak on ja i inni mi podobni jesteśmy tylko mięsem armatnim. Ktoś musi dla niego tę wojnę wygrać, a że grunt pali mu się pod nogami, to rekrutuje wszystkich. Na siłę.

Patrzyłam strwożona na przyjaciela. Nagle zapomniałam o swoim kłopotcie. Wszystko w jednej chwili straciło znaczenie; wszystko prócz tej zatrważającej wiadomości, że Jędrzej ma iść na wojnę. Owszem, co i rusz chodziły słuchy o tym czy innym Polaku, który został musiem wcielony do carskiej armii, ale dotąd byli to głównie robotnicy. Nie myślałam, że ta jawna niesprawiedliwość dotknie również mojego przyjaciela!

– Jędrzek, ale przecież ty nie możesz!

Parsknął kpiąco.

– Nie mogę i nie chcę. Bo co mnie obchodzi ta wojna? Nie zamierzam marznąć ani umierać w jakimś zapomnianym zakątku Mandżurii.

– Więc co zrobisz?

Rozejrzał się w mroku, jakby z obawą, że ktoś podsłuchuje naszą rozmowę.

– Nie poddam się bez walki. Będę się sprzeciwiał – rzekł ścisłym głosem.

– Ale jak?

– Przecież wiesz...

Przez chwilę wpatrywałam się w niego osłupiała, aż wreszcie skinęłam głową. Wiedziałam. Doskonale wiedziałam. Przecież sama właśnie po to wybierałam się na spotkanie z Walerym Sławkiem, bojowcem Polskiej Partii Socjalistycznej. Byliśmy młodzieżą postępową. Nie godziliśmy się na stagnację ani carski ucisk. Tworzyliśmy kolejne pokolenie po powstaniu styczniowym, które miało w sobie ducha walki i rewolucji. Chcieliśmy niepodległości.

– A gdybyśmy jednak pomyśleli o tym ślubie? – zagadnęłam powoli. – Może wówczas nie zaciągnęliby cię do wojska. Mogłabym skłamać, że jestem w ciąży.

– Klaro... – W głosie Jędrzeja słyhać było wyraźną udrękę. – To niemożliwe! Nie ożenię się z tobą. Nie na takich zasadach.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem, choć tak naprawdę nie rozumiałam. Czułam się zawiedziona jego postawą. Tymi głupimi miłośkami, które sobie wbił do głowy, jakby to one były najważniejsze. A przecież oferowałam mu siebie na dobre i na złe jako jego żona; wybrałam go spośród innych jako tego jedyne, więc trudno mi było zrozumieć ten jego romantyczny opór. Powinien pojąć, że dla mnie – zapalanej feministki – małżeństwo oznaczało poświęcenie i wyzwanie. A jednak byłam gotowa je podjąć, bo ufałam mu i wiedziałam, jakim jest człowiekiem. Małżeństwo z nim potraktowałabym jak mniejsze zło.

– Pójdę już – odparłam z nutą rozczarowania w głosie. – Zbliża się wieczór i muszę przygotować się do kolacji. Wczoraj swoim spóźnieniem zdenerwowałam rodziców i nie chcę powtórzyć tego dzisiaj. Mam dość wysłuchiwania, jaka jestem nieodpowiedzialna.

– I co zrobisz? Z tym Wierzbickim? – dopytał jeszcze, kiedy z wymalowanym na twarzy rozczarowaniem zbierałam się do odejścia.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. W ostateczności wyjdę za niego.

Nie bez satysfakcji zauważyłam, że Jędrzej gniewnie zacisnął szczęki.

– Po moim trupie! – wykrzyknął, kiedy zaczęłam się oddalać w stronę parkowej bramy.

– Pamiętaj, że miałeś swoją szansę! – odkrzyknęłam mu, po czym ruszyłam, nie oglądając się za siebie.

W drodze do domu czułam przygniatające przygnębienie.

Później pomyślałam, że zapomniałam spytać Jędrzeja, czy też przyjdzie na spotkanie z Walerym Sławkiem.

ROZDZIAŁ 6

Nie spałam całą noc, rozmyślając o tym, co mnie czeka. Smutek po śmierci przyjaciółki mieszał się we mnie z irytacją spowodowaną decyzją ojca oraz uporem Jędrzeja, który odwrócił się ode mnie w chwili, kiedy najbardziej go potrzebowałam. Obaj zawiedli mnie na całej linii – jeden jako rodzic, drugi jako najlepszy przyjaciel.

Próbowałam ułożyć jakiś sensowny plan, coś postanowić, ale kompletnie nie wiedziałam co. Czułam się bezradna i bardzo mnie to dręczyło, bo nigdy, przenigdy nie byłam bezradna, tylko działałam. Skoro ojciec zamierzał zmusić mnie do małżeństwa, a pomysł ślubu z Jędrzejem nie mógł dojść do skutku, pozostało mi tylko jedno – odejść z rodzinnego domu. Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli tego nie zrobię, ojciec gotów jest spełnić swoje groźby i sam mnie wyrzuci, a to byłoby dla mnie wielkie upokorzenie. Ostatecznie postanowiłam, że odejdę, ale na własnych warunkach. Przecież nie bez powodu zaczytywałam się w rozprawach feministycznych na temat sensowności pracy zarobkowej kobiet, żeby teraz uciekać przed tym wyzwaniem. Skoro muszę opuścić dom rodzinny, to będę zarabkować, żeby się utrzymać i kontynuować naukę. Za artykuły do „Bluszczu” dostawałam wprawdzie wynagrodzenie, ale zbyt małe, żeby starczyło na codzienne potrzeby, zdecydowałam więc, że natychmiast zacznę się rozglądać za dodatkowym zajęciem. Doprawdy nie rozumiałam, o co tyle hałasu z wciskaniem kobietom do głów, że muszą wyjść za mąż, bo inaczej umrą z głodu. Zamierzałam udowodnić, jak bardzo mylne jest to myślenie. Będę kobietą pracującą, niezależną i żyjącą wyłącznie na własnych zasadach.

Pokrzepiona tym postanowieniem, w końcu zdołałam zasnąć.

Rano, zaraz po przebudzeniu, kamerdyner dostarczył mi na srebrnej tacy krótką wiadomość, że redaktor naczelny z „Bluszczu” chce się ze mną natychmiast widzieć. Domyśliłam się, że zapewne chodzi o artykuł, który dzień wcześniej zniosłam do redakcji.

Przed południem siedziałam już wyprostowana niczym struna w prywatnym gabinecie redaktora Mariana Gawalewicza i z wyczuwalną rezerwą spoglądałam na swojego rozmówcę. Dłonie grzecznie splotłam i oparłam na kolanach, choć nie

lubiłam tej pokornej pozy świadczącej o podrzędności. Jednak karcący wzrok redaktora naczelnego dawał mi wyraźny sygnał, że wszelka inna maniera z mojej strony zostałaby odebrana jako jawne lekceważenie. Gawalewicz, pisarz i publicysta parający się również dziennikarstwem, uważany był za dobrego redaktora. Doceniał pracę swoich podwładnych, dawał nam sporą swobodę w działaniu, ale wymagał posłuchu.

Teraz patrzył na mnie przenikliwie zza malutkich okrągłych binokli, a jego podkreścone wąsy poruszały się, gdy zaciskał usta. Po surowej minie poznałam, że był czymś mocno zmartwiony. W palcach ścisnął wieczne pióro, raz po raz postukując nim bezwiednie o dębowy blat biurka.

– Panno Klaro, chyba pani rozumie, że w żadnym wypadku nie możemy tego opublikować.

– Dlaczego? – spytałam szczerze zdziwiona.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc. Jak dotąd nie miał do mnie żadnych zastrzeżeń, raczej wieszował mi giętkiego języka i sprawnej narracji w artykułach. Nie dalej jak miesiąc temu pochwalił mnie, nazywając jedną z najlepszych i światłych dziennikarek oraz stawiając na równi z własną córką, Gustawą Gawalewicz, która do „Bluszczu” pisała pod pseudonimem „Toporczanka”. Ja również podpisywałam się pseudonimem – „Narcyza” – bo gdybym używała prawdziwego imienia i nazwiska, ojciec i matka gotowi równocześnie dostać zawału serca na samą tylko myśl, że ktoś z grona czcigodnych znajomych odkryje dziennikarskie zapędy ich niepokornej córki.

– Chyba pani rozumie, że w świetle ostatnich tragicznych wydarzeń i pani incydentalnego udziału w jednym z nich ten artykuł jest mocno niewygodny. Pozwolę sobie przemilczać fakt, że zachowała się pani karygodnie, bo taka krytyka należy do pani ojca, a on już zapewne się tym zajął.

„Owszem” – pomyślałam z przekąsem.

– Panie redaktorze – powiedziałam na głos – tego, że głośno wyraziłam swoje zdanie, nie trzeba jeszcze nazywać karygodnym incydentem – broniłam się, mocno dotknięta niesprawiedliwym osądem.

– Wyraziła się pani dość dosadnie, panno Klaro. Na pogrzebie biednej hrabianki Domańskiej, w otoczeniu zrozpaczonych żałobników, oskarżyła pani hrabiostwo Domańskich o przyczynienie się do śmierci córki.

Nerwowo przełknęłam ślinę, czując, że policzki zaczynają mnie palić żywym ogniem. Więc już nawet do mojego pracodawcy dotarły wieści. Zapewne człowiek, który rozniósł plotkę, nawet nie pokusił się o dodanie, że miałam absolutną rację.

– Powiedziałam tylko, że gdyby hrabiostwo nie odebrali Marii dziecka zaraz po porodzie, ona nadal by żyła... – Głos nagle uwiązał mi w gardle, bo na samą myśl o śmierci przyjaciółki wciąż ścisnęło mnie z bólu.

Tymczasem redaktor wpatrywał się we mnie z wyraźną naganą, a pionowa zmarszczka na jego czole między brwiami jeszcze się pogłębiła.

– Wróćmy do artykułu – rzekł z naciskiem. – Jego treść mocno odbiega od tego, co powinniśmy głosić w naszym czasopiśmie.

– Ale w jakim aspekcie odbiega, panie redaktorze? – Szybko odzyskałam rezon. – Przecież „Bluszcz” to gazeta dla kobiet i piszemy w niej o kobiecych sprawach. Mój artykuł właśnie o tym mówi.

Gawalewicz odchrząknął i skrzywił się z niesmakiem.

– Pani pisze w artykule o tym, że młoda kobieta ma prawo sprzeciwiać się woli rodziców w sprawie nieślubnej ciąży i nikt nie powinien w jej decyzję ingerować. Pisze pani również o tym, że panny same powinny wybierać, za kogo chcą wyjść za mąż, a nawet, o zgrozo!, jeśli nie chcą tego robić, powinny mieć prawo do życia w pojedynkę.

– Dokładnie tak napisałam – przyznałam, unosząc dumnie podbródek.

– Otóż właśnie! Usiłuję pani wyjaśnić, że to bardzo szkodliwy artykuł, który może uczynić wiele złego. Jeśli puścimy go w obieg, nie tylko zgorszy zamężne kobiety, ale i namiesza w głowach młodym pannom na wydaniu. To niedopuszczalne!

– Co też pan mówi! Chyba zgodzi się pan za mną, że wybieranie młodym ludziom małżonków przez rodziców to relikwyt przeszłości! Kobiety chcą same decydować o sobie i o swoich wyborach! Mają prawo do decyzji i szczęścia w takim ujęciu, w jakim same je rozumieją! Przecież jest pan bardzo otwartym człowiekiem, redaktorze...

– Tak! – przerwał mi gwałtownie. – Jestem otwarty i myślę postępowo, lecz nawet jeśli prywatnie zgadzam się z panią w tej delikatnej materii, to uważam, że publikować tego nie możemy! To stanowczo za szybko! Społeczeństwo nie jest gotowe na taką rewolucję obyczajową, nawet jeśli nasza gazeta jest wyjątkowo... nowoczesna.

– Ależ to żadna rewolucja! To tylko prosta droga pokazująca kobietom, że jeśli zaczną samodzielnie podejmować decyzje, to mogą być szczęśliwe!

Gawalewicz westchnął ciężko.

– Panno Klaro, w obliczu nieszczęścia, jakie ostatnio spotkało rodzinę hrabiego Domańskiego, myślę, że publikacja tak radykalnych poglądów mogłaby ich osobiście dotknąć, a na to nie możemy pozwolić. Tragiczna śmierć córki i tak już doprowadziła tę rodzinę do rozpacz, więc nie dolewajmy oliwy do ognia! Musimy poczekać, aż sprawa przycichnie.

– Ale przecież ich córka nie żyje właśnie z tego powodu, że to oni chcieli decydować o jej życiu. Podeszli do sprawy bardzo stanowczo, nie pytając jej o zdanie, i...

– Niechże pani przestanie, panno Klaro! – Mężczyzna wyraźnie się wzburzył, a na jego policzkach pojawiły się wypieki. – To haniebne, że wspomina pani o tym w tej chwili! Jedyne, co mam do powiedzenia w tej sprawie, to tyle, że rodzice stracili ukochaną córkę i tragedii tej zwyczajnie nie wypada wykorzystywać do głoszenia wywrotowych poglądów!

– Nie wypada... – powtórzyłam oburzonym tonem. – Wyjątkowo często my, kobiety, słyszymy to od wszystkich wokół! Nie wypada! Ale ja znałam Marię Domańską, znałam ją bardzo dobrze i wiem, że nigdy nie postąpiłaby wbrew swoim przekonaniom. Była odważnie myślącą dziewczyną...

– Która skończyła w trumnie! – wycedził redaktor Gawalewicz.

Zmarszczyłam brwi. W mgnieniu oka ogarnęło mnie coś na kształt wściekłej rozpacz. Uparcie starałam się to w sobie stłumić, by nie poddawać się gwałtownym emocjom, ale te co chwila wracały do mnie, tak jak wracało wspomnienie nieżyjącej przyjaciółki.

– Bardzo pana proszę. Panny mają prawo wiedzieć, że mogą decydować – upierałam się. – A my jako niezależnie myślący dziennikarze mamy obowiązek im o tym mówić.

– Nie!

– Panie redaktorze – rzekłam powoli. – Pańska córka też jest tego samego zdania co ja. Rozmawiałam z nią i wiem, że ona również uważa, iż śmierć Marii była niepotrzebna i gdyby tylko pozwolono jej zachować dziecko... To, co jej zrobiono, pozbawiając ją prawa do macierzyństwa, do wychowywania własnego potomstwa, było okrutne, sam pan przyzna. Odebrano matce noworodka bez pytania jej o zdanie!

– Panno Klaro, proszę mnie nie zmuszać do usunięcia pani z redakcji!

Wstrząśnięta tym, co usłyszałam, gwałtownie poderwałam się z krzesła.

— Dobrze więc. Skoro tak, sama odchodzę! – wypaliłam buńczucznie, nim zdążyłam to przemyśleć.

Gawalewicz również szybko wstał zza biurka, a złoty zegarek z dewizką wyslizgnął się z kieszonki jego eleganckiej kamizelki i upadł na blat. Mężczyzna odruchowo sprawdził, czy wypukłe szkiełko drogiego cacka nie pękło, po czym spojrzał groźnie znad binokli.

– Posuwa się pani za daleko! – wyrzucił z siebie.

– Zna mnie pan i wie, jaka jestem. A w obecnej sytuacji nie pozostawia mi pan wyboru.

– Będzie pani tego gorzko żałować! W Warszawie nie ma drugiego tak popularnego czasopisma dla kobiet.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale skoro zabrania mi pan publikować to, co jest istotne dla kobiet, to rzeczywiście nasza dalsza współpraca nie ma sensu.

Czułam, że wszystko we mnie dygocze. Drżącymi rękami wygładziłam plisy długiej aksamitnej spódnicy i poprawiłam poły płaszcza, jakbym w ten sposób próbowała zyskać na czasie potrzebnym do opanowania emocji. Wreszcie z godnością wyciągnęłam dłoń w rękawiczkę w stronę redaktora Gawalewicza.

– Było mi niezwykle miło z panem współpracować, redaktorze. To był dla mnie bardzo owocny czas.

Mężczyzna sapnął z irytacją.

– Niechże się pani nie wygłupia!

– Ani myślę to robić, choć ciągle ktoś mnie o to posądza. Jakby podejmowanie samodzielnych decyzji przez kobietę było głupim, dziecięcym żartem.

– A jak inaczej można odebrać pani zachowanie? Pani nie wie, co robi! To dziecinada!

Przez krótką chwilę się zawahałam. Może rzeczywiście nie wiedziałam, co robię? Może kiedy wyjdę za próg redakcji, dla której pisałam od ponad roku, od razu tego pożałuję? Przecież uwielbiałam swoją pracę. Pisząc artykuły, czułam, że robię coś naprawdę ważnego. Moje słowo docierało do sporej rzeszy czytelniczek i czytelników, a teraz miałam to porzucić w imię ideałów? Ale z drugiej strony – czy nie o taką emancypację mi chodziło? Czy nie zależało mi właśnie na tej świadomej niezależności, kiedy to bierze się odpowiedzialność za swoje poglądy i czyny? Przecież na ten temat toczyłam niekończące się rozmowy z Marią Domańską i innymi postępowymi kobietami. Jeśli teraz się poddam, jeśli zrezygnuję z napisanego od serca artykułu, żeby zadowolić skostniałą konserwatywną publiczność i jednego redaktora naczelnego, czy jeszcze spojrzę na siebie w lustrze? To by było tak, jakbym zapałała się samej siebie.

– Żegnam, panie redaktorze – odpowiedziałam pewnym głosem.

Widziałam, że twarz mężczyzny poczerwieniała jeszcze bardziej. Gawalewicz patrzył na mnie pełen zdumienia, jakby wciąż nie dowierzał w moje intencje, aż wreszcie z rezygnacją wyciągnął dłoń.

– Żegnam zatem, panno Klaro. To wielka strata dla naszej redakcji. Żałuję, że nie umie pani spojrzeć na sytuację trzeźwo.

– A ja żałuję, że nie dostrzega pan we mnie kobiety, o której piszę w swoich artykułach.

– Obawiam się, że już nie będzie pani więcej pisać, bo ani „Dobra Gospodyni”, ani żadne inne kobiece pismo pani nie przyjmie z jej kontrowersyjnymi poglądami!

Nie odpowiedziałam. Skinęłam jedynie głową na pożegnanie i wyszłam z gabinetu.

Siedząca dumnie za biurkiem sekretarka obdarzyła mnie zdawkowym spojrzeniem. Pomyślałam, że satysfakcja tej kobiety z pewnością sięgnęła w tej chwili zenitu, bo nigdy mnie nie lubiła i zawsze miała dla mnie jakąś kąśliwą uwagę.

Nie zawiodłam się.

– Czyżby redaktor w końcu się na pani poznał? – mruknęła zwyczajowo złośliwym tonem, udając zmartwioną.

Wzruszyłam ramionami.

– Obawiam się, że więcej się tu nie spotkamy – odparłam chłodno. – Więc może być pani zadowolona, panno Rózo.

Opuściłam budynek redakcji, nie oglądając się na nikogo, choć było mi żal niektórych poznanych tu ludzi. Lubiłam ich, zżyłam się z nimi i wiele się od nich nauczyłam. Nie chciałam jednak pozwalać sobie na tkliwe pożegnania – bałam się wybuchu rozgoryczenia, który w konsekwencji znów popchnąłby mnie do jakiegoś głupstwa.

Warszawska ulica mnie otrzeźwiła, a uliczny gwar natychmiast dodał energii. Ruszyłam przed siebie żywym krokiem, powtarzając w duchu, że nic się przecież nie stało. Dam sobie radę, poszukam innego miejsca, gdzie będę mogła z powodzeniem głosić swoje skądinąd światłe poglądy. Przecież tak postępowały wszystkie kobiety, którym zależało na uświadamianiu społeczeństwa. A ja się za jedną z nich uważałam.

Coś mnie jednak ścisnęło w dołku, aż w którymś momencie ogarnął mnie żal i musiałam zwolnić kroku. Westchnęłam ciężko – ładnie się zaczął mój ambitny plan stania się niezależną. Miałam poszukać sobie dodatkowej pracy, a tu nagle okazało się, że straciłam tę jedyną, jaką miałam. Śmiały pomysł opuszczenia rodzinnego gniazda zdawał się oddalać, a nie przybliżać.

Minął mnie konny patrol kozaków, a jeden z carskich żołnierzy, wyglądający na dowódcę, obejrzał się za mną i skinął uprzejmie głową w pozdrowieniu. Nie odpowiedziałam. I nie dlatego, że owym mężczyzną okazał się znany mi kapitan Kirsanov, z którym już raz miałam do czynienia, ale zwyczajnie nie czułam się w nastroju do zachowania konwenansów.

– Klarcia!

Obok mnie wolno przejechała dorożka, a z niej wychylała się modnie ubrana dziewczyna z głową przyozdobioną eleganckim, kształtnym kapelusikiem. Natychmiast rozpoznałam w tej osobce Mariannę Wąsowicz.

– Chodź, podwiozę cię! – krzyknęła Marianna i nakazała dorożkarzowi zatrzymać konia.

Choć niechętnie, przystałam na jej propozycję. W każdy inny dzień towarzystwo przyjaciółki bardzo by mnie rozweseliło, ale dziś, kiedy miałam w sobie tyle żalu i smutku, nie czułam potrzeby ani ochoty paplania z nią.

Mimo to po chwili sadowiłam się już w dorożce.

– Widzę, że masz kiepski nastrój – Marianka czytała ze mnie jak z otwartej książki – rozumiem cię doskonale. Ja też nie mogę dojść do siebie – wyznała, ściskając w dłoniach obleczonych w rękawiczki czarną książeczkę do nabożeństwa.

– Skąd wracasz? – Bacznie przyjrzałam się modlitewnikowi.
– Byłam w kościele. Chciałam... No wiesz... Pomodlić się.
– Za Marię?
– Tak... Bardzo to przeżywam.
– I myślisz, że modlitwa cokolwiek pomoże? – spytałam z goryczą, bo ja nie znajdowałam w tym przejawie religijności żadnego pocieszenia.

– Nie wiem. – Marianna wzruszyła ramionami. – Pomyślałam, że choć tyle mogę zrobić. Od pogrzebu nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Wciąż sobie wyobrażam, że to mogło spotkać mnie... Albo ciebie.

– Mówisz o samobójstwie?

Przyjaciółka spojrzała na mnie, a w jej dużych szarych oczach zabłyśły łzy.

– Nie. Mówię o tym, że Marysi odebrano dziecko. To musiało być straszne! Gdyby mi zrobiono coś takiego... Pewnie też chciałabym się zabić.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Wiem to! Kocham dzieci mojej siostry, jakby były moje, i zrobiłabym dla nich wszystko. A gdybym miała własne dzieciątko i nagle ktoś by mi je odebrał... – Usta Marianny wygięły się w grymasie żalu.

Zacisnęłam wargi.

– Jeśli nic się nie zmieni, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nas spotka to samo – rzuciłam z gniewem.

Marianna spojrzała na mnie przestraszona.

– Dlaczego tak uważasz? Chyba nie planujesz... No wiesz... Robić tego przed ślubem. Bo przecież w małżeństwie nikt ci dziecka nie zabierze. Moi rodzice są wstrząśnięci śmiercią Marii, ale też przyznają, że Domańscy postąpili słusznie. Nieślubne dziecko, w dodatku bez wiadomego ojca, to według nich hańba.

– A ty też tak uważasz?

Marianna zarumieniła się i cicho westchnęła.

– Wiesz, że nie. Nie uważam, aby wychowywanie dziecka bez ojca było powodem do wstydu. Chociaż niestety wpływa na reputację kobiety.

– Szkoda, że nie mężczyzny – wykrztusiłam i nagle zrobiło mi się jeszcze smutniej.

Obie milczałyśmy.

– Domyślasz się, kto mógł być kochankiem Marii? – spytałam Mariannę po dłuższej chwili. – Może coś zauważyłaś? Z kimś się spotykała? Lubiła jakoś szczególnie któregoś chłopca?

– Niestety nie. Tak jak i ty, nie mam pojęcia kto to.

Z głuchym westchnieniem opadłam na oparcie.

Dalej jechałyśmy w ciszy, każda pogrążona we własnych smutnych myślach, ale wzajemna obecność dodawała nam otuchy. Dopiero kiedy dotarłyśmy pod moją

kamienicę, zapytałam Mariannę, czy wybiera się na spotkanie z Walerym Sławikiem.

– Myślisz, że możemy tam pójść? – W jej głosie usłyszałam wahanie.

– A czemu nie? Kto ma nas powstrzymać?

– No nie wiem, to jednak tajne spotkanie socjalistów. Ale jeśli ty idziesz, to ja też.

ROZDZIAŁ 7

W niewielkim lokalu ukrytym na tyłach starej, obskurnej kamienicy na Pradze panował półmrok, który rozjaśniało jedynie drżące światełko lampy naftowej i płomyki mocno już nadpalonych świec. Tłumnie zebrani – głównie robotnicy i studenci – porozsiadali się na ławach za chybottliwymi stolikami gdzie kto mógł, i wpatrywali wyczekująco w Walerego Sławka – w ich mniemaniu sławnego bojowca Polskiej Partii Socjalistycznej, stworzonej w ramach kontynuacji pierwszego socjalistycznego ugrupowania na emigracji – Proletariatu. Urodzony na Podolu Sławek był dla wszystkich zebranych bohaterem nie tylko dlatego, że stał na czele warszawskiej delegatury PPS i przyjaźnił się z należącym do kierownictwa partii Józefem Piłsudskim, ale głównie dzięki temu, że rok wcześniej w brawurowy sposób uciekł z więzienia w Sieradzu, gdzie zamknięto go za dywersyjną działalność przeciwko rosyjskiej władzy. W tej aurze powszechnego podziwu i oczekiwania młody, szczupły mężczyzna, górujący nad zebranymi na prowizorycznym podwyższeniu z drewnianych skrzyń, wydawał się postacią mistyczną, niemal nierealną, niczym duch z *Dziadów* Adama Mickiewicza. Jego głębokie spojrzenie płonęło wewnętrznym żarem, który doskonale rozumiałam. Ja też wciąż czułam jakiś nerwowy niepokój, który nie pozwalał mi się godzić z zasadami otaczającej mnie rzeczywistości. Ktoś taki jak Walery Sławek był potrzebny, żeby pociągnąć zniechęconych i zmęczonych uciskiem ludzi do buntu. Potrzebna była też iskra, którą młody bojowiec i jemu podobni potrafili wskrzesić, żeby dać wiarę w odmianę losu ciemżonym pod zaborem Polakom.

– Czy on nie jest piękny? – wyszeptwała rozanielona Marianna, wpatrując się w Sławka maślanymi oczami.

Jej policzki były zarumienione od emocji.

Zmarszczyłam nos. „Jaka ta Marianna jest niemądra” – pomyślałam z przekąsem. Przecież nie przyszłyśmy tu robić słodkich minek do młodego pepesowca, tylko żeby na własne uszy się przekonać, co ma do powiedzenia. Już sam fakt, że wpuszczono nas na tajne zebranie socjalistów, był nie lada wyczynem. Musiałam się nieźle nachodzić do znajomych kolegów, a następnie naprosić i w konsekwencji nawet na nich nakrzyczeć, żeby tajni związkowcy pozwolili mnie

i Mariannie uczestniczyć w spotkaniu. Niby większość wiedziała, że wierzyliśmy w postęp i wyzwolenie, ale mimo to zawsze znalazł się ktoś nieufny, kto miał wątpliwości i komu trzeba było tłumaczyć, że kobiety też nadają się do politycznej agitacji. Oczywiście było tu sporo innych takich jak my, głównie żon i siostr młodych rewolucyjnych zapaleńców, ale one – podobnie jak i my – również musiały się natrudzić, aby udowodnić swoją przydatność, choćby poprzez wyrażenie pełnej gotowości do przemykania rewolucyjnej „bibuły”[3]. Robiły to chętnie i z zapałem, bez strachu ani przed rewizją osobistą, ani niewygodnymi pytaniami ze strony carskich żandarmów.

Jędrzej też przyszedł. Siedział na surowej ławie, w mroku pod ścianą, i miał zupełnie obojętny wyraz twarzy, z którego nie umiałam nic wyczytać. Spoglądałam na niego ukradkiem, ale on zdawał się zupełnie nie interesować moją osobą. Domyśliłam się więc, że po naszym ostatnim spotkaniu w parku Ujazdowskim coś się między nami zmieniło. Przede wszystkim wytworzył się dystans, którego absolutnie nie chciałam. Wiedziałam, że muszę zrobić coś, żeby naprawić nasze stosunki, ale postanowiłam zająć się tym później. Chwilowo miałam pilniejsze sprawy na głowie – jak chociażby szukanie pracy.

– Drodzy towarzysze! – zaczął Walery Sławek. – Zapewne wszyscy wiemy, po co tu jesteśmy, i nikomu nie trzeba tego tłumaczyć. Każdy z nas ma dość bezwzględного ucisku i niesprawiedliwości, jakich doświadczamy ze strony carskiej Rosji. Wszyscy pragniemy być wolni! – Zrobił krótką pauzę i przebiegł wzrokiem po zebranych. – PPS powstała właśnie po to, żeby tworzyć podwaliny pod wolność Polski i Polaków. Jednak nie odzyskamy wolności samym tylko gadaniem. Musimy działać, tak jak nasi dziadowie i pradziadowie działali w powstaniu listopadowym, a później w powstaniu styczniowym. Naszym celem powinna być walka! Walka z bronią w ręku, jednak nie za cara, ale za naszą ojczyznę!

– Kiedy car chce nas mieć w swojej armii! – krzyknął jakiś rozgoryczony młodzieniec z kąta sali. – Wcielają nas do wojska, żebyśmy umierali za tego krwio pijęcę i ciemieżyciela! Nie obchodzi ich, że musimy pracować, aby wyżywić rodzinę!

– Dlatego trzeba działać szybko i stanowczo! – odparł Walery Sławek autorytarnym tonem. – Musimy pokazać nasz sprzeciw. Zorganizować prawdziwą dużą demonstrację tutaj, w Warszawie, podczas której wyrazimy niezadowolenie. Demonstrację większą niż ta, która odbyła się parę dni temu na Lesznie. Nie możemy być ulegli i iść jak barany na rzeź w wojnie z Japonią. To nie jest nasza wojna! Robotnicy, tacy jak wy, są solą tej ziemi! To na waszych barkach spoczywa odnowienie polityczne Polski i wyzwolenie jej spod jarzma zaborcy. Wraz z innymi działaczami Polskiej Partii Socjalistycznej wierzymy, że klasa robotnicza jest zdolna do walki niepodległościowej i do przeprowadzenia zmian! Wasz głos jest

ważny na równi z głosem bogaczy! Dopóki żyjemy, dopóki nasze serca biją, towarzysze! Nie możemy się poddać!

– Jak niby mamy demonstrować, kiedy nas kozaki na szablach rozniosą? Co było ostatnio na Lesznie? Krwawo rozgromili demonstrantów!

– Dlatego musimy się dobrze zorganizować. Debatowaliśmy o tym w stu członków partii na tajnym zebraniu tu, w Warszawie. Powołaliśmy organizację bojową, która będzie chronić demonstrantów przed atakami carskiej policji. Więcej na rozlew polskiej krwi nie możemy pozwolić. Gołymi rękami się jednak nie obronimy!

Walery Sławek odwrócił się i skierował spojrzenie na siedzącego w kącie mężczyznę, a ten wstał. Jego pociągła twarz z gęstym czarnym wąsem naznaczona była bruzdami, choć mógł mieć ledwie trzydzieści lat. Zdjął z głowy filcowy kapelusz.

– Józefa Kwiatka znacie – rzekł podniosłym tonem Sławek. – Nie trzeba ani go przedstawiać, ani prezentować jego zasług w walce przeciwko zaborcy. Jak wiecie, został skazany przez carski sąd na dwa lata zesłania, które pokrywało się z jego służbą w chersońskim batalionie dyscyplinarnym oraz w pułku karnym w Turkiestanie. To on przewodniczył naszej ostatniej partyjnej naradzie.

Rzeczywiście – większość zebranych znała, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia, pochodzącego z Płocka syna żydowskiego kupca, któremu pomimo wielu prób i starań nie pozwolono ukończyć studiów ze względu na jego działalność agitacyjną przeciwko caratowi w kołach studenckich i na zesłaniu. Józef Kwiatek jeździł do samego Petersburga z misją mobilizacyjną wśród mieszkających tam Polaków, pragnąc przekonać ich do spiskowej działalności przeciwko Rosji. Nie tylko był redaktorem ważnego dla PPS pisma „Robotnik”, ale również należał do Centralnego Komitetu Robotniczego PPS i Komitetu Żydowskiego.

– Musimy mieć zabezpieczenie w razie zamieszek, dlatego organizujemy broń. Kwiatek wraz z obecnym tu Bolesławem Bergerem dopilnują, żeby trafiła ona w ręce bojowców, ale wszystko zależy od waszej pomocy w jej zdobywaniu i przechowywaniu. Musimy działać rozsądnie, żeby nie zostać schwytanym przez Ochronę, ale też brawurowo, aby osiągnąć cel!

– Do broni! Odplącimy im za Leszno! – krzyknął ktoś w nagłym podnieceniu, a ja poczułam przyjemny dreszcz ekscytacji przebiegający mi po plecach.

Czułam, że właśnie jestem świadkiem czegoś ważnego, i cieszyłam się, że w tym uczestniczę. Trudno było nie zgodzić się ze słowami Walerego Sławka, że tak dalej być nie może. Nawet na ulicach panowała nabrzmiała atmosfera buntu przeciwko carskiemu uciskowi. Robotnicy, fabrykanci i studenci – nie tylko w Warszawie, ale i w całym zaborze – mieli dość! Kobiety nie chciały dłużej patrzeć, jak ich synów, mężów i braci wysyła się na wojnę z Japonią, by tam ginęli za sprawę swojego ciemnościela.

Podeksycytowana doniosłością chwili, ukradkiem zerknęłam na Jędrzeja. Nasze oczy spotkały się na ułamek sekundy, ale zaraz potem mój przyjaciel odwrócił wzrok. Mimo to przez tę jedną chwilę zdawało mi się, że Jędrzeja trawi jakaś gorączka. Z żalem i przestachem pomyślałam, że on też za chwilę zostanie zmuszony jechać na tę bezsensowną wojnę.

– Stworzyliśmy odezwę do wszystkich Polaków – kontynuował Walery Sławek.
– Do robotników, do młodzieży... – Nie dokończył, bo przerwał mu odgłos z impetem otwieranych drzwi, po czym do pomieszczenia wraz z zimnym podmuchem wiatru wpadli carscy żandarmi.

– Zasadzka! – krzyknął ktoś wściekle i w lokalu weszła burza.

Zebrani w panice, przewracając stoliki i krzesła, rzucili się do ucieczki gdzie kto mógł. Kilka osób zdołało czmychnąć między żandarmami i wybiegło na ulicę; ktoś rzucił krzesłem w okno i zbił szybę, która roztrzaskała się z brzękiem, po czym przecisnął się przez otwór, wprost na ulicę. Po chwili poleciała kolejna szyba.

Ja i Marianna też zerwałyśmy się na równe nogi i chwyciwszy się za ręce, szukałyśmy drogi ucieczki. Dotąd nie padł żaden strzał, ale rozkazujący ton żandarmów nawołujących do zatrzymania się nie pozostawiał nam wątpliwości, że gotowi byli użyć broni. Wpierw jednak postanowili użyć innego rodzaju siły, bo nagle jakiś młodzieniec padł jak długi tuż pod moje nogi, zwalony ciosem kolby policyjnego pistoletu.

– Tędy!

Nie zważając na chłopaka, pociągnęłam Mariannę w stronę innych drzwi, dotąd zastawionych ławą, którą właśnie ktoś odsunął, torując sobie drogę ucieczki. Kilku młodych robotników, nie oglądając się na nikogo, rzuciło się tam biegiem. I wtedy padł pierwszy strzał, a przypadkowy młodzian z grupki stłoczonej w drzwiach padł z raną postrzałową na podłogę.

Marianna wrzasnęła z trwogi, a ja, potykając się o przewrócone krzesło, gorączkowo zaczęłam rozglądać się za Jędrzejem, bo w gwarze paniki nagle usłyszałam jego głos nawołujący mnie po imieniu. Sekundę później poczułam, jak otoczył mnie ramieniem w talii i szarpnął w stronę przeciwną do drzwi, którymi próbowałam uciec. Serce dudniło mi ze strachu jak szalone, a do uszu dotarł kolejny strzał i gromki rozkaz rosyjskiego żandarma nakazującego spokój. Ścisnęłam dłoń Marianny tak mocno, że zdawało mi się, iż za chwilę zmiażdżę jej drobne palce, a Jędrzej uparcie ciągnął nas za sobą. Nim się zorientowałam, co się dzieje, ponownie mną szarpnął i zaczął siłą wypychać przez okno. Poczułam nagły opór, ale wystarczył jeden mocniejszy ruch, by wyswobodzić spódnicę, i oto znalazłam się na zimnym powietrzu, a tuż za mną pojawiła się Marianna. Upadła na bruk, ale pozierała się błyskawicznie.

– Biegnijcie! – usłyszałam rozkazujący głos Jędrzeja.

Nie namyślając się długo, obie zrobiłyśmy, co kazał. Biegłyśmy przed siebie jak szalone, nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie. Już nie trzymałyśmy się za ręce, ale każda z nas uciekała ile sił. Do naszych uszu doszedł odgłos końskich kopyt i domyśliłam się, że to nadciągają policyjne posiłki, bo ktoś już zdążył poinformować komendy o zamieszaniu.

Zatrzymałyśmy się dopiero po kilku minutach, w ciemnej bramie, kiedy zupełnie odebrało nam dech i nie miałyśmy siły biec dalej. Dysząc ciężko, oparłam się o zimną ścianę i wtedy poczułam rwący ból w lewej nodze. Drżącymi rękoma uniosłam halki, a moim oczom ukazała się pończocha cała we krwi.

– O cholera! – wyrzuciłam z siebie drżącym głosem i osunęłam się po ścianie na wilgotny bruk.

Dłonie mi dygotały, kiedy w panice zgarniałam fałdy spódnicy, żeby się przekonać, jak głęboka jest rana. Nie znosiłam widoku krwi, a teraz było jej nadzwyczaj dużo. Długie rozcięcie ciągnęło się wzdłuż kości piszczelowej od połowy łydki niemal do kolana.

– To przez tę zbitą szybę. Wychodząc przez okno, nadziałas się na szkło – wyszeptła wstrząśnięta Marianna.

– Boli jak diabli! – syknęłam, czując wzmagający się z sekundy na sekundę ból.

Do tego zaczęło mi się kręcić w głowie. Zacisnęłam powieki, próbując powstrzymać ogarniającą mnie słabość, bo gotowa byłam zemdleć.

Przyjaciółka patrzyła na mnie z trwogą w oczach.

– Pobiegnę po pomoc.

– Nie! Dam radę. Tylko pomóż mi wstać.

Spełniła moją prośbę.

Uchwycona jej ramienia, wolno podniosłam się na nogi, sycząc z bólu. Boże, jak mogłam być tak nieuważna! W głowie słyszałam już, co powiedzą ojciec i matka, kiedy dowiedzą się o całym zajściu. Znowu będę musiała się tłumaczyć. Co za absurd.

Teraz już nie byłam w stanie biec, szłyśmy więc wolno, a ja ciągnęłam za sobą ranną nogę. Na szczęście byłyśmy z dala od miejsca spotkania z bojowcami PPS, więc czułyśmy się względnie bezpiecznie. Wybierałyśmy boczne uliczki, omijając główne arterie, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania, choć późna pora i tak zagoniła już do domów większość warszawiaków. Po jakimś czasie zaczął kropić deszcz i nim dotarłyśmy na ulicę Piękną, rozpadało się na dobre. Noga zupełnie już odmówiła mi posłuszeństwa. To cud, że w ogóle posuwałam się do przodu, bo czułam drętwienie w łydce, a moje pończochy kompletnie nasiąkły krwią. W pobliżu Alei Ujazdowskich dotarłyśmy dopiero po przeszło godzinie, niemal zupełnie przemoczone, zziębnięte i wyczerpane.

– Powiem papie, żeby przywołał dla ciebie dorożkę – rzekłam do Marianny, zaciskając zęby i z trudem tłumiąc łzy, które same cisnęły mi się do oczu.

Bolało mnie tak bardzo, że miałam wrażenie, iż jeszcze chwila i jednak stracę przytomność, zarówno z bólu, jak i z nadmiernej utraty krwi. Teraz już nie tylko pończocha była nasiąknięta szkarłatem, ale i dół spódnicy, i cholewka buta.

Kiedy wspinałyśmy się pomalutku po schodach, przemknęło mi przez myśl, czy Jędrzej zdołał uciec. Miałam nadzieję, że nic mu się nie stało i że żandarmi nie zdołali go dopaść.

I z tą nadzieją osunęłam się zemdlna na próg, kiedy kamerdyner otworzył drzwi.

* * *

Wprawdzie dostałam od doktora środek przeciwbólowy, ale rana na nodze mimo to paliła mnie żywym ogniem. Okazała się głęboka i wymagała szycia, więc lekarz uspił mnie do zabiegu chloroformem. Ocknęłam się, kiedy było już po wszystkim.

Gdy w końcu medyk opuścił mój pokój, upewniwszy się, że odzyskałam przytomność, drzwiach pojawił się ojciec. Stanął z posępną miną i rękoma splecionymi z tyłu, jakby czekał, aż pozwolę mu wejść, więc słabo skinęłam głową. Czułam, że moja twarz i oczy były opuchnięte.

– Zamierzasz mi z łaski swojej wytłumaczyć, co się stało? Czy mam się tego sam domyślić? – zapytał ojciec, z trudem panując nad gniewem.

– Miałam wypadek – wyjąkałam słabym głosem.

– Tyle sam się domyśliłem. Ale jak do niego doszło?

Westchnęłam cicho. Nie miałam siły wyznawać ojcu prawdy. Nie zrozumiałby. Znałam go na tyle, żeby wiedzieć, iż nie pojąłby, czym się kierowałam, biorąc udział w spotkaniu socjalistów. Gdyby to był Feliks, mój brat – o tak, jego rodzice by zrozumieli. Z niego byli dumni, szczylicili się jego patriotyzmem. Ale mój udział w jakiegokolwiek antycarskiej czy feministycznej agitacji nigdy nie był przez rodziców dobrze widziany. Oboje hołdowali zasadzie, że kobietom – szczególnie pannom – takie zachowania nie przystoją.

– Czy twój wypadek ma coś wspólnego z zamieszczeniem na Pradze? – spytał ojciec twardszym tonem, kiedy uparcie milczałam.

– Skąd o tym wiesz?

– Był u nas chłopak od Zasławskich. Ich służący został zastrzelony przez żandarma. Podobno był na spotkaniu socjalistów z PPS, na które wtargnęli żandarmi. Rozgonili wszystkich.

– Wiadomo coś więcej? – Moje serce zatrzymało się w pełnym obaw oczekiwaniu na jakiegokolwiek wieści o Jędrzeju.

– Tylko tyle, że zginął ten jeden człowiek. Zasławscy bardzo go żałują, bo był dobrym pracownikiem. Ponadto kilkunastu aresztowano i przewieziono do

Cytadeli. Reszta zdołała uciec.

Odwróciłam głowę.

– Poszłaś tam? – Głos ojca był ostry jak brzytwa.

Odetchnęłam głęboko.

– Przechodziłam w pobliżu z Marianną. Spacerowałyśmy, kiedy doszło do zajścia z policją. Wystraszyliśmy się i zaczęliśmy uciekać, ale kordon kozaków... Byli wściekli i...

– I co się stało?

– Jeden z nich, nie patrząc, co robi, w szale zranił mnie szablą.

– Kozak?

– Tak – skłamałam słabym głosem.

Uznałam, że to lepsze niż przyznanie się, że uciekałam przed żandarmami przez rozbite okno.

Ojciec patrzył na mnie uważnie, ale ja, senna i obolała, odwróciłam wzrok ku ścianie, jakbym nagle w kwiecistej tapecie dostrzegła coś wyjątkowego. Bałam się spojrzeć na ojca, bo spodziewałam się, że z moich oczu wyczyta wszystko – szczególnie kłamstwo, którym go uraczyłam. Poza tym ból w nodze dawał mi się we znaki tak bardzo, że miałam ochotę wyc.

– To był wypadek, tato... – wykrztusiłam, z trudem cedząc słowa. – Znalazłam się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Gdybyśmy z Marianną wiedziały...

– To oczywiście nigdy byście tam nie poszły – dokończył ojciec wielce powątpiewającym tonem.

– Oczywiście.

Usiadł na krześle przy łóżku i założył nogę na nogę, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Matka martwi się o ciebie, Klaro. Chciała tu przyjść, ale kazałem jej się położyć, bo nerwy odmawiają jej posłuszeństwa. Twoje wybryki jak zwykle nie wpływają dobrze na jej samopoczucie.

– Powiedz mamie, że wszystko ze mną dobrze.

– Ta rana będzie się długo goić – zauważył ojciec bez cienia współczucia.

Poczułam wzbierające pod powiekami łzy.

– Wiem...

– Do końca roku pozostał ponad miesiąc. Wiem, że w obecnej sytuacji nie dasz rady zająć się przygotowaniem do ślubu z Jędrzejem, więc uważam, że powinniśmy to przesunąć w czasie. Matka myśli podobnie. Wiosna będzie lepszym terminem na ożenek.

Poczułam, że łzy spływają mi po policzkach, nie wiedziałam tylko, czy z ulgi, czy z powodu wyrzutów sumienia. Pomyślałam o Jędrzeju i ścisnął mnie żal. Nie miałam żadnych informacji, co się z nim dzieje, czy wyszedł cało z policyjnej zasadzki. A może aresztowali go i siedział teraz za murami Cytadeli?

Ze wzruszeniem rozpamiętywałam, że nas uratował. Wypchnął mnie i Mariannę przez okno, a sam został w policyjnym kotle. Czy zdołał uciec? Przecież to niemożliwe, żeby mu się nie udało...

Instynktownie skuliłam się pod okryciem.

– Chciałabym wysłać wiadomość do Jędrzeja – rzekłam cicho.

Nie planowałam informować przyjaciela o niefortunnym wypadku, a jedynie upewnić się, że z nim samym jest wszystko w porządku.

– To zrozumiałe. Liczę, że twój narzeczony zajmie w sprawie twoich wybryków odpowiednie stanowisko. Wiem, że Jędrzej jest zbyt pobłażliwy wobec ciebie, ale to zdecydowanie powinno się skończyć. Skoro macie być małżeństwem, twój przyszły mąż powinien zacząć wymagać od ciebie choć odrobiny posłuszeństwa.

Westchnęłam. Co jak co, ale wiedziałam, że nic z tego, o czym mówił teraz mój ojciec, nie może się wydarzyć.

– Oczywiście, papo... – odparłam pokornie, choć nie zgadzałam się z nim w ani jednym słowie.

Nie zamierzałam mu jednak tłumaczyć, że posłuszeństwo w małżeństwie – a raczej podległość żony wobec męża – to jeden z głównym powodów, dla których tak mnie odstręczały związki matrymonialne. Nie zamierzałam mu również wyznawać prawdy, że nie wyjdę za mąż za Jędrzeja, bo mój przyjaciel zwyczajnie nie wyraził na to zgody.

– Poza tym wciąż czekam, aż szanowny młodzieniec zjawi się u mnie i oficjalnie poprosi o twoją rękę – kontynuował ojciec nieustępliwym tonem. – Nadal tego nie zrobił.

„Niech to szlag!” – zakląłam w duchu. Że też w tym samym momencie musiałam jeszcze stracić pracę w „Bluszczu”!

– Nie jestem głupi, Klaro. Swoje już przeżyłem w tym ciemnym przez zaborcę kraju, gdzie pozbawia się Polaków podstawowych praw do polskości, wywłaszcza z majątków i zsyła ludzi na Syberię. Przez to straciłem syna...

– Nie straciłeś go, papo. Feliks żyje – odparłam ze znużeniem.

– Ale nie może wrócić do domu! Jest na wygnaniu! Dla mnie to tak, jakby umarł.

„Mimo że całkiem dobrze sobie na tym wygnaniu radzi” – pomyślałam. Podczas gdy my buntowaliśmy się przeciwko caratowi, Feliks po ucieczce do Francji zamieszkał w Grasse na Lazurowym Wybrzeżu, ożenił się z piękną Francuzką, Alice Ladoucette, i doczekał się córki Rosalie. Z jego listów, które zresztą słał bardzo rzadko, jasno wynikało, że radzi sobie doskonale i zarabia krocie na plantacji kwiatów, które sprzedaje dla tamtejszego przemysłu perfumeryjnego.

Niekiedy miałam przecucie, że rodzice, choć dumni z patriotycznej przeszłości syna, po tym, gdy wraz z innymi studentami zorganizował zamach na cara

Mikołaja w Petersburgu, teraz skrycie mieli mu za złe, że z dala od ojczyzny żyło mu się tak dobrze.

– Wiem, jak nieprzemysłane bywają niektóre działania, zwłaszcza gdy w głowie ma się garść idei, a w żyłach tak gorącą krew jak twoja, Klaro – dodał ojciec. – Często łapię się na tym, że traktuję cię jak mężczyznę, a przecież ty nie jesteś mężczyzną i obowiązują cię określone reguły.

– Co to dokładnie znaczy, papo? – spytałam słabo, bo bolesne pulsowanie w nodze nieznośnie narastało.

– To, że jeśli się dowiem, że brałaś udział w tym głupim zamieszaniu na Pradze...

– Przecież wyjaśniłam ci już, że byliśmy z Marianną na spacerze! – Zebrałam w sobie resztki sił, by mu przerwać. Nie chciałam znać dalszego ciągu tej wypowiedzi. – To był zbieg okoliczności, jaki mógł się zdarzyć gdziekolwiek. Dobrze wiesz, papo, co się dzieje na ulicach Warszawy. Ciągłe jakieś zamieszki i demonstracje...

– Oby to było prawdą, córko, bo mam serdecznie dość twoich agitacyjnych zapędów. Matka potrzebuje spokoju, a ty jej go nie zapewniasz. Ja też nie jestem już młody, mój czas powoli się kończy i chciałbym mieć pewność, że wybrałaś w życiu rozsądną drogę.

„A jaka jest ta rozsądna droga?” – zastanowiłam się, przytulając spocony policzek do poduszki.

– Twój zapał do nauki nam nie przeszkadza, zresztą za chwilę i tak ją zakończysz – ciągnął ojciec. – Wiesz również, że nie jestem jak ci ojcowie, którzy zabraniają córkom się kształcić. Ale to nie powinno być twoim jedynym priorytetem. Matka wciąż narzeka, że nie ma z ciebie pożytku, bo więcej czasu spędzasz poza domem niż w domu. Chciałaby, żebyś jej pomagała.

– W czym, papo?

– W domowych sprawunkach.

– Mówisz o wydawaniu poleceń pokojówce, lokajowi i kucharce? Czy o cotygodniowych zakupach u Hersego?

– A co złego w tym, że twoja matka lubi piękne stroje i inne precjoza? Przecież taka natura kobiety. Pracuję ciężko, żeby wam obu to wszystko zapewnić, i chciałbym, żeby przyszły zięć mi w tym pomógł.

– Nie ma nic złego w zakupach, papo – odparłam, błagając w duchu ojca, żeby w końcu wyszedł z pokoju i pozwolił mi zasnąć.

Może wówczas nie będę już czuła tego nieznośnego pieczenia w nodze...

– Mam nadzieję, że dostałaś dzisiaj nauczkę i w końcu się opamiętasz – skwitował ojciec.

Siedział jeszcze jakiś czas, aż w końcu zrozumiał, że czuję się wyjątkowo źle, bo wstał z fotela, ucałował mnie w rozgrzany policzek i wyszedł. Dopiero wówczas

zaciśnęłam wargi, przygryzając je niemal do krwi, i rozplakałam się z bólu.

[3] Bibuła – nielegalny druk.

ROZDZIAŁ 8

Najdroższa Klaro,

pewnie masz świadomość, że w zaistniałej między nami sytuacji nie mogę odwiedzić Cię w domu Twoich rodziców. Wolałbym uniknąć krępujących pytań Twojego ojca o nasze rzekome małżeństwo, bo domyślam się, że leżąc chora, wciąż nie wyjawiałaś rodzicom prawdy. Mimo wszystko zapewniam Cię, że myślę o Twoim szybkim powrocie do zdrowia i cieszy mnie, że uciekając z miejsca zdarzeń, uniknęłaś znacznie gorszego losu. Jak się domyślasz lub jak doszły Cię słuchy, znów nie obeszło się bez rannych i aresztowań. Twoja i Marianny obecność na tajnym zebraniu była zbędna i nieodpowiedzialna. Naraziłyście się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Z dwojga złego dobrze, że skończyło się to niefortunną raną, a nie śmiertelną kulą.

Wracaj do zdrowia i wybij sobie z głowy kolejne uczestnictwa w takich zebraniach i im podobnych.

*Twój zawsze oddany
Jędrzej*

Zmarszczyłam brwi. Co on sobie myślał? Że może pisać do mnie listy ze wskazaniem, co powinnam wybić sobie z głowy? Skoro odmówił mi małżeństwa, to niech nie daje sobie prawa do takich nakazów! Miałam wrażenie, że w jego słowach nie pojawiła się ani krztyna współczucia dla mojej bolesti.

Mimo wszystko ucieszyłam się z wiadomości od Jędrzeja. Oczywiście dużo bardziej wolałabym zobaczyć go osobiście, spojrzeć w te jego błękitne oczy, które tak dobrze znałam, i wysłuchać zgryźliwych wyrzutów, że zachowałam się nieodpowiedzialnie... Lecz Jędrzej miał rację – z pewnością ojciec nie dałby mu spokoju. A przecież nie mogłam tak po prostu wyjawić rodzicom prawdy, skoro wciąż nie wiedziałam, jakie kroki przedsięwziąć, żeby odejść z rodzinnego domu bez szwanku dla mojej przyszłości.

Leżąc w łóżku i obserwując ponurą pogodę za oknem, rozmyślałam o tym przez cały dzień aż do wieczora, kiedy moje samopoczucie zaczęło gwałtownie się pogarszać. Nagle poczułam się bardzo słaba – tak słaba, że nie byłam w stanie

przełknąć łyżki zupy, którą podsuwała mi Dusia. Nie dość, że ból w zszytej nodze dokuczał niemiłosiernie, to jeszcze okazało się, że dostałam wysokiej gorączki i matka w panice ponownie wezwała doktora. Lekarz po gruntownym badaniu stwierdził, że do głębokiej rany wdało się zakażenie, i obficie przemył ją fenolem, narażając mnie na kolejne cierpienie.

– Nieźle się pani poszarpała, panno Klaro – skwitował surowo, opatrując moją nogę na nowo, kiedy leżałam bezwładnie na łóżku, poddając się jego zabiegom.

– Już mówiłam, że to kozacka szabla – mruknęłam słabym głosem, zaciskając z bólu palce na pościeli.

– Niechże mi panienka takich głupot nie opowiada. Kozacka szabla tak nie tnie. Wiem to, bo nieraz opatrywałam wyrządzone nią rany.

Popatrzyłam na doktora, mrużąc oczy, ale minę miał nieodgadnioną. Czyżby domyślał się, że byłam na spotkaniu z Walerym Sławkiem, kiedy zaskoczyli nas carscy żandarmi? A jeśli się domyślał, to dlaczego wciąż nie wyjawiał prawdy moim rodzicom?

– Wyjaśniłam papie, że wraz z Marianną Wąsowicz natknęłyśmy się na rozwścieczony patrol kozaków...

Doktor zmarszczył brwi.

– Tak. Słyszałem o tym, panno Klaro. Mój lekkomyślny syn też natknął się na ten sam patrol co pani, i zdaje się, że oboje byliście wtedy w piwnicy jednej z kamienic na Pradze. – Zrobił krótką, acz znaczącą pauzę. – Mam rację?

Jęknęłam. Więc jednak wiedział.

– Panie doktorze, proszę nie mówić o tym papie.

Mężczyzna omiółł karcącym wzrokiem moją rozpaloną gorączką twarz.

– Bycie ojcem nieposłusznego syna to spore zmartwienie, ale bycie ojcem nieposłusznej córki to ujma na honorze. Nie powiem Ferdynandowi o tym wybryku, ale szczerze mu współczuję, bo pani zachowanie, panno Klaro, nie jest dlań powodem do dumy. Pan Tyszkowski dużo i ciężko pracuje, chcąc utrzymać panienkę i jej matkę na odpowiednim poziomie. Wiem to, bo często z nim rozmawiam. A pani, szanowna panienko, zawodzi jego wszelkie nadzieje. Proszę więc wziąć sobie do serca moje słowa i przestać pakować się w głupie kłopoty.

Nie skomentowałam wywodu doktora, choć miałam na końcu języka uszczypliwą uwagę, że powinien zająć się swoimi sprawami, a w szczególności córką Elizą, która pomimo zamążpójścia wykazywała zbyt duże upodobanie do rosyjskich żołnierzy, czego jej ojciec chyba nie zauważał albo nie chciał zauważyć. Podobnie jak i tego, że jego ukochane wnuki były rażąco niepodobne do męża Elizy.

– Na czas gojenia się rany zalecam odpoczynek. Proszę leżeć w łóżku i pozwolić sobie na spokojny powrót do zdrowia i rekonwalescencję. Gdyby gorączka nie ustępowała, zalecam rychło mnie wezwać.

Gorączka jednak ustąpiła, co było dla mnie wybawieniem, bo leżenie w łóżku traktowałam jak torturę.

Trzy dni później, kiedy poczułam się nieco lepiej, odwiedziła mnie Marianna. Jak zwykle wyglądała modnie i promiennie w białej muślinowej bluzce z przypiętą na stojące perłową kameą oraz drapowanej kraciastej spódnicy. Złotoblond włosy spłotła w warkocz, który upięła na karku; nie bez kobiecej zazdrości pomyślałam, że była urzekająco śliczna. Patrząc jednak na mnie, minę miała mocno zmartwioną.

– I pomyśleć, że też mogłam się poharatać o tę szybę – mruknęła pod nosem, żeby nikt jej nie usłyszał prócz mnie. – Aż mnie trzęsie, jak o tym myślę.

Jak tylko Dusia podała nam herbatę i ciasteczka i zostałyśmy w pokoju same, Marianna poinformowała mnie, że w niedzielę trzynastego listopada jest planowana duża demonstracja warszawiaków na placu Grzybowskim.

– O tym właśnie próbował powiedzieć Walery Sławek, kiedy wpadli żandarmi. To ma być wystąpienie przeciwko brance do wojska. Po całym mieście latają ulotki z wezwaniem do manifestu. PPS postawił bojówki w stan gotowości, więc pewnie będzie się działo.

– Pójdiesz tam? – spytałam trochę zła, że nie będę w stanie wyjść z domu.

Może i nie leżałam plackiem w łóżku, jak nakazał doktor, bo nie miałam do tego cierpliwości, ale sprawne chodzenie wciąż sprawiało mi trudność.

– No jasne, wszyscy idą. Nie dalej jak wczoraj narzeczony Kasi Słomińskiej, wiesz, tej od filozofii, został wezwany rozkazem do armii cara. A przecież planowali ślub w Boże Narodzenie. No i Józek Zych tak samo... – Marianna westchnęła. – Jego brata zesłano, więc Józio poprzysiągł, że nigdy nie będzie walczył za Rosję, ale też musi iść.

Niecierpliwie zmarszczyłam brwi.

– A Jędrzej?

Marianna wzruszyła ramionami.

– Nie widziałam go od czasu tamtego zajścia, ale myślę, że skoro wszyscy się wybierają, on też przyjdzie...

Nie byłam tego taka pewna. Znałam Jędrzeja na tyle, żeby wiedzieć, iż przyjaciel z rezerwą podchodził do wszelkich demonstracji i im podobnych przejawów buntów; uważał, że to niebezpieczna droga, która prowadzi jedynie do niepotrzebnego rozlewu krwi. Owszem, uczestniczył w spotkaniach rewolucjonistów i zgadzał się z ich hasłami; twierdził, że klasa robotnicza i socjalizm są przyszłością i sposobem na wyrwanie się spod jarzma caratu. Jednak w jego mniemaniu socjalizm był przede wszystkim ciężką pracą na rzecz dobra ogółu i dlatego Jędrzej wolał pracować i w ten sposób budować wolną przyszłość Polski niż owładnięty szaleńczą podniętą biec naprzeciw wojsk cara. Nie

był tak porywczy jak mój brat Feliks, który w czasach studenckich w Petersburgu bez zastanowienia pchał się w kłopoty.

– A swoją drogą – podjęła Marianna znaczącym tonem – słyszałam, że między Jędrzejem a Jadwigą Downarówną coś jest na rzeczy. Takie krążą plotki na mieście.

– Co to znaczy? – spytałam wielce zdumiona.

– Wiem jedynie, że widziano ich razem w operze. Podobno panna Jadwisia wzroku od naszego Jędrka oderwać nie mogła i zamiast w śpiewaków wpatrywała się tylko w niego. W sumie to się nie dziwię, bo Jędrus ładny chłopak.

– Och, przestań już opowiadać takie głupstwa!

– A to czemu? – W oczach Marianny zalśniły złośliwe ogniki. – Przecież Jędreka nic cię nie obchodzi.

– Nie bądź wredna! – obruszyłam się. – Chyba mam prawo martwić się o najlepszego przyjaciela. Chciałabym, żeby trafił jak najlepiej, a Jadwiga Downarówna nie jest dobrą partią. – Słyszając samą siebie, zrozumiałam, że plotkę trzy po trzy, i to jeszcze bardziej wyprowadziło mnie z równowagi. – Nie udawaj, że nie wiesz, ile Jędrzej dla mnie znaczy!

Marianna niedbale wruszyła ramionami.

– Z pewnością ty znacysz dla niego znacznie więcej.

Uniosłam brew.

– No co? – zachnęła się moja przyjaciółka. – Jędreka łamie serca warszawskich pań, bo żadnej nie chce. Przez ciebie, głuptasie. Tylko ty siedzisz mu w głowie.

„Okazuje się, że mnie również nie chce” – pomyślałam z przekąsem i zaraz przyszła mi do głowy nieznośna myśl, że może to przez tę Downarównę odmówił mi małżeństwa. Może tamta panna chodziła mu po głowie, tylko nie śmiał mi tego wyznać przez wzgląd na naszą wieloletnią przyjaźń i miłosny incydent nad jeziorem.

– Zakończmy ten głupi temat i wróćmy do demonstracji. O której ma się zacząć?

Marianna otworzyła malutką, wyszywaną złotą nicią atlasową torebkę i wyjęła z niej papier zwinięty w rulonik.

– Czytaj – poleciła, a ja rozwinęłam ulotkę.

Do wszystkich robotników warszawskich.

Towarzysze!

W myśl odezwy Centralnego Komitetu Robotniczego naszej partii odbędzie się w niedzielę 13 listopada o godzinie 12 w południe na Placu Grzybowskim demonstracja protestu przeciwko mobilizacji. Demonstracja nasza stać się powinna imponującym wyrazem głębokiej nienawiści ludu polskiego względem rządów

carskich (...). Uprzytomnijcie sobie wszystek bezmiar zbrodni, jakie knuto władcy popełniają na klasie robotniczej, wyzysk potworny, ucisk (...), jakiemu ulega nasze społeczeństwo. (...) Niech na demonstracji nie zabraknie nikogo, niech w mieście naszym rozlegnie się (...) zagrzewające do walki (...) hasło: Precz z caratem! Niech żyje wolność![\[4\]](#)

Kilkakrotnie przebiegłam wzrokiem po treści, jakbym chciała nauczyć się jej na pamięć, aż wreszcie zwinęłam papier w rulonik i oddałam go Mariannie.

– Muszę tam być – zdecydowałam stanowczo. – Nie mogę odpuścić takiego wydarzenia. Ludzie będą krzyczeć o wolność, a ja mam się wylegiwać w łóżku?

– Przecież wciąż nie możesz chodzić!

– Już prawie mogę. Do protestów jeszcze kilka dni, więc dam radę.

Marianna schowała ulotkę do torebki.

– No nie wiem... Sama mówiłaś, że cię boli. A poza tym wdało się zakażenie. To ryzykowne.

– Zakażenie już wyleczone – odparłam stanowczo, chcąc bardziej przekonać tym siebie niż przyjaciółkę.

Ze stanowczą miną rozparłam się na fotelu, a moje zielone oczy płonęły wewnętrznym żarem, który znów spalał mnie od środka. W takich momentach nikt ani nic nie było w stanie powstrzymać mnie przed działaniem.

– Jak mam głośno domagać się wolności i praw dla kobiet, jeśli będę poddawać się byle niedyspozycji.

Marianna spojrzała na mnie powątpiewająco.

– Taka rana jak twoja to nie byle niedyspozycja. Może lepiej zostać w domu i napisz jakiś dobry artykuł do „Bluszczu”. Przecież to też forma protestu.

Westchnęłam. Mogłam napisać artykuł – owszem. Tyle tylko, że nie miałam go gdzie opublikować. Jak dotąd nie przyznałam się Mariannie, że z własnej woli odeszłam z „Bluszczu”. To kolejny temat, który mnie uwierał i do którego nie umiałam podejść na trzeźwo. Kolejny, z którym musiałam się zmierzyć, jak tylko stanę na nogi.

– Chwilowo nie mogę pisać – zaczęłam z wyrzutem w głosie, uznając, że czas powiedzieć prawdę. – Odeszłam z gazety.

Żrenice Marianny rozszerzyły się w szczerym zdumieniu.

– Ale jak to? Dlaczego? Przecież tak długo zabiegałaś o pracę w redakcji!

– W dniu pogrzebu Marii napisałam artykuł o tym, jak okrutne jest zmuszanie kobiet do niechcianych małżeństw i jak nieludzkim zachowaniem jest odbieranie im nieślubnych dzieci tylko po to, by uciszyć rzekomy skandal. Wiesz, co o tym myślę. Śmierć Marii była dla mnie wstrząsem i nie mogę o niej milczeć.

Marianna przytaknęła.

– Wiem, bo myślę dokładnie tak samo – przyznała.

– Właśnie. Ale mój artykuł nie spodobał się redaktorowi naczelnemu. Gawalewicz powiedział, że go nie opublikuje. Nakazał mi napisać coś innego.

– A ty się nie zgodziłaś.

Pokiwałam głową.

– Owszem, nie zgodziłam się. Przecież o to w tym wszystkim chodzi. Żeby się nie poddawać.

Przyjaciółka z błyskiem w oczach ujęła mnie za rękę.

– Wiem, Klaro. Jestem z ciebie dumna! Ja nie umiałabym się sprzeciwić. Nie mam tak silnego charakteru.

– Masz. Obie mamy. Dlatego musimy iść na ten protest.

W kolejnych dniach próbowałam udowodnić samej sobie, że czuję się dobrze. Przeklinałam własną głupotę, że z powodu bezmyślności nadziałam się na kawałek rozbitej szyby, i co chwila oglądałam zaczerwienioną, wciąż opuchniętą ranę, łudząc się, że nagle w cudowny sposób się zasklepi, a ból ustąpi. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Noga bolała, rana goiła się powoli. Nie wychodziłam więc z domu; oddawałam się lekturze, nadrabiałam zaległości w nauce, a wieczorami pisałam artykuły, których nie miałam gdzie opublikować. Lecz samo pisanie dawało mi poczucie, że coś robię.

Ojciec znikał na całe dnie, bo od rana do późnego wieczora doglądał sprowadzanych do Warszawy towarów, które właściciele sklepów i zakładów przechowywali w jego licznych magazynach. A mama zamykała się w swoim pokoju, zajęta głównie robótką. Domyślałam się, że z nostalgią tęskni za latem i czasem, który spędziła w kręgu znajomych w rodzinnej willi w Konstancinie. Tam, w „Pałacyku Magnolia”, z dala od zgiełku miasta i ulicznych demonstracji, czuła się najlepiej.

Któregoś wieczora, bijąc się z myślami, otworzyłam okno i zapaliłam cygaretkę. Miałam dość zamknięcia w czterech ścianach, podczas gdy Warszawa pulsowała życiem. Za oknem słyszałam przechodniów, dudniące na bruku koła dorożek i rzenie koni. Rozkoszując się papierosem, wciągałam w nozdrza chłodną wilgoć powietrza. Pora była już późna, więc spodziewałam się, że matka śpi, dlatego niemal podskoczyłam na zdrowej nodze, gdy nagle stanęła w moim pokoju, bez pukania i z miną więcej niż oburzoną.

– Na litość boską! Już bardziej mnie i ojca upokorzyć nie możesz! – wyrzuciła z siebie gniewnie, patrząc na cygaretkę w moich palcach.

Przyłapaną na gorącym uczynku, szybko zgasiłam papierosa w maleńkiej, dotąd skrywanej przed rodzicami popielniczce, czując, że moja twarz purpurowieje ze wstydu jak u małej dziewczynki.

– Przepraszam, mamó – wykrztusiłam pospiesznie, zamykając okno.

Matka też zamknęła za sobą drzwi. Była już w nocnej koszuli i podomce, więc najpewniej zamierzała kłaść się spać, ale widocznie zwabiła ją woń papierosowego

dymu.

– Przed kolacją dostałam list od znajomej. Właśnie go przeczytałam – powiedziała zimno, nawet nie komentując mojego wybryku. I nagle dotarło do mnie, że to nie z tego powodu zjawiała się w moim pokoju. – Donosi, że podobno twój rzekomy narzeczony Jędrzej Witebski jest widywany w miejscach publicznych z panną Jadwigą Downarówną. Jakim cudem, moja córko? Czyżby zapomniał, że ma narzeczoną?

– Mamo...

– Tylko nie wciskaj mi kolejnych kłamstw! – rzuciła gniewnie. – Chcę znać prawdę! Chcę wiedzieć, dlaczego dotąd Jędrzej nie poprosił nas oficjalnie o twoją rękę? Dlaczego nie odwiedził cię, skoro jesteś chora? Dotąd bywał tu niemal codziennie, naprzykrzał nam się swoją obecnością i nagle co się stało? Nie obchodzi go, że zostałam ranna?

Spojrzałam matce w oczy, czując ogromny, napierający na pierś wyrzut sumienia.

– Nie jesteśmy zaręczeni – wyszeptałam głucho. – Skłamałam, żeby zyskać na czasie. Nie chciałam, żeby ojciec oddał mnie Wierzbickiemu.

Mama pobladła i teatralnie opadła na fotel. Na jej urodziwej twarzy malowały się gniew i ból.

– Przepraszam, ale musisz mnie zrozumieć. Papa nie zostawił mi wyboru. Przygwoździł mnie decyzją o wydaniu za mąż.

– Dziecko, to ty nie zostawiłaś nam wyboru! – zachnęła się mama. – Wciąż zachowujesz się jak podłotek, bez żadnego poczucia przyzwoitości. Wydaje ci się, że możesz być niezależna, samodzielna i bez męża. Ale to nieprawda! Nam, kobietom, jeśli chcemy żyć normalnie, nie pozostawia się wyboru. My nie możemy żyć w pojedynkę ani na własnych zasadach, bo takie życie jest niemożliwe. Zginiesz szybciej, niż myślisz, i to nie tylko z głodu, bo nie będzie cię miał kto utrzymywać. Zginiesz od ludzkich plotek i szyderstw. Myślenie, że kobieta może żyć samotnie, to mrzonka. Uwierz mi, że rzeczywistość nie ma nic wspólnego z książkami, które czytasz!

– Wcale tak nie uważam.

– Może i nie uważasz, ale taka jest prawda. Karmisz się hasłami o niezależności, ale to tylko puste słowa, które nie dadzą ci nic prócz ośmieszenia i samotności. W kraju, który jest zniewolony, gdzie ludzie walczą o byt i o wolność, gdzie nie wolno nam mówić publicznie po polsku, nie ma miejsca na prawa kobiet.

Poczułam, że coś gwałtownie ścisnęło mnie za gardło. Chciałam krzyknąć matce prosto w twarz, że się myli, że właśnie do takiego narodu, który walczy o wolność, należy szczególnie mówić o kobietach. Bo kobieta to potencjał. To siła i niezłomność. To hart ducha, a nie tylko materiał na żonę i matkę. Chciałam przypomnieć mamie, z jaką determinacją jej własna babka, choć prześladowana,

walczyła o każdy dzień życia swoich dzieci, kiedy jej męża zesłano na Sybir za udział w powstaniu listopadowym. Ale patrząc teraz na błysk rozczarowania w jej oczach, wiedziałam, że moje słowa niczego nie zmienią. Nie dotrą do niej tak, jak powinny.

– Powiesz papież? – spytałam zrezygnowanym głosem.

– Sama powinnaś mu to powiedzieć, i to jak najszybciej, póki nie dotarli do niego plotki. Jak wiesz, odmówił twojej ręki Wierzbickiemu i pewnie będzie tego żałował. Wierzbicki ponoć był bardzo rozczarowany. Szczerze powiedziawszy, ja również żałuję takiego obrotu spraw, bo chciałabym cię widzieć u boku konkretnego mężczyzny. Nie powinniśmy cię wtedy słuchać. Powinnam się domyślić, że zaręczyny z Jędrzejem to farsa, bo nigdy nie byłaś mu przychylna.

– Ze wszystkich mężczyzn, jakich znam, on jeden wydaje mi się najwłaściwszy do roli mojego męża – wyznałam z goryczą. – Musisz wiedzieć, mam, że to on nie zgodził się na małżeństwo ze mną. To on mi odmówił.

Mama uniosła brwi, wyraźnie zdumiona.

– Miałaś czelność poprosić go, żeby się z tobą ożenił?

– Tak...

Wyglądała teraz tak, jakby ta informacja pozbawiła ją resztek przytomności.

– Swoją drogą to dziwne – wykrztusiła po dłuższej chwili. – Bo mogłabym przysiąc, że ten chłopak szczerze cię kocha.

Kiedy wychodziła z pokoju, nagle zawahała się, obróciła przez ramię i spojrzała znacząco na zamknięte okno.

– I nie będę tolerowała palenia papierosów w moim domu! – rzuciła karcąco.

[4] Fragment ulotki wydanej przez Polską Partię Robotniczą do ludności Warszawy. Nawoływano w niej do udziału w proteście przeciwko mobilizacji Polaków do wojny rosyjsko-japońskiej.

ROZDZIAŁ 9

W dniu, który miałam zapamiętać na zawsze, obudziłam się niemal z nastaniem świtu. Za oknem wisiały ciężkie ołowiane chmury i pomyślałam, że jeśli spadnie deszcz, to z pewnością utrudni przebieg dzisiejszej manifestacji. Ale mimo to ludzie przyjdą. Wierzyłam, że w tej wyjątkowej chwili w wyrazie buntu i niezadowolenia staną ramię w ramię i pokażą caratowi swoje gniewne oblicze.

Przez jakiś czas leżałam w łóżku, z bijącym od emocji sercem, i wpatrywałam się w sufit. Rozmyślałam nad tym, co przyniesie demonstracja. Istniało niebezpieczeństwo, że dojdzie do starć z carską policją i wojskiem, ale idea była warta ryzyka. Czytałam powielane w ulotkach słowa Józefa Piłsudskiego, które wypowiedział ledwie niecały miesiąc temu w Krakowie: „Otóż – w takiej chwili, kiedy przewrót jest możliwy, my milczymy i sami dobijamy kwestię polską. Nam milczeć teraz nie wolno! Polityka nie jest matematyką. Obliczyć i przewidzieć wszystkiego niepodobna. Ale dopóki społeczeństwo jest bierne, spodziewa się wszystkiego od wypadków, od innych, tylko nie od siebie – nic nie nastąpi”^[5].

Jako idealistka wierzyłam w moc tych słów, w ich potężny wydźwięk. Wierzyłam, że obywatele muszą powstać i pokazać siłę tętniącą w polskim narodzie, w młodzieży, która miała na swoich barkach unieść sztandar wolności. Bo przecież byliśmy Polakami, ja byłam Polką, i w głowie buzowała mi wizja wolności dla wszystkich obywateli, w tym wizja wolności osobistej kobiet. Ale żeby ją zrealizować, wpierw należało oddać pierwszeństwo zniewolonemu państwu i zdjąć z niego zaborcze kajdany.

Usiadłam na łóżku i zsunęłam z siebie kołdrę, po czym podwinęłam brzeg obszytej koronką koszuli nocnej. Rana wciąż się w pełni nie zagoiła i doskwierała mi, promieniując bólem na całą kończynę. Na szczęście szwy dobrze się zablizniały i obrzęk ustąpił. Byłam zdeterminowana: wiedziałam, że dziś już nic mnie nie powstrzyma przed wyjściem z domu. Nawet widmo gniewu ojca i matki, gdy się dowiedzą, że wymknęłam się bez ich zgody, aby wziąć udział w antycarskiej demonstracji.

– Pani Eleonora będzie bardzo niezadowolona – szeptała przejęta Dusia, kładąc na moim biurku tacę ze śniadaniem.

– Z pewnością. Ale sama wiesz, że muszę tam iść.

– Wiem, panienko. – Dusia westchnęła. – Też bym poszła, gdybym tylko mogła. Mój Piotrek powiedział, że nie odpuści i pójdzie za czerwonym sztandarem, więc chciałabym być tam z nim. To wielka rzecz: tak iść ze słowami wolności na ustach.

Popatrzyłam na Dusię z przejęciem. Piotrek był bratem naszej pokojówki, pracował w zakładzie garbarskim i też był gorącym zwolennikiem socjalizmu. Nie raz widziałam go na spotkaniach, gdy z wypiekami na twarzy słuchał ludzi agitujących na rzecz PPS.

– Wszystko ci opowiem ze szczegółami – zapewniłam, pospiesznie zjadając śniadanie.

Wiedziałam, że za chwilę rodzice wyjdą z domu na niedzielną mszę do kościoła Najświętszego Zbawiciela przy Alejach Ujazdowskich i wówczas będę mogła się wymknąć, oczywiście z dala od wścibskich oczu kamerdynera.

Sama też zamierałam iść na mszę, ale do kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, skąd według planu miała wyruszyć manifestacja.

Dusia przygotowała mi ciepłą suknię i płaszcz z kapturem, żebym nie zmarzła i znów nie dostała gorączki. Byłam jej głęboko wdzięczna za tę troskę. Ubrałam się pospiesznie.

– Nie przejmuj się włosami – rzekłam, kiedy pokojówka zaczęła układać moje ciemne pukle, jakbym wybierała się na elegancki bal, a nie uliczną demonstrację. – Zepnij je tylko tak, żeby nie przeszkadzały, ale nie staraj się zbyt. Dzisiaj nie chcę wyglądać jak dama. Dzisiaj chcę być jak inni, którzy wystąpią ramię w ramię w obronie naszych polskich wartości. W taki dzień wszyscy musimy być równi, Dusiu.

– Co nie znaczy, że ma panienka wyglądać jak czupiradło! – zauważyła pokojówka z błyskiem w oczach. – Och, tak panience zazdroszczę! Chciałabym czuć ten entuzjazm, widzieć twarze ludzi, którzy mają odwagę sprzeciwić się władzy cara. Przeżywam to całym sercem!

– Oby było tak, jak mówisz – rzekłam, zastanawiając się, czy romantyczne wizje pokojówki pokrywają się z prawdą.

A co, jeśli nikt nie przyjdzie? Albo zjawi się tylko garstka osób i demonstracja okaże się niewypałem?

Wymknęłam się z domu, jak tylko rodzice wyszli na mszę. Ze względu na nogę nie zamierałam iść na piechotę, więc wsiadłam do publicznego tramwaju i wysiadłam pół kilometra przed placem Grzybowskim, gdzie umówiłam się z Marianną.

Przyjaciółka, podobnie jak ja, okutana była w ciepły szary płaszcz, a na głowę założyła filcowy kapelusz, zupełnie inny od tych, w których lubiła pokazywać się na co dzień. Spod kapelusza na jej lewe ramię spływał z finezją zapleciony warkocz.

– Zobacz, ile ludzi – szepnęła z przejęciem Marianna, łapiąc mnie pod ramię.

Rzeczywiście, w każdej z bocznych ulic tłoczyli się przechodnie; wszyscy zmierzali w stronę placu Grzybowskiego. W ich twarzach było coś niezwykłego, jakaś uroczysta solidarność, siła i przeświadczenie, że oto idą w tym samym kierunku.

„Więc jednak przyszli” – pomyślałam, nie kryjąc dumy i radości.

Z tych samych uliczek wyjeżdżali konno żandarmi i zaczepiali przechodniów warkliwym pytaniem, dokąd ci idą. I zawsze słyszeli tę samą odpowiedź – na mszę do kościoła Wszystkich Świętych. Marianna i ja, przytuliwszy się do siebie, przezornie spuściłyśmy głowy, żeby uniknąć konfrontacji z rosyjskimi stróżami prawa.

– Co wy tu robicie? – Przed samym kościołem, w gęstniejącym tłumie, dopadł mnie Jędrzej.

Poczułam ulgę pomieszaną z radością, że go widzę. W innych okolicznościach pewnie rzuciłabym mu się na szyję, ale teraz jedynie zmierzyłam go uważnym spojrzeniem. Nie umknęło mojej uwadze, że schudł, bo płaszcz, który zwykle nosił z taką elegancją, teraz brzydko na nim wisiał. Twarz miał nienaturalnie pociągłą i bladą. Jedynie błękitne oczy jak zwykle płonęły wewnętrznym blaskiem i rozświetliły się jeszcze bardziej, kiedy napotkały moje spojrzenie.

– Idziemy do kościoła – wyjaśniłam krótko.

– Jak każdy – zauważył oschle. – Ale po co? Czemu jesteś taka uparta? Mało ci wrażeń po ostatnim?

– Tak, wciąż mam ich za mało! – odparowałam z nutką złośliwości, przypominając sobie, co o nim i o Jadwisi mówiły Marianna i moja matka. Dostrzegłszy jednak krzywy grymas na jego twarzy, szybko się zreflektowałam. – Nie miałam okazji podziękować ci za to, że wyciągnąłeś nas z kotła... Bo nie raczyłeś mnie odwiedzić.

W jego oczach pojawił się dziwny cień.

– Przecież wyjaśniłem wszystko w liście. Ale nie czas teraz na to. Idźcie do kościoła i zajmijcie miejsca. Gdyby coś się działo... – Gorączkowym wzrokiem lustrował moją twarz. – Nie wychodźcie. W kościele będziecie względnie bezpieczne.

– Jędrus, mając takiego anioła stróża jak ty, zawsze możemy czuć się bezpiecznie – wtrąciła Marianna słodkim głosem.

– Ty nie idziesz do środka? – zwróciłam się do przyjaciela z wahaniem w głosie.

– Nie. Zostanę tutaj. I tak wszyscy się nie zmieszczą.

Odchodziłyśmy, kiedy nagle Jędrzej złapał mnie za rękę. Jego uścisk był ciepły i znajomy.

– Jak się czujesz? – spytał ścisłym głosem.

W odpowiedzi kiwnęłam głową.

– Jest dobrze.

Przez chwilę trzymał moją dłoń w swojej, aż wreszcie puścił mnie i weszłam za Marianną do świątyni.

Jeszcze nigdy msza nie ciągnęła mi się tak bardzo. Ksiądz, chyba równie przejęty jak wierni, wygłosił bardzo długie i rozwlekłe kazanie, czyniąc to ze szczególnym zaangażowaniem, jakby to były jego ostatnie słowa w życiu. Staralam się siedzieć prosto i nie wiercić, ale noga dokuczała mi bardzo i czułam przez to dyskomfort. Dopiero moment przeistoczenia, głęboko uroczysty i podniosły, wywołał we mnie niemal palpację serca podobną do tych, które miewała moja przewrażliwiona matka. Choć nigdy nie byłam gorliwą katoliczką, bo mój ognisty temperament kłócił się z powściągliwością wymaganą podczas modlitwy, a do kościoła chodziłam wyłącznie z przymusu, to dziś intensywnie poczułam doniosłość chwili, kiedy ksiądz unosił Najświętszy Sakrament. A gdy kapłan zaintonował po łacinie: „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy...”, zdawało mi się, że w rzeczywistości głosi: „Idźcie i walczcie wszyscy! Idźcie po wolność, bo ona jest blisko!”. Klęcząc w głównej nawie, patrzyłam na ołtarz i wyobrażałam sobie, co w tej chwili dzieje się za grubymi murami kościoła. Właśnie stawałam się dzielnym rycerzem, który klęczy przed swoim suwerenem, składając mu uroczystą przysięgę, iż będzie walczył dzielnie i do ostatniej kropli krwi. Wyobrażnia wyraźnie mnie ponosiła, ale nie umiałam nad nią zapanować.

Kiedy ukradkiem spoglądałam na innych pogrążonych w modlitwie wiernych, byłam niemal pewna, że myślą i czują dokładnie to samo. Bo tak jak ja byli świadomi tego, co nas za chwilę czeka. Jakby to nie podniosły głos księdza tak wyraźnie dźwięczał nam w uszach, ale rozedrgany gorączkowy szept tłumu tłoczącego się wokół kościoła. Jak dobrze, że przyszłam tu bez matki i ojca, bo gdyby rodzice zorientowali się, co się dzieje, natychmiast uciekliby do domu, ciągnąc mnie za sobą, a następnie zamknęliby drzwi mieszkania na cztery spusty, w obawie przed wściekłością zbuntowanej gawiedzi. A ja właśnie tej wściekłości pragnęłam – łaknęłam buntu i wrzawy, która miała pokazać nasze niezadowolenie. W moim odczuciu siedzenie cicho i pobłażliwe godzenie się na niesprawiedliwość było grzechem!

Każdy z uczestniczących we mszy wiernych wiedział, co się za chwilę wydarzy. Obok rzeszy warszawskich robotników nie zabrakło również sporego grona studentów i innych młodych obywateli. Raczej nikt nie miał wątpliwości, że planowana demonstracja będzie miała burzliwy przebieg, bo jeszcze przed mszą, kiedy wierni zmierzali do kościoła, wokół placu Grzybowskiego zebrał się kordon kozaków.

Msza dobiegła końca. Ksiądz, choć z wyraźnym ociąganiem, pobłogosławił wiernych i drzwi świątyni z donośnym skrzypnięciem otworzyły się na oścież. Oczom wiernych ukazał się tłum ludzi, jeszcze większy niż przed godziną.

Poczułam, jak Marianna zacisnęła dłoń na moim ramieniu. Popatrzyłyśmy na siebie, pełne oczekiwania.

Ludzie wychodzili z kościoła powoli, spokojnie, bez pośpiechu, jak w każdą zwykłą niedzielę. Zdawało się, że nic się nie wydarzy, że planowana demonstracja to tylko mrzonka i za chwilę wszyscy rozejdą się do domów. Aż nagle z gęstwiny wiernych wyłoniła się młoda kobieta. Rozpoznałam w niej Kazię, siostrę robotnika Stefana Okrzei, jednego z bojowców PPS. Dziewczyna energicznie przecisnęła się do stojącego w tłumie brata i wyjęła spod płaszcza zwinięty czerwony sztandar. Młody pepesowiec wraz z innymi robotnikami błyskawicznie go rozłożyli i wzniesli wysoko ponad tłumem.

PPS – Precz z wojną i caratem! Niech żyje wolny polski lud! – głosił napis.

– Precz z caratem! – wykrzyknęli głośno Stefan i jego koledzy.

– Precz z caratem! Precz z caratem! – podchwycili inni.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Zewsząd dało się słyszeć pomruki podniecenia i już po chwili, jak na zawołanie, ktoś głośno zaintonował *Warszawiankę*, a ja z bijącym sercem pomyślałam: „Zaczęło się”.

To był niezwykle moment. Ludzie zaczęli śpiewać, wznosząc gromkie głosy ku górze, ku niebu, i posuwając się odważnie, krok za krokiem, wzdłuż placu, z rozwiniętym nad głowami czerwonym sztandarem. Szliśmy w kierunku Śródmieścia niczym natchnieni, z patriotyczną pieśnią na ustach, znajdując siłę i wiarę w śpiewanych słowach:

Hej, kto Polak, na bagnety,

Żyj swobodą, Polsko, żyj.

Tłum był coraz większy, coraz bardziej gęstniał. Zdawało się, że każdy Polak, dumnie kroczący w tej cizbie, w jednej chwili odnalazł w sobie godność, którą imperium Romanowów nam odebrało.

Czując pulsujący rytm *Warszawianki*, z trudem powstrzymywałam łzy wzruszenia. Zerknęłam na Mariannę – moja przyjaciółka płakała bez skrępowania.

Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę!

Choć burza wrogich żywiołów wyje,

Choć nas dziś gnębią siły ponure,

Chociaż niepewne jutro niczyje...!

– rozbrzmiewały gromkie słowa.

W arteriach wokół placu Grzybowskiego zgromadziły się już służby porządkowe i rozkazami nawoływały do zaprzestania śpiewu oraz rozejścia się do domów. Ale to nie robiło na nas wrażenia. Śpiewając coraz głośniej, parliśmy do przodu, a niektórzy spośród młodych zapaleńców pościągali z głów czapki i w natchnieniu tulili je do piersi, oddając w ten sposób hołd sztandarowi i idei. Rozsadzały mnie emocje: wzruszenie i duma tak wielka, że serce kołatało mi się w piersi jak

szalone. W całym tym rozedrganym tłumie próbowałam dojrzeć Jędrzeja, ale nigdzie nie dostrzegłam znajomej sylwetki.

– Rozejść się! Natychmiast! – wrzeszczeli rosyjscy żandarmi, próbując przekrzyczeć dźwięki pieśni.

Bezskutecznie.

Kozacy na koniach obstawiający boczne ulice stali nieruchomo z szablami u pasa, niczym górujące nad ludem kamienne posągi. Ale demonstranci, w podniosłym nastroju, nie zwracali na nich uwagi. Liczył się tylko sztandar. Zdawało się, że warszawiacy, upojeni chwilą, śpiewali coraz mocniej, coraz goręcej. Ja również wyśpiewywałam z pasją kolejne wersy *Warszawianki*, nie myśląc o tym, że prędzej czy później głos odmówi mi posłuszeństwa. Byłam szczęśliwa i dumna, jak nigdy wcześniej. Nie czułam nawet listopadowego chłodu, bo do rozgrzanego emocjami tłumy chłód nie miał dostępu.

Marianna była równie rozentuzjasmowana. Uniosła zapłakaną twarz, wpatrując się nabożnie w trzymane przez bojowców płótno z antycarskim hasłem. I właśnie wtedy stało się to, czego wszyscy powinniśmy byli się spodziewać. Na głośny rozkaz z pobliskich uliczek na tron pochodu wypadło kilkudziesięciu kozaków. Z krzykiem i przeklinając obelżywie, zaczęli torować sobie drogę płazami szabli, zmierzając w stronę wzniesionego sztandaru. Część demonstrujących natychmiast rozpierzchła się w panice; ktoś wrzasnął straszliwie, boleśnie raniony ostrzem, ale większość odważnie szła przed siebie. Wciąż z pieśnią na ustach, nie zatrzymując się ani nie ustępując przed konnymi. Wtedy Kozacy oddali salwę z karabinów.

Na dźwięk wystrzału część demonstrantów zaczęła kulić się ze strachu i ewidentnie szukać szybkiej drogi ucieczki. Ja również poczułam narastający niepokój. Z szeroko otwartymi oczami rozglądałam się, by odpowiednio szybko rozpoznać nadciągające zagrożenie. Ale widziałam tylko wściekłych kozaków zmierzających w stronę młodego Stefana Okrzei i jego trzymających sztandar towarzyszy. Narastał tumult, ktoś znów cięty szablą zawył z bólu, zewsząd słychać było niespokojne rzenie kozackich koni. I nagle wybuchła strzelanina, a ja zorientowałam się, że strzelają nie tylko żołnierze, ale i uzbrojeni w pistolety robotnicy. Kozacy dopadli do młodzieńców ze sztandarem, ale zanim któregoś udało im się pochwycić, jeden z pepesowców zwinął prędko materiał, błyskawicznie schował pod pazuchę i rzucił się do ucieczki. Zebrani zamarli, jakby w oczekiwaniu na to, co się wydarzy – i wówczas padł kolejny strzał, po czym na bruk osunął się martwy kozak. Część demonstrujących osłupiała; inni, jak obudzeni ze snu, pierzchli w panice.

Stałam nieopodal, otępiała, ściskając Mariannę za rękę i patrząc, jak kolejna grupa kozaków z dzikim rykiem wjechała w tłum i zaczęła siekać szablami gdzie popadło. Rozległ się kolejny wystrzał, a po nim kolejny. Padali ranni i zabici,

a bruk błyskawicznie barwił się kolorem szkarłatu. Moja przyjaciółka wrzasnęła z trwogi, gdy pojedyncze wystrzały z pistoletu zamieniły się w rwącą kanonadę, i wówczas zorientowałam się, że to strzelają uzbrojeni pepesowcy.

W panice zaczęłyśmy posuwać się do przodu, popychane przez napierający tłum. Ktoś z impetem potrącił Mariannę, aż upadła na bruk i uderzyła głową o kamień. Dopadłam do niej ze strachem i szarpnęłam za rękę, by pomóc jej wstać. Nie miałam czasu, aby się upewnić, że nie jest ranna. Biegiem rzuciłyśmy się do ucieczki, a ja oglądałam się raz po raz na rozprawiających się z tłumem kozaków.

Strzały padały już teraz niemal z każdej strony. Między kozakami a bojowcami rozgorzała chaotyczna walka, a nieuzbrojeni próbowali znaleźć bezpieczne schronienie. Część demonstrantów zaczęła cofać się do kościoła, bo na plac Grzybowski wjechał uzbrojony oddział carskich dragonów. I wtedy, w motłochu, zobaczyłam Jędrzeja. W jednej sekundzie widziałam go, jak stał przed żołnierzem na koniu i celował do niego z pistoletu, a w kolejnej strzał z innej strony zwałił go na bruk. Krzyknęłam histerycznie i puściwszy rękę Marianny, rzuciłam się w jego kierunku.

– Jędreku! – Pędziłam jak szalona, popychając stojących mi na drodze ludzi.

W tej jednej sekundzie, kiedy padłam przy nim na kolana, miałam wrażenie, że serce przestało mi bić.

– Jędreku... – W panice chwyciłam go za głowę i położyłam sobie na kolanach, nie zważając na tumult i histerię.

Już nie słyszałam rozszalałego tłumu, okrzyków tych, którzy uciekali w panice, ani wystrzałów i rżenia koni. Docierał do mnie tylko chrapliwy oddech rannego przyjaciela.

– Jestem przy tobie... – Pochyliłam się nad nim i drżącymi palcami zaczęłam pocierać jego chłodną twarz. – Nie umieraj, błagam! Jędrus!

– Wariatko, przecież żyję... – wyrzęził, patrząc mi w oczy i łapiąc oddech.

– Żyjesz i nie umrzesz! – rzuciłam stanowczo, choć plama krwi na jego płaszczu w okolicach barku gwałtownie się powiększała.

Dotknęłam jej i moje palce zatopiły się w gęstej krwi. Zerknęłam niżej: Jędrzej trzymał w dłoni pistolet. Skąd on, do cholery, miał broń? Jak to możliwe, że umiał się nią posługiwać? Nie zastanawiając się nad tym, co robię, zabrałam mu ją i schowałam do kieszeni.

– Nie umrzesz, nie umrzesz...! – powtarzałam drżącym głosem.

Oderwałam od niego wzrok i rozejrzałam się wokół gorączkowo. Nikt nie zwracał na nas uwagi, a ja nie wiedziałam, co robić. Próbowałam się ruszyć, podnieść przyjaciela, ale Jędrzej był dla mnie za ciężki. Wreszcie, zdjęta paniką, zaczęłam krzyczeć głośno i histerycznie. Wrzeszczałam z całych sił, ale nic to nie dało. Nikt się nad nami nie pochylił.

– Jędrzek, spróbuj wstać. Dasz radę? – zapytałam ochrypłym od krzyku głosem, uświadomiwszy sobie, że musimy poradzić sobie sami.

Jędrzej, sapiąc i krzywiąc się z bólu, dźwignął się na nogi. Wsparł się na mnie, a ja z wysiłkiem objęłam go w pasie.

– Będzie dobrze – powtarzałam bardziej do siebie niż do niego. – Ty uratowałeś mnie, ja uratuję ciebie. Damy radę.

Ruszyliśmy powoli, omijając spanikowanych ludzi i modląc się w duchu, żeby nie trafiła nas żadna zbląkana kula.

– Marianna... – wycharczał ledwo słyszalnie Jędrzej, powłócząc stopami po bruku.

Tak naprawdę miałam wrażenie, że ciągnę go za sobą, a on coraz bardziej wiotczeje w moim uścisku.

Marianna! Mój Boże! Co z Marianną? Jak mogłam o niej zapomnieć? Zaczęłam rozglądać się gorączkowo wokół, ale przyjaciółka jakby zapadła się pod ziemię. Przed oczami migał mi chaotyczny kalejdoskop przeróżnych postaci, ale żadna z nich nie była Marianną. Mój niepokój wzrastał z sekundy na sekundę, bo walka rozgorzała na dobre, a Jędrzej wyraźnie słabł. W którymś momencie nie zdołałam go utrzymać i mój przyjaciel osunął się bezwładnie na bruk. Przerazona myślą, że umarł, dopadłam do niego, ale na szczęście wyczułam słaby puls. Wciąż oddychał.

– Odsunąć się! – usłyszałam nad sobą ostrą komendę.

Uniosłam twarz i spojrzałam prosto w pałające gniewem ciemne oczy siedzącego na koniu kozaka.

– Mój przyjaciel jest ranny... – wyjąkałam.

– Odsunąć się! – powtórzył kozak i wymierzył w moją stronę lufę pistoletu.

– Nie! On potrzebuje pomocy! Lekarza!

Ten w odpowiedzi wymierzył mi kopniaka tak silnego, że aż straciłam równowagę i się przewróciłam. Poczułam ból w miejscu, gdzie wylądował jego obcas. Zagryzłam wargi niemal do krwi, kiedy zorientowałam się, że żołdak błyskawicznie pochylił się nad rannym Jędrzejem i niemal bez wysiłku wciągnął go na konia. Kilka sekund później obaj zniknęli w rozszalałym tłumie.

Siedziałam na bruku jak sparaliżowana, a wszystko we mnie zamarło z przerażenia. Wpatrywałam się oszołomiona w miejsce, w którym przed chwilą leżał Jędrzej, i nie docierało do mnie, co się właściwie stało. Ktoś mnie pchnął raz i drugi, a w moich uszach dźwięczały komendy rozwścieczonych żołnierzy. Podniosłam się i zaczęłam biec jak w transie, przed siebie, byle dalej od tego zamętu, od tej okrutnej wrzawy, która krzykiem i lamentem wdzierała się do mojej głowy. Dudniła we mnie tylko jedna myśl – byłam sama. Zupełnie sama. Nie było przy mnie ani Marianny, ani Jędrzeja.

Nie wiem, jak udało mi się dotrzeć do domu. To cud, że w tym szale ulicznej walki nie zostałam ranna i zdołałam ujść cało, choć wówczas, biegnąc, nie

myślałam o tym wcale, tak samo jak o bólu w nodze. Mój umysł się wyłączył. Przed oczami rozgrywała mi się jedynie dramatyczna scena, w której żołnierz porwał na siodło rannego Jędrzeja.

Prąc na oślep, rozglądałam się za Marianną, nawoływałam ją po imieniu, ale nie zdołałam jej dostrzec.

W drzwiach domu nie powitał mnie ojciec, a jedynie blada i bliska hysterii matka. Domyśliłam się, że tata musiał być nieobecny.

– Słodki Jezu! – wyjąkała mama, załamując ręce na mój widok. – Jak mogłaś tam pójść? Jesteś ranna?! Ojciec cię szuka!

Musiałam wyglądać jak obraz nędzy i rozpaczy, bo płaszcz miałam umazany krwią Jędrzeja, a na policzkach krwawe smugi, bo niechcący dotknęłam ich brudnymi palcami. Nie byłam jednak ranna, choć z pewnością mogłam wyglądać jak ofiara walki.

– Nic mi nie jest, mamó – wykrztusiłam, kierując się w stronę schodów.

Dopiero gdy znalazłam się w swoim pokoju, pozwoliłam, żeby Dusia zdjęła mi płaszcz i podtrzymując na ramionach, położyła mnie do łóżka. Byłam tak zdruzgotana sytuacją, w której jeszcze przed chwilą brałam udział, że nie zwróciłam uwagi na przerażenie mojej pokojówki. Położyłam głowę na poduszce i niemal natychmiast zapadłam w sen.

Obudziłam się w środku nocy, zlana potem i przerażona, bo śniła mi się masakra na placu Grzybowskim i Jędrzej. W moim śnie, tak jak na jawie, Jędrzek próbował strzelić do rosyjskiego żołnierza, ale to żołnierz strzelił do niego, a wówczas mój przyjaciel padł martwy na skrwawiony bruk. Widziałam, jak umierał. Czułam całym ciałem, że odchodzi ode mnie na zawsze. Poderwałam się na łóżku, z jękiem rozpaczy. Przez chwilę trwałam w bezruchu, próbując opanować lęk, aż wysunęłam się z pościeli i po omacku odnalazłam w szafie płaszcz, który miałam na sobie podczas demonstracji. W głębokiej kieszeni wymacałam pistolet. Wyjęłam go. Nie znałam się na broni palnej, ale ten był całkiem duży i ciężki. Przez moment obracałam go w drżących dłoniach, zastanawiając się, skąd Jędrzej go wziął. Czyżby otrzymał od kogoś z bojowców? Czy to możliwe, że jednak się pomyliłam i mój przyjaciel nie był nastawiony tak pokojowo, jak myślałam?

[5] Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe. Uzupełnienia*, Kraków 2002.

ROZDZIAŁ 10

Po krwawo stłumionym proteście carskie wojsko i policja oficjalnie zaczęły mówić o obrzydliwej anarchii, która rozpleniła się na ulicach Warszawy. Nie podano do publicznej wiadomości, ilu carskich żołnierzy zginęło tego dnia ani ilu zostało rannych. Wiedzieliśmy za to, że aresztowano kilkuset demonstrantów, sześciu zabito, a dwudziestu siedmiu raniono. To był straszny bilans. Ktoś powiedziałby, że i tak należało to zrobić, bo po raz pierwszy od upadku powstania styczniowego pokazaliśmy, że wciąż nie godzimy się na politykę ucisku. Ale ja byłam zdruzgotana. Choć osobiście nie doznałam żadnego uszczerbku na ciele, to szybko dotarła do mnie wieść, że Marianna została ciężko ranna. Znalaziono ją nieprzytomną na placu, z raną na głowie, niedługo po tym, jak przewróciła się na bruk i uderzyła skronią o kamień. Musiała zemdleć, kiedy ja pobiegłam do postrzelonego Jędrzeja. Jakiś przypadkowy uczestnik protestu zaniósł ją do szpitala i dopiero w trakcie opatrywania rany rozpoznał ją pracujący tam lekarz.

A Jędrzej... Słuch po nim zaginął.

– Próbowałam wystarać się o widzenie u samego policmajstra, ale odmówiono mi. Po tym, co się stało, Polakom odebrano możliwość spotkania z urzędnikami wyższego szczebla. Nie udzielają nam żadnych informacji i z nikim nie chcą rozmawiać – rzekł mój ojciec przy śniadaniu.

Możliwe, że w ten sposób próbował mi pokazać, iż stara się dowiedzieć czegokolwiek o losie Jędrzeja, ale dla mnie to było za mało. Pod powiekami wciąż wyświetlał mi się obraz ciężko rannego przyjaciela. Nieraz nachodziły mnie dramatyczne myśli, że może już nigdy go nie zobaczę.

– Niezbyt dobrze zaczęło się wasze narzeczeństwo – skwitował ojciec z sarkazmem.

Matka, która to słyszała, tylko przewróciła oczami, zła, że nadal nie wyznałam ojcu prawdy. A ja nie miałam teraz głowy do takich głupot. Nie obchodziło mnie żadne narzeczeństwo ani planowanie ślubu – liczył się tylko Jędrzej.

– Oczywiście domyślasz się, Klaro, że twój skandaliczny udział w demonstracji przeważył szalę mojego rozczarowania tobą – dodał ojciec, nie kryjąc wściekłości. – Z duszą na ramieniu szukałem cię po całym mieście, narażając własne życie! Mam

już dość twojej niesubordynacji! W trybie natychmiastowym wstrzymuję ci wypłaty jakichkolwiek pieniędzy. Dopóki mieszkasz pod tym dachem, zapewnię ci utrzymanie, nie licząc jednak na dodatkowe profity ani tym bardziej pieniądze na przyjemności. Koniec z tym!

Nie zamierzałam z ojcem dyskutować. Przyjęłam jego deklarację z obojętnością. Uznałam, że moja sytuacja i tak jest beznadziejna; wstrzymanie pieniędzy jedynie dopełniło koszmarnego obrazu całości.

Po obiedzie, nie mogąc usiedzieć w domu, wybrałam się do szpitala, by odwiedzić Mariannę, a prosto od niej zamierzałam iść na studenckie wykłady, które na szczęście nie zostały zablokowane. Miałam nadzieję, że w gronie znajomych znajdzie się ktoś, kto będzie miał jakiegokolwiek wieści o aresztowanych, w tym o Jędrzeju.

Marianna leżała na lichym łóżku, blada i z obandażowaną głową, ale była w pełni przytomna i nawet uśmiechnęła się na mój widok.

– Najpierw ty, teraz ja. Straszne z nas niezdary – skwitowała. – Chyba nie nadajemy się do buntów i demonstracji.

– Skoro nas nie aresztowano, to znaczy, że się nadajemy – odparłam. – Jak się czujesz?

– Chyba lepiej niż ty po poprzedniej akcji. Przynajmniej nie trzeba było mnie szyć, bo rana tylko z pozoru wyglądała groźnie. Doktor Sieradzki powiedział, że jeśli wszystko będzie dobrze, to jutro wrócę do domu. Swoją drogą bardzo miły z niego człowiek. Zajął się mną tak troskliwie.

– Może mu się podobasz.

Marianna splonęła rumieńcem.

– Nie bądź śmieszna. On ma trzydzieści lat!

– Czyli idealnie – odparłam i zaśmiałam się figlarnie, choć tak naprawdę nie było mi do śmiechu.

Chciałam jedynie poprawić Mariannie nastrój.

– A co z Jędrzejem? – spytała. – Słyszałam od rodziców, że zaginął...

Mój względnie pogodny nastrój prysł jak bańka mydlana.

– Nie mam o nim żadnych wieści. Podejrzewam, że trzymają go w Cytadeli. A najgorsze, że... – Przełknęłam nerwowo ślinę. – Kiedy widziałam go po raz ostatni, był ciężko ranny. Co, jeśli...

Marianna zmartwiała.

– Nawet o tym nie myśl! Zapytam doktora Sieradzkiego, może zna jakiegoś medyka, który zajmuje się aresztantami. – Wyciągnęła dłoń spod cienkiego okrycia i ujęła mnie za rękę. – Nie martw się, Jędrzej do nas wróci.

Na wieczornych zajęciach, które tym razem odbywały się na tyłach fabrycznego magazynu, atmosfera była nadzwyczaj ciężka. Większość obecnych studentów też brała udział w demonstracji na placu Grzybowskiem i teraz rozpierał ich

rewolucyjny bunt. Pozostali z kolei podchodzili do sprawy bardziej powściągliwie, więc już na początku rozgorzała żywa dyskusja; zakończył ją dopiero profesor, wchodząc na zajęcia.

– Nie zapominajcie, że prawdziwym przejawem patriotyzmu jest pielęgnowanie w sobie ojczystej mowy – odparł tylko, pytany o własny stosunek do manifestacji. – Na krwawe rozprawy zawsze znajdzie się pora, zawsze pojawi się ktoś, kto podburzy do walki i rozlewu krwi. Wy bądźcie ponad to! Uczcie się i krzewcie w waszym pokoleniu polską kulturę, żeby zaborca nie miał pożytku z rusyfikacji.

To były ważne słowa, które wiele dla nas znaczyły. W dobie, gdy szkalowano wszystko, co polskie, powinniśmy dumnie manifestować swoje pochodzenie. To była dobra forma walki z caratem, jednak ja, z moją niespokojną głową, potrzebowałam czegoś znacznie intensywniejszego.

* * *

Matka Jędrzeja, pani Pelagia Witebska, w wieku niemal pięćdziesięciu lat wciąż prezentowała się bardzo dobrze. Jej chłodna, porcelanowa twarz, wyjątkowo urodziwa, nadal nie nosiła oznak starzenia; jedynie wokół ust utworzyły się drobne zmarszczki. Jasne, modnie upięte włosy ledwie gdzieniegdzie skrzyły się siwizną. Choć drobna niemal jak dziecko i niewielkiego wzrostu, pani Witebska trzymała się prosto i pewnie. Nie było w niej widać kobiety, która miała za sobą trzydzieści lat małżeństwa i wydała na świat pięcioro dzieci, z czego troje pochowała. Jeśli uznawała, że ktoś nie jest godny jej zainteresowania, patrzyła nań z wyniosłością, a nawet lekceważeniem. Była w tym zachowaniu zupełnym przeciwieństwem mojej matki, która z kolei za pomocą fałszywej uprzejmości starała się okazywać uwagę niemal każdemu, a za jego plecami wypowiadać się o nim z pogardą, by udowodnić własną wyższość.

Prawdą było, że pani Pelagia nigdy mnie nie lubiła i raczej się z tym nie kryła. Moja przyjaźń z jej synem uwierała ją. Uważała, że odwracam uwagę Jędrzeja od istotnych rzeczy, takich jak nauka i praca, więc gdy tylko mój przyjaciel wyjechał do Petersburga, pani Witebska odetchnęła z ulgą, wyraźnie zadowolona, że się ode mnie uwolnił. Z pewnością liczyła, że z dala od Warszawy jej ukochany syn zapomni o mnie, a może i znajdzie inny obiekt zainteresowania. Chwilami podejrzewałam, że wołałaby dla niego jakąś śliczną, dobrze wychowaną Rosjankę niż mnie – w jej mniemaniu dzikuskę bez ogłady.

Siedziałam w eleganckim salonie państwa Witebskich i małymi łydkami popijałam herbatę, czekając, aż moja niedoszła teściowa zjawi się, by mnie powitać. Z trudem panowałam nad niepokojem, ale przed tą kobietą nie chciałam okazywać emocji, zwłaszcza strachu o życie Jędrka.

Pani Pelagia wkroczyła do salonu niczym duch, jeszcze bledsza niż zwykle, z zaciśniętymi wargami. Na jej widok odstawiłam z brzękiem filiżankę z fajansowej porcelany i podniosłam się z krzesła. Skinęła głową na powitanie.

– Masz jakieś wieści o moim synu? – spytała bez zbędnych ceregieli, mierząc mnie surowym spojrzeniem.

Ubrana była w czarną suknię przyozdobioną naszyjnikami z agatów. Wyglądała tak, jakby ledwo co przywdziała żałobę, i w pierwszej chwili to skojarzenie wywołało we mnie trwogę.

– Nie – odparłam, nie uciekając przed jej spojrzeniem. – Liczyłam, że to pani coś mi o nim powie. Że coś pani wie.

– Niestety nic nie wiem. Mój mąż też dotąd niczego nie wskórał, choć wypytuje, gdzie tylko może. Próbował przekupić kilka osób, ale... – Kobieta westchnęła ciężko.

Przeszła sztywno przez pokój i stanęła przy wysokim oknie z imponującym widokiem na Krakowskie Przedmieście. Mieszkanie Witebskich mieściło się w pięknej reprezentacyjnej kamienicy; nabyli je, gdy tylko ojciec Jędrzeja, pan Józef, zaczął bogacić się na produkcji cukru. Jedyną wadę tego urokliwego lokum w centrum Warszawy stanowiło bliskie sąsiedztwo rosyjskich oficjeli. Jędrzej z przymrużeniem oka powtarzał, że ma to swoje dobre strony, bo przynajmniej żaden urzędnik nie nęka ich złośliwymi kontrolami, jak to się działo w przypadku innych fabrykantów. Niestety, podczas demonstracji takie znajomości nie miały znaczenia, bo Rosjanie dobrze wiedzieli, kto jest panem, a kto tylko poddanym.

– Z pewnością zabrali go do Cytadeli. Widziałam, jak carski żołnierz odjechał z nim na koniu – wyjaśniłam.

Matka Jędrzeja zacisnęła usta jeszcze mocniej, aż zrobiły się niemal białe.

– Poszedł na tę demonstrację, chociaż wyraźnie mu tego zabroniliśmy. Mój syn nie nadaje się do walki. To mądry, wrażliwy młodzieniec. Byłam pewna, że w Petersburgu nabierze właściwej ogłady, ale okazało się, że właśnie tam uroił sobie, iż trzeba walczyć. Żałuję, że zataił to przed nami! Niechybnie musiał zadać się z rewolucjonistami pokroju Piłsudskiego, którzy nakładli mu do głowy te puste hasła o wolności.

W tej jednej kwestii zgadzałam się z matką Jędrzeja. Mnie też zaskoczył swoim udziałem w demonstracji, a już na pewno nie spodziewałam się ujrzeć w jego ręku pistoletu. Nie sądziłam, że mógłby się ważyć do kogoś celować z broni. Ale widocznie ani ja, ani jego matka nie znałyśmy go zbyt dobrze.

– I po co to zrobił? Żeby zniszczyć wszystko, co tak skrupulatnie z jego ojcem budowaliśmy przez lata? Wystarczy jeden raz, by zrujnować dobre imię, i zła sława będzie się za nami ciągnęła w nieskończoność...

– A może Jędrzej zrobił to, bo nie zgadzał się na wcielenie do carskiej armii... – rzekłam powoli.

Kobieta popatrzyła na mnie zszokowana.

– Nie powiedział pani? – spytałam zduszonym głosem, a ona w odpowiedzi odwróciła się do mnie plecami.

Zrobiło mi się jej żal. Z pewnością zabolął ją fakt, że własny syn ukrywał przed nią tak istotną sprawę jak przymusowy pobór do wojska.

– Nie wiem, co robić... – odparła wreszcie chrapliwym głosem. – Mój mąż próbuje wszystkiego, ale nikt nie wie, gdzie trzymają naszego syna.

„W Cytadeli” – powtórzyłam w duchu. Tylko tam zamykano więźniów politycznych i demonstrantów. Matka Jędrzeja zapewne też się tego domyślała, ale bała się wypowiedzieć tę myśl na głos.

Odwróciła się w moją stronę.

– Skoro widziałaś Jędrusia, zanim ten żołnierz go uprowadził... Czy wszystko było z nim w porządku?

Mój Boże! Jak miałam tej kobiecie wyznać – patrząc jej prosto w oczy – że jej syn był ciężko ranny?! Nie mogłam jej okłamywać. Uważałam, że to gorsze niż najgorsza prawda.

– Zraniono go – odparłam szczerze, a wówczas z gardła pani Pelagii wydobył się suchy szloch.

Położyła dłoń na piersi i spuściła głowę.

Podeszłam do niej.

– Ale żył, pani Pelagio – zapewniłam, dotykając delikatnie jej ramienia. – I z pewnością nadal żyje.

Tymi słowami zapewniałam również siebie, że tak właśnie jest. Nie dopuszczałam myśli o tym, że Jędrzej mógłby się wykrwawić i umrzeć.

Pani Witebska nagle wyprostowała się sztywno, jakby chwilowa słabość, którą przede mną okazała, uwłaczała jej godności. Niewidzącym wzrokiem popatrzyła w przestrzeń.

– Wyjdź! – rozkazała ściszym, ale nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Myślę, że powinniśmy coś ustalić, jakiś sposób działania, żeby dowiedzieć się... – zaczęłam, ale matka Jędrzeja odwróciła twarz w moją stronę i przeszła mnie ostrym spojrzeniem.

– Wyjdź, proszę! – powtórzyła. – I nie mieszaj się w to, Klaro. To sprawa wyłącznie mojej rodziny.

Wyszłam głęboko rozczarowana, nie pożegnawszy się. Po głowie krążyły mi same fatalne myśli, bo nie wiedziałam, skąd zaczerpnąć informacji o przyjacielu. Musiał istnieć jakiś sposób, ale nie potrafiłam teraz działać trzeźwo. Najwyraźniej obawa o życie Jędrzeja odebrała mi zdolność logicznego myślenia.

Na Krakowskim Przedmieściu było pełno ludzi. Dorożki mijały się na szerokim bruku, przejechał konny tramwaj. Nad miastem wisiały ciężkie deszczowe chmury; porywisty wiatr nieco studził moje emocje. Byłam pewna, że jeśli nie przyspieszę

kroku, złapie mnie ulewa. A przecież nadal nie byłam w pełni sprawna i szybki krok sprawiał mi ból, zwłaszcza że uciekając z demonstracji, nieco nadwerżyłam sobie nogę. Szłam, nieco kulejąc i pokonując własną słabość. Nie wiedziałam, dokąd się udać, jak znaleźć człowieka, który pomógłby mi dowiedzieć się czegokolwiek na temat Jędrzeja. Pomyślałam, że jeśli wrócę do domu, to w czterech ścianach oszaleję z niepokoju. Nawet Dusia, choć jej brat należał do bojówek PPS, nic nie wiedziała. Nikt nic nie wiedział.

Gdy przechodziłam koło pałacu Krasińskich, zniecka uderzył mnie widok znajomej sylwetki. Kapitan Aleksander Kirsanov był sam, bez swojej zwyczajowej świty dragonów. Siedział na koniu – sztywny, wyprostowany i nadzwyczaj zuchwały w lejbgwardyjskim mundurze. Zatrzymałam się i obserwowałam, jak jechał stępą w moim kierunku. Dostrzegł mnie po krótkiej chwili i od tego momentu nie spuszczał już ze mnie wzroku, a ja rozumiałam, że właśnie nadarza się niepowtarzalna szansa, której tak rozpaczliwie potrzebowałam. Wprawdzie nasze pierwsze spotkanie nie było z gatunku serdecznych, a ilekroć mijaliśmy się na ulicy, unikałam go wzrokiem, teraz jednak postanowiłam wykorzystać fakt, że mieliśmy sposobność się poznać. Zdecydowałam się nawet zapomnieć o zniewadze, którą Kirsanov mi wówczas uczynił.

– Kogo moje oczy widzą? – rzekł z nadmierną uprzejmością, kiedy był już na tyle blisko, że mogłam go usłyszeć. – Panna Klara Tyszkowska.

Uśmiechnęłam się wymuszenie, zadzierając głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Jak miło, że pan kapitan zapamiętał moje nazwisko – odparłam, siląc się na możliwie przyjazny uśmiech.

– Trudno zapomnieć damę, która oferowała marną zapłatę za życie chłopaka. Gdyby postarała się panna bardziej, to kto wie, może wyrostek wciąż byłby wśród żywych.

Skrzywiłam się mimo woli. Na końcu języka obracałam już ciętą ripostę, ale tym razem musiałam się powstrzymać. Od tego, jak bardzo będę dla tego wywyższającego się łajdaka miła, być może zależało, czy powie mi coś o Jędrzeju.

– Nie zostawił mi pan wówczas zbyt dużego wyboru – odparłam.

– Czyżby była pani gotowa się ze mną targować? – Uśmiechnął się chytrze.

Jawił mi się jak sam diabeł – piękny, kuszący i odrażający zarazem. Takich mężczyzn trudno było ignorować. Zawracali kobietom w głowie i zwodzili je na manowce niczym Wroński Annę Kareninę w powieści Lwa Tołstoja. Miałam niemal stuprocentową pewność, że mężczyzna pokroju Kirsanova uwiódł moją biedną Marię, a następnie porzucił, kiedy ta zaszła w ciążę. Ja jednak byłam odporna na niebezpieczny męski urok – mało tego, zamierzałam z premedytacją wykorzystać swój własny do osiągnięcia celu.

– Pewnie pan pamięta, kapitanie, że okoliczności były dość dramatyczne – odparłam, próbując choć trochę stłumić w sobie obrzydzenie do tego człowieka

i nadać mojemu głosowi ugodowy ton.

To, że Rosjanin górował nade mną w siodle i na paradnym koniu, nie ułatwiało mi zadania.

Patrzył na mnie, jakby zastanawiał się nad interpretacją moich słów.

– Może powinniśmy zapomnieć o tamtych okolicznościach i spróbować przedstawić się sobie na nowo? – podjął po chwili.

Przełknęłam ślinę. Więc jednak.

– Najpierw musiałby pan zsiąść z konia, bo niezręcznie mi tak zadzierać głowę.

Zrobił, o co poprosiłam. Zeskoczył lekko z siodła i chwycił zwierzę za uzdę. Modliłam się w duchu, by nie zobaczył nas teraz nikt znajomy. Myśl, że ktoś mógłby wywnioskować, iż mam bliskie stosunki z tym łajdakiem, aż mnie zmroziła.

– Kapitan Aleksander Dmitrij Kirsanov do usług pięknej panny – przedstawił mi się po raz drugi, z przesadną uprzejmością ujmując moją dłoń i składając na niej szarmancki pocałunek.

Kiedy uniósł twarz, dostrzegłam, że nie był aż tak młody, jak mi się zdawało. Na czole i policzkach dostrzegłam bruzdy, których nie miał ani Jędrzej, ani żaden ze znanych mi kolegów. Kirsanov z pewnością dawno przekroczył trzydziestkę.

– Pewnie nie omieszkam z tych usług kiedyś skorzystać – odparłam szczerze, uśmiechając się lekko.

W środku cała kipiałam z nerwów, ale miałam nadzieję, że on tego nie widzi. Nie chciałam, żeby wziął mnie za niedojrzałą dziełatkę.

– Czemu dopiero kiedyś? Skoro zapomnieliśmy już o naszym pierwszym niefortunnym spotkaniu i zaczynamy znajomość od nowa, to proszę pozwolić się zaprosić na gorącą herbatę. Pogoda nie sprzyja spacerom i widzę, że jest pani zziębnięta.

– Nie chciałabym zabierać panu zanadto czasu – odparłam, by nie wyszło na to, że zgadzam się zbyt łatwo.

– Jestem panem swojego czasu, panno Klaro, i z przyjemnością wygospodaruję go dla pani tyle, ile trzeba.

Wahałam się tylko przez chwilę, bo wiedziałam, że na znajomości z Kirsanovem mogę bardzo wiele zyskać. W obecnej beznadziejnej sytuacji, kiedy słuch o Jędrzeju zaginął, ten mundurowy wydawał mi się kimś, kto był w stanie mi jakkolwiek pomóc.

Weszliśmy do pobliskiego urokliwego lokalu, w którym serwowano wymyślne desery i trunki. Było to jedno z tych szczególnych miejsc, do których uczęszczali głównie Rosjanie z rodzinami, więc nigdy wcześniej tu nie gościłam. Restauracja okazała się nadzwyczaj przytulna i elegancka, i już w progu przywitała nas usłużnie i z honorami sama właścicielka – z pewnością wyłącznie dzięki randze mojego towarzysza.

– Herbatę mają tu wyśmienitą – rzekł Kirsanov, kiedy zasiedliśmy do przykrytego białą serwetą stolika.

Właścicielka rzeczywiście zaserwowała nam aromatyczną i mocną czarną herbatę, parzoną w samowarze i z dodatkiem słodkiej konfitury.

– Przyznam, że mnie panna zaskoczyła – oznajmił kapitan, wodząc śmiałym wzrokiem po mojej twarzy.

Całym wysiłkiem woli musiałam się opanować, żeby nie dostrzegł, jak bardzo jego spojrzenie mnie denerwuje.

Uniosłam brew w wyrazie zdumienia.

– Czym pana zaskoczyłam?

– Tym, że tak chętnie przyjęła pani moje zaproszenie. Byłem pewien, że mam do czynienia z dziką kotką, która raczej nie da się ugłaskać. Takie odniosłem wrażenie podczas naszego pierwszego spotkania.

– A skąd przypuszczenie, że dam się ugłaskać? – spytałam zaczepnie, trochę zła, że tak płytko mnie ocenił. – Przecież jestem tu wyłącznie dlatego, że uprzejmie zaproponował mi pan herbatę, kapitanie, a rzeczywiście byłam zziębnięta. – Odwróciłam się w stronę witryny, przez którą widać było zacinający na zewnątrz deszcz. – Poza tym uchronił mnie pan przed ulewą.

– W takim wypadku jest pani skazana na moje towarzystwo, bo padać może do wieczora, albo i dłużej.

– To raczej pan ma kłopot, jak mnie zająć, żebym się pańskim towarzystwem nie znudziła. – Uśmiechnęłam się zdawkowo i upiłam łyk pysznej herbaty.

Zaśmiał się, a ten śmiech zawibrował mi w głowie.

– Znam wiele sposobów na zajmowanie się piękną kobietą – odparł prowokująco.

– Znów próbuje mnie pan obrazić.

– Skądże znowu! – Uniósł ręce w obronnym geście. – Czy zaproszenie do teatru albo opery uważa panna za obrazę? Albo nie lubi takiej rozrywki? Możemy też wspólnie poczytać na głos jakąś zajmującą książkę, bo to, zdaje się, jest w panienki guście. Oczywiście najpierw musielibyśmy zadbać o odpowiedni dobór lektur, gdyż te, które wówczas wypadły z torby, nie nadają się zbytnio.

Przez ułamek sekundy jego spojrzenie stało się przenikliwe, niemal drapieżne, ale złagodniało tak szybko, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem sobie tego nie uroiłam.

– Chyba nie byłabym w stanie skupić się na lekturze w pana towarzystwie – odparłam przymilnie. – Więc może proponuje pan coś innego? Coś, czym mnie pan naprawdę zaskoczy.

Przez chwilę patrzył na mnie w zamyśleniu, aż wreszcie pochylił się nad stolikiem.

– A więc mam panią naprawdę zaskoczyć? – spytał głosem ściszym niemal do szeptu.

– Może... – odparłam, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że igrzm z ogniem.

– To proszę przyjechać jutro na Marszałkowską. Późnym wieczorem. I proszę włożyć na siebie coś absolutnie wyjątkowego.

Przełknęłam ślinę.

– Po co?

– Bo chcę panią zaskoczyć.

Skwitowałam to wymuszonym uśmiechem.

– Być może przyjadę, ale chciałabym coś w zamian.

Jego usta wygięły się w chytrym uśmiechu.

– Tak przypuszczałem... Nie jest pani zwykłą gąską, a raczej szelmą.

– Chyba źle mnie pan osądza, kapitanie.

– Bynajmniej. Znam się na ludziach, panno Klaro, i mam przeczucie, że pani jest z tych wyjątkowo interesownych.

Powinmam się obrazić, jakoś go upomnieć, ale nie zrobiłam tego. Bo przecież miał rację – byłam interesowna. Chciałam dowiedzieć się czegoś o Jędrzeju.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Biłam się z szalonymi myślami i wyrzucałam sobie, że zaczęłam niebezpieczną grę z człowiekiem, którym w głębi duszy gardziłam. Z drugiej strony jednak wizja, że może dowiem się czegoś o rannym przyjacielu, podsyciała we mnie nadzieję. Przecież człowiek taki jak kapitan Kirsanov musiał coś wiedzieć na temat więźniów politycznych, skoro był pomocnikiem samego generała-gubernatora i skoro dowodził oddziałem dragonów. A jeśli nie wiedział, to z pewnością miał możliwości, żeby się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 11

– Nie powinna panienka tam iść – ostrzegała mnie Dusia, kiedy wyznałam jej, że wieczorem po kolacji znów muszę wymknąć się z domu.

Wyjawiłam również, z kim zamierzam się spotkać, bo nasza pokojówka od zawsze była moją powiernicą i nie raz udowodniła, że mogę jej ufać. Oczywiście znów robiłam coś za plecami rodziców, ale akurat tego nie uznawałam za kłopot. Byłam już dorosła i w moim odczuciu nie musiałam się przed nimi tłumaczyć, dokąd wychodzę, a szczególnie ojcu, który bez mrugnięcia okiem pozbawił mnie finansowych przywilejów. Jednak dla świętego spokoju nie prowokowałam awantur.

Przez cały dzień zastanawiałam się, jak się ubrać, bo z tonu Kirsanova wywnioskowałam, że powinnam wyglądać wyjątkowo ładnie. Mógł chociaż zdradzić, dokąd mnie zabiera, ale upierał się, że to niespodzianka. Założyłam więc najlepszą suknię z bordowego aksamitu, udekorowaną misternym haftem, a ciemne włosy przyozdobiłam rubinowymi spinkami. Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze, na gładką skórę, lśniące zielone oczy i karminowe usta... I czułam się nieswojo, bo wystroiłam się tak dla rosyjskiego oficera. Kiedyś, kilka lat temu, jeszcze jako szesnastoletnia dziewczynka zakochałam się po uszy w młodzieńcu i pięknym Rosjaninie, który często bywał w Konstancinie. On był tak samo nieopierzony jak ja, i oboje traktowaliśmy miłosne zauroczenie sobą jak coś wyjątkowego oraz najważniejszego na świecie. Jednak rodzice szybko wybili mi tę miłość z głowy, oburzeni pochodzeniem mojego niedoszłego adoratora, zwłaszcza że działo się to w momencie, kiedy Feliks szykował się do ucieczki przed carskim wyrokiem. I choć tęskniłam za swoim ukochanym żarliwie, to jednak szybko o nim zapomniałam. Od tamtego pamiętnego czasu nigdy więcej nie stroiłam się dla żadnego mężczyzny, a już z pewnością nigdy nie robiłam tego dla Jędrzeja. Owszem, lubiłam dobrze wyglądać i dość często podkreślałam urodę strojem albo wyszukaną fryzurą, nie starałam się jednak nikomu przypodobać. Uważałam, że jestem ponad to. Teraz z obawą pomyślałam, że próbuję się przypodobać rosyjskiemu kapitanowi i że nie będzie to dobrze widziane ani przez moich rodziców, ani przez moje koleżanki na studiach, ani tym bardziej przez

buntowniczo nastawionych zwolenników PPS, których przecież popierałam. Po części czułam się jak zdrajczyni. Jedynym, co mnie trzeźwiło, był fakt, że robiłam to w konkretnym celu. Dla Jędrzeja.

Z domu wyszłam późnym wieczorem, opatulona w ciepłą pelerynę z kapturem podbitym sobolim futrem, i nakazałam dorożkarzowi zawieźć się na Marszałkowską.

Kapitan Aleksander Kirsanov czekał na mnie w umówionym miejscu. Tym razem nie był konno. Stał prosto, niemal na baczność, w swoim idealnie skrojonym mundurze carskiego gwardzisty oraz wyglansowanych oficerkach i pomyślałam, że niejedna kobieta na jego widok musiała czuć szybsze bicie serca. Ja jednak byłam odporna.

– Zaskoczyła mnie pani – przyznał, kiedy stanęłam przed nim, starając się ukryć zdenerwowanie.

Irytowała mnie jego nadmierna pewność siebie i to, z jaką bezczelnością na mnie patrzył. Jakbym dała mu na to pełne przyzwolenie.

– Myślał pan, że się nie zjawię?

– Brałem to pod uwagę. Tym zaproszeniem chciałem panią sprowokować.

– Do czego?

Nie odpowiedział, ale domyśliłam się, co mówił między wierszami. Próbował wy badać, czy jestem w stanie z nim flirtować i jak daleko zechcę się posunąć. Widziałam, że wpadłam mu w oko, bo specjalnie tego nie ukrywał. Jednak taki mężczyzna jak on raczej nigdy nie krył się ze swoimi skłonnościami do słabostek, a ja byłam dla niego wyłącznie słabostką.

– Więc dokąd idziemy? – spytałam, nie chcąc, żeby dłużej mi się przypatrywał.

Poza tym było mi zimno i chciałam schronić się gdziekolwiek przed mglistą aurą listopadowego chłodu.

– Jest takie przyjemne miejsce, w którym bywam dość często. Chciałbym tam panią zabrać.

– Co to za miejsce?

Uśmiechnął się.

– Czy salon madame Le Bon coś pani mówi?

– Oczywiście, że nie! – odparłam chyba nieco zgorszonym tonem, bo zaśmiał się pobłaźliwie.

– Tak myślałem. Więc za chwilę będzie pani miała sposobność poznać osobiście właścicielkę, która jest mistrzynią wyjątkowych przyjęć. Ale spokojnie, nic złego się tam pani nie stanie. Osobiście dopilnuję, żeby nikt się pani nie naprzykrzał.

Podał mi ramię i poprowadził przed siebie.

Salon madame Le Bon mieścił się na tyłach reprezentacyjnej kamienicy na Nowym Świecie. Wchodziło się doń przez kutą bramę; dwóch lokajów w liberjach z herbami, których nie rozpoznawałam, zaprowadziło nas do wnętrza. Oczywiście

wiedziałam, że w Warszawie jest sporo salonów towarzyskich o różnym charakterze oraz renomie, bo plotkowano o nich po cichu na przyzwoitych i skromnych podwieczorkach. Nigdy jednak nie miałam sposobności – ani ja, ani żadna z moich koleżanek – gościć w takim miejscu.

– Może pani przebywać tu incognito – powiedział Kirsanov, wręczając mi złotą, misternie zdobioną piórami maseczkę.

Popatrzyłam na niego zaskoczona, a on uśmiechnął się i niedbale wzruszył ramionami.

– Chyba że panna chce zostać rozpoznana.

„Czyżbym miała spotkać tu kogoś, kogo znam?” – pomyślałam z pewną obawą.

Pozwoliłam, żeby zdjął z mojej głowy kaptur i nałożył mi maseczkę tak, że odsłonięte miałam jedynie usta i podbródek. Lokaj przejął ode mnie pelerynę i teraz stałam przed kapitanem w pięknej aksamitnej sukni, z twarzą skrytą za złotą materią. Kirsanov przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a ja z każdą upływającą sekundą czułam się coraz bardziej niepewnie. Powtarzałam sobie w myślach, że muszę wziąć się w garść i opanować. Modliłam się również, żeby mój towarzysz nie próbował mnie dotykać, bo tego bym nie zniosła.

– Chodźmy – rzekł i podał mi ramię.

Ujęłam je sztywno i pozwoliłam, żeby poprowadził mnie do salonu.

Drzwi rozwarły się szeroko, a ja znalazłam się nagle w innym świecie.

Od ścian i kryształowych kandelabrow bił złoty blask, odbijający się w taflach dziesiątek luster o różnych kształtach. Pod ścianami bogato zdobionymi sztukaterią stały wygodne, wyściełane barwnymi poduszkami sofy, zachęcające do spoczynku. Wielu gości z tego skorzystało: wylegiwali się w niedbałych pozach, dalekich od norm obowiązujących w towarzystwie. Część obecnych, podobnie jak ja, miała na twarzach wymyślne maseczki, ale byli i tacy jak kapitan Kirsanov, którzy nie czuli potrzeby ukrywania swojej tożsamości. W powietrzu czuć było ciężki zapach perfum zmieszany z duszną i ostrą wonią papierosów oraz zmysłowego opium.

Poczułam się oczarowana i jednocześnie onieśmielona tym miejscem. Rozglądałam się wokół, próbując wyłowić wzrokiem kogoś znajomego, gdy podszedł do nas kolejny lokaj w wyszywanej złotem liberii i podał na tacy lśniące kryształowe kieliszki napełnione przejrzystym trunkiem. Kirsanov wziął jeden dla mnie, a drugi dla siebie.

– Za początek naszej obiecującej znajomości, Klaro. – Wzniósł toast, uśmiechając się do mnie szelmowsko.

Pomyślałam, że zachowywał się tak, jakby był tu stałym bywalcem, i nagle, jak na potwierdzenie moich przypuszczeń, wyrosła przed nami zjawiskowa kobieta w bogato zdobionej sukni i wytwornych klejnotach, z szerokim uśmiechem na ustach. Chyba nigdy dotąd nie widziałam tak urodziwej damy, od której biłaby aż

taka zmysłowość. Cała jej postać kusząco zniewalała. Piękne fiołkowe oczy zarzyły się w blasku świec i lamp, a złote włosy skrzyły, poprzetykane siatką lśniących kamieni. Kobieta miała idealnie kształtne ciało z nadzwyczaj szczupłą talią, której pozazdrościłaby jej niejedna panna, i bujny biust dumnie podkreślony stanikiem sukni.

– Sasza, a kogóż nam tu przyprowadziłeś? – spytała gardłowym głosem, mierząc mnie uważnym wzrokiem od stóp do głów.

– Olgo, poznaj Klarę – rzekł Kirsanov z szerokim uśmiechem i natychmiast zwrócił się do mnie. – Klaro, to madame Olga Le Bon, moja przyjaciółka i właścicielka salonu.

Skinęłam lekko głową na powitanie, a madame Le Bon roześmiała się perliście.

– Niech cię nie zmyli moje francuskie nazwisko, gołąbeczko. Jak się domyślasz, jestem dumną Rosjanką, ale miałam przyjemność być żoną niezwykle majątnego zabojada prosto w Paryżu. A teraz mam jeszcze większą przyjemność być wdową po nim. – Zaśmiała się znowu. – Rozgość się u mnie, gołąbeczko. Mój salon otwiera przed tobą swoje skromne progi. Nie żałuj sobie niczego i zapomnij o wstydzie. Tu wszystko można i wszystko zostaje między nami. – To mówiąc, przymilnie wtuliła się w ramię kapitana, a ten, nie zważając na moją obecność, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Nie był to przyjacielski pocałunek. Patrząc na nich, miałam wrażenie, że oboje zatracili się w tym zmysłowym tańcu warg i języków. Ale oni nagle oderwali się od siebie z głośnym śmiechem. Poczułam się zazenowana i mimo woli zaczerwieniłam się. Jedynym pocieszeniem było to, że pod złotą maseczką Kirsanov nie mógł dostrzec moich rumieńców.

– Z Saszą na pewno nie będziesz się nudzić, gołąbeczko – zaszemrała zmysłowo Olga i zniknęła w tłumie.

Kirsanov poprowadził mnie w głąb lokalu. Przyglądałam się gościom, którzy w salonie madame Le Bon czuli się nadzwyczaj swobodnie. Skupieni w grupkach, śmiali się i dyskutowali żywo, popijając trunki i zajadając wykwintne przystawki. O dziwo, pomimo że w tle pobrzmiwała muzyka, wśród rozmów prowadzonych w języku rosyjskim dosłyszałam również polski i litewski, oczywiście zgrabnie przetykane modnym francuskim i angielskim.

– Na co masz ochotę? – spytał Kirsanov uprzejmym tonem, nie opuszczając mnie na krok.

– Nie wiem, czuję się odrobinę oszołomiona.

Starłam się puścić mimo uszu, że zaczął się do mnie zwracać per „ty”, bo dopóki skrywałam twarz za złotą maską, było mi to obojętne.

– Więc jednak cię zaskoczyłem?

– Owszem – przyznałam, choć nie wiedziałam jeszcze, czy to było pozytywne zaskoczenie.

Na pewno nie podobało mi się, że poufale objął mnie ramieniem w tali i nieznacznie przyciągnął do siebie, jakbym była jego własnością. Chciałam zaprotestować, ale wtedy podeszli do nas mocno już wstawieni znajomi kapitana i bez cienia żenady zaczęli się z nim serdecznie witać.

– Sasza! A co za piękność przyprowadziłeś?

Świdrowali mnie ciekawskimi spojrzeniami bez grama powściągliwości. Miałam wrażenie, że ostentacyjnie oceniają mnie wzrokiem i z zaciekawieniem spoglądają na moje usta, szyję i dekolt. Poczulałam się jak eksponat w muzeum albo jeszcze gorzej – jak niewolnica na targu, której zagląda się w zęby.

– Klara jest tu pierwszy raz, więc bądźcie mili i wyrozumiali – wyjaśnił mój towarzysz i wzmocnił uścisk na mojej talii.

Być może uważał ten gest za opiekuńczy, ja jednak uznałam to za zbyt dużą zuchwałość.

– Ma się rozumieć! Nie spłoszymy dziewczyny, a jedynie zachęcimy ją do zabawy!

– Róbcie to jednak z poszanowaniem jej skromności – dodał z naciskiem Kirsanov, a ja poczułam się już nie jak niewolnica, ale jak dziewczyna przed nocą poślubną.

Choć prawdą było, że doświadczenie w tak swobodnych rozrywkach miałam dość marne.

Kapitan odsunął mnie od towarzystwa, które po chwili zniknęło za brokatową zasłoną prowadzącą do innego pokoju, i posadził mnie na najbliższej sofie. Zrobił to z nadzwyczajną delikatnością, ale ja i tak czułam się w jego rękach jak kukielka w teatrze lalek. Nie umiałam się sprzeciwić: z jednej strony trochę się go obawiałam, z drugiej wiedziałam, że muszę zacieśnić z nim znajomość, żeby zdobyć jakiegokolwiek informacje na temat Jędrzeja. Po cichu liczyłam na to, że tego wieczora Kirsanov wypije sporo alkoholu i że rozwiąże mu się język. Sama postanowiłam bardzo się pilnować, żeby nie przesadzić z trunkami.

Kirsanov rozsiadł się wygodnie i wyjął z kieszeni złotą, finezyjnie grawerowaną papierośnicę. Myślałam, że sam chce zapalić, ale on poczęstował mnie. Przyjęłam papierosa z przyjemnością.

– Niegrzeczna dziewczynka – skwitował z uśmiechem, kiedy zaciągnęłam się rozkosznie. – Powiedz tylko słowo, a przyniosę ci coś mocniejszego.

Pokręciłam przecząco głową. Nawet jeśli propozycja zapalenia opium była kusząca, nie mogłam na nią przystać, bo musiałam zachować trzeźwy umysł.

– Dlaczego pan mnie tu przywiódł? – spytałam bez ogródek, próbując choć odrobinę się rozluźnić.

Musiałam przyznać, że swobodna atmosfera tego miejsca zaczęła wpływać również na mnie. Służący podał mi kieliszek z czymś słodkim, o korzennym

aromatycznym zapachu, a ja, upiwszy łyk i zaciągnąwszy się wybornym papierosem, rozsiadłam się wygodniej na sofie.

– Bo lubię towarzystwo pięknych kobiet – odparł bez ogródek kapitan. – Bardziej ciekawi mnie jednak, jak ty znalazłaś w sobie tyle odwagi, żeby mi towarzyszyć.

– Źle mnie pan ocenia. To nie odwaga, lecz po prostu... ciekawość.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Czy nie to tłumaczy wam na tych waszych pensyjkach dla grzecznych dziewcząt?

Zaśmiałam się, choć moje policzki spurpurowiały z powodu nagłego zdenerwowania.

– Wyjaśniliśmy sobie przed chwilą, że nie jestem grzeczną dziewczynką – odparłam odważnie, choć w środku czułam coś zupełnie innego.

Prowokowałam go, stąpałam na krawędzi przyzwoitości – ale wiedziałam, że on tego właśnie oczekuje. Jeśli zacznę się bać, znudzi się mną.

Zmrużył oczy. Miałam przeczucie, że tym razem nie do końca mi uwierzył.

– Zobaczmy... – mruknął. – Chodź, Klaro, zatańczymy. To cię rozluźni, bo wciąż jesteś spięta. – Wyjął mi z rąk kieliszek oraz papierosa i odłożył na pobliski stolik.

Pozwoliłam mu poprowadzić się do drugiej sali, gdzie głośniejsz grała muzyka. Na parkiecie kołysało się ledwie kilka par, bo większość zabawiała się rozmową. Z sali tanecznej wychodziły rozwarte na oścież kolejne drzwi; w dalszym pomieszczeniu, przy karcianych stolikach, toczyły się zażarte pojedynki, okraszane gromkimi okrzykami albo śmiechem. Panowie grali w karty, a ich piękne, wystrojone towarzyszkę otaczały ich wianuszkami i dopingowały – każda swojego partnera.

Kirsanov poprowadził mnie na środek sali, po czym bez uprzedzenia położył dłoń na mojej talii i przyciągnął do siebie tak blisko, że nasze twarze oddzielało ledwie kilka centymetrów. Uniosłam wzrok i napotkałam na jego usta, które chwilę temu tak namiętnie całowały madame Le Bon. Chyba wyczuł, że zadrżałam, bo przyciągnął mnie do siebie jeszcze mocniej.

Tłumiąc w sobie narastającą niechęć, położyłam dłoń na jego ramieniu i pozwoliłam, żeby ruszył ze mną w rytm walca. Staralam się na niego nie patrzeć, lecz przez cały czas czułam skupiony na sobie jego wzrok. Przyglądał mi się uważnie, przenikliwie, ale usta miał mocno zaciśnięte, jakby przed czymś się powstrzymywał. Nagle ścisnął gwałtownie moją dłoń, sprawiając mi tym ból.

– Dlaczego naprawdę tu jesteś, Klaro? – wyszeptał mi prosto do ucha, a jego głos przypominał syk węża.

Słyszając te słowa, poczułam, jak znów robi mi się gorąco ze zdenerwowania.

– Bo mnie pan zaprosił – odparłam zgodnie z prawdą, usiłując powstrzymać nerwy.

Uśmiechnął się krzywo.

– Tak po prostu?

– Tak...

– Nieprawda. Przecież mną gardzisz. Widzę to w twoim spojrzeniu, czuję w dotyku. Chętnie naplułabyś mi w twarz, gdybyś tylko mogła.

Popatrzyłam mu w oczy. Miał rację. Gardziłam nim i najwyraźniej nie umiałam tego ukryć. Jednak uporczywa myśl, że mój przyjaciel leży gdzieś ranny, być może nawet umiera, odbierała mi resztki zdrowego rozsądku.

Poczułam, jak Kirsanov wzmocnił uścisk palców, jakby chciał mi zmiażdżyć dłoń.

– Ktoś taki jak ty nie spotyka się z rosyjskim oficerem bez powodu – wyszeptał chrapliwie.

– Ktoś taki jak ja? – spytałam głupio i przełknęłam ślinę.

Wciąż płynnie wirowaliśmy w rytm walca i mimo zdenerwowania nawet nie zgubiłam kroku.

– Widziałem cię na placu Grzybowskiem – rzekł bez wahania.

Zesztywniałam w jednej sekundzie.

– Widziałem też, jak uciekałaś – dodał.

– Nie było tam pana – odparłam pewnym tonem.

– Byłem. Stałem z boku i patrzyłem, jak moi dragoni rozprawiają się z polską hołotą. Chyba nie sądzisz, że ubrudziłbym sobie gwardyjską szablę krwią zwykłego robotnika?

Nogi się pode mną ugięły. Kapitan najwyraźniej wyczuł moje zdenerwowanie, bo tym razem zacisnął silniej palce na mojej talii. Odwróciłam od niego twarz, ale jednym ruchem dłoni zmusił mnie, żebym znów na niego spojrzała.

– Czego ode mnie chcesz, moja piękna? – spytał.

Poczułam przyspieszone bicie własnego serca.

– Chciałabym wiedzieć, co stało się z kimś bardzo mi bliskim – odpowiedziałam szczerze, postanawiając grać w otwarte karty. – Ten ktoś został postrzelony i aresztowany podczas demonstracji.

Kirsanov zmarszczył brwi.

– I ja miałbym udzielić ci informacji na temat tego buntownika? – spytał drwiąco.

– Tak. Nic o nim nie wiem i bardzo się martwię.

– A nie martwiłaś się, kiedy postanowiliście wziąć udział w tej idiotycznej demonstracji? Przecież musiałaś być świadoma, jak to się skończy. Każdy przejaw anarchii tak się kończy.

Muzyka ucichła. Kirsanov zatrzymał się i sprowadził mnie z parkietu. Szłam za nim posłusznie, licząc na to, że jednak udzieli mi potrzebnych informacji. Tak naprawdę ulżyło mi, że wstęp miałam już za sobą i nie musiałam dłużej udawać.

Kapitan poprowadził mnie do niewielkiego pokoju sąsiadującego z salą taneczną. Panował tu półmrok, rozproszony jedynie niewielkim kandelabrem. Z początku nie wiedziałam, gdzie się znaleźliśmy, i dopiero po chwili, gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, spostrzegłam, że za półprzezroczystą zasłoną stało szerokie łóże. Jeśli dotąd panowałam na sobą choć trochę, to teraz mój lęk przeobraził się w paniczny strach. Domyśliłam się, po co Kirsanov mnie tu przywiódł. Jak mogłam być tak głupia i nie zauważyć, że chodziło mu wyłącznie o to?

– Nie zrobię ci krzywdy – rzekł, jakby chciał rozwiać moje obawy. – Na pewno nie zrobię nic, czego sama nie będziesz chciała.

Uniosłam dumnie głowę. Co on sobie myślał? Że z własnej woli wpadnę mu w ramiona? Że omdleję przed nim, pokonana jego męską urodą? Skoro tak uważał, to był skończonym idiotą.

– Więc po co tu przyszliśmy? – zachnęłam się.

– Żeby spokojnie porozmawiać. Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzać. Jeśli łóże za twoimi plecami cię peszy, to postaraj się nie patrzeć na nie.

Peszyło mnie, owszem. Choć Kirsanov zapewnił, że nie zrobi mi krzywdy, nie ufałam mu. Nie wiedziałam, czy nie zacznie mnie prowokować, a ucieczka stąd mogłaby się okazać trudna. Czy ktokolwiek w salonie madame Le Bon udzieliłby mi pomocy, gdyby ten łajdak próbował mnie zgwałcić? W końcu każdy z tu obecnych był mu przychylny, a ja pozostawałam obca.

Z kolei Kirsanov czuł się w tym pokoju nadzwyczaj swobodnie; wiedział nawet, gdzie w pokrytej orzechową boazerią ścianie ukryty jest barek. Wyjął karafkę i nalał trunku do dwóch kieliszków. Podał mi jeden z nich.

– Kto to jest? – spytał bez ogródek, rozsiadając się w wysokim fotelu.

Ja nie miałam gdzie usiąść, bo jedynym wolnym miejscem do spoczynku było łóże. Postanowiłam więc, że będę stała, stwierdziwszy w duchu, że cała dotychczasowa kurtuazja kapitana nagle gdzieś się ulotniła.

– Nazywa się Jędrzej Witebski.

Kirsanov zmrużył oczy.

– I skąd masz pewność, że został aresztowany? Może uciekł i gdzieś się ukrywa?

– Widziałam, jak jeden z żołnierzy wziął go na konia i odjechał z placu. Wiem, że sporo ludzi aresztowano i pewnie Jędrzej jest wśród nich. Chciałabym pozyskać informacje, czy nic mu nie jest, bo kiedy widziałam go po raz ostatni... był ciężko ranny.

Kirsanov dopił alkohol i odstawił kieliszek na stolik.

– Kim on jest dla ciebie, że tak się martwisz? – spytał i znów usłyszałam w jego głosie ten nieprzyjemny, drapieżny ton.

Poczułam przebiegający mi po plecach dreszcz.

– To mój narzeczonny – skłamałam z nadzieją, że to wyznanie ostudzi wszelkie zapędy Rosjanina wobec mojej osoby.

– Narzeczonny Jędrzej Witebski – powtórzył kapitan, cedząc słowa. – To będzie sporo kosztowało, moja panno. Takich informacji nie sprzedaje się tanio. Na pewno nie za kilka rubli, które oferowałaś mi przy naszym pierwszym spotkaniu.

Odetchnęłam głęboko.

– Czego pan chce?

– To chyba oczywiste, że pieniędzy mi nie potrzeba. – Zmierzył mnie wzrokiem – Chcę ciebie.

Siedział nieruchomo na fotelu, mierząc mnie przenikliwie, a ja poczułam narastający gniew. Mogłam się domyślić, że będzie próbował wykorzystać swoją przewagę nade mną. Modliłam się w myślach, by nie próbował mnie dotykać, choć wiedziałam, że to może się okazać jedynie pobożnym życzeniem.

– Nie spełnię pana lubieżnych zachcianek – odparłam sucho, broniąc się resztką dumy.

– Więc życie narzeczonego cenisz tak samo nisko jak życie tamtego wyrostka. Smutne. Czy budzę w tobie aż taki wstręt? Większość dam patrzy na mnie przychylnym wzrokiem, wręcz same pchają mi się w ramiona.

Odwróciłam od niego spojrzenie. Nie mogłam już znieść jego pałających oczu i cieszyłam się, że wciąż skrywam twarz pod maseczką, bo inaczej natychmiast dostrzegłby wymalowaną na niej pogardę.

– Mówiłem, że nie zrobię nic, czego byś nie chciała – kontynuował. – Ale jak inaczej chcesz dobić ze mną targu?

– Skąd mogę mieć pewność, że pan mnie nie oszuka?

– Bo daję ci żołnierskie słowo. A ono waży tyle, co honor.

Przez dłuższą chwilę rozmyślał nad czymś, rozparty w fotelu. Wreszcie wstał i nalał sobie kolejny kieliszek.

– Wypij – nakazał, widząc, że ten, który trzymałam w dłoni, wciąż był pełny. – Będzie ci łatwiej dobić ze mną targu.

Posłuchałam go i wypijałam trunek jednym haustem. Alkohol spłynął po moim przelyku gorącą lawiną i rozlał się po ciele.

– Dam ci informacje, o które prosisz – rzekł w końcu Kirsanov. – Dowiem się, co z twoim narzeczonnym. Ale w zamian... chcę na ciebie popatrzeć.

– Co takiego? – Prawie zakrztusiłam się własnym zaskoczeniem.

– To, co słyszysz. Nie będę cię dotykał, bo nie lubię w łóżku kobiet, które są mi niechętne. Chcę cię tylko zobaczyć. Całą.

Oniemiałam. Nigdy dotąd nikt nie złożył mi tak szokująco nieprzyzwoitej propozycji.

– To chyba uczciwa cena – kontynuował. – Nie naruszę twojej cnoty, ale zyskam coś, na czym mi zależy.

- To... obrzydliwe – wyjąkałam.
 - Skądże znowu! – odparł kpiąco. – Widziałaś się w lustrze, Klaro? Jesteś piękna, nie ma w tobie nic obrzydliwego.
 - Ta propozycja jest obrzydliwa! – Nie wytrzymałam.
 - Dla mnie jest przede wszystkim uczciwa. Poza tym również przymknę oko na to, że sama brałaś czynny udział w tej żalösnej demonstracji, choć powinienem cię za to natychmiast aresztować... – Zrobił krótką pauzę, jakby chciał, żeby jego słowa właściwie wybrzmiały. – Ale oczywiście decyzja należy do ciebie. Nie chcę, abyś myślała, że cię do czegokolwiek zmuszam.
- Wstał z fotela i zbliżył się do mnie. Chyba wyczuł, że zadrzałam.
- To jak? Umowa stoi?

ROZDZIAŁ 12

Zgodziłam się na nedorzeczną propozycję kapitana Kirsanova, a on obiecał, że w zamian dowie się, co z Jędrzejem, a jeśli mój przyjaciel rzeczywiście przebywa w areszcie, to nawet zorganizuje mi widzenie.

Od tamtej chwili nie mogłam zaznać spokoju. Snułam się jak cień, analizowałam wszelkie możliwe strony naszego układu i rozmyślałam nad tym, czy w ogóle się na to zdobędę. Nie byłam pruderyjna ani wstydliva, nie byłam nawet dziewicą, ale już sama wizja tego, że mam obnażyć się przed obcym mężczyzną wyłącznie dla jego perwersyjnej przyjemności, wydawała mi się mocno niemoralna. Pożałowałam tej decyzji zaraz po tym, gdy się na nią zgodziłam, ale czy miałam wybór? Przecież Jędrzej dla mnie uczyniłby o wiele więcej. Na tym polegała przyjaźń – na bezwarunkowym poświęceniu.

Dwa dni później dostałam krótką, acz treściwą wiadomość, której wypatrywałam w pełnym napięciu oczekiwaniu:

Dziś wieczorem przyślę po Ciebie dorożkę. Jestem gotowy wypełnić swoją część umowy.

*Z poważaniem
A. K.*

Przeczytałam ją kilka razy, czując na plecach dreszcz. Obiecałam sobie, że wezmę się w garść i nie będę histeryzować, a skupię się wyłącznie na perspektywie związanej z Jędrzejem.

Jak na złość, tego wieczora moja matka postanowiła zaprosić na kolację swoją daleką kuzynkę, która przybyła ze Lwowa.

– Liczę, że będziesz nam towarzyszyć – oświadczyła, kiedy szykowałam się, by odwiedzić Mariannę, która wróciła już do domu ze szpitala.

Miałam nadzieję, że wizyta u przyjaciółki nieco zmniejszy moje zdenerwowanie i uciszy galopujące myśli, bo nie potrafiłam się na niczym skupić.

– Wieczorem mam zajęcia – odparłam.

To nie było kłamstwo, choć akurat dzisiaj nie zamierzałam uczestniczyć w wykładach.

Mama siedziała w fotelu z robótką i haftowała srebrną nicią obrus oraz serwetki na zbliżające się wielkimi krokami Boże Narodzenie. Chwilę wcześniej wydała gosposi szczegółowe polecenia odnośnie do kolacyjnego menu.

– Jedna nieobecność nie powinna ci w niczym zaszkodzić, a w dobrym tonie jest przywitać się z Joanną. Poza tym ojciec wyraża głębokie niezadowolenie faktem, że wieczorami nie ma cię w domu. Podejrzewa, że spotykasz się z jakimś podejrzanym towarzystwem i nawet mu się nie dziwię. Po twoim ostatnim udziale w tej manifestacji...

– Z nikim się nie spotykam – odparłam z nerwem w głosie.

Bardzo chciałam wyjawić matce albo komukolwiek, że dziś jadę zobaczyć się z Jędrzejem, wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić. Przynajmniej do czasu, aż nie uzyskam pewności, że z moim przyjacielem wszystko w porządku.

– To bardzo niebezpieczne, że chodzisz na te swoje zajęcia wieczorami. Coś może ci się stać, ktoś może wyrządzić ci krzywdę.

– Nie boję się – odparłam z przekonaniem.

Matka zacisnęła usta.

– To nie jest kwestia strachu, tylko przyzwoitości. Sama wiesz, co spotkało Marię Domańską.

– Mamo! Chyba nie sugerujesz, że Maria zaszła w ciążę podczas uniwersyteckich wykładów!

Matka zrobiła zgorzsną minę.

– Zawsze musisz być taka bezpośrednia! Nie ma w tobie ani krzty skromności! Swoją drogą zdaje się, że ojciec wciąż nie wie o twoim oszustwie matrymonialnym. Kiedy zamierzasz mu powiedzieć? A może ja powinnam to zrobić, skoro tobie brak poczucia przyzwoitości?

– Nie mów, proszę. – Mój ton stał się niemal błagalny. – Jeszcze nie teraz. Już i tak ojciec ukarał mnie, odcinając od pieniędzy. Nie chcę, żeby jeszcze... – Urwałam i bezsilnie spuściłam głowę.

Byłam zbyt przejęta perspektywą spotkania z Jędrzejem i tym, co mnie czekało później w towarzystwie Kirsanova, żeby móc rozmawiać z matką o błahych sprawach. Gdyby mama wiedziała, jaką cenę muszę zapłacić w zamian za upewnienie się, że mój przyjaciel żyje, wypędziłaby mnie z domu. Dla niej coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

– I jeszcze w tym wszystkim martwię się o Jędrzeja – wyznałam. – Nie wiem, czy nic mu nie jest, a mówienie na głos o tym, że jestem jego narzeczoną, może mi pomóc w zdobyciu jakichkolwiek informacji. Przecież narzeczonej wolno więcej niż przyjaciółce.

Mama zacisnęła usta.

– A ta panna Downarówna? Czy ona też uważa się za jego narzeczoną? – spytała kpiąco i nie oczekując odpowiedzi, wróciła do swojej robótki.

Zezłościłam się, że w ogóle wspomniała o tej dziewczynie. I nie, nie byłam zazdrosna; kierował mną tylko zdrowy rozsądek, bo akurat ta panna wyjątkowo mi nie leżała. Znałam ją, owszem, choć słabo. Musiałam przyznać, że była dość ładna, ale za to płochliwa i skromniutka jak szara myszka. Nie wyobrażałam sobie, że ktoś tak nijaki mógł usidlić Jędrzeja. Już chyba wolałabym widzieć przyjaciela w ramionach Marianny.

Za to Marianna czuła się już dużo lepiej. Rana na głowie goiła się szybko i po tamtym wypadku pozostał już jedynie bolący przy dotyku guz. Minęły jej także mdłości, przez które zachodziła obawa wstrząśnienia mózgu.

Moja przyjaciółka bez ogródek wyznała mi, że przed wyjściem ze szpitala rozmawiała z doktorem Sieradzkim o niewiadomym losie Jędrzeja i okazało się, że doktor rzeczywiście znał kogoś, kto regularnie zajmował się aresztantami w Cytadeli.

– Widział Jędrzeja? – spytałam pełna nadziei i zarazem obawy.

– Niestety. Nic nie wie o Jędrzeju, ale obiecał, że zapyta swojego znajomego i gdy się czegokolwiek dowie, da mi znać. Widzę, że się martwisz. Ja też. Jednak uważam, że i tak było warto.

Popatrzyłam na Mariannę, unosząc wysoko brwi.

– Co było warto?

– Iść na tę demonstrację. Walery Sławek miał rację, mówiąc, że nie można siedzieć bezczynnie i godzić się na ucisk. Doktor Sieradzki, choć opatrywał wielu rannych po manifestacji, również przyznał, że ten zryw był bardzo ważny, bo od powstania styczniowego nikt się na coś podobnego nie odważył.

W innych okolicznościach pewnie miałabym takie samo zdanie, ale teraz, kiedy krążyłam myślami wokół niewiadomego losu Jędrzeja, żałowałam, że nie mogę cofnąć czasu.

– Naiwne gadanie – odburknęłam.

Chciałam jeszcze dodać, że nie wiem, skąd u niej taki entuzjazm, skoro też została ranna i o mało nie przypłaciła tamtej decyzji życiem, ale uznałam że dyskusja z Marianną w tej chwili jest bezcelowa, bo przyjaciółka była nadzwyczaj patriotycznie natchniona.

– Doktor obiecał, że odwiedzi mnie jutro, by zapytać o zdrowie.

Zaśmiałam się.

– Więc jednak wpadł ci w oko. A jak to się ma do uroczystej przysięgi, by nigdy nie wychodzić za mąż? – zadrwiłam z uśmiechem.

– Och, nie bądź taka zasadnicza. Jak się zakochasz... – umilkła gwałtownie, gryząc się w język, i spłonęła szkarłatnym rumieńcem.

– Więc się zakochałaś?!

– Nie, no co ty! Doktor Sieradzki to po prostu bardzo miły i troskliwy mężczyzna. Dzięki niemu pobyt w tej okropnej, urągającej wszelkim normom lecznicy był nieco bardziej znośny.

– A przystojny chociaż ten twój doktor?

Oczy Marianny momentalnie rozbłyły.

– Nawet nie wiesz jak bardzo!

Zaśmiałam się. Trochę zazdrościłam jej dobrego nastroju i entuzjazmu, bo sama czułam jedynie nieznośne napięcie związane z tym, co czeka mnie wieczorem.

* * *

– Spróbuj się rozluźnić. Przecież sama tego chciałaś. – Głos kapitana w kabinie dorożki brzmiał nieznośnie irytująco.

Nie mogłam na niego patrzeć, więc ukrywszy twarz w kapturze peleryny, zaglądałam przez zabrudzone okienko powozu na ciemne o tej porze ulice Warszawy.

Bardzo chciałam zobaczyć Jędrzeja, jednak na wieść, że moje podejrzania się sprawdziły i osadzono go w Cytadeli, wcale nie poczułam się lepiej. Nie było chyba w Warszawie rodziny, która z trwogą nie powtarzałaby dramatycznych historii o traktowaniu więźniów w tym strasznym miejscu.

– Jak on się czuje? – spytałam, kiedy kapitan z cyniczną szczerością i bez krzty współczucia wyznał mi, czego dowiedział się na temat Jędrzeja i ciężących na nim zarzutów.

Jędrzej został aresztowany za czynny udział w antycarskiej demonstracji oraz za przynależność do anarchicznej grupy podburzającej do przewrotu.

– A jak ma się czuć? – rzekł opryskliwie. – Popełnił poważne przestępstwo, więc spotkało go to, na co sromotnie zasłużył. Raczej nie powinno cię to dziwić. – Zmierzył mnie zimnym spojrzeniem. – Tak naprawdę ty też powinnaś zostać zamknięta za udział w tej demonstracji.

– Więc niech mnie pan aresztuje! – odburknęłam drwiąco.

– Nie wiesz, co mówisz, Klaro – odpowiedział spokojnie. – Nie domagaj się czegoś, co może stać się twoim przekleństwem. Radziłbym ci również powściągnąć twoje rewolucyjne zapędy, bo ktoś inny może być dla ciebie mniej pobłażliwy ode mnie.

Nie znalazłam na to riposty, bo zdawałam sobie sprawę, że Kirsanov ma rację. Tak naprawdę niezłe mi się poszczęściło, że trafiłam na niego i że z jakiegoś powodu ten Rosjanin potraktował mnie ulgowo.

Przemknęło mi przez myśl, że mama nie wybaczy mi nieobecności na kolacji z kuzynką Joanną, ale nie mogłam postąpić inaczej. Obiecałam sobie jednak, że

jak to wszystko się skończy i jak tylko Jędrzej wróci do domu, wyznam jej całą prawdę i przeproszę.

Wieczór był zimny i ponury. Za oknem panował mrok, a z ciężkich ołowianych chmur, spod których tylko raz po raz wylaniał się blady księżyc, padał rześisty deszcz.

Dorożka, kolebiąc się na mokrym bruku, w którymś momencie dotarła pod stok Cytadeli Aleksandrowskiej, wzniesionej przez cara Mikołaja I po powstaniu listopadowym. Stok Cytadeli przyjął już wiele polskich istnień; wiele patriotycznych dusz uleciało z tego straszego miejsca po publicznej egzekucji, jak chociażby pięciu członków Rządu Narodowego w 1864 roku z generałem Romualdem Trauguttem, dyktatorem powstania styczniowego, na czele.

Przez okienko powozu widziałam jedynie ciemny zarys złowieszczej twierdzy, która dla każdego warszawiaka była symbolem ucisku i przedsionkiem dalekiej Syberii. Za jej grubymi murami, straszącymi otworami strzelniczymi i zamczystymi bramami, skrywało się tysiące ludzkich jęków i boleści, tysiące gorących dla zniewolonej Polski serc i charakterów, które brutalnie łamano w imię cara. Zadrżałam, wyobrażając sobie, że taki okrutny los stał się również udziałem mojego drogiego Jędrzeja.

– Twój narzeczony przebywa w dziesiątym pawilonie – usłyszałam suchy głos Kirsanova.

Westchnęłam bezgłośnie i zacisnęłam pięści. To tam przetrzymywano więźniów politycznych. Tam trafiali wszyscy oskarżeni o udział w spiskach antyrosyjskich i niepodległościowych, i to oni w pierwszej kolejności byli zsyłani na Syberię albo zabijani po wyrokach, po tym, jak uznano ich za najgroźniejszych buntowników.

– Czy będę mogła spotkać się z nim na osobności? Bez świadków? – spytałam, ale Kirsanov nie odpowiedział.

Powoli dojeżdżaliśmy do pierwszej bramy. Szare, złowieszcze w mroku okopy okalające twierdzę, stawały się coraz wyraźniejsze. Słyszałam odgłos ciężko opadającego mostu, zgrzytnęły grube łańcuchy i wtoczywszy się na deski, przejechaliśmy przez wielką ziejącą dziurę, przy której stali uzbrojeni wartownicy. W jednej chwili ogarnął mnie chłód, bo miałam wrażenie, jakbym rozstawała się z dotychczasowym światem i właśnie przekraczała wrota piekieł. Zerknęłam na mojego towarzysza, ale w ciemności nie widziałam jego twarzy, a jedynie ponury zarys ostrego profilu.

Przejechaliśmy wolno obok wojskowych koszar, cerkwi i jakiegoś pomnika i zatrzymaliśmy się tuż przed słynnym pawilonem.

– Pójdiesz sama. Zaprowadzi cię strażnik. Masz dziesięć minut – rzekł kapitan beznamiętnym tonem.

Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem.

– Nie panikuj i nie próbuj żadnych sztuczek – dodał jeszcze. – Nie zapominaj, gdzie jesteś.

– Sugeruje pan, że mogłabym stamtąd już nie wyjść? – spytałam z drwiną.

– Sugeruję jedynie, żebyś była ostrożna. To nie wizyta u starej ciotki ani miłosna schadzka, a spotkanie z więźniem. Z pominięciem procedur prawa – dokończył dobitnie.

Podkreślił to chyba wyłącznie po to, żebym była mu głęboko wdzięczna za poświęcenie, jakie dla mnie uczynił. Ja jednak widziałam to inaczej. Domyślałam się, że z władzą, jaką posiadał w strukturach militarnych, bez problemu mógł wprowadzić do więzienia kogo tylko chciał i raczej nikt nie stanąłby mu na drodze, prócz samego generała-gubernatora.

Kiedy wysiadłam z powozu, owionęło mnie zimne i wilgotne powietrze. Potoczyłam wzrokiem po okolicy, po mokrych od deszczu dachach twierdzy – i zadrżałam. Jak to możliwe, że Jędrzej – mój urodziwy salonowy piesek, jak nieraz go żartobliwie nazywałam – teraz siedział zamknięty w takim miejscu?

Strażnik, który wyszedł mi na spotkanie, nakazał mi krótko i bez zbędnych uprzejmości, że mam iść za nim. Weszliśmy do ciemnego i zimnego korytarza, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy ciężkich żelaznych drzwi – jak się domyśliłam, prowadzących do cel. Strażnik zatrzymał się przed jedną z nich i przesunął zgrzytliwie zasuwę, po czym dał mi gestem znak, że mam wejść do środka. Zrobiłam to z drżeniem, niemal na wdechu, nie wiedząc, czego mogę się spodziewać.

Już w progu uderzyła mnie ponurość miejsca. Na kulawym stole, pod malutkim zakratowanym okienkiem, stała niewielka lampa naftowa; kaganek ledwo się tlił, nie dając wiele światła. Do stołu dostawiony był jeden zydel, a pod szarą ścianą widniało żelazne łóżko pokryte słomianym siennikiem. I to na nim leżał Jędrzej.

W pierwszej chwili go nie poznałam, bo skulony pod szarym kocem wydał mi się mały i nadzwyczaj wąty. Rozpoznałam za to jego jasne, choć teraz brudne i skołtunione włosy oraz kontury męskiej twarzy. Ścisnęło mnie gwałtowne wzruszenie, a serce zadudniło w piersi. Uklęłam przed nim z drżeniem i zacisnęłam usta, żeby nie jęknąć z trwogi. Delikatnie dotknęłam jego zimnej twarzy.

Żył i to było najważniejsze.

– Jędrus? Kochany... To ja, Klara. – Błądziłam palcami po jego zarosniętym policzku i splątanych włosach, a on stęknął i poruszył się nieznacznie.

– Klara... – Jego głos zabrzmiał ochryple, przytłumiony bólem. – Jak ty tu...

– Ciii... Jestem przy tobie.

Pochyliłam się nad nim i dotknęłam drżącymi ustami szorstkiej skroni. Poczulałam bijący od mojego przyjaciela mdły zapach potu i zaschniętej krwi. Żal i poczucie głębokiej bezradności zaparły mi dech. Z trudem panowałam nad łzami,

które zbierały się pod powiekami, ale wcześniej obiecałam sobie, że nie będę płakać. Nie w jego obecności. Przecież jestem tu wyłącznie po to, żeby dać mu siłę, a nie lamentsy.

Jędrzej z trudem odwrócił się do mnie i otworzył oczy. Twarz miał nabrzmiałą, a wargi spierzchnięte. Widziałam, że poruszanie nimi sprawia mu problem.

– Klara... – powtórzył cicho, a ja poczułam, jakby ktoś gwałtownie ścisnął moje serce.

Nie mogłam uwierzyć, że ten zbolący, chory człowiek to Jędrzej – mój przystojny, wiecznie uśmiechnięty przyjaciel. Był do siebie taki niepodobny. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam w jego twarzy tak głębokiej udręki.

– Klara... Jestem chory – wyjęczał, łapiąc oddech.

Skrzywił się boleśnie, a ja odsunęłam z jego piersi brudny koc i spojrzałam na obandażowane ramię. Przez dawno niezmieniany opatrunek przebijała szkarłatna, zaschnięta plama krwi.

– Był u ciebie lekarz?

– Był, ale...

– Jutro przyjdzie znowu – zapewniłam skwapliwie i rzeczywiście byłam w tej chwili gotowa poruszyć niebo i ziemię, byle następnego dnia ktoś ponownie opatrzył ranę Jędrzeja.

Wiedziałam, że będę zmuszona stoczyć o to batalię z Kirsanovem, ale nie zamierzałam odpuścić. Nagle wszelkie przejawy roztkliwiania się nad moralnością mojego układu z kapitanem wydały mi się śmieszne, bo w tej chwili byłam skłonna na wiele więcej niż tylko rozebranie się przed Rosjaninem – byle tylko uratować życie przyjaciela.

– Kochany mój, czy ktoś cię przesłuchiwał?

– Pró... bowali. Dzisiaj.

– Coś ci grozi? Mówili, kiedy cię wypuszczą?

Złapał gwałtownie powietrze.

– Sąd... – wykrztusił z wysiłkiem.

Zamarłam.

– Chcą cię postawić przed sądem? Za udział w demonstracji? – Wystraszyłam się.

Od razu skojarzyłam sytuację mojego brata, który też lata temu stanął przed carskim sądem, by zostać skazany na zesłanie. Na myśl, że to samo mogłoby spotkać Jędrzeja, zadygotałam z trwogi. Przecież on by tego nie wytrzymał. Ja bym tego nie wytrzymała.

Jędrzej znów jęknął boleśnie i odwrócił ode mnie spojrzenie.

– Jędrus, nie pozwolę na twoje skazanie. Nikt na to nie pozwoli. Twój ojciec ma pieniądze, zapłaci, ile trzeba. Do Bożego Narodzenia stąd wyjdiesz, tylko musisz być silny.

Jego twarz przeciął grymas udręki. Wiedziałam, że go boli, czułam to. Modliłam się w duchu, żeby w ranę nie wdało się zakażenie. Bo o ile mnie udzielono szybkiej pomocy, to w przypadku więźnia byłoby to z pewnością mocno utrudnione.

– Jesteś taka... stanowcza – wycharczał i zdawało mi się, że lekko się uśmiechnął.

Zdjęło mnie wzruszenie.

– To chyba oczywiste – odparłam ze śmiechem, choć chciało mi się płakać.

Ponownie pochyliłam się nad nim i pocałowałam go w policzek. Tak naprawdę chciałam całować go bez końca po całej twarzy, po włosach, bo wówczas zyskiwałam cudowną świadomość, że mam go bardzo blisko i wiem, że żyje. Że oddycha. Choć tak trudno było mi na niego patrzeć.

Chwycił mnie mocno za rękę i nasze palce splotły się ze sobą. W tym momencie pomyślałam, że pasują do siebie jak ulał. Zawsze pasowały.

– Jesteś... moim światłem – wyszeptał mi do ucha. – Jeśli umrę...

– Nie umrzesz! Już to ustaliliśmy.

– Jeśli... umrę – powtórzył. – To wiedz, że... – Odetchnął chrapliwie i spojrzał mi w oczy. Żałowałam, że w ciemności nie widzę dokładnie jego źrenic. – Kocham cię, Klaruś... Tylko ciebie jedną.

Nie mogłam na to nic powiedzieć, bo wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Wiedziałam to, czułam jego miłość od lat, ale dziś jego wyznanie dotknęło mnie szczególnie i wywołało jakąś tęsknotę, której nigdy dotąd nie doznałam. Przytuliłam się do niego, ale usłyszałam syk z bólu i odsunęłam się raptownie.

– Wybacz – wyjąkałam, ale on jedynie odetchnął i zamknął oczy.

Wstałam z siennika.

– Dowiem się, jak ci pomóc, jak cię stąd wydostać. Pójdę jutro do twoich rodziców i wspólnie coś wymyślimy.

Drgnął i pokiwał głową.

– Tylko nie mów mamie...

– Muszę. Ona bardzo martwi się o ciebie.

– Nie, Klaruś...

– Koniec widzenia! – usłyszałam rozkazujący ton strażnika.

Przeszyło mnie nagłe zimno.

Ostatni raz pochyliłam się nad Jędrzejem, opuszkami palców przesuwając po jego twarzy, jakbym chciała zapamiętać go na zawsze.

– Wrócę, obiecuję. Bądź silny.

– Klara... Dziękuję.

Ostatni dotyk ust na jego policzku... i strażnik ostro zarządził, że mam wyjść.

Opuściłam celę z ogłuszającym łoskotem zamykanych żelaznych drzwi i ruszyłam za strażnikiem przez ciemny korytarz dziesiątego pawilonu. Nie

opuszczała mnie myśl, że drugi raz Kirsanov z pewnością nie pozwoli mi się spotkać z Jędrzejem. Moje serce krwawiło.

Kapitan cierpliwie czekał na mnie w dorożce. W jego palcach żarzył się papieros; też chętnie bym zapaliła, żeby ukoić nerwy.

– Teraz twoja kolej na dopełnienie części umowy – rzekł spokojnie.

Usiadłam na wolnym miejscu obok niego.

– Mój narzeczony potrzebuje wizyty lekarza. Jest ciężko ranny – powiedziałam bez wahania.

– Lekarz już u niego był. Wyjęto mu z ramienia kulę i zagrożenie życia minęło. Powinnaś być wdzięczna, że nie pozwoliliśmy mu zdechnąć.

– Ale on...

– Klaro! – upomniał mnie sucho. – Jeszcze nie wypełniłaś swojej części umowy, a już stawiasz mi nowe warunki!

Zacisnęłam usta. Mierzył mnie jego zasadniczy ton, ten bijący od niego spokój, który paradoksalnie działał na mnie jak czerwona płachta na byka. Nie mogłam na niego patrzeć, mając świadomość, że tam, za grubymi murami Cytadeli, leży mój drogi przyjaciel, którego Kirsanov jednym rozkazem mógłby uwolnić, ale nie miał takiego zamiaru.

– Proszę jedynie o ludzkie traktowanie mojego narzeczonego. Czyba mam do tego prawo? – rzuciłam oschle.

– Porozmawiamy, jak zrobisz to, do czego się zobowiązałaś.

Niezadowolona odwróciłam twarz i zapatrzyłam się w ciemną noc za szybą. Przypomniałam sobie obraz Jędrzeja na wytartym sienniku. To, jaki był słaby... Tak bardzo chciałabym mu pomóc! Pod palcami wciąż czułam szorstkość zarostu na jego policzku. Pamiętałam, jak mocno uścisnął moją dłoń i jak wyznał mi, że mnie kocha.

Ledwo go opuściłam, a już za nim tęskniłam. I to bardziej niż poprzednio.

ROZDZIAŁ 13

– Czyś ty postradała rozum, córko?! Czy ja nie wyraziłem się jasno, mówiąc, że nie życzę sobie, abyś postępowała wbrew mojej woli? Za kogo ty się uważasz?

Westchnęłam ciężko, choć trudno mi było stłumić gniew, jaki we mnie narastał. Wyznałam ojcu prawdę o tym, że byłam w Cytadeli, ale nie zrobiłam tego po to, żeby robił mi wyrzuty, tylko żeby uzyskać jego pomoc w dalszym działaniu. Tymczasem on się wściekł, jakby życie Jędrzeja było mu zupełnie obojętne, bo liczyła się wyłącznie moja i jego reputacja.

– Narazisz nas na niebezpieczeństwo, a na moją firmę naślesz kontrole celników i innych rosyjskich urzędników. A wierz mi, że oni nie będą pobłażliwi! O nie! Jak tylko zorientują się, że przystajemy z rewolucjonistą, że próbujemy go ratować...

Zatrzęsłam się ze złości.

– Z jakim rewolucjonistą, papo? Przecież to Jędrzej! Mój...

– Przyjaciel – dopowiedziała matka suchym tonem, która dotąd znudzona przysłuchiwała się naszej kłótni.

Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami.

– Mamo... – zaczęłam zdumiona.

– Przyznaj się wreszcie, że nas oszukałaś! Jędrzej nie jest twoim narzeczonym. Nigdy nim nie był.

– Co takiego?! – Ojciec zamarł.

Widziałam, jak spurpurowiał na twarzy, a żyła na jego szyi zaczęła niebezpiecznie pulsować.

– Co to ma, do diabła, znaczyć?! – wrzasnął. – O czym twoja matka mówi?!

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, choć nie było to łatwe, bo dziś Dusia wyjątkowo mocno zasupłała mi na żebrach znieawidzony gorset.

– To, co słyszysz, papo. Jędrzej nie jest moim narzeczonym. – Machnęłam ręką. – Ale to nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Musimy go ratować!

– Do stu diabłów, nie pozwolę robić z siebie pośmiewiska!

– Nie będziesz dla nikogo pośmiewiskiem, papo, bo tak naprawdę nikt prócz ciebie i mamy nie wiedział o moich rzekomych zaręczynach – wyjaśniłam bez

cienia zażenowania.

Owszem, było mi przykro, że oszukałam rodziców, czułam się z tym źle, ale sami mnie do tego przymusili.

– Tym razem miarka się przebrała! Twoja samowola naraża nas na śmieszność, a za chwilę doprowadzi mnie do bankructwa, jak tylko Rosjanie zamkną moje magazyny. A zrobią to z całą pewnością, jeśli nadal będziesz wypuszczać się w towarzyskie odwiedziny do Cytadeli. I to do kogo?! Do przyjaciela! W głowie ci się przewracało, córko!

– Ojciec ma rację – wtrąciła mama bez cienia współczucia. – Wczoraj czekałyśmy na ciebie z Joanną przy kolacji, a ty w tym czasie znów robiłaś coś bardzo głupiego. Najpierw demonstracja, teraz więzienie, a co będzie następne? To wszystko jest dla nas powodem do wstydu i upokorzenia, Klaro. I jeszcze ta farsa z młodym Witebskim...

Wstałam z sofy, czując, że dłużej nie zniosę tych ataków.

– Oboje zmusiliście mnie do tego kłamstwa. Szczególnie ty, papo, chcąc wydać mnie za mąż za przypadkowego człowieka. Mam rozumieć, że wasze małżeństwo też było przypadkowe i zaaranżowane? To dlatego macie ze sobą tak mało wspólnego? To dlatego papy nigdy nie ma w domu, a mama szuka towarzystwa gdzie indziej? – Popatrzyłam na rodzicielkę z goryczą. – A ty, mamo? Wyszłaś za mąż, bo papa miał dość pieniędzy, żeby zapewnić ci wygodne życie?

– Jesteś bezczelna! – ryknął ojciec i ciężko opadł na fotel.

Mama, cała czerwona z nerwów, chwyciła się za szyję. Patrzyłam na nich i chciało mi się płakać z wściekłości i bezsilności.

– Rozumiem więc, że nie mogę liczyć na waszą pomoc? Czy tak? – Przełknęłam ślinę. – Masz wpływy, papo, znasz wielu ludzi, handlujesz z Rosjanami i układasz się z nimi, więc mógłbyś pomóc w uwolnieniu Jędrzeja!

– Układam się z tymi ludźmi, bo muszę, bo oni rządzą naszym zniewolonym krajem! Ale nie zniżę się do proszenia ich o pomoc, tak jak nie zniżyłem się do tego, kiedy mój jedyny syn został skazany na zesłanie! – wycharczał ojciec ze złością. – Nie masz prawa wytykać mi kontaktów, bo wiesz, że nikt bardziej ode mnie nie gardzi tymi ludźmi. A co do ciebie, moja panno, to przekroczyłaś granice tego, co dopuszczalne. Masz zakaz opuszczania tego domu aż do odwołania!

– Chcesz mnie zamknąć w areszcie domowym? – spytałam kpiąco, nie do końca wierząc w to, co właśnie usłyszałam.

Ojciec prychnął pogardliwie.

– Nazwij to, jak chcesz.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– Wcale nie prosiłem cię o zgodę! To moje polecenie! Rozkaz! I masz się dostosować!

Teraz i ja spłoniałam się z nerwów.

– Przykro mi, papo, ale nie zrobię tego – powiedziałam chłodno. – Nie dam się zamknąć. Mam naukę, a poza tym muszę pomóc Jędrzejowi.

– Ach, tak? W takim razie won z mojego domu! Natychmiast!

Matka z przerażeniem zerwała się z sofy.

– Ferdynandzie! To twoja córka!

– Która ma gdzieś własnych rodziców! – krzyczał ojciec, teraz już zupełnie nie panując nad sobą. – Która nas poniża i ośmiesza, a szczególnie mnie, głowę rodziny! Dosyć mam takiej córki! Wyrzekam się jej!

Nogi się pode mną ugięły. Wbrew sobie nie mogłam powstrzymać łez. Nie chciałam płakać, ale silne emocje wzięły nade mną górę. W tej jednej chwili, kiedy patrzyłam na dziką wściekłość ojca oraz trwogę mamy, zrobiło mi się bardzo przykro i poczułam się bardzo samotna. Nie myśląc nad tym, co robię, bez słowa wyszłam z salonu i popędziłam na górę, do swojego pokoju. Nie po to, żeby – jak nakazał ojciec – zamknąć się w nim na tak długo, jak on tego zechce, ale by spakować do kufra najpotrzebniejsze rzeczy i natychmiast opuścić dom.

* * *

Domek mojego dziadka na Pradze był malutki, latem gęsto porośnięty dzikim bluszczem, a teraz obleczony gołymi, poskręcanyymi badylami, które czepiały się popękanych ścian, zmurszałego dachu i zagłędały sękatymi gałązkami do malutkich okienek. Budynek otaczał spróchniały drewniany płotek, w którym brakowało wielu desek, a te, które zostały, wymagały natychmiastowej wymiany. To żałosne miejsce było jak ropiejący wrzód na pamięci, który miał nam uprzytamniać, że kiedyś, lata temu, mój dziadek Ignacy Tyszkowski był dumnym właścicielem pięknego dworku z folwarkiem pod Warszawą, z którego został siłą wywłaszczony przez rosyjskiego zaborcę. To był trudny, niezwykle bolesny etap historii mojej rodziny, kość niezgody między moim ojcem a dziadkiem. Ojciec nie rozumiał ówczesnych decyzji dziadka, nie pojmował, jak jego własny ojciec mógł otwarcie wejść w konflikt z zaborcą i pozwolić, żeby pozbawiono go majątku, skoro wystarczyło podpisać kilka dokumentów dających prawo Rosjanom do zarządzania częścią folwarku i objęcia nad nim urzędniczej władzy. Dla dziadka z kolei to byłaby zdrada honoru, wyzbycie się polskości, zapomnienie o tych, którzy z narażeniem życia walczyli w powstaniu listopadowym przeciw terrorowi zaborcy. Kosztowało go to wszystko, bo został z niczym, a jedynie uniknął zsyłki na daleki Sybir.

Otworzyłam skrzypiącą furtkę i weszłam na zarośnięte chwastami podwórko, ciągnąc za sobą ciężki kufer, do którego Dusia ze łzami w oczach pomogła mi upchać najpotrzebniejsze rzeczy. Zapukałam do drzwi; wiedziałam, że dziadek na pewno jest w domu. Mając osiemdziesiąt dwa lata, nieczęsto go opuszczał.

– A, to ty... – rzekł ochryple, stając w progu i przyglądając mi się wodnistymi, starczymi oczami.

Nie miałam wątpliwości, że od czasu, kiedy widziałam go ostatni raz – a było to latem – dziadek postarzał się jeszcze bardziej. Niegdyś dumny i postawny, teraz był malutkim, posiwiałym i pomarszczonym człowieczkiem, który zbliżał się do końca swojej ziemskiej egzystencji. W dodatku przez cały czas chodził w tym samym, mocno już zużyтым i starodawnym surducie – niegdyś paradnym, teraz wyblakłym i poszarpanym, którego nie pozwalał spalić.

– Mogę wejść? – spytałam z wahaniem.

– Możesz, a czemu by nie?

Dziadek niezdarnie odsunął się od drzwi i powłócząc nogami, udał się w głąb domu. Zamknęłam za sobą drzwi, z których łuszczyła się farba, i natychmiast ogarnął mnie półmrok, bo do wnętrza docierała niewielka ilość światła z zewnątrz. Szare ściany i brudne zapleśniałe podłogi jedynie potęgowały ogólny obraz nędzy, jaką tu zastałam.

Zostawiłam kufer w przedsionku i weszłam do niewielkiej izby, którą zajmował mój dziadek. Przylegała do niej jeszcze druga – równie mała, niegdyś należąca do mojej babci, teraz nieużywana i zamknięta.

– Jak się czujesz, dziadku? – spytałam z troską, rozglądając się po skromnym, zaniedbanym wnętrzu.

– A jak mam się czuć? Nadal żyję – mruknął.

Nie było tu mebli prócz żelaznego łóżka, niewielkiej zniszczonej komody, skrzyni na ubrania i stołu z dwoma krzesłami. Dziadek usiadł ciężko na pościeli, bardzo przypominającym to, na którym spał Jędrzej w Cytadeli. Różnica polegała na tym, że dziadek miał grubą pierzynę i poduszkę i nie musiał spać na sienniku, choć dawniej odpoczywał w pięknym łóżu z czystą pościelą, regularnie zmienianą przez służkę.

Zawsze, ilekroć odwiedzałam dziadka, było mi go żal, że żyje samotnie w tak trudnych warunkach, i pytałam, czy nie może przenieść się do nas, ale on nie chciał. Od wielu lat pozostawał w głębokim konflikcie z moim ojcem i duma nie pozwalała mu prosić o pomoc. Wolał doczekać końca dni tu, samotnie, w tej nędznej, ciemnej chatynce, w której żywota dokonała moja babcia Józefina.

– Jadłeś coś dzisiaj? – spytałam, szukając wzrokiem resztek po jakimś posiłku.

– Haneczka przyniosła mi z rana zupę i talerz kaszy, ale ja mało jem, więc zostawiłem trochę na wieczór.

Mój ojciec, choć nie bez ciągłych narzekań, płacił regularnie prostej kobiecie, która mieszkała w sąsiedztwie, by codziennie przynosiła dziadkowi posiłek i raz na jakiś czas robiła w chacie porządek. Dziadek się na to godził, bo nie miał żadnych środków do życia i bez pomocy z pewnością umarłby z głodu. Ale to było jedyne ustępstwo z jego strony. Po utracie majątku, kiedy urzędnicy cara jednym

pismem odebrali mu dwór i całe mienie, zapuścił korzenie złości w tej rozpadającej się ruderze, którą mu odgórnie przydzielono, bo nie miał siły walczyć o sprawiedliwość. Nieraz prosiłam zarówno ojca, jak i dziadka, żeby przestali się na siebie głupio obrażać i żeby dziadek zechciał zamieszkać z nami w kamienicy na Pięknej, ale byli uparci i głusi na moje prośby. Mama do konfliktu się nie włączała, ale odnosiłam wrażenie, że upór dziadka był jej na rękę, bo nie chciała go u siebie w domu. Być może wstydziłaby się przed znajomymi, że jej teść poddał się zaborcy i nie upominał o swoje.

Usiadłam na krześle i rozejrzałam się po obskurnym wnętrzu. Mój Boże, jak tu było brudno i smutno! W powietrzu wisiał zapach kurzu i stęchlizny, choć w piecu z surowej cegły tlił się niewielki ogień dający nieco ciepła.

– Dziadku, chciałabym zatrzymać się u ciebie na kilka dni – rzekłam, zastanawiając się równocześnie, jak tu wytrzymam.

– A to czemu? Własnego kąta nie masz?

– Nie mam. Papa wygonił mnie z domu.

– Masz ci los! – Dziadek zachnął się z pogardą. – Więc nawet na to się ważył! Własne dziecko z domu wyrzucić. Ja nigdy go z domu nie odesłałem, choć krwi mnie i matce napsuł.

– Papa jest na mnie wściekły, bo wzięłam udział w demonstracji na placu Grzybowski.

– Dobrześ zrobiła, dziecko, bardzo dobrze – mruknął dziadek nieco niewyraźnie.

– Poza tym mój przyjaciel, Jędrzej Witebski – zaczęłam, a dziadek zmarszczył czoło, jakby próbował sobie przypomnieć, o kim mowa – on został aresztowany i osadzony w Cytadeli. Byłam u niego wczoraj. Papa przez to dostał spazmów.

– I za to cię, dziewczeczko, ten drań wyrzucił? Żeś kochanego poszła podtrzymać na duchu?

Wzruszyłam ramionami i nagle zachciało mi się płakać.

– Wiesz, jaki jest papa. Chce, żebym była posłuszna, żebym nie przynosiła mu wstydu i nie narażała się...

Dziadek westchnął.

– Ech, głupie gadanie. – Machnął niedbale ręką. – Ja też mu ponoć wstyd przynoszę, choć próbowaliśmy z twoją świętej pamięci babką przekazać mu wartości. Mówiliśmy, że Bóg Ojciec, Syn Boży, Matka Dziewica i rodzina to moc. To siła i fundament wszystkiego. Twoja babka była twardą, odważną kobietą, nic jej nie złamało, nawet śmierć naszej kochanej córeczki. Nikogo się nie bała prócz Boga, nawet Rosjan. Jak było powstanie i choć my już niemłodzi byliśmy, to broń pod podłogą... O, tu, trzymaliśmy dla naszych dzielnych chłopców. – Wskazał na brudne deski. – I babcia z tą bronią pod sukienką do lasu chodziła, powstańcom gorącą zupę nosiła. Bo kto będzie starą podejrzewał.

– Wiem, dziadku.

– I ty też taka jesteś. Masz krew po babci Józi, dziecko. Odważnaś, choć pyskata.

Kiwnęłam głową. Znałam tę historię na pamięć, bo słyszałam ją wielokrotnie. I podobnie jak dziadek uważałam, że niepokorny charakter mam po babci Józefinie.

– Martwię się, bo Jędrzej w Cytadeli siedzi i nie wiem, jak mu pomóc. Prosiłam ojca, ale on się wściekł.

– Twój ojciec tylko wściekać się umie. Jak trza było Feliksowi pomóc, to też zwiął z podkulonym ogonem. On się boi, że mu Ruscy w odwecie interes zabiorą i na czym będzie pieniądze robił?

„Boi się, bo tobie też zabrali i zostałeś z niczym” – pomyślałam nie bez ironii.

– Muszę pójść do Witebskich i powiedzieć im, że się z Jędrkiem widziałam – powiedziałam. – Niech się dłużej nie martwią.

– A ten chłopiec to bardzo cię obchodzi, co? Pamiętam, jak z nim po kałużach biegałaś. On twój? – spytał dziadek z chytrym uśmiechem.

– Och, dziadku, niczego sobie nie wyobrażaj. To przyjaciel, choć bliski i od serca. Ale nie szykuję się do małżeństwa.

– Mąż to wcale nie taki zły pomysł – podsumował dziadek. – Choć lepszy mąż na wolności niż w Cytadeli.

„Co prawda, to prawda” – pomyślałam.

Rozejrzałam się po niewielkim wnętrzu w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłabym ulokować kufer. Ostatecznie uznałam, że izba babci – skoro stoi pusta – będzie dla mnie idealna.

Wzdrygnęłam się z obrzydzeniem, gdy spod komody wybiegła mysz i pędem przecięła izbę, by zniknąć w sobie tylko znanej dziurze.

Boże, jak ja tu będę mieszkać!

* * *

Jeszcze tego samego dnia udałam się do rodziców Jędrzeja.

Pani Pelagia na wieść o tym, że widziałam się z ich synem i że Jędrzek jest przytomny, lecz ranny i bardzo cierpi, załamała ręce. W czerni, którą przywdziewała chyba teraz każdego dnia, wyglądała blado i ponuro – zupełnie jakby szykowała się do pogrzebu własnego dziecka.

– Natychmiast trzeba posłać do niego lekarza! – wykrzyknęła z trwogą i zwróciła się błagalnie do męża: – Proszę, Ludwiku, zrób coś! Ratuń naszego syna!

– Jak udało ci się do niego dotrzeć? – dopytywał pan Witebski, poruszony moją relacją.

– Ktoś mi pomógł, ale z pewnych względów nie mogę zdradzić kto. Jędrzejowi trzeba ochrony, bo chcą go postawić przed sądem za udział w demonstracji. A jak sąd go skaze, to... – Urwałam, nie chcąc wypowiadać tej porażającej myśli na głos.

Pan Witebski przechadzał się miarowym krokiem tam i z powrotem po całym salonie, z rękami założonymi do tyłu.

– Pójdę do policmajstra i zażądam podania wielkości kaucji, jaką trzeba zapłacić, żeby go uwolnić – rzekł stanowczo. – Jednak najpierw musimy wyblagać o lekarza dla niego, żeby nie umarł, nim go wyciągniemy.

– Już to zrobiłam – odparłam szybko. – To znaczy... ktoś mi w tym pomógł i jeszcze dziś do Jędrzeja ma przyjść lekarz. Zapewniono mnie, że tak będzie.

– Dzięki Bogu! – krzyknęła pani Pelagia z przejęciem.

Oczywiście nie mogłam wyznać, kto mi w tym pomógł ani jak miałam za to zapłacić. Jak tylko oporządziłam się w chałupie u dziadka, wysłałam do Kirsanova wiadomość z błaganiem o natychmiastową interwencję lekarską dla Jędrzeja i zapewniłam, że jeszcze dziś wieczorem wypełnię swoją część umowy. Kirsanov odpisał, że medyka wydelegował, ale to będzie mnie dodatkowo kosztowało. Nie sprecyzował, jak i ile mam zapłacić, ale byłam gotowa spełnić jego żądanie.

– Dziękujemy ci za to, co zrobiłaś – rzekł pan Witebski, patrząc na mnie z wdzięcznością. – Jeśli czegoś ci potrzeba...

– Nie, dziękuję – odparłam z fałszywą skromnością, bo chyba nigdy w całym swoim życiu nie potrzebowałam pomocy tak bardzo jak teraz, kiedy zostałam sama, bez domu i środków do życia.

W eleganckiej sukni i ułożonych włosach nadal prezentowałam się dobrze, ale wiedziałam, że jeśli szybko nie znajdę pracy, zacznę wyglądać jak pospolita dziewczka.

– Pelagio, poczęstuj Klarę obiadem, a ja natychmiast jadę się spotkać z policmajstrem. Im szybciej to załatwię, tym szybciej nasz chłopiec będzie bezpieczny.

– Dlaczego to robisz? – spytała mnie pani Pelagia, kiedy jej mąż wyszedł, a my usiadłyśmy w jadalni, gdzie służąca podała nam wykwintny obiad. – Dotąd myślałam, że Jędrzej jest ci obojętny. No wiesz... Jako mężczyzna.

– Nigdy nie był mi obojętny. Przecież pani to wie. Przyjaźnimy się.

– Ale twoje poświęcenie daleko wybiega poza zwyczajną przyjaźń.

Westchnęłam, upijając łyk pysznego kompotu i kosztując wysmienitą rybę w cieście.

– Jeśli doszukuje się pani w tym czegoś więcej, chcę panią uspokoić. Między mną a Jędrzejem nic się nie dzieje.

– Ale on cię kocha.

Popatrzyłam na panią Pelagię, zdumiona jej szczerością.

– Skąd pani to wie? – spytałam z pewnym wahaniem.

Przez twarz kobiety przebiegł grymas.

– Bo kiedy mówię mu, że powinien się w końcu ożenić, on odpowiada, że umie kochać tylko ciebie. To patowa sytuacja, nie uważasz?

Spuściłam wzrok na talerz, jakbym miała tam znaleźć właściwą odpowiedź. Nie potrafiłam wyjaśnić pani Witebskiej, że relacja między mną a Jędrzejem była bardzo skomplikowana, bo on widział we mnie ukochaną, a moje uczucia do niego były proste jak miłość siostry do brata. Jak wytłumaczyć, że nie chcę wychodzić za mąż, bo poddanie się mężczyźnie w taki sposób jest sprzeczne z moimi zasadami? I jak przyznać, że był moment, kiedy byłam gotowa go poślubić, ale on, wiedziony złudnymi pragnieniami, mnie odrzucił?

– Myślę, że na takie rozmowy przyjdzie czas później – odparłam dyplomatycznie. – Teraz trzeba myśleć o uwolnieniu Jędrzeja. – Zawahałam się. – Mam do pani pewną prośbę, a raczej... pytanie. – Zawzięłam się w sobie i chowając dumę do kieszeni, co kosztowało mnie niemało, postanowiłam zacząć walkę o swój byt. – Czy zna pani kogoś, kogokolwiek, kto poszukuje... guwernantki?

Pani Witebska spojrzała na mnie wyraźnie zaskoczona.

– Któraś z twoich znajomych potrzebuje pracy?

– Ja... Ja potrzebuję pracy.

– Ty? – Pani Pelagia zmrużyła oczy, jakby powątpiewała w to, co właśnie usłyszała.

– Dziś rano papa... Proszę go surowo nie osądzać, ale... Nakazał mi opuścić dom. Przestał też łączyć na moje utrzymanie.

Matka Jędrzeja wydała z siebie zduszony okrzyk.

– Ale dlaczego?!

– Wyznałam mu, że byłam u pani syna w Cytadeli i papa uznał, że to niebezpieczne i niegodne panny. Oraz że moje postępowanie go upokarza... I takie tam. Zdenerwował się.

Pani Pelagia aż spąsowiała z oburzenia.

– I przez to kazał ci opuścić dom?

– Tak, chociaż wcześniej chciał mnie zamknąć w areszcie domowym, na co się nie zgodziłam, więc nieco puściły mu nerwy.

– A co na to wszystko twoja biedna matka?

Wzruszyłam ramionami.

– Jej zdanie nie ma znaczenia.

Dopiłam kompot i zgrabnie odstawiłam szklanekę. Otarłam chusteczką kącik ust i uznałam, że czas się pożegnać. Czekał mnie jeszcze długi i zapewne trudny wieczór.

– Niech mnie pani źle nie zrozumie, nie proszę o zapomogę. Pytam jedynie, czy może zna pani kogoś. Muszę pracować, żeby zarobić na utrzymanie.

– Ale to niegodne damy! – wykrztusiła pani Pelagia, bardzo poruszona. – Tak nie można! To oburzające!

– Więc mam umrzeć z głodu? To będzie bardziej godne? – spytałam z drwiną i podniosłam się z krzesła.

Pani Witebska również wstała i wyprężyła się jak struna.

– Oczywiście, że nie. Nie to miałam na myśli. Nie rozumiem, jak twoi rodzice mogą tak postępować, i to jeszcze po tym, gdy odważyłaś się pójść do mojego Jędrusia. To wprost niewiarygodne. W takiej sytuacji uważam, że powinnaś zostać u nas, dopóki...

– Nie! – zaprotestowałam szybko. – Dziękuję za troskę, ale to niemożliwe.

Nie chciałam, żeby Jędrzej, gdy się o tym dowie, nabrał podejrzeń, że może w ten sposób próbuję wkraść się w łaski jego rodziców i zmusić go do małżeństwa.

– No cóż, w takim wypadku spróbuję jakoś ci pomóc. Po tym, co zrobiłaś dla mojego syna, nie wyobrażam sobie, bym mogła postąpić inaczej. Popytam i dam ci znać. Gdzie się zatrzymałaś?

Podaliśmy pani Witebskiej adres domku na Pradze i wyszłam. Musiałam wrócić do obskurnej chatynki dziadka i przygotować się na spotkanie z Kirsanovem.

ROZDZIAŁ 14

Obiecałam sobie, że przeżyję ten wieczór najgodniej, jak potrafię, choćbym następnego dnia miała umrzeć ze wstydu i odrazy do samej siebie. Ustaliłam ze sobą, że powściągnę wewnętrzny bunt, który nakazywał mi odrzucić absurdalną propozycję kapitana. On jednak swojej obietnicy dotrzymał, więc i ja musiałam dotrzymać swojej.

Dziadek Ignacy nie pytał, dokąd wychodzę, a jedynie przyjrzał mi się uważnym wzrokiem, kiedy stanęłam w jego pokoju wystrojona i pachnąca. Prowizoryczna kąpiel w cynowej misce sprawiła mi sporo kłopotu, ale w konsekwencji i tak poczułam się odświeżona.

Miałam na sobie swoją najładniejszą suknię z granatowego muslinu, kupioną u Hersego, której fason idealnie wysmukłał moją kobiecą sylwetkę. Suknia składała się z powłóczystej spódnicy z naszytymi na niej szerokimi falbanami oraz gorsu z otwartym stanikiem podkreślającym piersi i zapinanym na srebrne guziczki. Wyglądałam ładnie, ale niezbyt wyzywająco; nie chciałam prowokować kapitana. Wolałabym, żeby poczuł się mną znudzony i rozczarowany i by w konsekwencji pozwolił mi szybko odejść.

– Ładna z ciebie panna, wnusiu – skwitował dziadek. – Taka uroda może sprowadzić na manowce. Znałem ja takie ładne panienki, co popadały w tarapaty.

– Nie opowiadaj głupstw, dziadku. Aż taką pięknoscią nie jestem – prychnęłam.

Kiedy jednak spojrzałam na siebie w podręcznym lusterku, dostrzegłam, że moje zielone oczy błyszczą jak u dzikiej kotki. Miały w sobie żar, który zdawał się nie gasnąć, a wręcz nabierać mocy. W całym ciele czułam jednak niepokojącą słabość, bo myśl o tym, co musiałam zrobić, napawała mnie obawą. Kirsanov obiecał, że mnie nie dotknie. Że będzie tylko patrzył. Ale czy mogłam mu ufać?

– Idź spać, dziadku, i nie czekaj na mnie – rzekłam, zbierając się do wyjścia.

Uprzednio upewniłam się, że ogień w starym piecu nie zgasł i dziadek ma co jeść. Okazało się, że opłacana przez ojca pani Hania dobrze o niego dbała, bo na stole, w garneczku, stał gulasz mięsny z warzywami.

Staruszek siedział zgarbiony na łóżku, w świetle słabej lampy naftowej, i spoglądał na mnie. Wydawał się taki bezbronny.

– Odważna z ciebie dziewczyna – skwitował. – Nie wiem, co planujesz, ale mam przeczucie, że to nic błahego. Widzę to w twoich oczach. Mam nadzieję, że mężczyzna, dla którego to robisz, jest tego wart.

Zatrzymałam się w pół kroku. Dla którego z nich to robiłam? Dla Jędrzeja? Czy dla Kirsanova? Do tej pory wydawało mi się, że znam odpowiedź.

– Nie powiesz nic ojcu? – spytałam z wahaniem.

– Po tym, jak cię wygnał z domu? Nigdy w życiu.

Kiedy wyszłam z dziadkowej chaty, zaczął prószyć słaby śnieg.

Nie miałam pieniędzy na dorożkę, więc szłam na piechotę, okryta peleryną z kapturem, i patrzyłam na drobne wirujące płatki w świetle lamp gazowych. Ulice i dachy powoli pokrywały się białą mgiełką. Zadrżałam z zimna. Przeraziła mnie myśl, że za chwilę śniegu będzie dużo więcej i pojawi się siarczysty mróz, a z nim prawdziwa zima, a ja nie mam normalnego domu. U dziadka nie chciałam zostać zbyt długo, bo warunki były zatrważające. Może on czuł się dobrze w podupadającej chatynce, ale ja, wychowana w wygodach i luksusie, raczej nie widziałam siebie w takim miejscu. Jak najszybciej musiałam zrobić coś, żeby zmienić swoje fatalne położenie.

Z kapitanem spotkałam się przed wejściem do salonu madame Le Bon. Stał nieco w cieniu, w oparach śnieżnej zadymki, i czekał na mnie.

Kiedy podeszłam bliżej, zdjął wojskową czapkę i skłonił głowę.

– Jesteś – rzekł, jakby zdumiony, że w ogóle się zjawiłam.

– Przecież obiecałam – odparłam beznamiętnym tonem. – Czy u Jędrzeja był lekarz? – spytałam od razu.

Kirsanov zmarszczył brwi, jakby moje pytanie go zirytowało albo obraziło.

– Był. Ale tak jak napisałem, musisz za to dodatkowo zapłacić.

Ujął mnie za dłoń w rękawiczce i musnął ją ustami.

– Zapraszam do środka – powiedział.

Weszliśmy do wnętrza lokalu i tak jak poprzednio skryłam twarz za złotą maseczką. W lustrzanej sali goście porozsiadali się na sofach i fotelach, żywo o czymś dyskutując. Poczułam unoszący się w powietrzu ciężki i lekko gorzkawy aromat palonego opium.

Pośrodku rozbawionego towarzystwa, rozparta na barwnych poduszkach, królowała piękna Olga Le Bon, wystrojona w purpurową suknię i klejnoty.

– Sasza, dołącz do nas! Toczymy tu zacieklą dyskusję na temat wyższości rosyjskich literatów nad ich kolegami po piórze z Europy. Poznałeś, zdaje się, Antona Czechowa, kiedy byłeś w podróży do Batumi, więc może coś nam na jego temat wyjaśnisz?

Kapitan wyraźnie się spał.

– Wybacz, madame, ale innym razem. Dziś mam już towarzystwo.

Madame Le Bon uśmiechnęła się wymuszenie, spoglądając na mnie znacząco, i ponownie skierowała uwagę na gości. Miałam wrażenie, że dziś moja obecność jej nie cieszyła. Może była zazdrosna? Może ten pocałunek, który wymienili ostatnim razem, nie był tak mało znaczący, jak myślałam?

– Zatańczymy? – Kirsanov zwrócił się do mnie wyjątkowo ciepłym głosem, a ja skinęłam głową, choć tak naprawdę chciałam już wrócić do dziadka i nie myśleć więcej o tym, co miało się wydarzyć w czterech ścianach buduarowego pokoju.

Kapitan się nie spieszył. Objął mnie w tali i poprowadził w rytm dworskiego walca jak poprzednio, choć tym razem odniosłam wrażenie, że jest jakiś sztywny. Nie patrzył na mnie, tylko gdzieś ponad moją głowę. Czyżbym go jednak aż tak nie interesowała? Czyżby żałował swojej propozycji? Przyszłam tu z nadzieją, że po spędzonej wspólnie chwili po prostu pozwoli mi odejść; tymczasem zatańczyliśmy jeszcze dwa walce, aż muzyka ucichła, a Kirsanov zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

– Chcesz nadal tańczyć czy wolisz...?

– Chodźmy – odparłam i poczułam, że moje wargi zadrżały.

Ujął mnie pod łokieć i poprowadził do pokoju, w którym byliśmy poprzednim razem.

Palił się tu jeden kryształowy kandelabr, rzucający ciepły i migotliwy blask na obite boazerią i brokatową tapetą ściany. Tu również do moich nozdrzy dotarł zapach opium i pomyślałam, że madame Le Bon rozprowdziła go wyjątkowo skrupulatnie. Jeśli jednak tam, w sali z rozbawionym towarzystwem, pachniał stymulująco, to tu, w tym dusznym wnętrzu, wprowadzał zmysłowy nastrój, i szczególnie mi to odpowiadało. Wolałabym uniknąć atmosfery sprzyjającej intymności i ewidentnie zachęcającej do miłosnych uniesień.

– Rozgość się – rzekł Kirsanov.

Wyczułam w jego tonie nutkę napięcia. Czyżby denerwował się tak jak ja? A może nie mógł się doczekać? Może powstrzymywał się, żeby nie zedrzeć ze mnie sukni?

Odłożyłam na stolik atłasową torebkę.

Unikałam wzrokiem mojego towarzysza, zastanawiając się, kiedy wyjawi mi, w jaki sposób mam zapłacić za sprowadzenie lekarza dla Jędrzeja. Chyba nie planował mnie zmusić do spędzenia z nim nocy? Na to nie zamierzałam się godzić pod żadnym pozorem. Sama myśl, że ten mężczyzna miałby mnie dotknąć, wprawiała mnie w dziwne odrętwienie.

Odwróciłam się i nabrałam głęboko powietrza, bo Kirsanov niepostrzeżenie stanął tuż za mną, bardzo blisko. Bez zażenowania spojrzał mi w oczy, błyszczące pod złotą масечką, i podał lampkę czerwonego wina.

– Skosztuj – zachęcił z uśmiechem. – Wyjątkowa odmiana cabernet.

Upiłam łyk i trunek ciepłym strumieniem rozlał się po moim wnętrzu. Był tak wyśmienity, że bez zastanowienia wzięłam kolejny.

– Obiecałem, że nie będę cię dotykał, więc musisz zrobić to sama – rzekł niskim, nieco ochrypłym głosem.

Ponownie uciekłam od niego spojrzeniem. Z natury nie byłam płochliwa i teraz nie chciałam, żeby widział u mnie wahanie. Umowa była umową i musiałam jej dotrzymać.

Odstawiłam wino na stolik i zaczęłam rozpinąć guziki gorsetu.

– Poczekaj... – powstrzymał mnie stanowczym tonem. – Chcę, żebyś zrobiła to powoli, bez pośpiechu. I chcę móc na ciebie patrzeć bez skrępowania.

Zacisnęłam usta. Co on sobie wyobrażał? Że będę się przed nim rozbierać jak jakaś ladacznica?

– Stań tam. – Wskazał mi miejsce, gdzie kandelabr rzucał najwięcej ciepłego światła.

Zrobiłam, jak kazał, wiedząc, że krok za mną znajduje się szerokie łóżce. „To nawet lepiej” – pomyślałam, czując ogarniającą mnie lekką panikę. „Jeśli nogi zaczną mi dygotać z nerwów, to przysiądę na łóżku, ale nie dam mu satysfakcji, że się boję”.

Kirsanov zdjął marynarkę munduru i przewiesił przez oparcie fotela, a następnie rozsiadł się w nim ze swoją lampką wina w dłoni. Spodziewałam się, że będzie pił coś mocniejszego, ale widocznie chciał mieć bardziej trzeźwe spojrzenie.

Chyba nigdy nie czułam się tak spięta jak wówczas, kiedy ponownie zaczęłam mozolić się z guzikami od sukni. Spuściłam głowę, żeby nie patrzeć na mężczyznę, który zamierzał bawić się moim kosztem, ale i tak każdym skrawkiem ciała czułam, że mnie bacznie obserwuje. Jego palący wzrok obejmował moje drżące palce, które niezgrabnie tańczyły od jednego guzika do drugiego. Miałam wrażenie, że kapitan się ze mnie naśmiewa, że moja niezdarność go irytuje. Ulżyło mi odrobinę, kiedy odpięłam wszystkie guziki i jednym szybkim ruchem zsunęłam z ramion gors sukni. Powtarzałam sobie, że to nic takiego, i równie szybko jednym pociągnięciem opuściłam w dół ciężką spódnice.

– Powoli – upomniał mnie. – Jeśli będziesz się spieszyć, uznam zapłatę za nieważną. Chyba nie chcesz, aby sytuacja twojego narzeczonego nagle się pogorszyła?

Coś gwałtownie zakłuło mnie w klatce piersiowej. Miałam ochotę syknąć wściekle, ale powstrzymałam się i ugryzłam w język. Póki tu byłam, musiałam spełnić polecenia tego Rosjanina. Później pomyślę o tym, jak mnie to upokarza i jak bardzo nim gardzę.

– Stań przede mną – poprosił już całkiem miękko. – I wyprostuj się. Chcę na ciebie patrzeć, Klaro.

Westchnęłam i przymknęłam powieki, ale spełniłam jego prośbę. Stałam przed nim jak bezwolna lalka, czując, że wszystkie nerwy ciała mam napięte jak postronki. Nie musiałam otwierać oczu, aby wiedzieć, że Kirsanov ogląda mnie niczym klacz na wybiegu. Lustrował całą moją figurę od szczupłych ramion, po wąską talię i długie nogi.

– Możesz kontynuować – zezwolił.

Otworzyłam oczy. Kapitan siedział rozparty na fotelu i wyglądał jak drapieżnik gotowy do skoku. Z pozoru wydawał się opanowany, ale podświadomie czułam, że walczy ze sobą, żeby do mnie nie podejść. Modliłam się, żeby tego nie robił, bo jeśli spróbuje, zacznę krzyczeć.

Jędrzej... Wyobraziłam sobie, że to on tu siedzi i patrzy na mnie. Przed nim nie czułam wstydu ani zażenowania. Był mi bliski i dla niego byłam gotowa obnażyć się cała. Dotąd tylko on jeden mnie taką widział.

Pąsowiejąc pod naporem wzroku znajdującego się naprzeciw mnie mężczyzny, zsunęłam z bioder ciężką halkę. Miałam wrażenie, że jego chmurne, szare spojrzenie, choć z pozoru zimne, to jednak spala mnie pod cienką materią tego, co na mnie zostało. Jeszcze nie byłam naga, ale już się tak czułam, bo jego oczy rozniecały we mnie dziwny ogień. Odkryłam z nagłą słabość w nogach, a piersi boleśnie nabrzmiały i uwypukliły się pod jedwabną koszulką.

– Czy mam...? – Głos uwiązł mi w gardle.

– Tak...

Kątem oka dostrzegłam, że poruszył się nerwowo w fotelu i jedną nogę przerzucił niedbale przez oparcie fotela, przybierając niedbałą pozę.

Uniosłam dumnie podbródek. Postanowiłam, że nie rozbioreę się jak wstydliva panienska, nawet jeśli zażenowanie spalało mnie od środka. Zapłacę za Jędrzeja z taką godnością, na jaką tylko było mnie stać. Zacisnęłam wargi i pokonując wewnętrzny opór, zsunęłam gorset, a następnie koszulkę i pantalonny.

Stałam przed Kirsanovem naga i kompletnie bezbronna, jedynie siłą woli odnajdując w sobie okruchy respektu do samej siebie.

Jak on na mnie patrzył! Miałam wrażenie, że palącym spojrzeniem dotyka każdego centymetra mojego ciała – mojej obnażonej szyi, sterczących sutków, okrągłych bioder. Poczułam nagły powiew chłodnego powietrza, jakby do pokoju wdarł się lekki przeciąg, i moje ciało pokryło się gęsią skórka. A on cały czas patrzył, oddychając coraz ciężiej. W pewnym momencie zmrużył oczy i zacisnął wargi.

– Wiesz, jak to jest... – zaczął gardłowym głosem. – Patrzeć na ciebie, Klaro, sycić wzrok twoją kobiecością i... nie móc cię dotknąć?

Miałam wrażenie, że jego nabrzmiały pożądaniem głos przyplýwał gdzieś z daleka. Mimowolnie zadrżałam.

– Obiecałeś...

– I słowa dotrzymam. Ale to większa tortura niż ta, którą w Cytadeli znosi twój narzeczony. Jak myślisz, co on na to, że jesteś tu dziś ze mną? Powiesz mu o tym?

Milczałam, a on nie odrywał ode mnie wzroku.

– Jesteś wyjątkowo piękna, Klaro. Chciałbym robić z tobą rzeczy, o jakich nawet nie śniłaś, a o których twój narzeczony pewnie marzy w ciemnej celi.

Przełknęłam nerwowo ślinę. Bałam się na niego spojrzeć; bałam się jego oczu i tego, co mogłabym w nich odnaleźć. Wystarczyło, że każdym nerwem czułam jego pożądanie; słyszałam to w jego głosie, w przyspieszonym oddechu. Ono mnie zniewalało i upokarzało równocześnie. Nigdy wcześniej nie widziałam mężczyzny tak zwierzęco pragnącego kobiety, nigdy sama nie czułam się tak pożądana. Chciałam zakryć swoją nagość ramionami, ale Kirsanov powstrzymał mnie głośnym sykiem.

– Jesteś mi winna dodatkową zapłatę – rzekł ochryplym głosem. – Chcę, żebyś rozpuściła włosy i położyła się na łożu.

– Ale...

– Spokojnie, nic ci nie zrobię. Chcę jedynie zapisać sobie w pamięci twój obraz do momentu... Aż cię w końcu posiadę.

Moje ciało przeszył gwałtowny dreszcz.

– Nigdy tego nie zrobisz. Nie pozwolę na to!

Prześlizgnął się wzrokiem po moich nagich udach i zatrzymał spojrzenie na łonie.

– Pozwolisz. Śmiem twierdzić, że sama mnie o to poprosisz.

Zrobiłam, co kazał: wyjęłam szpilki z włosów i rozpuściłam je, a one gęstą kaskadą opadły mi na plecy. Wolno położyłam się na łożu. Upokorzenie paliło mnie żywym ogniem, coś niezdolnie pulsowało w mojej piersi, powodując ból niemal całego ciała. Instynktownie zgięłam nogę w kolanie i przesunęłam dłonią po swędzącej bliźnie.

– Co ci się stało? – spytał głucho.

Domyśliłam się, że miał na myśli niezagojoną do końca szramę. Wciągnęłam głęboko powietrze.

– Zraniłam się – odpowiedziałam głucho.

Później leżałam w bezruchu i pozwalałam, żeby Kirsanov sycił spojrzenie moim kosztem, żeby widział moje zażenowanie i to, jak bardzo w tamtej chwili czułam się pobudzona. Jak pragnęłam, żeby ktoś ugasił ten żar, który we mnie rozgorzał. Byleby to nie był on.

Zamknęłam oczy. I w tej samej sekundzie zobaczyłam Jędrzeja. Jędrzej...

Po dłuższej chwili kapitan wstał z fotela i ku mojemu zdumieniu podniósł z podłogi moją suknię, a następnie okrył mnie i wyszedł z pokoju, zostawiając mnie samą.

Przez kilka minut nie byłam w stanie się poruszyć. Piekące łzy napłynęły mi do oczu. Z jednej strony czułam ogromną ulgę, że już po wszystkim, że jestem wolna i spłaciłam swoje zobowiązanie, ale z drugiej coś położyło się ciężarem na mojej klatce piersiowej i nie pozwalało normalnie oddychać. Dźwignęłam się na szerokim łożu i dygocząc, próbowałam się ubrać. W którymś momencie usłyszałam pukanie do drzwi; na moje ciche „proszę” w progu stanął służący w liberii, grzecznie omijając wzrokiem mój negliż.

– Pan kapitan przekazuje, że zamówił dla szanownej pani dorożkę.

– A gdzie jest kapitan? – spytałam drżącym głosem.

– Wrócił do swoich obowiązków.

Nie pamiętałam nic z powrotu do domu. Czułam się odurzona wydarzeniami, ale tłumaczyłam sobie, że to jedno wydarzenie nie zburzy mojego poczucia wartości. Zrobiłam to dla Jędrzeja i gdybym musiała to powtórzyć, nie wahałabym się ani chwili.

Kiedy w oparach ciemności weszłam do domku dziadka, ten spał, ale poruszył się niespokojnie, jakby instynktownie wyczuwając moją obecność. W piecu palił się ogień, więc było dość ciepło, choć nie tak jak w domu rodziców.

Zamknęłam się w dawnej izbie babci Józefiny i nerwowym szarpnięciem zdarłam z siebie suknię. Brzydziłam się jej, bo przypominała mi, jak musiałam ją z siebie zdejmować.

Założyłam najcieplejszą bieliznę, jaką spakowałam do kufra, a suknię wyrzuciłam do pieca. Nie zamierzałam jej nigdy więcej wkładać.

ROZDZIAŁ 15

Pierwsze noce w domu dziadka były trudne. Przeszywające zimno wciskające się pod pierzynę budziło mnie w nocy kilka razy. Siadałam wówczas na łóżku i patrzyłam na ponure, ciemne ściany, na cienie przebijające się przez niewielkie okno i tańczące po zniszczonej podłodze. Słyszałam miarowe chrobotanie myszy. W mojej świadomości wirowały dwa światy – ten wygodny i elegancki, w którym żyłam dotychczas jak księżniczka, oraz ten srogi, złowróżbny, który zamieszkiwali nieżyjąca Maria i Jędrzej. Ogarniała mnie wówczas nieopanowana tęsknota za nimi, za ich swobodą, niewymuszoną wesołością i entuzjazmem. Tęskniłam tak bardzo, że czułam niemal fizyczny ból. Zdarzało się również, że wracałam myślami do kapitana Kirsanova, do tego, jak na mnie patrzył, i czułam złość pomieszaną z lękiem, bo Rosjanin utożsamiał to wszystko, czym w mężczyźnie gardziłam – poczucie wyższości i władzy nad kobietą.

Dnie spędzałam głównie na ogarnianiu chałupy, która wymagała porządnego sprzątnia, w czym pomagała mi sąsiadka, a wieczorami uczęszczałam na zajęcia na uniwersytecie.

Zaniosłam do kilku gazet, magazynów i na pocztę ogłoszenie, że szukam pracy w charakterze guwernantki i cierpliwie czekałam, aż ktoś się odezwie. Jednak pierwszy tydzień przeszedł bez echa. Również moje starania o posadę w którejś z warszawskich gazet spełzały na niczym, jak tylko ujawniałam naczelnym, o czym piszę i jaki charakter mają moje artykuły.

– Emancypacja to nikomu niepotrzebna bzdura! Sama pani widzi, co się dzieje na ulicach – rzekł jeden z redaktorów. – Robotnicy się buntują, policja i żandarmi biją i aresztują kogo popadnie, a pani mi tu o głupstwach chce pisać. Złe dni idą, panienko, i na tym się trzeba skupić, a nie na śmiesznym pokrzykiwaniu wojujących histeryczek.

Przybyłam do dziadka z niewielkimi oszczędnościami i wiedziałam, że jeszcze tydzień, góra dwa i zacznę boleśnie odczuwać brak pieniędzy. Może nie groziło mi widmo głodu, bo za to, co ojciec przekazywał na wykarmienie dziadka, starczało i dla mnie, ale musiałam jeszcze opłacić za coś naukę i książki. Nie łudziłam się,

że papa nadal będzie uiszczal prywatne wysokie chesne na Uniwersytecie Latającym.

Byłam zdumiona, kiedy pewnego ranka na progu dziadkowej chaty zobaczyłam mamę. Wyglądała jak upiorna zjawa – w ciemnym płaszczu pokrytym śniegiem i ciemnym kapeluszu. Do tego zdawała się nienaturalnie blada, z rozgorączkowanym wzrokiem, jakby trawiła ją jakaś choroba albo uporczywe zmęczenie.

– Mamo, co tu robisz? – spytałam, osłaniając się podomką aż po szyję, bo ogień w piecu przygasał i w izbie zrobiło się zimno.

– Twój dziadek raczył przekazać mi wiadomość przez tę Hannę, co tu do niego przychodzi. Chciałam sprawdzić, jak się miewasz.

Wzruszyłam niedbale ramionami i weszłam w głąb ciemnego pokoju. Zerknęłam na dziadka, który siedząc przy stole, zdawał się głęboko zamyślony albo drzemał, ale na widok gościa nieco się ożywił.

– A więc się zjawiłaś – rzekł do mamy schrypniętym głosem. – Tak myślałem, że nie jesteś uparta jak ten mój syn półgłówek i zechcesz zainteresować się Klarunią.

– Jestem już dorosła, dziadku – odparłam stanowczo. – Nikt nie musi mnie sprawdzać ani się mną interesować.

– Tak? – Dziadek spojrzał na mnie osobliwym wzrokiem, w którym dostrzegłam ironię zmieszaną z troską. – To czemu pół nocy przeplakałaś? Słyszałem, jak chlipałaś przez sen, moje dziecko.

Obecność mamy wcale mi nie pomogła, a wręcz pogłębiła moje poczucie straty, bo w krótkim czasie straciłam wszystko, co było mi drogie – w pierw Marię, później Jędrzeja, do tego pracę w „Bluszczu” i jeszcze ojciec wygnał mnie z domu. Kropką nad i były emocje związane z krwawą demonstracją na placu Grzybowskiem i osobliwe spotkanie z Kirsanovem. Staralam się być silna, wmawiałam sobie, że to przetrwam, ale coraz częściej czułam się kompletnie rozbita.

– Mamo, nie słuchaj dziadka, jest mi całkiem dobrze – skłamałam wymijająco.

– Tobie może ta sytuacja nie przeszkadza, ale ja nie czuję się z tym dobrze – wyznała matka z nutą żalości w głosie.

Nie zdjęła ani płaszcza, ani kapelusza, co oznaczało, że nie zamierzała zabawić długo.

– Decyzja twojego ojca o wygnaniu cię z domu została podjęta pod wpływem złych emocji. To był duży bład.

– Ale stało się, mamo.

Mama wyjęła z kieszeni płaszcza plik zwiniętych rubli i wyciągnęła go w moją stronę.

– Na razie mam tyle, ale za kilka dni przyniosę ci więcej. Nie chcę tylko, żeby ojciec wiedział...

– Mamo, nie potrzebuję jałmużny.
– Przecież nie masz za co żyć! – Głos jej zadrżał. – Żałuję, że wyjawiałam ojcu twoje kłamstwo o Jędrzeju. Ale zrozum, byłam na ciebie zła, bo postępujesz wbrew naszej woli.

Odetchnęłam głęboko.

– Zawsze tak postępowałam, mamo. Nigdy nie byłam wam posłuszna, więc może czas się z tym pogodzić.

Mama pokiwała głową i gwałtownie starła z policzka niechcianą łzę.

– Postaram się uprosić ojca, żeby pozwolił ci wrócić, ale... może jeszcze zastanowisz się nad jego ultimatum i...

– Nie, mamo – przerwałam jej. – Nie wyjdę za mąż, bo wy tak chcecie. Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na ten krok... – Przełknęłam ślinę. – To tylko z miłości. Nie chcę, żeby moje życie wyglądało tak jak wasze.

– Przecież ja i twój ojciec...

– Klara ma rację – wtrącił niespodziewanie dziadek. – Wasze małżeństwo zostało zaaranżowane i nie mieliście nic do gadania. Ja i twój ojciec, Eleonoro, zdecydowaliśmy o waszej przyszłości.

Mama uniosła głowę, jakby słowa dziadka ją uraziły. Zostawiłam ich i udałam się do babcinej, a od teraz mojej izby. Jak się spodziewałam, mama poszła za mną i położyła pieniądze na wieku stojącej pod ścianą starej skrzyni.

– Nie możesz tu mieszkać – rzekła do mnie z wyrzutem. – To nora, nie dom!

– Chwilowo nie mam innego dachu nad głową. Poszukam pracy i wtedy gdzieś się przeniosę.

– Na litość boską, Klaro! Nie zachowuj się jak rozpuszczona dziewczynka!

– Nie rozumiem cię, mamo... – westchnęłam.

Zrobiła błagalną minę.

– Wróć do domu i przeproś ojca. Na pewno da się ugłaskać. Jakoś to załatwimy.

– Nie!

– To nie do pomyślenia, żebyś była aż tak uparta! Jak to możliwe, że tak źle cię wychowałam? Staralam się... – Głos jej się załamał. – Naprawdę się starałam, ale kiedy zaczęłaś czytać te swoje książki i zadawać się z pannami, co to mają się za nowoczesne emancypantki... Mój Boże, cóż wy wiecie o prawdziwym życiu? Maria Domańska też była uparta i zobacz, jak to się skończyło.

– Nie wspominaj przy mnie Marii, mamo! – upomniałam ją surowo. – Nie wrócę do domu i nie zamierzam przeproszać ojca za jego zacofane myślenie. Byłam w Cytadeli u Jędrzeja i nie wypieram się tego, a nawet zrobię to jeszcze raz.

– Nie możesz!

– Mogę i zrobię to. Muszę wiedzieć, co z nim, jak się czuje. Jędrzej to mój przyjaciel i nie opuszczę go w potrzebie.

Matka sapnęła z irytacją.

– Przypomnę ci, że kiedy ty leżałaś ze zranioną nogą i gorączką, on nie pofatygował się, żeby cię odwiedzić.

– Bo miał ku temu powód. Nie chciał rozmawiać z ojcem.

Wyjęłam z kufra ciepłą zimową suknię i zaczęłam się ubierać. Dość szybko nauczyłam się samodzielnie wiązać gorset, ale jak tylko mama zauważyła, że się z nim mocuję, sięgnęła po sznurówki i zaciągnęła, choć miała taką minę, jakby ta czynność pozbawiała ją godności.

– Nienawidzę tego – syknęłam wściekle. – Nie znoszę tego, że muszę się z tym mocować każdego ranka jedynie po to, żeby wyglądać, jakbym w ogóle nie posiadała żeber! I to dla kogo? Dla uciechy męskich oczu!

– Nie przesadzaj. Robimy to dla siebie, dla własnej próżności – odburknęła matka, wiążąc gorset tak mocno, że niemal traciłam dech.

– Dla siebie? – zadrwiłam. – Gdybym robiła to dla siebie, palcem bym go nie tknęła!

– Ciągłe coś ci nie pasuje, bez przerwy jesteś niezadowolona! Ale świat taki właśnie jest i nie zmienisz tego! – skwitowała matka.

– A właśnie, że zmienię!

Kiedy mama zbierała się do wyjścia, próbowała namówić mnie jeszcze na przeproszenie ojca i powrót do domu, ale stanowczo pokręciłam głową.

– Za trzy tygodnie będzie Boże Narodzenie. Nie możesz spędzić świąt tutaj – przekonywała mnie płaczącym tonem.

– Przyjdziemy z dziadkiem na wieczerzę wigilną. Ale to wszystko.

Kiedy mama wyszła, z żalością uświadomiłam sobie, że mnie nie przytuliła, nie dodała mi otuchy. Jedynie zostawiła na skrzyni plik zwiniętych rubli, jakby to miało wszystko załatwić.

Wieczorem, kiedy wyszłam z zajęć, tuż przede mną zatrzymała się kryta dorożka, z której wychyliła się pani Pelagia Witebska.

– Klaro! Pozwól, proszę – rzekła, gestem zapraszając mnie do środka.

Z ulgą przyjęłam tę propozycję, bo śnieg sypał gęsto, a do domu miałam kawał drogi.

– A więc uczysz się... – zauważyła pani Witebska, wskazując na moją torbę z książkami.

Skinęłam głową.

– W przyszłym roku powinnam kończyć.

– Powinnaś? – Matka Jędrzeja uniosła brwi.

– Powinnam, bo nie mam co do tego pewności. Mój ojciec nie zapłaci kolejnego czesnego, więc...

Pani Pelagia westchnęła cichutko. Wyglądała na smutną i zrezygnowaną i domyśliłam się, że to z powodu Jędrzeja. Głęboko przeżywała jego aresztowanie.

– Skąd pani wiedziała, gdzie mnie szukać?

– Od panny Wąsowicz. Była dziś u mnie ze swoją matką, bo pytały o Jędrka.

– Jak ona się czuje? – spytałam.

Czułam wyrzuty sumienia, że od prawie dwóch tygodni nie widziałam Marianny, ale kompletnie nie miałam do tego głowy.

– Dobrze. Ten wypadek na placu Grzybowskiem... Na szczęście już jest zdrowa. Gorzej z moim Jędrusem. Jak pomyślę, że wszyscy tam byliście, na tej demonstracji... Że mój syn przypłacił to wolnością...

Zbyłam te słowa milczeniem. Nie zamierzałam tłumaczyć tej kobiecie, dlaczego tam poszliśmy, skoro sama tego nie rozumiała. Być może nie przeszkadzał jej rosyjski jako język urzędowy, nie przeszkadzały jej rosyjskie szyldy na sklepach ani rosyjskie nagłówki w gazetach, ani carskie emblematy na głównych budynkach użyteczności publicznej. Nie drażniło jej, że po Łazienkach Królewskich i Ogrodzie Saskim spacerowały rosyjskie arystokratki pod ramię z rosyjskimi oficerami, a carskie garnizony wojskowe zajmowały pół Warszawy. Mnie to przeszkadzało. Uwierało mocno, podobnie jak fakt, że musiałam kryć się przed żandarmami i policją z moimi polskimi książkami, które nosiłam w torbie.

– Przyjechałam tu, żeby ci powiedzieć, że znalazłam kogoś, kto mógłby cię zatrudnić w charakterze guwernantki.

– Kto to taki? – spytałam, natychmiast się ozywając.

– To córka mojej kuzynki, od sześciu lat mężatka. Hrabina Zofia Czarnecka, żona hrabiego Teofila Czarneckiego.

– Tego włókienniczego fabrykanta?

– Dokładnie tego. Hrabia ma córkę Julię z pierwszego małżeństwa i to ona potrzebuje prywatnej nauczycielki. Opowiedziałam im o tobie, o tym, że przyjaźnisz się z Jędrzejem. Zofia chciałaby cię poznać.

– Kiedy mogę się z nią spotkać?

– Jutro. Zapraszam cię do nas na obiad. Będzie Zofia, choć bez męża, bo on jest ciągle zajęty.

Kiwnęłam głową.

– Dobrze, pojawię się z przyjemnością. Jestem pani wdzięczna za pomoc.

Pani Witebska zacisnęła usta i spuściła wzrok na splecione jak do modlitwy dłonie.

– Robię to, bo żal mi ciebie, Klaro. A poza tym Jędrzej... Wiem, że nie chciałby, abyś cierpiała niedostatek.

– Jak on się czuje? – spytałam ściszym głosem. – Czy pani mąż dowiedział się czegoś więcej?

Pani Pelagia pokręciła gwałtownie głową. Nawet w mroku powozu widziałam, że w jej oczach stanęły łzy.

– Niestety nic. Mąż robi, co może, chodzi od policmajstra po dowódców żandarmerii, ale każdy go zbywa. Wszyscy powtarzają, że trzeba czekać na decyzję

sądu. Jak tak dalej pójdzie, to popadnę w obłąd. – Popatrzyła na mnie zbolalym wzrokiem. – Byłaś u niego. Nie wiem, jak ci się to udało, ale jeśli możesz to zrobić jeszcze raz i upewnić się, że nic mu nie jest... Zapewnić go, że o nim myślimy... – Zaszlochała głucho.

Pochyliłam się w jej stronę i ze współczuciem ujęłam ją za zimną dłoń. Dotąd uważałam matkę Jędrzeja za oschłą i wyniosłą kobietę, ale teraz spojrzałam na nią inaczej. Bardzo martwiła się o syna, cierpiała z jego powodu.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecałam skwapliwie.

– Mój mąż da ci pieniądze na łapówki, ile tylko będzie trzeba... Może uda ci się dowiedzieć, co zrobić, żeby go uwolnić. Bo przecież musi istnieć jakiś sposób. Jędrzej jest niewinny. Brał udział w tej demonstracji, ale nic nie zrobił.

„Prócz tego, że mierzył z pistoletu do żołnierza” – przemknęło mi przez myśl. Wciąż miałam w posiadaniu jego broń, którą wówczas wyjęłam mu z dłoni i schowałam do kieszeni. Teraz trzymałam pistolet na dnie babcinego kufra.

– Dowiem się, ile zdołam. I pójdę do niego, obiecuję. Dziękuję, że umówiła mnie pani z hrabiną. To wiele dla mnie znaczy.

Sama również bardzo chciałam ponownie zobaczyć się z Jędrzejem, wiedziałam jednak, że będę musiała zapłacić za to kolejnym spotkaniem oko w oko z kapitanem Kirsanovem.

* * *

Hrabina Zofia Czarnecka okazała się czarującą i nadzwyczaj energiczną osobą. Choć w pierwszej kolejności rzucały się w oczy jej niedostatki urody – bo z pulchną talią i rumianą okrągłą twarzą, okoloną niesforną burzą jasnych włosów, nie wpisywała się w kanony piękna – to jednak była szeroko uśmiechnięta, a jej niebieskie oczy lśniły wesołym blaskiem. Miała w sobie coś, co nie pozwalało oderwać od niej wzroku. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że brak naturalnego powabu młoda hrabina próbowała tuszować makijażem, który czynił jej twarz nieco przerysowaną, ale równocześnie pociągającą. Nadal mało kobiet z wyższych sfer miało odwagę ostentacyjnie farbować rzęsy i brwi, szminkować usta i różowić policzki. Ja sama dotąd nie używałam malowideł, choć bardzo mnie to intrygowało.

– Koniecznie potrzebuję kogoś do pomocy – rzekła do mnie podczas obiadu u pani Witebskiej. – Nie wiem, czy kuzynka Pelagia wspominała, że jestem mamą dwójki niesfornych bliźniaków, pięcioletnich. I są takie nieznośne, że mam z nimi istne urwanie głowy! Biedna Julia jest przez to nieco zaniedbywana. Nie dlatego, że to moja pasierbica, bo kocham ją jak własną córkę. To grzeczna, bardzo bystra dziewczynka i chcę, żeby miała obok siebie kogoś, kto właściwie zadba o jej wykształcenie duchowe i odpowiednie podejście do świata.

– Nie rozumiem... – odparłam, nieco zbity z tropu. – Co znaczy wykształcenie duchowe?

Hrabina zaśmiała się perliście.

– Och, moja droga, chodzi o przekazanie jej właściwych wartości potrzebnych kobietom do dorosłego życia. Julia ma świetnych nauczycieli od francuskiego, muzyki, matematyki i historii, ale potrzebuje kogoś, kto ją wychowa.

– I ja miałabym się tym zająć? – spytałam zaskoczona, bo nie tego się spodziewałam.

Myślałam, że będę uczyć ją czytać, rachować i opowiadać o historii Polski, a nie kształtować jej poglądy.

– Tak. – Szczery, prostoliniorny uśmiech nie schodził z twarzy Zofii Czarneckiej.

Jej energia była porażająca, a swobodne zachowanie zaraźliwe. Poczułam, że ją lubię, bo w jakimś sensie przypominała mi Marię Domańską i pod wieloma względami była też podobna do mnie samej. Tak samo swobodna, bezpośrednia, nieco wybuchowa. To było niezwykle ożywcze w tym skostniałym od konwenansów i wyszukanych manier świecie.

– Oczywiście zależy mi, żeby pani z nami zamieszkała, panno Klaro. To znacznie ułatwiłoby kontakt z Julią. Ona potrzebuje stałej duchowej przewodniczki.

Zerknęłam na panią Pelagię. Czyżby matka Jędrzeja wspominała hrabinie, że nie mam dachu nad głową i potrzebuję normalnego lokum?

– Oczywiście – odparłam bez wahania.

– Doskonale! Nakazę służbie przygotować apartament z prywatną łazienką i garderobą. Oczywiście cała biblioteka, a muszę zaznaczyć, że jest imponująca, bo mój mąż uwielbia książki, będzie do pani dyspozycji. Więc od kiedy mogłaby pani zacząć, panno Klaro?

Bezwiednie wzruszyłam ramionami.

– Nawet od zaraz.

Nim wyszłam z domu Witebskich, pani Pelagia jeszcze zatrzymała mnie w drzwiach.

– Wiesz coś o Jędrzeju? – spytała, patrząc na mnie z nadzieją w oczach.

Pokręciłam przecząco głową.

– Jeszcze nie. Ale dam znać, jak tylko czegoś się dowiem, obiecuję. I raz jeszcze dziękuję za pani pomoc, bo hrabina Czarnecka wydaje się bardzo miła.

– Robię to dla syna – odparła pani Witebska, wyraźnie zawstydzona. – Nie mogę pozwolić, żeby moja przyszła synowa biedowała.

Poczułam nagle wzruszenie i zaskoczenie. Chciałam powiedzieć matce Jędrzeja, że się myli, że my nigdy... Ale żadne słowa nie przeszły mi przez gardło.

ROZDZIAŁ 16

Kwatera kapitana Aleksandra Kirsanova znajdowała się na terenie koszar wojskowych przy parku Łazienkowskim, gdzie stacjonowały pułki kawalerii rosyjskiej. Dostanie się do środka okazało się rzeczą nader trudną, ale nie niemożliwą. Młody gwardzista, wpierw oczarowany moim promiennym uśmiechem, gdy tylko się zorientował, do kogo przyszedłam, stanął na baczność i sztywno wyjaśnił, że kapitan Kirsanov jest człowiekiem niezwykle zajęтым i w żadnym wypadku nie wolno mu przeszkadzać. Ostatecznie zgodził się poinformować dowódcę, że pragnę się z nim zobaczyć, dopiero kiedy w jego dłoni spoczął pokaźny plik rubli, które dostałam od matki Jędrzeja. Wrócił po długich dziesięciu minutach, kiedy to przechadzałam się nerwowo wzdłuż ogrodzenia, narażona na baczne spojrzenia rosyjskich kawalerzystów i gęsto padający śnieg oraz siarczasty mróz. Kiedy w końcu wprowadzono mnie do gabinetu Kirsanova, trzęsłam się z zimna i niemal straciłam czucie w stopach i dłoniach.

– Panna Klara Tyszkowska! – zapowiedział gromko młodzian i po salucie wyszedł, zostawiając mnie sam na sam z kapitanem.

Stałam naprzeciw misternie rzeźbionego dębowego biurka i patrzyłam na znajomego mi mężczyznę, który, pochylony nad dokumentami, nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Tuż nad nim, na ścianie, pysznił się portret cara Mikołaja II w galowym mundurze, z przytwierdzonym u góry emblematem czarnego orła Romanowów.

Kapitan ignorował mnie jeszcze przez dłuższą chwilę i już myślałam, że może nawet nie zauważy mojej obecności, ale nagle zamknął z łoskotem opasłą księgę i podniósł na mnie wzrok.

– Klaro. – Jego ton był suchy, obojętny. – Co cię do mnie sprowadza?

– Mogę usiąść?

– Oczywiście. Wybacz moje niedopatrzenie i brak manier, ale mam sporo pracy, więc sama rozumiesz. Twój rodacy nie próżnują w utrudnianiu nam życia, więc stopy wyroków do podpisania rosną.

Wyczułam satysfakcję w jego głosie i mimowolnie zadrżałam. Obleciał mnie nagły strach o Jędrzeja. O to, że w tej grubej, choć niepozornej księdze był także

okrutny wyrok na niego.

Usiadłam na krześle naprzeciwko Kirsanova, czując, jak moje przemarznięte ciało powoli się rozluźnia, bo stojący w rogu piec kaflowy dawał przyjemne ciepło.

– Ma pan duży wpływ na te wyroki? – spytałam, patrząc znacząco na księgę.

Kirsanov zmarszczył brwi i wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– A co to za pytanie?

– Ciekawi mnie, czy wyłącznie szanowni generałowie Czertkow i Czerkasow decydują o skazaniu więźniów, czy może pan również...

– Jesteś zbyt dociekliwa, Klaro. To niezbyt rozsądne.

Wyraźnie chciał mnie zawstydzić, a może nawet przestraszyć, lecz postanowiłam nie dać zbić się z tropu, choć w jego głosie wyczułam wrogość. Nie był ani tak uprzejmy, ani wspaniałomyślny, jak przy poprzednim spotkaniu. Odnosiłam wrażenie, że dziś byłby w stanie zrobić mi krzywdę, gdybym go czymś sprowokowała, i ta nagła odmiana jego zachowania nieprzyjemnie mnie zaskoczyła. Mimo wszystko uśmiechnęłam się, udając szczerą.

– Myślałam, że już na tyle pan mnie zna, że nie powinno to pana dziwić.

– Rzeczywiście, wiem, że nie robisz niczego bez konkretnej przyczyny. Więc co tym razem jest powodem twojej wizyty? Chyba nie nagła tęsknota za mną? – To mówiąc, rozpostarł się swobodnie na krześle i zmierzył mnie baczным spojrzeniem.

A ja natychmiast przypomniałam sobie, jak patrzył na mnie tamtego wieczora, kiedy stałam przed nim zupełnie naga.

Odchrząknęłam, odsuwając od siebie tamten obraz.

– Przyszedłam prosić pana o pozwolenie na kolejne widzenie z moim narzeczonym.

– Co za tupet! – stwierdził cierpko. – Chyba mylnie przyjąłeś, że Cytadela to miejsce towarzyskich spotkań.

– Nie mam żadnych wieści o Jędrzeju. Chcę się upewnić, że jest zdrow. Obiecał mi pan lekarza.

– I słowa dotrzymałem. Nie możesz mieć co do tego wątpliwości. Twój narzeczony został zbadany i opatrzony. Żyje, tego możesz być pewna.

– Proszę mi jednak pozwolić zobaczyć go raz jeszcze. – Nie dawałam za wygraną. – Jego rodzice się martwią. To porządni ludzie. Są gotowi wpłacić kaucję...

– W tej chwili to nie wchodzi w grę – przerwał mi stanowczo. – Na tym etapie przesłuchań nie możemy zwalniać więźniów za kaucją.

– Przecież on nie zrobił nic złego!

Kirsanov westchnął ciężko i wstał. Patrzyłam, jak wolno i dumnie podchodzi do okna, jak splata za sobą dłonie i spogląda na plac koszarowy. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu i pomyślałam, że chyba celowo mnie ignoruje. Zaczęłam się nawet

zastanawiać, czy jeszcze się do mnie odezwie, czy po prostu za chwilę zjawi się tu gwardzista i rozkaże mi wyjść.

– Zjesz dzisiaj ze mną kolację, a później pójdziemy razem do opery – rzekł nagle, odwracając się do mnie. – Lubisz operę, Klaro? Wystawiają dziś *Cyganerię* Pucciniego.

Musiałam przyznać, że mnie zaskoczył. Po chłodnym przyjęciu spodziewałam się sprzeciwu, byłam gotowa pójść z nim na batalię słowną, a nawet dokonać próby przekupstwa; tymczasem on najuprzejmiej, jak gdyby nigdy nic, zaprosił mnie do opery.

– Lubię operę – odpowiedziałam. – Czy w zamian za to pozwoli mi pan pójść do Cytadeli?

Kiwnął głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Jutro. Jeśli obiecasz, że dzisiejszy wieczór spędzisz wyłącznie ze mną.

Podniosłam się z krzesła, starając się wyglądać na pewną siebie i swobodną.

– Oczywiście – odparłam.

– W takim razie... Umowa stoi.

* * *

Znów przekraczałam bramę Cytadeli. I znów jak poprzednim razem czułam przebiegający mi po plecach nieprzyjemny dreszcz, gdy ciężki most został spuszczone, a ja wjechałam na brukowany teren wojskowych koszar. Tym razem śnieg zaczął tak gęsto, że w zadywce nie byłam w stanie nic dostrzec, a jedynie słyszałam stłumione głosy żandarmów.

– Tym razem nie pójdziesz sama – rzekł Kirsanov.

Znów przybrał ponury ton, choć wczoraj, podczas wspólnego wieczoru przy kolacji i w operze, był nadzwyczaj uprzejmy i czarujący. Zabrał mnie na wystawny posiłek do eleganckiego Bristolu, a po okraszonej muzyką kolacji udaliśmy się na *Cyganerię* Pucciniego.

Czułam się niezręcznie, siedząc z kapitanem w prywatnej łoży i spoglądając z góry przez lorgnon na barwną widownię, na zarówno rosyjski, jak i polski kwiat arystokracji, na zamożnych mieszczan i fabrykantów, których stać było na najlepsze towarzystwo. Bywałam w operze z rodzicami, ale tym razem czułam się inaczej, bo znalazłam się tu z Kirsanovem. Czułam skupione na sobie spojrzenia pięknych dam – Polek i Rosjanek – zwłaszcza tych drugich, które wodziły powłóczytym spojrzeniem za przystojnym kapitanem. Podobał im się, dostrzegałam to w ich zalotnych uśmiechach i złośliwych uwagach dotyczących mojego pospolitego wyglądu. Pewnie dziwiły się, co robię w tak wybornym towarzystwie, bo tego dnia prezentowałam się nadzwyczaj skromnie. Moja suknia z zielonego muślinu, owszem, była ładna, ale z pewnością nie tak olśniewająca, jak

wyszukane paryskie kreacje niektórych dam. Nie zdołały mnie również drogie klejnoty, lecz jedynie delikatny naszyjnik z pereł; nie miałam też modnej w tym sezonie fryzury. Tym bardziej że pod wpływem impulsu nakazałam pani Hani obciąć sobie długie włosy i teraz nie sięgały mi nawet do ramion, ale za to gęstymi lokami okalały moje policzki. Mimo to Kirsanov, niezrażony moim anturazem, przez cały wieczór okazywał mi szczególną uwagę, nie przekraczając przy tym granicy dobrych manier. Był moment, kiedy pomyślałam nawet, że mogłabym go polubić, że może źle go oceniłam i że w rzeczywistości jest przyzwoitym człowiekiem. Ani razu nie nawiązał w rozmowie do tego, co zaszło na ostatnim naszym spotkaniu u madame Le Bon. Ani razu nie obraził mnie nieprzyzwoitym spojrzeniem czy słowem, traktował wręcz z należytą godnością. Dopiero przy pożegnaniu powiedział coś, co mnie zastanowiło.

– Piękny klejnot wymaga właściwej oprawy. – I nim zorientowałam się, co zamierza, pochylił się nade mną.

Chyba chciał mnie pocałować, ale ja gwałtownie odwróciłam głowę.

Teraz jego nastrój był inny. Wyczuwałam dystans i niechęć, jakby moje towarzystwo nagle go męczyło. Przy powitaniu był chłodny i wyniosły. Nie ujął mojej dłoni jak zawsze, do pocałunku. W powozie nie patrzył na mnie. Jechaliśmy w ciszy.

Nie próbowałam przerywać tego milczenia, bo byłam zbyt zdenerwowana. Nie spałam niemal całą noc, rozmyślając nad tym, że w końcu zobaczę Jędrzeja, dodam mu otuchy i go uściskam. Miałam nadzieję dowiedzieć się terminu jego rozprawy w sądzie i poinformować o tym jego rodziców, a szczególnie ojca, który bez wytchnienia zabiegał o posłuch u rosyjskich władz.

Jak poprzednio, powóz i tym razem zatrzymał się przed dziesiątym pawilonem, a drzwiczki otworzył uzbrojony żandarm. Kapitan wyskoczył energicznie, przyjął honory od żołnierza i szybkim krokiem skierował się w stronę więzienia, nawet się na mnie nie oglądając.

W mroku przed pawilonem zobaczyłam majaczący zarys więziennej kibitki. „Znów musieli kogoś przywieźć” – przemknęło mi przez myśl.

Żandarm skierował się do wejścia do pawilonu, a ja posłusznie poszłam za nim. Zdziwiłam się, że nie prowadzi mnie do celi Jędrzeja, lecz w zupełnie innym kierunku. Czyżby mojego przyjaciela przenieśli? Zeszliśmy krętymi schodami w dół, do ciemnych lochów. Zesztywniałam ze strachu. Dokąd mnie prowadzono? Dlaczego tutaj? Rozglądałam się gorączkowo, ale nie widziałam przed sobą nic prócz ciemności. Słyszałam tylko miarowe kroki prowadzącego mnie żołnierza i kogoś przed nami – zapewne Kirsanova – odbijające się od wąskich ścian i sklepienia.

– Dokąd idziemy? – odważyłam się spytać i usłyszałam, że głos mi drży.

– Za kapitanem Kirsanovem. Kazał tu panią prowadzić.

„Dlaczego więc na mnie nie zaczekał?” – zastanowiłam się i ogarnąłem mnie niewytłumaczalny lęk. Miałam złe przeczucia. Bałam się jednak nie tyle o siebie, ile o Jędrzeja. Jeśli prowadzono mnie do niego, to dlaczego do lochów?

Szczęknięły ciężkie zasuwki i w mroku dostrzegłam zarys krat. Dopiero teraz ujrzałam przed sobą kapitana, wchodzącego do wnętrza otwartej celi.

– Nie rozkuwać! – zagrział głuchy rozkaz.

Widok, jaki ujrzałam po przekroczeniu progu, wstrząsnął mną do głębi. Z piersi wyrwał mi się gwałtowny okrzyk grozy, który przeszedł w bolesny jęk. Pośrodku lochu, na grubych łańcuchach i skuty żelaznymi kajdanami, wisiał Jędrzej. Ramiona miał wyciągnięte nad głową, a skórę na nadgarstkach zdartą do żywej krwi. Był blady i nagi od pasa w górę, choć w lochu panował przeraźliwy ziąb. Nogi też miał skute kajdanami. Jego szczupły tors był brudny i zakrwawiony, a głowa zwisała bezwładnie pod dziwnym kątem.

– Jędrzej! – Chciałam do niego dojść, ale powstrzymał mnie żołnierz.

Błyskawicznie złapał mnie w talii i przytrzymał w żelaznym uścisku.

– Nie wolno! – wycharczał mi do ucha.

Moje serce zamarło. Stałam odrętwiała z niemocy, strachu i żalu. W końcu zaczęłam żałośnie krzyżeć na strażnika, że ma mnie puścić, że chcę dotknąć mego przyjaciela i wówczas z cienia wyłonił się Kirsanov.

Na widok kapitana zatrzęsłam się z dzikiej wściekłości.

– Tak wygląda pańska umowa? – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

Rzucalam w jego kierunku iskry nienawiści, choć on zapewne tego nie widział. Szarpałam się, próbując uwolnić z uścisku żołnierza, ale ten zakleszczył mnie boleśnie w ramionach.

– Jeśli się pani nie uspokoi, wyprowadzę stąd panią! – ostrzegł mnie, a ja bezsilnie zwiotczałam w jego uścisku.

Patrzyłam na Jędrzeja, na jego umęczone i zemdlone ciało, i rozpacz odbierała mi trzeźwość myślenia. Na nagim ramieniu dostrzegłam brudny, siny cień po ranie postrzałowej.

– Jędrzuś... – wyszeptałam z bólem. – Kochany...

Miałam wrażenie, że uniósł lekko głowę, ale zaraz znów opadł bezwładnie.

Po moich policzkach potoczyły się łzy.

– Proszę... – wyszeptałam głosem przepelnionym bólem.

– O co mnie prosisz, Klaro? – Piękne oblicze Kirsanova jawiło mi się teraz jak oblicze samego diabła.

To nie był ten sam człowiek, który ledwie wczoraj obdarzał mnie czarującymi uśmiechami i uprzejmie całował w dłoń.

– Uwolnij go.

– Nie mogę. To groźny więzień.

– Nie... – Pokręciłam głową. – On nic nie zrobił. Jędrzej nie jest groźny. On nie zna się na walce ani spiskowaniu. Jest niewinny. Znam go i wiem, że to uczciwy człowiek, zwykły student, syn fabrykanta.

– Brał udział w demonstracji trzynastego listopada. – Głos Kirsanova był zimny, bezwzględny.

– Ja też! – zawyłam z bezsilności. – Ja też tam byłam! – Mój głos odbił się echem od zimnego sklepienia.

Kirsanov patrzył na mnie. Czułam jego autorytet, jego groźne, pałające spojrzenie, którym próbował mnie sparaliżować, lecz jedynie wzbudził nim we mnie większy gniew. Równocześnie usłyszałam głuchy, bolesny jęk; spojrzałam na Jędrzeja, a ten z wysiłkiem uniósł głowę i popatrzył na mnie.

– Klara... – wycharczał.

– Pozwól mi do niego podejść – poprosiłam kapitana, nie spuszczać uważnego wzroku z przyjaciela. – Pozwól mi go... przytulić.

Kirsanov stanął obok Jędrzeja i czubkiem buta kopnął w kajdany.

– Więzień Jędrzej Witebski jest oskarżony o udział w spisku przeciwko władzy cara Jego Wysokości Mikołaja II. Jest oskarżony o współudział w anarchistycznej demonstracji i nielegalnej grupie bojowej, mającej na celu zamachy na carskich żołnierzy. Podburzał ludność do buntu. Nie wspomnę o tym, że był również rekrutem do carskiej armii i próbował wykpić się z obowiązku służby wojskowej.

– Nie...

– Karą za takie przewinienie jest wyłącznie śmierć.

– Nie, błagam...

Kapitan podszedł do mnie i spojrzał mi głęboko w oczy.

– O co mnie błagasz? Ty, która masz się za lepszą? Która gardzisz szlachetnym spojrzeniem i adoracją? A może jednak dobrze ci było, gdy na ciebie patrzyłem, kiedy stałaś przede mną zupełnie naga? Może ci się podobało?

Jędrzej poruszył się i łańcuchy zabrzęczały.

– Ile warte jest dla ciebie jego życie?

Przełknęłam ślinę. W szoku nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Pytałaś wczoraj, czy mam wpływ na wyroki. Otóż mam, moja śliczna. Bardzo duży. Wystarczy jedno moje słowo i ten parszywy kundel może zdechnąć albo... wyjdzie na wolność. Więc ile za niego zapłacisz? Ostrzegam tylko, że nie zadowolę się byle czym.

Gotowała się we mnie nienawiść. Zaciśnęłam pięści, by próbować się opanować, lecz w końcu nie wytrzymałam i splunęłam mu w twarz.

– Jesteś żaloszny! – wycharczałam wściekle.

Odpowiedział mi siarczystym policzkiem, aż niemal straciłam równowagę.

– Wychłostać go! – Kirsanov odsunął się ode mnie.

– Nie, błagam! Zabijesz go!

Popatrzył na mnie z iskrami obłędu w oczach.

– Wypełnić rozkaz! – ryknął.

Żołnierz, który mnie trzymał, rozluźnił uścisk i sięgnął po leżący w kącie skórzany pejcz. Zamarłam. Usłyszałam przecinający powietrze świst i pierwsze uderzenie spadło na plecy Jędrzeja. Widziałam, jak zadygotał na łańcuchach.

– Nie! Błagam! – zawyłam z gniewu i bólu, ale w odpowiedzi usłyszałam kolejne uderzenie i kolejne.

Bezsilnie, przygryzając wargi niemal do krwi, dopadłam do Jędrzeja i objęłam ramionami jego ciało. Łzy spływały mi po twarzy. Przycisnęłam policzek do zimnej piersi i oczami wyobraźni zobaczyłam mojego przyjaciela uśmiechniętego, pięknego, z blond czupryną falujących włosów. To był mój Jędrzej, mój najdroższy, towarzysz zabaw, pierwszy mężczyzna, który wziął mnie w ramiona. I nigdy nie kochałam go bardziej niż w tej sekundzie, kiedy czułam przy sobie jego zemdlone ciało.

– Odsuń się! – usłyszałam za sobą głuchy rozkaz Kirsanova.

Nie zamierzałam słuchać. Przywarłam mocno, kiedy kolejne uderzenie pejcza dotknęło pleców mego przyjaciela i prześlizgnęło się po mojej dłoni. Poczułam piekący ból.

Kirsanov szarpnął mnie za rękę i siłą oderwał od Jędrzeja.

– Nakaz mu przestać, proszę! – wyjąkałam w narastającej panice.

Moje dłonie lepiły się od świeżej krwi.

– Pamiętasz tamtego chłopaka? Skończył jak twój kochaś, bo nie chciałaś się dla niego poświęcić. Mógł żyć, gdybyś tylko nie była taka dumna.

– Czego ode mnie chcesz? – Mój głos stał się chrapliwy, błagalny.

Wciąż słyszałam świst pejcza.

Kirsanov popatrzył na mnie z pogardą.

– Nie pochlebiaj sobie, moja piękna. Nie jesteś godna jego marnej egzystencji.

– Zapłacę. Mam pieniądze. Ile tylko zechcesz. – Mówiąc to, wiedziałam, że pan Witebski nie będzie żałował niczego, by uratować syna.

Kirsanov zbliżył się do mnie. Jego wzrok był zimny. Drażnił mnie.

– Tysiąc rubli. Za życie tego sobaki.

– Jutro rano...

Przerwał mi machnięciem ręki.

– Dostanie za to kilka lat zsyłki – dopowiedział.

Struchlałam ze strachu.

– Nie, proszę...

Ujął mnie boleśnie pod brodę. Jego oczy zwężyły się w wąskie szparki, jak u polującego drapieżnika.

– O co mnie prosisz?

– Daruj mu.

Zaśmiał się gardłowo.

– Rozpieszczałem cię, adorowałem, wielbiłem, licząc na przychyłość, a ty patrzyłaś na mnie z góry, z pogardą. Nie tak się na mnie patrzy, moja Klaro. Każda inna na twoim miejscu marzyłaby o takiej adoracji. Każda inna chętnie grzałaby me łoże. Ale nie ty...

Kolejne uderzenie pejcza. Czułam, jak moje serce kurczy się w rozpacz.

– Zrobię to... Zrobię, co zechcesz. Będę twoją kochanką, ale puść go wolno.

Przez chwilę patrzył na mnie przenikliwie, chytrze, z triumfem w oczach. Sunął palącym wzrokiem po mojej twarzy, wygiętych w grymasie bólu ustach, aż pochylił się do mojego ucha.

– Nie jesteś tego godna, Klaro.

Coś ścisnęło się gwałtownie na mojej piersi. Wydobyłam z siebie jęk rozpacz i popatrzyłam na Jędrzeja. Był nieprzytomny, zwisał bezwładnie, jego ciało było umęczone, wyglądało jak martwe. Odsunęłam się od Kirsanova i opadłam na kolana. Ukryłam twarz w dłoniach. Jeszcze nigdy nie władała mną taka silna desperacja.

– Żołnierzu! – Głos Kirsanova był ostry, rozkazujący, kiedy zwrócił się do tego, który chłostał Jędrzeja. – Ta panna chciałaby własnym ciałem zapłacić za wolność tego człowieka. Myślisz, że to dobra zapłata?

Żołnierz zatrzymał się, z pejczem w dłoni, i popatrzył na mnie bezradnie.

– Nie wiem, panie kapitanie – odparł niepewnie, wyraźnie zawstydzony.

– A chciałbyś się o tym przekonać? Chciałbyś skorzystać z wdzięków tej damy?

Zadygotałam, a moje dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści. Co za drań! Co za okrutny drań!

– Nie, panie kapitanie – odparł żołnierz.

Kirsanov popatrzył na mnie ze złośliwym uśmiechem.

– Widzisz? Ten żołnierz też cię nie chce. Więc nie masz nic, co mogłabyś oferować za życie tego psa.

Gwałtownie podniosłam się na nogi. Wyprostowałam się i podeszłam do Kirsanova. Moje oczy lśniły dziko.

– Nieprawda! – odparłam hardo, patrząc mu w oczy. – Chcesz mnie od pierwszej chwili, ale duma nie pozwala ci sięgnąć po to, co masz tak blisko. Mścisz się na Jędrzeju, bo wiesz, że on posiada to, o czym ty możesz tylko marzyć.

– Błąd, moja panno – syknął wściekle Kirsanov. – Jeśli czegoś pragnę... To zawsze to dostaję. I ty nie jesteś wyjątkiem. W przypadku twojej osoby musiałem jedynie uciec się do innych sztuczek uwodzenia niż zwykle... Ale najwyraźniej takie perwersje jak przymuszanie bardziej do ciebie przemawiają – zakpił.

Ogarnęła mnie fala mdłości.

– Uwolnij go! – wyrzuciłam z siebie głucho.

Kapitan zlustrował pogardliwym wzrokiem moje zaciśnięte wargi. Patrzył na mnie długo i intensywnie, przeciągając bolesne oczekiwanie, aż wreszcie zwrócił się do żołnierza.

– Wystarczy! – rozkazał.

Odetchnęłam. Miałam ochotę rozplakać się z ulgi, ale zamiast tego dopadłam do Jędrzeja. Ujęłam jego twarz w dłonie, spojrzałam na przymknięte powieki i ucałowałam spierzchnięte usta. Ogarnęła mnie czułość i przeogromna potrzeba niewypuszczenia go już nigdy z ramion. Bałam się, że jeśli stąd wyjdę, jeśli opuszczę mury tego potwornego więzienia, zrobią mu kolejną krzywdę, zabiją go.

– Zrobię dla ciebie wszystko – wyszeptałam ledwo słyszalnym tonem, czując dławiące wzruszenie. – Uratuję cię, Jędrusiu. Obiecuję.

Tego wieczora nie miałam już drogi ucieczki. Bez względu na to, co czułam, jak bardzo gardziłam Kirsanovem, bez słowa sprzeciwu poszłam do niego, gotowa na to, czego ode mnie chciał. I nie było już kurtuazyjnego walca ani kieliszka wyborowego caberneta. Nie było kolacji ani tym bardziej opery. Był tylko on.

Nie silił się na zbędne uprzejmości, którymi raczył mnie w poprzednie wieczory. Tym razem, jak tylko zamknął za nami drzwi do buduarowego pokoju w przybytku madame Le Bon, zdjął ze mnie suknię i bieliznę. Nie robił tego ani wolno, ani z nadmierną uprzejmością. Nie patrzył mi również w oczy, bo wiedział, że wyczyta w nich jedynie pogardę i pustkę. Jeden raz próbował mnie pocałować, łowiąc chciwie ustami moje zaciśnięte wargi, ale odwróciłam głowę. Później leżałam bez ruchu, a on brał moje ciało. Zgniatał natarczywymi dłońmi moje uda i piersi, ścisnął pośladki, a ja cierpliwie znosiłam wszystko, co robił, bo w głowie miałam tylko jedną myśl – za życie Jędrzeja oddałabym dużo więcej.

ROZDZIAŁ 17

Na terenach zarówno zaboru rosyjskiego, jak i w niemal całej Rosji dochodziło do gwałtownych zmian na poziomie zwykłej ludzkiej mentalności. Wraz z intensywnym rozwojem przemysłu społeczeństwo rosyjskie coraz wyraźniej dostrzegało nierówności wynikające z ciemnienia go przez klasę uprzywilejowaną i coraz odważniej zaczęło domagać się reformy, szczególnie za namową eserowców – członków rosyjskiej partii socjalistycznej, którzy mieli coraz większy wpływ na rosyjskich robotników. Wieść o klęskach w wojnie z Japonią wstrząsała klasą robotniczą – synowie Rosji wysyłani na front umierali, a zwykli szarzy ludzie nie mieli na chleb. Sytuacja ekonomiczna stawała się coraz bardziej dramatyczna, więc rozjuszeni robotnicy zaczęli kategorycznie żądać poprawy dramatycznych warunków pracy i wprowadzenia ustawodawstwa socjalnego. Chłopi zaś domagali się ziemi.

Nie inaczej było w Królestwie Kongresowym, gdzie nienawiść do wszechwładzy nieudolnego w rządach cara wynikała dodatkowo z przymusowego wynarodowienia Polaków. Bojowcy Polskiej Partii Socjalistycznej, niezrażeni aresztowaniami i prześladowaniami, które dotykały wielu ich członków, coraz częściej wszczynali awantury z carską policją i żandarmami, nie bojąc się już nawet znieprawionej Ochrony. Coraz odważniej wychodzili na ulicę z hasłami wolności na ustach. Wrzała nie tylko Warszawa, ale i inne duże miasta Kongresówki, upatrując w buncie robotników szansy na walkę z zaborcą.

Dwudziestego drugiego stycznia doszło do tragicznych w skutki wydarzeń, które wstrząsnęły Rosją i stały się zapalnikiem do zintensyfikowania protestów w Królestwie Polskim. Rosyjscy robotnicy w Petersburgu wystąpili do cara Mikołaja z petycją poprawy warunków życia i z pokojową manifestacją udali się pod Pałac Zimowy. Podobno nikt z nich nie wiedział, że cara nie było wówczas w stolicy. Policja i kawaleria przywitały robotników wznoszących prawosławne chorągwie i krzyże pod przewodnictwem duchownego Gieorgija Gajdara ogniwą salwą z karabinów. Mnóstwo osób oddało w tamtej masakrze życie; łzom, lamentom i niedowierzaniu nie było końca. I po tym wydarzeniu, nazwanym „krwawą niedzielą”, ludzie stracili wszelką nadzieję oraz wiarę w dobrą wolę cara.

W Warszawie nie było lepiej, bo na skutek kolejnej antycarskiej demonstracji zorganizowanej przez niezłomne w buncie bojówki PPS, zginęło ponad sto osób, a kolejne zostały aresztowane. Część, jak po trzynastym listopada, osadzono na Pawiaku i w Cytadeli. Oba więzienia zapełniały się błyskawicznie i niebawem zaczęły pękać w szwach, a to dla warszawiaków oznaczało tylko jedno – publiczne egzekucje i zsyłki na Sybir.

* * *

Matka Jędrzeja nie zmieniła swojego przyzwyczajenia i wciąż ubierała się na czarno, choć nie miała ku temu osobistego powodu, bo jej syn od kilku tygodni był bezpieczny. Wyrokiem uniewinniającym, który o dziwo wydano krótko po krwawo stłumionych przez wojsko protestach, wypuszczono go z Cytadeli i od tamtej chwili przebywał w domu rodziców pod czułą opieką rodzicielki oraz bacznym okiem lekarza rodzinnego. Widziałam go raz – jeden jedyny raz, kiedy ledwo żywego przywieziono go z więzienia do domu. Był wówczas słaby, ledwo dychający i nieprzytomny, z wysoką gorączką. Moje serce krwawiło z rozpaczy, kiedy patrzyłam na jego umęczone, poranione ciało. Bałam się, że pomimo odzyskania wolności Jędrzej umrze od ran i z osłabienia. Gorąco modliłam się, żeby przeżył.

Od tamtego momentu minęły dwa miesiące. Dwa długie miesiące, podczas których na ulicach raz po raz dochodziło do zamachów bombowych, kiedy policja związała ludzi ze spontanicznych protestów, a Ochrona deptała wszystkim po piętach, w każdym przechodniu upatrując wroga. Ogłoszono stan wojenny.

Ja, choć całym sercem byłam po stronie bojowców, tym razem trzymałam się od wszelkich wydarzeń z daleka, mając świadomość, że w mojej sytuacji – z racji dwuznacznej znajomości z kapitanem Kirsanovem – znalazłam się na celowniku rosyjskich władz.

W końcu Jędrzej poczuł się lepiej, rany się zagoiły, gorączka ustąpiła. Pani Pelagia żaliła się jedynie, że jej syn niewiele je i jest apatyczny oraz małomówny, jakby stracił wszelką radość życia.

– Bezustannie wypytuje mnie, jak udało nam się uzyskać dla niego wyrok uniewinniający, kiedy tylu nowych anarchistów pozamykali, więc w końcu przyznałam mu się, że ojciec wpłacił tysiąc rubli w złocie. Wyjaśniłam, że bardzo nam w tym pomogłaś, interweniując u pomocnika generała-gubernatora, kapitana Aleksandra Kirsanova.

Z rozmysłem kiwnęłam głową. To była prawda. Nikt nie wiedział, co zrobiłam, żeby Jędrzej wrócił do domu, bo oficjalnie mowa była wyłącznie o pieniądzach. Nie domyślali się, że przez wiele nocy z rzędu poświęcałam się dla uciechy i przyjemności kapitana Kirsanova, który triumfalnie kpił ze mnie w żywe oczy zaraz po tym, jak wychodził spomiędzy moich ud. Nie odczuwałam z tego powodu

wyrzutów sumienia; przepelniała mnie jedynie gorąca pogarda do mężczyzny, który w tak żenujący sposób wykorzystywał swoją wyższość nade mną. Pewnego wieczora, kiedy wedle jego życzenia znów do niego przyszedłam, był kompletnie pijany. Siedział rozparty na fotelu, w rozchełstanej koszuli, z pustą butelką po samogonie i fajką, w której tliły się resztki opium. Jego zawsze idealnie zaczesane ciemne włosy tym razem opadały niedbale na czoło. Spojrzał na mnie przekrwionymi oczami.

– Twój kochaś jest wolny – wybełkotał. – Wedle życzenia, moja piękna Klaro. Idź do niego i opowiedz mu ze szczegółami, jak się zabawialiśmy, ile nocy spędziłaś w moim łóżku. Może ci wybaczy, mimo że jesteś już wybrakowanym towarem.

Patrzyłam niemo na Kirsanova i zamiast ulgi, że w końcu nasycił się swoim triumfem i dał mi spokój, czułam jedynie litość. Miałam przed sobą przegranego, samotnego człowieka, który pogubił się w dążeniu do władzy i poczuciu bycia lepszym od innych. Nie miałam również wątpliwości, że po moim odejściu szybko stanie na nogi i znajdzie sobie jakąś kolejną piękność, która z rozkoszą będzie zabawiała go w łożu, w ten sposób tylko pogłębiając jego frustrację.

Kilka dni później, kiedy Jędrzej rzeczywiście był już wolny, doszły mnie informacje, że Aleksander Kirsanov wyjechał do Petersburga.

Po tym wszystkim myślałam, że wszystko, co najgorsze, mam już za sobą. Liczyłam na to, że teraz rozpocznę nowe, lepsze życie. I po części tak się stało. Posada guwernantki hrabianki Julii Czarneckiej okazała się zajęciem więcej niż przyjemnym. Dziewczynka była skromną, posłuszną młodą damą, z początku nieśmiałą, lecz z każdym dniem nabierała pewności siebie. Nie wymagałam od niej gorliwego posłuchu, zmuszałam jedynie do nauki i czytania, a później zachęcałam do dyskusji i wyciągania wniosków z tekstów, które opanowała. Tego sama nauczyłam się na pensji Jadwigi Sikorskiej i uważałam to za bezcenną lekcję dla każdej młodej kobiety. Byłam dumna z siebie, że zarabuję, że utrzymuję się sama, bez jałmużny od ojca. Wysokość wynagrodzenia pozwalała mi nie tylko na skromne życie, ale i na opłacenie ostatnich miesięcy chesnego na Uniwersytecie Latającym, na który nadal uczęszczałam, by niebawem otrzymać dyplom. To było dla mnie osobiste zwycięstwo, wygrana mojego uporu, determinacji oraz tego, że nie poddałam się woli ojca. Być może teraz byłabym już po ślubie z panem Wierzbickim, jeździłabym pięknym powozem po Warszawie, a może i wymarzonym automobilem, jadałabym w najlepszych restauracjach i chodziłabym na wystawne przyjęcia w eleganckich sukniach od Hersego; jednak bez wątplenia męczyłabym się w roli poddanej swojego męża, który opłacałby zarówno moje zachcianki, jak i podstawowe potrzeby według własnego gustu i uznania.

Wieczorami pisałam niekończące się ilości artykułów o tematyce feministycznej, które przepływały wartkim strumieniem przez moją niespokojną głowę. Wciąż jednak nie miałam ich gdzie opublikować, więc na razie chowałam je

do szuflady. Wiedziałam, że nadejdzie dzień, kiedy wszystkie stamtąd wyciągnę, bo ktoś pozwoli mi ukazać je szerszemu gronu.

Wszystko więc układało się prawie dobrze – z dużym naciskiem na „prawie”. Skazą na moim życiu nie był wymuszony romans z Kirsanovem ani to, że Rosjanin odepchnął mnie z dnia na dzień i wyjechał bez słowa. Prawdziwą bolączką okazała się dla mnie obojętność Jędrzeja. Od momentu, jak tylko odzyskał przytomność, zakazał swojej matce wpuszczać mnie do niego. Nie chciał moich odwiedzin ani pytań o jego zdrowie. Nie chciał ani mnie widzieć, ani ze mną rozmawiać. To był dla mnie bolesny cios i nie rozumiała tego również pani Pelagia. Z początku tłumaczyła upór syna osłabieniem, gorączką i tym, że wstydził się tego, w jakim stanie się znajduje. Później przepraszała mnie z miną winowajczynie, że Jędrzej znów nie chce mnie widzieć. Aż wreszcie przestała cokolwiek tłumaczyć i jedynie oznajmiała z wyrzutem, że Jędrzej nie zmienił postanowienia. Odchodziłam więc spod drzwi domu Witebskich z poczuciem pustki i tęsknotą, która rozsadzała mnie od środka. Duma i upór przyjaciela doprowadzały mnie raz do wściekłości, innym razem do smutku, a nawet rozpacz. Tak bardzo chciałam spojrzeć mu w oczy. Nie oczekiwałam wdzięczności, a jedynie zrozumienia i... tej więzi, która zawsze nas łączyła.

Nie inaczej było tego marcowego popołudnia, kiedy po skończonych lekcjach z Julią ponownie udałam się do Witebskich. Siedziałam z panią Pelagią w salonie i popijałam aromatyczną kawę, do której smaku przekonałam się u hrabiny Czarneckiej.

– Jędrzej czuje się dobrze – rzekła do mnie pani Witebska z cichym westchnieniem. – Wychodzi już nawet na krótkie spacerki, dużo czyta. Widać, że chce wrócić do życia. Jego ciało wraca do sprawności, ale dusza... choruje. Bardzo przeżywa to, co dzieje się na ulicach, te wszystkie zamachy są dla niego powodem frustracji. Patrzy przez okno, widzi rosyjskich żołnierzy i wpada w furję. Zaczynam myśleć, że sam chciałby w tych zamieszkach uczestniczyć, taki się zrobił nieznośny. Dzięki Bogu, nie wychodzi na żadne tajne spotkania.

– Czy nadal...? – Dalsza część pytania zwiśla w próżni między nami.

Pani Pelagia ze skrępowaniem splotła palce.

– Niestety. Próbowałam go przekonać, tłumaczyłam, że wolność zawdzięcza głównie tobie, bo gdyby nie ty... I że to bardzo nieładnie, że tak cię traktuje, ale on jest nieugięty. Tak mi wstyd za niego, Klaro. Nie wiem, co go napadło. Czy coś zaszło między wami?

Bezwiednie spuściłam głowę. Nie mogłam pozbyć się bolesnego uścisku w klatce piersiowej. Wiedziałam, że Jędrzej domyśla się charakteru mojej relacji z Kirsanovem. Domyśla się, że zostałam kochanką Rosjanina. Wówczas, kiedy więziono go w lochu przykutego łańcuchami, nie mógł być zupełnie nieprzytomny

i zapewne słyszał, co kapitan mówił. Albo... Kirsanov sam mu wszystko powiedział, zanim wypuścił go wolno.

– Nic między nami nie zaszło – odparłam ściszym głosem.

– Nigdy cię nie lubiłam, Klaro – wyznała pani Pelagia z niespodziewaną szczerością. – Uważałam, że jesteś krnąbrna i zbyt pewna siebie. Dziwiłam się twoim rodzicom, że tak cię pobłażają. Nie widziałam u ciebie nadzwyczajnej urody, choć oczywiście nie jesteś też brzydka, ale denerwowało mnie, że Jędrzej tak się cię uczeplił. Liczyłam, że w końcu zmądrzeje i zakocha się w jakiejś ładnej, porządnej pannie. Dopiero kiedy zobaczyłam, jak się o niego martwisz, jak próbujesz mu pomóc... Nie bałaś się przekroczyć bram Cytadeli. Wtedy zrozumiałam, że nie mógł trafić lepiej.

Poczułam gwałtowne wzruszenie.

– Nie zasłużyłaś na to, co cię spotkało – ciągnęła matka Jędrzeja – ani na gniew ojca, ani na nagłą obojętność mojego syna. Byłam pewna, że jak tylko wróci do zdrowia, będziemy wam szykować wesele.

– Pani nie rozumie, pani Pelagio! – wyrzuciłam z siebie gwałtownie. – Ja nigdy nie wyjdę za męża. Nie chcę. Jędrzej to wie.

– Głupstwa gadasz! Może dlatego jest taki obrażony?

Pokręciłam głową.

– Myślę, że to nie to.

– Ale ty go kochasz, prawda? Widzę to przecież.

Zadrżałam pod ciężarem tych słów.

– Całym sercem. Jak przyjaciela – wyznałam, choć czułam, że te słowa nagle zabrzmiały inaczej.

Kiedy wyszłam z domu Witebskich, postanowiłam chwycić się ostatniej deski ratunku i jeszcze tego samego wieczora napisałam list do Jędrzeja. Zawsze byłam uparta, więc i teraz nie chciałam się poddać. Wyjaśniłam mu, że cieszę się, że wrócił do zdrowia, i że bardzo za nim tęsknię. Prosiłam o możliwość spotkania, o jakiegokolwiek wyjaśnienia, choć chwilę rozmowy. Ale nie otrzymałam odpowiedzi.

* * *

– Smutno mi bez ciebie, dziecko – rzekł dziadek, kiedy przyszłam do niego w odwiedziny.

Odkąd wprowadziłam się do willi hrabiostwa Czarneckich, odwiedzałam dziadka częściej niż kiedyś, pamiętając, że nie zostawił mnie w potrzebie na bruku.

– Przyniosłam ci zająca szpikowanego słoniną. Palce lizać!

– Rozpieszczasz mnie bez powodu. Przecież Hania dobrze mi gotuje.

– Wiem, ale nie zaszkodzi, jeśli pokosztujesz czegoś z hrabiowskiej kuchni. W końcu sam kiedyś... – Urwałam, bo dziadek stęknął, wyraźnie oburzony.

– Nie wracaj do tego, co było, dziecko!

– Dobrze, dziadku. Nie będę. Ale zająca zjedz.

Nałożyłam mu sporą porcję mięsa na talerz i postawiłam na stole. Kiedy jadł, wytrzepałam pościel i posłałam łóżko.

– Obrotna z ciebie dziewczyna. Aż żal, że żadnemu chłopcu się nie przydasz – mruknął dziadek pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– Co za bzdury wygadujesz, dziadku!

– Mówię tak, bo był u mnie twój ojciec. Łaskawie się zjawił, choć w Boże Narodzenie nasze towarzystwo wyraźnie go uwierało. Ale gdy już przyszedł, to zaczął mi gadać o tobie. O tym, że chce dla ciebie dobrze.

– Raczej chce dobrze dla siebie – mruknęłam drwiąco.

– Był jakiś taki markotny – kontynuował niezrażony moją reakcją dziadek, z wyraźną przyjemnością przeżuując mięso. – Opowiadał, jak z twoją matką męczą się sami, jak brakuje im wsparcia.

Wzruszyłam ramionami.

– Więc niech zostawią to wszystko i jadą do Francji. Feliks ma piękny dom w Grasse, więc z pewnością będą zadowoleni. Mają wnuczkę Rosalie, której nigdy na oczy nie widzieli.

– Nie bądź taka przemądrzała, dziecko. Nie wyjadą do Francji, bo tu jest ich dom. Twój ojciec chce przekazać ci swoje interesy.

– Mnie? Naprawdę? – zakpiłam, wyobrażając sobie minę, z jaką ojciec przekazuje mi nadzór nad magazynami towarowymi.

– To znaczy twojemu mężowi – dodał dziadek.

– O! I tu kryje się całe sedno. I po co ta rozmowa?

– Czemu się tak upierasz? Nie możesz jak każda normalna panna znaleźć sobie męża? Co w tym złego? Miałabyś zabezpieczoną przyszłość, nie musiałabyś się tulać jak jakaś bezdomna.

– Dziadku, ty też przeciwko mnie?

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Nie, dziecinko. Prędzej dam się posiekać, niż zrobię coś przeciwko tobie, ale uważam, że nie ma nic złego w małżeństwie. Życie we dwoje jest ciekawsze, bardziej treściwe, a samotność... Nic niewarta.

– Mówisz tak, bo miałeś babcię. A mnie papa chce oddać Wierzbickiemu, bo interesy z nim mu pasują. Nic z tego!

– A co z tym mężczyzną, z którym się spotykałaś?

Zamarłam, spoglądając na dziadka z przestraczem. Chyba nie wyjawiał nic ojcu?

– Mówisz o Jędrzeju? – spytałam głupio, choć wiedziałam, że nie o niego dziadkowi chodziło.

– Mówię o tym, dla którego stroiłaś się wieczorami.

Przez chwilę milczałam, szukając właściwych słów. Dziadek nigdy wprost nie wypytywał mnie o wieczorne nieobecności, ale wiedział. Był jedynym świadkiem moich wyjść i powrotów, kiedy kładłam się do babcinego łóżka i próbowałam zasnąć, wyrzucając z głowy myśli o tym, że chwilę wcześniej leżałam naga w pięknej pościeli madame Le Bon, a Kirsanov bawił się moim ciałem.

– To nie było nic szczególnego. Zwykle towarzyskie spotkania.

– Nie wypada, żeby porządna panna spotykała się ot tak. To wstyd! Jeśli ten mężczyzna narobił ci nadziei i cię obraził...

– Nie, dziadku, nic z tych rzeczy.

– Ale już się z nim nie spotykasz?

– Nie.

Dziadek dojadł mięso i pokiwał głową. W końcu wstał i powłócząc nogami, poszedł do babcinej izby. Po chwili wrócił, trzymając coś w sękatej dłoni.

– Powinienem dać ci to już wcześniej, ale... jakoś nie było odpowiedniej sposobności.

Wręczył mi malutkie drewniane pudełeczko. Otworzyłam je i zaskoczona zobaczyłam zaśnieżony ze starości złoty łańcuszek z medalionem. Z jednej strony ozdobiony był drobnymi rubinami ułożonymi na kształt serca, z drugiej zaś widniał miniaturowy fikuśny grawer: *Amor tollit timorem*^[6].

– Jakie to piękne! – wyszeptałam oszołomiona i wzruszona.

– Należał do twojej babci. Podarowałam go jej na naszą pierwszą rocznicę ślubu. – Głos mu zadrżał, oczy zwilgotniały. – Posiadaliśmy wiele pięknych rzeczy i jak wiesz, wszystko straciliśmy. Wszystko poszło na zmarnowanie... Ale ten medalion twoja babcia zawsze miała przy sobie. To był jej talizman, tak o nim mówiła. Nie pozwoliła włożyć go sobie do trumny, nakazała ofiarować go tobie, dziecko.

Podważyłam paznokciem puzderko i moim oczom ukazały się dwie maleńkie, nadgryzione zębem czasu miniaturowe. Jedna przedstawiała babcię, druga dziadka. Oboje byli na nich bardzo młodzi i piękni. Moje oczy przysłoniła mgła łez. Nie wiedziałam, co powiedzieć, bo silne wzruszenie zdławiło mi gardło.

– Noś ją. Niech przyniesie ci szczęście. Niech cię doprowadzi do spełnienia, takiego, jakim była nasza miłość. Wiem, że babcia byłaby z ciebie dumna, mimo twoich... poglądów.

Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Myślę, że babcia popierałaby moje poglądy z całego serca – odparłam, pewna, że tak właśnie by było.

– Idź do rodziców, porozmawiaj z nimi – poprosił dziadek, kiedy schowałam medalion i szykowałam się do wyjścia.

– To bezcelowe. Wiem, czego ode mnie oczekują, i nie mogę się na to zgodzić.

- To chociaż pokaż im się, że jesteś zdrowa. Martwią się o ciebie.
Pocałowałam dziadka w suchy, pomarszczony policzek.
- Dobrze, pójde – obiecałam.

[6] (łac.) Miłość usuwa strach.

ROZDZIAŁ 18

– I co powiesz, Klaro? Czy nie jest piękny? – Hrabina Zofia Czarnecka z ekscytacją klasnęła w dłonie.

Stała przy wysokim oknie i z zachwytem spoglądała na wybrukowany dziedziniec przed domem, gdzie w otoczeniu młodych liści idealnie przyciętego żywopłotu stał zaparkowany lśniący czarny automobil.

– Rzeczywiście, jest imponujący – przyznałam. – Wygląda bardzo luksusowo.

– Przyjechał prosto z Paryża, więc musi być luksusowy. To peugeot, podobny do tego, którym jeździł przemysłowiec Stanisław Grodzki, tylko oczywiście nowszy. Och, jakie to ekscytujące móc go prowadzić! Mój mąż uważa, że to bardzo nieprzyzwoite, bym sama siadała za kierownicę, ale któż by się tym przejmował! Szofer, owszem, niech mnie wozi na oficjalne przejażdżki, ale po godzinach... – Zofia znów z entuzjazmem klasnęła w dłonie. – Będę jeździć tym cackiem sama!

Oderwała roziskrzone spojrzenie od samochodu i popatrzyła na mnie. Z jej twarzy nigdy nie schodził uśmiech. Kumulowała w sobie tyle energii, że nawet gdy stała w miejscu, to miało się wrażenie, jakby jej ciało poruszało się w płynnym rytmie. Wyobraziłam sobie, że jako mała dziewczynka była pewnie w ciągłym ruchu, że nie chodziła, tylko biegała i podskakiwała. Już dawno zapomniałam o pierwszym wrażeniu, jakie na mnie zrobiła. Wówczas uznałam, że jest nieładna, lecz przy bliższym poznaniu zdecydowanie zyskiwała. Jej swoboda i bijący z twarzy entuzjazm dodawały jej szczególnego blasku.

– Nie jesteś ciekawa, jak to jest? – spytała.

– Owszem, chętnie przejechałabym się czymś takim. Nigdy nawet nie siedziałam w automobilu.

– Więc zabiorę cię na przejażdżkę! A jeśli będziesz chciała, nauczę cię prowadzić! Przekonasz się, ile w tym ekscytującej przyjemności.

– Z pewnością.

Przyznałam Zofii rację i w innych okolicznościach zapewne podzielałabym jej podekscytowanie, ale w tej chwili zupełnie nie miałam do tego głowy. Moje myśli zaprzętało coś dużo ważniejszego. Coś, co nie tylko zburzyło mój prowizoryczny spokój, ale wręcz wywróciło moje życie do góry nogami. I nawet jeśli z początku

odrzucałam od siebie tę gorzką prawdę, to w końcu musiałam stanąć z nią twarzą w twarz i skonfrontować się z tą stroną własnej kobiecości, której kompletnie nie znałam i na którą nie byłam w żadnym wypadku przygotowana.

– Jest taka piękna wiosenna pogoda, Klarciu. Chodźmy do ogrodu, napijemy się tam kawy. Dzieci pewnie biegają po trawniku i grają w piłkę, więc popatrzymy sobie.

Zawahałam się.

– Zanim pójdziemy, chciałabym ci coś wyznać – rzekłam z obawą w głosie.

Bałam się bardzo tego, co musiałam powiedzieć tej serdecznej kobiecie, ale nie mogłam dłużej się przed nią z tym ukrywać. Wiedziałam, że każda kolejna godzina trzymania tego w sekrecie będzie męką, a już wystarczająco dręczyły mnie dolegliwości ciała.

Hrabina zrobiła zdumioną minę.

– Po twoim tonie wnioskuję, że to coś poważnego.

– Nawet bardzo – westchnęłam.

Z wrażenia pociły mi się dłonie. Nigdy nie byłam nieśmiała, nie przejmowałam się konwenansami ani nie starałam się ubierać niczego w wydumane słówka, a tym razem naprawdę nie wiedziałam, jak zacząć. Jak opowiedzieć wprost o tym, co miało na zawsze odmienić moje życie? Jak wyrzucić z siebie zmartwienie, które mnie uwierało, a niekiedy odbierało zdolność logicznego myślenia? Bo odkąd ta prawda stała mi się znana, nie umiałam wyobrazić sobie swojej przyszłości.

– Więc usiądźmy tutaj – zaproponowała Zofia, wskazując mi wygodną sofę pod oknem. – Zaraz poproszę pokojówkę, żeby podała nam kawę i ciasto.

Usiadłam, a ona spoczęła obok mnie.

– Czy chodzi o Julię? – zapytała z troską. – Jest jakiś problem?

– Nie, Julia to wspaniała, mądra dziewczynka. Szalenie bystre dziecko.

– Więc? – Ton głosu Zofii zdradzał zaniepokojenie.

Bez ogródek, bez owijania w bawełnę, niemal na wdechu wyznałam swojej pracodawczyni, że spodziewam się dziecka.

– Och! – wyrwało się jej w pierwszej chwili, ale wbrew moim obawom nie wydawała się zgorzonna tą wiadomością, a raczej zatroskana. – Jak to możliwe?

– No cóż... – poczułam zażenowanie, a moje policzki zrobiły się purpurowe.

– No tak, oczywiście. Wiem, skąd się biorą dzieci – wyrzuciła z siebie szybko hrabina. – Chodziło mi o to, że... Nie sądziłam, że ty...

– To bardzo skomplikowane – odparłam i umilkłam, nie wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

Sama próbowałam wyjaśnić to sobie wielokrotnie, pojąć jakkolwiek i oczywiście odpowiedź brzmiała zawsze tak samo – że powinnam się była tego spodziewać.

– W związku z zaistniałą sytuacją naturalne jest, że nie mogę dłużej być guwernantką Julii i nie mogę mieszkać pod waszym dachem. Proszę jedynie

o zrozumienie i nienagłaśnianie sprawy. Nie chciałam, żeby jak w przypadku biednej Marii Domańskiej złośliwie spekulowano, kto jest ojcem mojego dziecka.

Hrabina nie odrywała ode mnie zatroskanego spojrzenia. Była ode mnie ledwie trzy lata starsza, a miała w sobie dojrzałość, której mi wciąż brakowało. Może właśnie przez to, że była już matką?

– Oczywiście, obiecuję, że nic nie wyjdzie z moich ust. Twoja prywatność jest dla mnie nienaruszalna. Chciałabym jednak wiedzieć... – odchrząknęła zakłopotana. – Czy w takim wypadku zamierzasz wyjść za mąż?

– Nie.

Hrabina z rozmysłem pokiwała głową.

– Rozumiem. A możesz mi zdradzić, kto jest ojcem twojego dziecka? Nie zrozum mnie źle, nie zamierzam cię potępiać, nie jestem jak te inne dewotki. Ale jeśli to mój kuzyn, Jędrzej...

Poczułam nagły, głęboki żal, tak silny, że na moment odebrał mi głos. Przypomniałam sobie, kiedy jeszcze parę lat temu obawiałam się, czy nie zaszłam w ciążę z Jędrzejem po naszym miłosnym wybryku. A teraz... Gdyby to on był ojcem mojego dziecka, nie czułabym się nieszczęśliwa. Tak naprawdę cieszyłabym się, że to on. Wyłącznie on.

– Ojcem jest kapitan Aleksander Kirsanov – odparłam beznamyślnie. – Oczywiście on nic o tym nie wie. Przeszło miesiąc temu wyjechał do Petersburga.

– Kirsanov! No tak, mogłam się domyślić. To dlatego... Och, Klaro! – Twarz Zofii nagle się zmieniła. – Czy to dlatego Jędrzej wyszedł z Cytadeli? Czy to... była cena za jego wolność? Twoja cnota?

Nie umiałam potwierdzić ani zaprzeczyć. Nie umiałam wykonać żadnego gestu, bo ścisnął mnie gwałtowny ból i nagły szloch wydobył się z mojej piersi. Nie żałowałam tego, co się stało. Obawiałam się jedynie dalszych konsekwencji.

– Klaro, przecież on cię skrzywdził! Wykorzystał! – Hrabina czule objęła mnie ramionami.

Byłam zdumiona jej serdecznością. Spodziewałam się raczej potępienia, wyrzutów, a nawet obraźliwych słów, ale nie tego, że zostanę zrozumiana.

Gwałtownie zaprzeczyłam.

– To nie tak. Zrobiłabym to jeszcze raz, gdyby było trzeba.

– Co za głupstwa pleciesz! Takie poświęcenie, a ten półgłówek mój kuzyn nie chce cię nawet widzieć. Czy on wie? O tobie i o... tym Rosjaninie?

– Sądzę, że się domyśla. Dlatego nie chce ze mną rozmawiać.

Zofia przez chwilę głaskała mnie uspokajająco po plecach.

– Porozmawiam z nim. Spróbuję mu naświetlić sytuację. Wiem, że Jędrzej jest w tobie szaleńczo zakochany, bo mówił o tym nie raz. Mógłby zaopiekować się tobą i dzieckiem.

Odsunęłam się od niej gwałtownie.

– Nie! W żadnym wypadku! Nie pozwolę, żeby wziął na siebie moje kłopoty ani tym bardziej, by wychowywał dziecko człowieka, który go więził i torturował.

– A powinien! W końcu zrobiłaś to dla niego! – Zofia popatrzyła mi w oczy. – Prawda? – Znacząco uniosła brew.

– Chyba nie podejrzewasz, że mogłabym z własnej woli...

Hrabina wzruszyła ramionami.

– Kirsanov to niezwykle przystojny mężczyzna. Mógłby zawrócić kobiecie w głowie.

– Ale nie mnie!

Na twarzy Zofii pojawił się cień ulgi.

– Otóż to! Więc sprawa jest czysta i klarowna. Jędrzej powinien się tobą zająć.

– Nie! – Zerwałam się na równe nogi. – Nie chcę, żeby o tym wiedział. To by go zniszczyło. Nie udźwignąłby takiej prawdy.

– Więc co zamierzasz? Chyba nie chcesz zostać z tym sama?

– Owszem, chcę. Poradzę sobie.

– Sama z nieślubnym dzieckiem? Bez domu i męża? – Zofia się zamyśliła. – Chyba że... Jeśli chcesz, to znam kobietę, która spędza płód. Mogę cię do niej zaprowadzić, ale ostrzegam, że zdarzają się komplikacje...

– Nie! – zaprotestowałam gwałtownie. – Już to przemyślałam i... Urodzę to dziecko. Gdybym się go pozbyła, obciążylabym tym swoje sumienie bardziej niż faktem, że oddałam się Kirsanowowi. Nie wiem jeszcze, co zrobię, jak sobie poradzę, ale coś wymyślę. Takie jak ja zawsze spadają na cztery łapy. Moja mama ciągle załamywała nade mną ręce i chyba miała rację. Wybacz mi, Zofio, że ten kłopot pojawił się akurat teraz, kiedy zamieszkałam pod waszym dachem. Twój mąż ma prawo czuć się urażony... Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Ależ co ty opowiadasz! Klaro! Mój Boże, czymże my, kobiety, jesteśmy w obliczu zła i prawdziwej miłości? Czym są nasze decyzje i wybory wobec wyborów mężczyzn, którzy tak chętnie wykorzystują swoją władzę nad nami? Wcale nie dziwi mnie, że to zrobiłaś, bo na twoim miejscu pewnie postąpiłabym tak samo. Ratowałaś tego, który był ci najdroższy, a że ten zbereźnik Kirsanov zażyczył sobie właśnie takiej zapłaty...

Hrabina zaczęła krążyć po pokoju, gestykułując, jak to miała w zwyczaju, a ja z pewną ulgą przyglądałam się temu. Przez ostatnie dni, odkąd wiedziałam już, że jestem w ciąży, zdążyłam nałożyć na siebie pancierz ochronny; nastawiłam się na to, co mogło mnie czekać. Spodziewałam się wyłącznie potępienia, opluwania i ośmieszania, więc wyrozumiałość Zofii Czarneckiej była dla mnie wzruszającą niespodzianką. A teraz uzmysłowiłam sobie, że przez to tym ciężiej będzie mi stąd odejść.

– Kiedy spodziewasz się rozwiązania? – spytała, przystając na chwilę i patrząc na mnie z rozmysłem.

– Gdzieś koło października.

– Więc do lata możesz pozostać na posadzie guwernantki. Wytłumaczę mężowi twoją sytuację i niech nawet nie próbuje mi niczego utrudniać, bo pozna mój gniew! – Uśmiechnęła się do mnie znacząco. – Mam mnóstwo ubranek po bliźniakach. Każę je odświeżyć i spakować dla ciebie.

– A Julia? Nie wypada, żebym w moim stanie zajmowała się edukacją młodej panienki.

Zofia się zaśmiała.

– Przecież nie będziesz jej edukować w kwestiach... No, wiesz jakich. Zresztą nie zaszkodzi, jeśli dowie się, że wyłącznie my, kobiety, w konsekwencji stosunków męsko-damskich bierzemy na siebie całą odpowiedzialność. Ku przestrodze.

Westchnęłam, choć trochę chciało mi się śmiać. Gdyby wszyscy byli tak wyrozumiali jak Zofia, świat byłby zdecydowanie łatwiejszy.

Tego popołudnia ustaliłyśmy, że jako guwernantka zostanę u hrabiostwa do lata. Po odejściu z domu Czarneckich zamierzałam poszukać sobie jakiegoś lokum, w którym mogłabym bezpiecznie zamieszkać do czasu porodu. Nie miałam jeszcze planu na przyszłość, nie wiedziałam, jak sobie poradzę i czy w ogóle sobie poradzę. Wiedziałam jedynie, że muszę urodzić to dziecko. Wiedziałam – dzięki Marii. Czułam, że duch przyjaciółki czuwa nade mną. Jej wspomnienie było we mnie bardzo żywe i głębokie. Nie chciałam pozwolić, żeby spotkało mnie to, co ją. Nie chciałam, żeby ktoś odebrał mi prawo do decydowania o sobie. Podświadomie czułam, że jestem jej to winna. Byłam gotowa podjąć się roli matki, ale na własnych zasadach, bez nakazów i zakazów. Wiedziałam, że czeka mnie trudna i samotna walka, bo samotne macierzyństwo, bez męża, było jak wystawienie się na ukamienowanie. Ale jak zdefiniować należałoby emancypację, jeśli uciekałabym przed największymi wyzwaniem?

W tym wszystkim budził się we mnie żal za Jędrzejem. Jeszcze wówczas nie rozumiałam swoich uczuć do niego. Nie wiedziałam, że to, co uważałam za zwykłą przyjaźń, wybuchnie we mnie z siłą granatu. Emocje względem niego przepełniały mnie od zawsze, były czymś tak naturalnym jak to, że po nocy wstaje dzień. Dopiero gdy rozbudziła się we mnie kobiecość, zaczęłam uświadamiać sobie, że za moją tęsknotą podążają myśli o nim. Zawsze, kiedy czułam na sobie ciało Kirsanova, kiedy jego dłonie wędrowały po moim nagim ciele i gdy mnie wypełniał, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że to mój Jędrzej. Wówczas myślałam, że ta wizja pomaga mi przetrwać. Dopiero z czasem zdałam sobie sprawę, że naprawdę marzyłam o Jędrzeju. Pragnęłam go. Całego. Sercem, duszą i ciałem. I dlatego z tym większym bólem przyjąłam przekazaną mi pewnego dnia listowną wiadomość od pani Witebskiej, że Jędrzej opuścił dom rodziców i wyjechał na dłuższy pobyt do Łodzi. Bez pożegnania. Bez jakiegokolwiek słowa w moim kierunku. To bolało jak nic innego.

* * *

Wizyta moich rodziców w domu hrabiostwa Czarneckich zdumiała mnie nie mniej, niż gdyby w progu stanęła sama Maryja Dziewica.

– W sytuacji, w jakiej się znalazłaś, nie pozostaje nam nic innego, jak nakazać ci powrót do domu – oznajmił mój ojciec stanowczym tonem, nie siląc się na uprzejmość. – Nie możemy pozwolić, żebyś była ciężarem dla hrabiego Czarneckiego i jego wspaniałomyślnej żony.

– Ależ Klara nie jest mi ciężarem, tylko pomocą! – oburzyła się Zofia, ruchem dłoni nakazując pokojówce, żeby ta poczęstowała moich rodziców herbatą i ciasteczkami. – Jej opieka nad Julią jest dla mnie bezcenna! Mój mąż, choć nie wtrąca się w wychowanie córki, również jest bardzo zadowolony z metod Klary. Podoba mu się, że Julia zaczęła z nim dyskutować przy kolacji na różne tematy. Stała się bardziej odczytana, a przez to rozmowna.

– Jednak sama pani przyzna, że przez wzgląd na nieślubną ciążę – ojciec nagle się zapowietrzył, jakby to ostatnie słowo nagle odebrało mu dech – Klara nie może tu zostać. Plotki mogłyby was zniszczyć.

– Plotki nas nie obchodzą! – odburknęła Zofia. – Plotki to zło, które należy zwalczać w zarodku. Takie zło zabiło biedną Marię Domańską, a Klara nie zrobiła nic, za co należałoby ją szkalować. Owszem, wdała się w relację z mężczyzną, ale miała ku temu szczególny powód.

Ojciec spurpurowiał na twarzy, a matka złapała się za pierś, wyraźnie zgorszona.

Był maj, więc mój stan trwał już pięć miesięcy, ale pod fałdami drapowanej sukni nie było widać krągłości. Brzuch rósł, jednak ukrywałam go dość skutecznie i jak na razie nikt prócz kilku wtajemniczonych osób nie domyślał się prawdy. Tymczasem ojciec wodził ciekawskim spojrzeniem po mojej sylwetce, doszukując się śladów grzechu.

– Mimo wszystko naszym obowiązkiem jest opieka nad Klarą i jej dzieckiem – wtrąciła się mama, próbując nieudolnie rozładować napiętą atmosferę. – Nie chcemy zostawić naszej córki bez środków do życia. Dopuszcza się rozwiązłości, ale ono – wymownie spojrzała na mój brzuch – nie jest temu winne.

– Mamo, naprawdę nie wymagam od was, żebyście przyjmowali mnie do domu. Sama zadbam o siebie i dziecko.

Popatrzyła na mnie z wyrzutem. Widziałam w jej melancholijnym spojrzeniu gorzki żal i dotarło do mnie, że naprawdę chciała, abym wróciła do domu. Szczerze się o mnie martwiła. W innej sytuacji zapewne zaczęłabym się stawiać, miałabym jakieś logiczne wytłumaczenie lub ripostę, ale ciąża zmieniła moje podejście. Złagodniałam. Stałam się spokojniejsza, bardziej opanowana.

– To dziecko, które w sobie nosisz, to nasz wnuk – rzekła mama.

– Lub wnuczka – dodałam z rozmysłem.

– Tak. I pomijając okoliczności jego poczęcia oraz to, kto jest ojcem – mama odchrząknęła z zakłopotaniem – ta dramatyczna sprawa z hrabianką otworzyła nam oczy na pewne sprawy. Pewnie wiecie, że po tamtej strasznej tragedii hrabina Domańska rozchorowała się ciężko i sama jest bliska śmierci. My nie zamierzamy patrzeć na innych, nie będziemy słuchać cudzych opinii. Chcemy tylko zapewnić wnukowi przyszłość.

Zofia Czarnecka popatrzyła na mnie z miną wielce zadowoloną, a ja nie mogłam wykrztusić słowa, bo ogarnęła mnie nagła tkliwość. Po tych wszystkich nieprzespanych nocach, kiedy nie potrafiłam wyobrazić sobie tego, co mnie czeka, po łzach, które same wypływały z moich oczu, po przekleństwach rzucanych w stronę Kirsanova i w tej bezgranicznej tęsknocie za mężczyzną, którego zaczęłam kochać inaczej niż jak brata, nagle zobaczyłam światło w tunelu. I tym światłem była rodzina. Czy mogłam odepchnąć wyciągniętą ku mnie pomocną dłoń? Nie, bo nie byłam już sama. Było nas dwoje, a to rosnące we mnie maleństwo wymagało opieki.

Powrót do domu stał się więc dla mnie pewnego rodzaju symbolem. Po miesiącach dramatycznych zdarzeń, które wycisnęły na mnie niezatarte piętno, znów znalazłam się u siebie. W moich czterech ścianach, w czułych objęciach Dusi, która rozplakała się na mój widok.

* * *

Z początkiem października odwiedziła mnie Zofia Czarnecka z wiadomością mającą na zawsze pogrzebać moje wspomnienia dziecięcej i młodzieńczej przyjaźni, która nie wiedzieć kiedy przerodziła się w miłość.

– Pelagia chciała do ciebie napisać, ale uznałam, że przekażę ci to osobiście. Po tym wszystkim, co zrobiłaś dla Jędrzeja, choć nadal nie wie o tym nikt prócz mnie, uważam, że należy ci się szczerowość. Wiem, że już dawno pogodziłaś się z tym, że go nie ma.

Ton jej głosu choć spokojny, brzmiał niepokojąco. Słuchając jej, odruchowo położyłam dłoń na wydatnym brzuchu.

– On już raczej nie wróci, Klaro. Kupił dom w Łodzi i tam otwiera drugą fabrykę cukru.

Nie chciałam, żeby mnie to ruszyło. Byłam przecież twarda, zahartowana, nie przejmowałam się słabostkami. A jednak myśl, że Jędrzej układał sobie życie poza Warszawą, bolała. Oznaczała, że nie wróci do miasta, a jedynie może kiedyś pojawi się z krótką wizytą. Coś mnie ścisnęło w środku, coś spowodowało we mnie nagły smutek.

– On... parę dni temu się ożenił – dokończyła Zofia.

Przyjęłam to z taką godnością, na jaką mnie było stać, choć moje serce rozpadło się na tysiąc kawałków. Chciałam życzyć mu szczęścia i nie umiałam. Chciałam szczerze cieszyć się, że podniósł się po dramatycznych wydarzeniach i wrócił do zdrowia, ale to było dla mnie za dużo. Nie umiałam przejść nad tą informacją obojętnie.

Tej nocy dziecko postanowiło przyjść na świat i posklejać moje popękane serce.

Tuż przed świtem, po ciężkim, wyczerpującym porodzie, podczas którego wielokrotnie żegnałam się z życiem, przywitałam na świecie zdrowego syna. Stanisława Ignacego Tyszkowskiego. Moje nieślubne dziecko bez ojca.

CZEŚĆ DRUGA
1907–1909

ROZDZIAŁ 19

Nastała wiosna. Od ponad dwóch lat na ulicach Imperium Rosyjskiego panowały się obywatelski gniew, gwałt i rewolucja. Kongresówka była zaś tym szczególnym punktem zapalnym, bo przedstawiciele jej władz nie odpuszczali nawet w obliczu silnych represji, choćby za czytanie prasy socjalistycznej. Młodzi Polacy buntowali się żarliwie. Z zacięciem i determinacją głosili hasła o wyrwaniu siłą niepodległości, podnosili wysoko pięści na zaborcę i ogniem dokonywali odwetów za aresztowania. Dochodziło do masowych demonstracji i strajków, liczonych w tysiącach wydarzeń na terenie całego Królestwa Polskiego. Robotnicy domagali się przywilejów prawnych i ochrony pracy, a w szczególności szacunku od przełożonych. Nauczyciele zaś, wbrew postanowieniom cara o bezwzględnej rusyfikacji, wprowadzili do szkół język polski. To był silny i gwałtowny opór społeczny przeciwko uciskowi oraz triumf narodowej przynależności. Wszyscy pamiętali publiczną śmierć na stokach Cytadeli młodego Stefana Okrzei, który podczas manifestacji trzynastego listopada 1904 roku wznosił czerwony sztandar wolności. Okrzeja został schwytyany podczas zamachu na oberpolicmajstra Karla Nolkena, a jego śmierć pobudziła gniew i wzmogła nienawiść wśród polskich bojowców. Członkowie Organizacji Bojowej PPS przeprowadzili wiele zamachów na funkcjonariuszy rosyjskiej żandarmerii, policji i Ochrony, a w sierpniu 1906 roku młodzieńca Wanda Kraheńska, działaczka PPS, dokonała wprawdzie nieudanego, ale za to brawurowego zamachu na samego generała-gubernatora Georgija Skafona, co uznano za wyjątkową zuchwałość, tym bardziej że uczyniła to kobieta. Wanda działała w ramach osobistego odwetu za aresztowanie i torturowanie jej narzeczonego, który po tym, jak wyszedł z więzienia, popełnił samobójstwo. Dziewięć dni po nieudanej akcji Kraheńskiej członkowie PPS zabili tymczasowego generała-gubernatora Warszawy, Nikołaja Wonlarskiego.

Bojowcy nie poprzestawali wyłącznie na zamachach. Szkolili się do przyszłej walki o niepodległość, spiskowali, brawurowo odbijali więźniów i dokonywali napadów rabunkowych, a w pobliżu Łodzi, pod Rogowem, przeprowadzili udany napad na rosyjski pociąg pocztowy, zdobywając w ten sposób pieniądze na przyszłą walkę o niepodległość.

Wszelkie rewolucyjne i bojowe akcje paraliżujące Kongresówkę były szeroko komentowane na terenach trzech zaborów i mocno potępiane przez Narodową Demokrację oraz jej przywódcę Romana Dmowskiego, który – choć wierzył w odzyskanie niepodległości – cele wolnościowe opierał jednak na ideach pragmatyzmu i nacjonalizmu. Niektórzy, szczególnie z otoczenia Józefa Piłsudskiego, oskarżali Dmowskiego o tajne układy z carem – wszak głośno krytykował strajki i antyrosyjskie zamachy i stanowczo domagał się ich zaprzestania.

Rok 1907 zaczął się równie niespokojnie, bo już w styczniu bojówki PPS dokonały w Warszawie udanego zamachu na tajnego funkcjonariusza rosyjskiej Ochrony, Wiktora Gruena. Moje osobiste życie toczyło się równoległe do tych wydarzeń, a jednak gdzieś ponad tą szaloną rewolucją, która przetaczała się ulicami miast. Jakbym znalazła się na marginesie wydarzeń po to, by w zaciszu domu rodziców odkrywać siebie w zupełnie nowej odsłonie.

Byłam matką. Urodziłam dziecko mężczyzny, którym gardziłam, i to doświadczenie stało się zarówno moją pokutą za grzech, jak i oczyszczeniem po trudnych przeżyciach. Staś od pierwszych dni, tak podobny do ojca, przypominał mi, skąd się wziął i jak został poczęty. Musiałam wydobyć z siebie ogromne pokłady uczuć, które dotąd drzemały gdzieś bardzo głęboko i o których istnieniu nie miałam pojęcia, a przy tym zakopać wewnętrzny ból, żeby zrozumieć, że moje życie właśnie teraz, dzięki temu maleństwu, nabrało sensu. I choć to odkrycie pochłaniało większość mojej uwagi i absorbowало myśli, nadal całym sercem stałam po stronie walczących tuż za rogiem bojowców. Wciąż wierzyłam w wolność, a niepodległościowe hasła rozpały moją głowę. Wiedziałam, że wiele moich bliskich koleżanek z Uniwersytetu Latającego weszło w szeregi PPS; nie tylko zajmowały się agitacją czy kolportażem partyjnej bibuły, ale też z narażeniem życia, tuż pod nosem rosyjskich żandarmów, przemycały broń, chowając ją w bieliznie, gorsetach, fałdach sukien i płaszczach. Dziewczyny były zuchwałe, inteligentne i nieustraszone, dzięki czemu z łatwością wymykały się agentom i policji. Ja jednak, młoda mama, nie czułam potrzeby narażania życia.

Mimo wszystko nie zamykałam się zupełnie w domu. Choć napędzały mnie teraz nieznanne mi dotąd uczucia do dziecka, które mnie zdumiewało i zachwycało równocześnie, w środku wciąż czułam potrzebę samorealizacji. I chyba jedyną osobą, która zaczęła to dostrzegać, a nawet rozumieć, była ku memu zaskoczeniu moja wiecznie rozkojarzona i znerwicowana matka, która wraz z pojawieniem się na świecie wnuka zmieniła się nie do poznania.

Prześcigając się z Dusią w niańczeniu Stasia, w roli babci spełniała się bardziej niż w roli matki. A może to nieutulona tęsknota za Feliksem sprawiła, że wszystkie tkliwe uczucia przelała na mojego syna? Zajmowała się nim z czułością i cierpliwością, których mi zawsze skąpiła. Była niemal na każde jego skinienie –

a raczej zapłakanie, jakby nie ufała moim umiejętnościom w uspokajaniu dziecka, co często doprowadzało mnie do irytacji. Staś był jej światłem i radością, i nie szukała wymówek, żeby się nim nie opiekować. Rozpieszczała go i zabawiała. Nawet na wypoczynek do Konstancina nie chciała jechać bez wnuka, więc spakowałyśmy manatki i wyjechałyśmy do „Pałacyku Magnolia” razem z malutkim Stasiem.

Zadowolona z takiego obrotu spraw i świadomości, że mam tak doskonałą opiekunkę dla syna, wykorzystywałam każdą wolną chwilę, żeby oddać się temu, co wciąż leżało mi na sercu. Nadal spisywałam swoje przemyślenia na temat emancypacji polskich kobiet w formie artykułów i w szybkim czasie zebrałam ich naprawdę sporo. Wszystkie trzymałam w ozdobnej teczce przewiązanej tasiemką; żywiłam przekonanie, że z pewnością nastąpi wreszcie dzień, w którym ujrzą światło dzienne. Od momentu gdy urodziłam Stasia, miałam jeszcze więcej refleksji niż wcześniej, jeszcze bardziej pragnęłam dzielić się z opinią publiczną osobistymi doświadczeniami oraz wszystkimi związanymi z macierzyństwem radościami i smutkami, których miałam w sobie niezliczoną ilość. Oczywiście moje doświadczenie bycia matką znacznie różniło się od tego, które powszechnie uważano za właściwe i wzorowe. Byłam samotną kobietą, bez rokowań na przyszłość; musiałam podnosić wysoko głowę pomimo plotek oraz szyderczych uśmiechów, których mi nie skąpono, i głośnych komentarzy na temat tego, do kogo podobny jest mój syn. Odmówiono mi nawet prawa uczestniczenia we mszy świętej; proboszcz uznał, że żyjąc trwale w grzechu, nie godzi się stanąć przed obliczem Pana. Nie bałam się jednak ani ludzkich spojrzeń, ani zawistnych słów. Byłam na to głucha, choć wiedziałam, że mocno i niesprawiedliwie dotyczą moich rodziców. Starali się przybierać godną postawę, ale wiedziałam, ile ich to kosztuje. Mama przestała na jakiś czas chodzić z wizytami do znajomych, a papa wracał wieczorami do domu wyraźnie przygnębiony oszczerstwami, których był zmuszony wysłuchiwać pod moim i zapewne również własnym adresem. Patrzyłam na rodziców każdego dnia i widziałam, jak walczą z tym, co mnie spotkało; czułam głęboką wdzięczność, że mimo wszystko nauczyli się z tym żyć. Że przez ludzkie gadanie nie stracili miłości do mnie i do Stasia. Mogli przecież, na wzór Domańskich, próbować ukryć mój stan, odebrać mi syna albo wyrzec się mnie na zawsze.

Z czasem sytuacja nieco się uspokoiła, a ludzie jakby zaakceptowali fakt, że jestem samotną matką.

A ja? No cóż, żyłam ze świadomością tego, dlaczego Staś w ogóle pojawił się na świecie. I nie zamierzałam nigdy o tym zapominać. Mój syn był owocem poświęcenia i... miłości. Tak, tak sobie to tłumaczyłam – miłości do Jędrzeja, którego ukryłam na dnie mojego serca, a który pozostał tym jedynym.

Związek Polski Równouprawnienia Kobiet powstał w tych jakże burzliwych i gniewnych czasach z inicjatywy nauczycielki oraz feministki Teodory Męczkowskiej. Na terenie rosyjskiego zaboru była to pierwsza feministyczna organizacja, która – z początku nielegalna i mocno szykanowana zarówno przez rosyjskie władze, jak i bogobojnych Polaków – zaczęła żywo dopominać się o równe prawa płci bez względu na narodowość i wyznanie. Założycielki były kobietami nieszablonowymi, otwartymi i dumnymi ze swojej kobiecości oraz rozumu. Wiele w życiu przeszły, wiele musiały znieść trudów i upokorzeń, ale dzięki temu odważnie sprzeciwiały się patriarchatowi oraz utartym schematom myślenia, jakoby to mężczyźni mieli monopol na układanie świata. Wypracowały własne poglądy i mocno je manifestowały w zgodzie z kobiecymi potrzebami, a ja – zachęcona ich nowoczesnym punktem widzenia – brałam udział w spotkaniach, zostawiając Stasia pod opieką mojej mamy. Chodziłam tam razem z Marianną, która, choć już poślubiona z doktorem Sieradzkim i po uszy w nim zakochana, nie odebrała sobie prawa do samodzielnego myślenia. Szybko też zapewniła swego małżonka, że ta część jej życia w żaden sposób nie kłóci się z wizją szczęśliwego małżeństwa, a wręcz je wzbogaca. W taki oto sposób obie – ja z perspektywy samotnej matki, a Marianna szczęśliwej żony, zaczęłyśmy raz po raz uczestniczyć w życiu ZPRK. I to tam poznałam kobiety, które wywarły na moje życie wpływ nie mniejszy, niż wcześniej zrobił to kapitan Aleksander Kirsanov.

* * *

Na ustach Marianny, choć do cna wyczerpanej, błąkał się uśmiech. Wiedziałam, co on oznacza – ulgę. Czułam dokładnie to samo, kiedy ponad rok temu, po długich godzinach męki, urodziłam Stasia. Moja przyjaciółka, z pozoru delikatniejsza ode mnie, bardziej eteryczna i węższa w biodrach, w praktyce okazała się jednak silna i nieugięta. I podczas gdy ja niemal mdlałam z bólu przy każdym silniejszym skurczu, ona wykazywała się nadzwyczajną hardością i dzielnie walczyła o szybkie rozwiązanie. Miałam za to niejasne wrażenie, że jej mąż – skądinąd doświadczony lekarz – poród żony przyjmował z głębokim przejęciem i na sam koniec kazał sobie nalać solidną porcję mocnego samogonu, który wypił duszkiem. Po wszystkim oboje, przejęci i silnie wzruszeni, przyglądali się malutkiej córeczce, Izabeli, która spoczywała na łóżku obok Marianny.

– To wprost niewiarygodne! – Moja przyjaciółka patrzyła na maleństwo zmęczonym wzrokiem. – Jest taka drobna, a w moim brzuchu wydawała się wielkoludem.

Antoni pogładził żonę po mokrych od potu włosach.

– Wcale nie jest drobna. Widziałem znacznie mniejsze noworodki. Spisałaś się doskonale, kochanie. – Pochylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w usta.

– Muszę ją nakarmić. – Marianna otworzyła ramiona, a mąż ostrożnie podał jej córkę.

– Ale później odpocznij – nakazał. – Musisz odpocząć. To zalecenie lekarza, nie męża.

Patrzyłam na tę trójkę, nie mniej szczęśliwa niż oni, choć nie mogłam się wyzbyć uczucia kłującej zazdrości. Nie takiej, z powodu której życzy się komuś źle, tylko tej, która uświadamia, że samemu czegoś się nie posiada. A ja nie miałam odwagi oficjalnie przyznać, kto jest ojcem mojego syna. Dotąd prócz Marianny, której w końcu opowiedziałam o Kirsanowie, ani Zofii Czarneckiej nikt inny nie znał prawdy. Nawet moi rodzice, bez pamięci zakochani we wnuku, nie potrafili odgadnąć, z kim „zgrzeszyłam” – jak zwykli mówić. Oczywiście domysłów było wiele; bardzo szybko odrzucili jednak kandydaturę Jędrzeja, uznawszy, że gdyby to on był ojcem, z pewnością by się ze mną ożenił. Zapomnieli jedynie, że Jędrzej już miał żonę. Po urodzeniu Stasia nabrali pewności, że to nie on, bo mój synek wprawdzie miał przejrzyste, jasne oczy, a ciemne włosy mógł odziedziczyć po mnie, lecz w niczym nie przypominał mojego dawnego przyjaciela. Był za to nieznośnie podobny do Aleksandra Kirsanova, ale to podobieństwo widziałyśmy wyłącznie ja, Marianna i Zofia.

W pierwszych tygodniach po porodzie, gdy trzymałam swoje dziecko w ramionach, świadomość, czym jest synem, chłostała mnie w twarz, a ja czułam się z tym nieznośnie. Każda myśl o Kirsanowie wzbudzała we mnie gniew. Przecież w tej zależności, która zaszła między nami, nie było krzty dobrej woli, a tym bardziej żadnych cieplejszych uczuć. Gardziłam tym mężczyzną, brzydziłam się jego władczością i zimnym uporem. Nawet jeśli widział mój sprzeciw, brał mnie siłą i zmuszał do uległości. Nigdy nie ustąpił i bezustannie powtarzał, że tylko dzięki mnie Jędrzej jest wolnym człowiekiem.

Patrząc na Mariannę, obserwując ją, gdy jeszcze była w ciąży, zastanawiałam się, jak moja przyjaciółka poradzi sobie z wyzwaniem macierzyństwa. Bo ja z ręką na sercu musiałam przyznać, że to, do czego tak skwapliwie przygotowywano dziewczynki już od najmłodszych lat, rozprawiając o misji i wypełnieniu kobiecego obowiązku, zupełnie mnie przerosło. Żadne nauki, żadne książki ani mądre artykuły nie są w stanie przygotować kobiety do roli matki – tak uważałam. Rzeczywistość, z którą nagle musiałam się zmierzyć, to nie był skok do nieznanego głębokiego jeziora, ale zapuszczenie się w głąb bezkresnego tajemniczego oceanu.

Jeszcze zanim urodziłam, postanowiłam podejść do tematu pragmatycznie. Byłam pewna, że z moim uporem i determinacją bez problemu dam radę. I nagle, z dnia na dzień, moje ambicje macierzyńskie zaczęły się rozpadać jak domek z kart. Wystarczyło kilka nieprzespanych nocy, ciągły i zupełnie irracjonalny w moim odczuciu płacz niemowlęcia, obolałe z powodu nadmiaru pokarmu piersi – i rozsypywałam się fizycznie i emocjonalnie. Pomoc mamy i Dusi okazała się

bezcenna, choć sama starałam się spędzać z synkiem jak najwięcej czasu. Podświadomie czułam, że skoro jestem samotną matką, muszę mojemu dziecku dać siebie za dwoje. Nie żałowałam, że Staś nie ma ojca, nie wyrzucałam sobie, że zdecydowałam się urodzić, i przyjąłam za cel, że zrobię wszystko, aby on również tego nie żałował. Jednak mieć cel, a go realizować – to dwie różne rzeczy.

Kiedy Staś spał albo kiedy wtulony we mnie ssał moją pierś, czułam przeogromną, wypełniającą mnie miłość. Trzymałam go w ramionach, myślałam o tym, jaki był idealny, i wiedziałam, że nie ma takiej rzeczy, której bym dla niego nie zrobiła, ani takiej drogi, której bym dla niego nie przeszła. Ale gdy zaczynał wrzeszczeć, trząsł się i zapowietrzał, moja bezradność i strach o niego szybko przechodziły w złość. Nie byłam cierpliwa, nie umiałam spokojnie go przytulać, bo chciałam, żeby malec uspokoił się natychmiast. Staś tymczasem jakby robił mi na przekór. Lecz prawda była taka, że ten mały, nieznośny człowieczek, który nie raz i nie dwa doprowadzał mnie do rozpaczki, był jedyną istotą na świecie, którą pokochałam miłością absolutnie czystą i niekończącą.

Teraz mój syn miał już niemal dwa lata i z każdym tygodniem stawał się coraz bardziej podobny fizycznie do ojca. Ten sam wyraz szarych oczu, te same usta i podbródek. Kirsanov niezaprzeczalnie był pięknym mężczyzną, więc i mojemu synowi nie brakowało urody. Ale ilekroć na niego patrzyłam, rósł we mnie strach o to, by nie stał się zbyt podobny do ojca. Żeby któregoś dnia nie wzbudził we mnie gniewu na wspomnienie tego, jak został poczęty. Gwałtem, szantażem, uległością.

U Marianny sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Moja przyjaciółka była absolutnie, wręcz obrzydliwie szczęśliwą i zakochaną po uszy mężatką, mimo że wcześniej tak jak ja zarzekała się, że za męża nie wyjdzie. Któż jednak oparłby się pokusie, mając przy sobie prawdziwą miłość? Chyba tylko ja – dziewczyna z szaloną i upartą głową, która na czas nie zdołała zrozumieć, jak bardzo kocha mężczyznę, którego wcześniej z taką lekkością i stanowczością odrzucała.

Moja przyjaciółka z wysiłkiem dźwignęła się na poduszkach i z cichym westchnieniem przyłożyła dziecko do nabrzmiałej piersi. Chwilę trwało, zanim kwilący noworodek zaczął ssać. Marianna popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się blade.

- Dziękuję, że ze mną byłaś. Bez ciebie byłoby mi trudniej.
- Przecież obiecałam. – Uśmiechnęłam się wzruszona i pocałowałam ją w czubek głowy. – Masz piękną córeczkę. Już widać, że będzie do ciebie podobna.
- Nauczę ją, jak być kobietą. Bardzo żałuję, że nie możesz zostać jej matką chrzestną. To nie do pomyślenia, że proboszcz nie wyraził zgody...

Zmarszczyłam brwi.

- Pewnie zmieniłby zdanie, gdybym zaspokoili jego ciekawość i wyjawila, kto jest ojcem Stasia.

– Może powinnaś? Pewnie zrozumiałby... Takie sytuacje się zdarzają między Polkami a Rosjanami.

– Nie! – zaprzeczyłam stanowczo. – Zrobiłby z tego sensację na całą parafię.

– Pamiętasz, co mówiłaś o Marii? – spytała Marianna słabym głosem. – Że nikt nie miał prawa odebrać jej dziecka. Zagryzłabym każdego, kto odważyłby się wyciągnąć rękę po moją córkę. – To mówiąc, spojrzała na maleństwo, które zasnęło w jej ramionach.

Wiedziałam, że Marianna miała rację. Ja uczyniłabym tak samo. Teraz, kiedy obie byłyśmy matkami, tragedia Marii Domańskiej nabrała innego wymiaru, w moim odczuciu jeszcze bardziej tragicznego.

Kiedy wróciłam do domu, Staś spał, a mama siedziała z salonie z robótką. Bez końca obrabiała kołnierzyki do maleńkich koszulek i haftowała poszwy na poduszki do dziecięcego łóżeczka. Kiedy nie haftowała, omawiała z gosposią jadłospis dla małego, jeździła na zakupy i wracała z kolejnymi zabawkami czy modnymi ubrankami. Nie poznawałam jej. Miałam wrażenie, że zajmowała się tym wszystkim, czym ja powinnam się zajmować, gdybym tylko potrafiła dłużej usiedzieć w domu.

– Ojciec powinien już być, więc zaraz podamy kolację – rzekła do mnie, kiedy weszłam, choć nawet nie podniosła głowy znad robótki. – Jak Marianna?

– Urodziła zdrową córkę. Izabelę. Jej mąż odebrał poród.

Mama kiwnęła głową.

– To dobrze, że tak jej się poszczęściło. Poza tym widać, że wraz z doktorem są w sobie bardzo zakochani. I pomyśleć, że spotkali się w tak niefortunnych okolicznościach, po tej nieszczęsnej manifestacji... – dodała niby mimochodem. – Na miłość to jednak nie ma odpowiedniej pory. Ani właściwego miejsca.

Wzruszyłam ramionami, nalewając sobie herbaty z imbryka. Skąd matka, która ciągle wyśmiewała moje poglądy o potrzebie istnienia miłości w małżeństwie, nagle nabrała takich romantycznych przekonań? Drugą sprawą było to, że mama i papa przy każdej okazji wypominali mój i Marianny udział w demonstracji, jakbyśmy popełnili wówczas niewybaczalny grzech. Nieraz wydawało mi się, że tamta pamiętna demonstracja z moralnego punktu widzenia uwierała ich bardziej niż moja nieślubna ciąża. Dlatego fakt, że to właśnie dzięki tamtemu wydarzeniu ranna wówczas Marianna poznała Antoniego, bardzo moją mamę dziwił i irytował. W jej wyobrażeniu zakochać się wypadało wyłącznie w teatrze, operze albo na balu.

– Była tu dziś hrabina Czarnecka. Pytała o ciebie. Prosiła, żebyś ją odwiedziła. Zdziwiona uniosłam brwi.

– Nie wspominała, o co chodzi?

– Nie, ale nie powinnaś jej ignorować. Po tym, co dla ciebie zrobiła...

„Po tym, gdy wy, bez mrugnięcia okiem, wygoniliście mnie z domu” – pomyślałam nie bez złośliwości. Nadal żywa była we mnie pamięć tego, jak papa nie zostawił mi wówczas wyboru.

– Nie zamierzam jej ignorować, mamó – powiedziałam na głos. – Odwiedzę ją. A teraz pozwól, że pójde ucałować Stasia i przebiorę się do kolacji. Jestem wykończona.

Mój synek spał słodko i nawet się nie poruszył, kiedy głaskałam jego kędzierzawą główkę. Był malutki, delikatny i absolutnie idealny. Patrząc na niego ze ściskającym za gardło głębokim wzruszeniem, nie umiałam widzieć w nim owocu grzechu. Był moim Stasiem, słodkim chłopcem, krwią z mojej krwi. Już dawno powzięłam postanowienie, że nigdy nie wyznam synowi, kim jest jego ojciec. Byłam prawie pewna, że już nie spotkam Kirsanova, więc sprawę z nim uważałam za zamkniętą i niewartą roztrząsania.

Po kolacji, która przebiegła na zdawkowej rozmowie, udałam się do sypialni, a tam – jak to miałam w zwyczaju – otworzyłam okno na oścież, wpuszczając do środka rześkie wiosenne powietrze, i zapaliłam papierosa. Znów wróciłam do palenia. Zaczęłam zaraz po tym, jak odstawiłam Stasia od piersi, i już nawet nie zamierzałam się z tym kryć przed rodzicami. Nie paliłam w ich towarzystwie – co to, to nie – ale gdyby któreś z nich mnie przyłapało, nie planowałam się głupio tłumaczyć. Miałam już dwadzieścia pięć lat i silne poczucie wolności osobistej, by uznać ten nałóg za coś naturalnego.

Nieraz, kiedy popadałam w zamyślenie, kiedy spoglądałam przez otwarte okno na ulicę i wypuszczałam spomiędzy warg dym z papierosa, wspominałam Jędrzeja. Przypominałam sobie, ile razy próbował wybić mi z głowy palenie, uważając je za niegodne damy. Ile razy sam zabierał mi z rąk cygaretkę, muskając przy tym moją dłoń czułą pieśczętą. Złościłam się wówczas na niego, wykrzykiwałam w gniewie, jak mnie denerwuje swoim porządnictwem, a on śmiał się z tego. A później obejmował mnie ciasno ramionami i chował twarz w moich włosach, by uciszyć moje emocje. Tylko jemu się to udawało.

ROZDZIAŁ 20

Wiosna rozkwitła na dobre bogactwem świeżych zapachów i soczystej zieleni. Ogród hrabiny Zofii Czarneckiej, osłonięty od ulicy gęstymi drzewami, tonął w rozkwitłych krzewach magnolii i wczesnych bzów, a w alejkach obrosłych azaliami wylegiwały się koty, grzejąc futerka w ciepłym słońcu.

– Jest taki do niego podobny! – wyraziła z westchnieniem Zofia, patrząc spod przymrużonych powiek na biegającego po trawie Stasia.

Obie miałyśmy na sobie słomkowe kapelusze, ale podczas gdy ja w moim wyglądałam jedynie ładnie, hrabina prezentowała się absolutnie uroczo, a błękitna wstążka zdobiąca jej kapelusz podkreślała głębię jej niebieskich oczu. Wprawdzie ostatnio Zofia przybrała nieco na wadze, a suknia, którą miała na sobie, dodatkowo uwydatniała jej biust i szeroką talię, ale musiałam przyznać, że nie odebrało jej to wyjątkowości, wręcz jeszcze dodało wdzięku.

– Mówisz o...

– O ojcu Stasia oczywiście. Twój syn wyrośnie na przystojnego młodzieńca.

– Oby nie odziedziczył po ojcu charakteru – rzuciłam z sarkazmem, popijając rześką lemoniadę. – Nie lubię wspominać Kirsanova, Zofio, więc proszę cię, żebyś też tego nie robiła.

Hrabina popatrzyła na mnie znacząco.

– Mniemam, że wciąż nie powiedziałaś rodzicom?

– Nie.

– Nigdy nie wyjawisz im jego nazwiska?

Pokręciłam głową.

– Przypominam ci, że to Rosjanin, który w dodatku więził i torturował... – Urwałam i zapatrzyłam się na ogród, by ukryć wzburzenie, które nagle mną zawładnęło.

Nie chciałam wspominać Jędrzeja w niczyjej obecności, bo wydawało mi się, że rozmówca od razu widzi moje emocje, z jakimi podchodziłam do dawnego przyjaciela.

– Ale sama pomyśl, Klaro. Kapitan Kirsanov to niezwykle majątny i wpływowy człowiek. Mógłby zapewnić waszemu synowi świetlaną przyszłość. Myślę, że to nie

jest bez znaczenia.

– Naprawdę wierzysz, że Staś jest jego jedynym dzieckiem? Miałam do czynienia z tym mężczyzną i wiem, że miał kochanek na pęczki. I pewnie niejednej zostawił taką pamiątkę. Nie zdziwiłabym się, gdyby po Rosji biegało pełno małych Kirsanovów. Kapitan wyjechał do Petersburga i niech tam zostanie, bo ja nie chcę go nigdy więcej widzieć!

– No tak, pewnie masz rację.

Spojrzałam na nią z nieskrywaną urazą.

– Zaprosiłaś mnie wyłącznie po to, żeby rozmawiać o tym łajdaku? – spytałam zirytowana.

Gotowa byłam podnieść się z fotela i opuścić dom hrabiny.

Zofia oderwała spojrzenie od mojego synka i uśmiechnęła się promiennie, jakby nie zauważyła mojego podenerwowania.

– Ależ skąd! Zaprosiłam cię, bo Julia bardzo chciałaby, żebyś na powrót ją uczyła. Choć godzinę, dwie dziennie. Bardzo jej zależy, bo szalenie cię lubi.

– Ja? – spytałam mocno zdumiona. – Przecież ona ma sztab nauczycieli!

– To prawda, ale z tobą uczyła się inaczej. Ty pokazałaś jej kobiecy punkt widzenia, otworzyłaś oczy na wiele spraw. Ma już piętnaście lat i bardzo cię podziwia. Wie, że jesteś kobietą o szerokim spojrzeniu, i szalenie jej to imponuje. A mój mąż absolutnie nie ma nic przeciwko. Oczywiście nie zgadza się z twoimi poglądami, uważa je za śmieszne brednie, ale cię lubi, więc na pewne kwestie przymyka oko. Co ty na to? Będziemy dobrze płacić, choć rozumiem, że w obecnej sytuacji nie możesz z nami zamieszkać. – To powiedziawszy, Zofia znów zwróciła spojrzenie na Stasia, który rozbawiony gonił za uciekającym kotem. Raz czy dwa wyrócił się na trawniku, ale zaraz potem podniósł się niezgrabnie i pobiegł dalej.

– Nie wiem. Musiałabym zapytać mamę, czy zajmie się wtedy Stasiem. Poza tym wiesz, że należę do Związku Równouprawnienia. Dotąd nie udzielałam się tam zbyt często, bo moją uwagę pochłaniał synek, ale chciałabym uczęszczać na więcej spotkań i spróbować znaleźć czasopismo, w którym mogłabym publikować artykuły. Nie chcę opierać się wyłącznie na łasce rodziców, zwłaszcza że papa nie czuje się ostatnio dobrze. Wspomina, że brakuje mu zięcia, więc zaraz zacznie się zwyczajowa śpiewka o moim staropanieństwie i jeszcze gotów szukać mi kandydata na męża.

Hrabina się zaśmiała.

– Albo wyda cię za tego Wierzbickiego. Ten przecież nadal się nie ożenił.

– A dziwisz się? – prychnęłam. – Nie trzeba być feministką, żeby go nie chcieć. Zresztą, co ja za głupoty wygaduję, przecież feminizm nie ma nic przeciwko mężczyznom. Chodzi wyłącznie o równość płci. Wyłącznie! – Ostatnie słowo podkreśliłam, podnosząc palec wskazujący jak nauczycielka na wykładzie.

Hrabina Czarnecka uśmiechnęła się z przekąsem.

– Tylko tyle i aż tyle – mruknęła. – Więc rozumiem, że co do Julii mam twoją zgodę?

– Tak, ale najpierw muszę porozmawiać z mamą.

– Jest coś jeszcze – rzekła Zofia z pewnym wahaniem i zmarszczyła brwi, bo z głębi ogrodu z głośnym okrzykiem wybiegła dwójka jej dzieci.

Przestraszony nagłym pojawieniem się bliźniąt Staś zaczął płakać.

– Co za nieznośne pędraki! Nie widzicie, że malec boi się waszych krzyków? – Zofia skarciła syna i córkę, ale ci nic sobie z tego nie zrobili, nadal wyrzucając z siebie dzikie wrzaski.

– Bawimy się w Indian – wyjaśniła zdyszana dziewczynka, udając, że celuje w brata z łuku.

– Więc bawcie się z drugiej strony ogrodu! – zarządziła ich matka ostrym tonem.

Zeszłam po kamiennych stopniach tarasu i wzięłam płaczącego Stasia na rękę.

– Przecież to tylko Heniutek i Amelka. Czego się tak wystraszyłeś? – rzekłam do synka pieszczotliwym głosem.

Chłopiec nieco się uspokoił, ale objął mnie za szyję i wtulił się we mnie, patrząc nieufnie na dwoje krzyczących siedmiolatków. Nie chciał już wrócić do zabawy z kotem.

– Wspominałaś o czymś, zanim... – zaczęłam, powróciwszy na miejsce i posadziwszy sobie Stasia na kolanach.

– Tak. Więc... – Hrabina westchnęła i przewróciła oczami. – Doszła mnie informacja, że na lato Jędrzej z żoną przyjeżdżają do Warszawy. Mówię ci to, bo pewnie nie chciałybyś zostać zaskoczona. Lato to dość dziwna pora na przyjazd do miasta, ale...

Poczułam nagły, gwałtowny ścisk. Mimowolnie pogłaskałam synka po delikatnej czuprynie.

– Dziękuję, że mi o tym mówisz. – Staralam się, żeby mój głos brzmiał normalnie. – Rzeczywiście byłoby dość niezręcznie, gdybyśmy nagle spotkali się na ulicy bądź w parku. A tak przynajmniej będę świadoma jego obecności w Warszawie i postaram się omijać miejsca, w których moglibyśmy na siebie wpaść.

Zofia przyglądała mi się z nadzwyczajną natarczywością, jakby próbowała dojrzeć we mnie coś zakazanego, odkryć jakiś czuły punkt. Doszukiwała się we mnie objawów zazdrości i bólu – wiedziałam to. Ale nie zamierzałam dać jej satysfakcji. Wspominając Jędrzeja, nigdy nie czułam ani zazdrości, ani bólu, jedynie tęsknotę. Bezgraniczną, smutną tęsknotę, która mściwie uświadamiała mi, co straciłam.

– Wciąż go kochasz? – spytała nagle hrabina.

Westchnęłam.

– Kocham wspomnienie o nim – odparłam cicho.

Hrabina miała minę, jakby ta odpowiedź jej nie wystarczyła. Tylko czego ode mnie oczekiwała? Że zacznę wypłakiwać jej się w rękaw z nieszczęśliwej miłości? Rozpaczać z żalu, że straciłam jedyne go mężczyznę, na którym naprawdę mi zależało? Przecież taka nie byłam. A nawet jeśli... To nigdy bym takiej słabości nie ujawniła. Nie należałam do dziewcząt, które użalają się nad sobą. Prędzej wyrzucałabym sobie głupotę z powodu złamanego serca.

– Podobno Jadwiga, żona Jędrzeja, kilka tygodni temu straciła drugą ciążę. To ją załamało, dlatego postanowili przyjechać do Warszawy. Jadwiga ma tu najbliższą rodzinę. Obecność bliskich ma jej pomóc wrócić do równowagi.

Instynktownie zwróciłam spojrzenie na rozkwitły ogród i biegające dzieci. Sama nie wiedziałam, czemu nie potrafię zapanować nad gwałtownością uczuć, nad mgiełką łez, które opanowały moje oczy. Nie umiałam wyobrazić sobie Jędrzeja w objęciach innej kobiety, to wręcz nie mieściło mi się w głowie. A przecież nie ja miałam do niego prawo, tylko właśnie tamta kobieta. Jego żona.

– Klaro? Słyszysz, co do ciebie mówię?

Wyrwana z rozmyślań, popatrzyłam na Zofię nieprzytomnym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. Co mówiłaś?

– Pytałam, czy wybierzesz się ze mną na wyścigi na Pole Mokotowskie. Konie to co prawda nie automobile, ale też mogą być. Więc jak? Wybierzemy się? Mamy czerwiec, a w czerwcu wyścigi to niemalże tradycja. Rozrywka dobrze ci zrobi. To także okazja do tego, żeby się wystroić, a ty tak pięknie prezentujesz się w tym nowym paryskim fasonie. Idealnie podkreśla twoją figurę. Choć swoją drogą nie rozumiem, jak możesz być tak szczupła po urodzeniu dziecka!

Wzruszyłam ramionami, całkiem już odsuwając od siebie myśli o Jędrzeju i jego żonie.

– Nie wiem... Jesteś pewna, że chcesz pokazać się publicznie z napiętnowaną grzechem, samotną matką? – zadrwiłam. – Przecież od kiedy urodziłam Stasia, połowa szanownego towarzystwa patrzy na mnie jak na trędowatą, a druga połowa zastanawia się, jak mogłam być tak głupia i dać się uwieść.

– Daj spokój, nie każ się prosić. Sama nie pójde, a mój mąż... Wiesz, że on nie znosi wyścigów. A co do twojej reputacji... Z upodobaniem włożę ten kij w mrowisko. Niech wielmożni państwo przekonają się, że samotna matka to nie diabeł z rogami, tylko pewna siebie i dumna kobieta.

– Dobrze, zatem pójde – rzuciłam trochę na odczepne, bo zupełnie nie miałam na to ochoty.

Zwłaszcza że w tych sławnych wyścigach brali udział głównie rosyjscy gwardziści, i o ile sam widok był dość interesujący, bo wszyscy prezentowali się

wówczas wyjątkowo pięknie, o tyle ich towarzystwo po gonitwach było dla mnie mocno niepożądane.

Późnym wieczorem okazało się jednak, że coś zupełnie innego pochłonęło moją uwagę i zupełnie już nie miałam głowy do towarzyszenia Zofii następnego dnia i musiałam grzecznie jej odmówić.

Tuż po kolacji zjawił się bowiem chłopak z wiadomością od Marianny.

Kochanie, błagam Cię, spotkaj się natychmiast z Antonim przy bramie do parku Ujazdowskiego. Będzie tam na Ciebie czekał. Nie może odwiedzić Cię osobiście. Sprawa pilna!

Marianna

Wyszłam z domu, nie udzielając rodzicom żadnych wyjaśnień. Nie chciałam, żeby ojciec i matka dopytywali, dokąd idę i z kim się spotykam, a wiadomość od Marianny bardzo mnie poruszyła. Z początku bałam się, że może źle się poczuła. W końcu dopiero co urodziła dziecko, a wiedziałam, ile dolegliwości dopadało kobietę tuż po porodzie. Z drugiej strony – tłumaczyłam sobie – jej mąż jest lekarzem, więc potrafiłby się nią zająć. Poza tym, gdyby coś jej było, nie pisałaby do mnie osobiście. Chodziło więc o coś innego.

Tuż przy bramie do parku stał powóz. Bez trudu rozpoznałam, że należy do męża Marianny, doktora Sieradzkiego. Gdy zapukałam w drzwiczki, te niemal natychmiast się otworzyły i ukazał się w nich Antoni.

– Dzięki Bogu! – wyszeptał, wpuszczając mnie do środka.

Wsiadłam i zamarłam. W kącie powozu, w pozycji półleżącej, spoczywał wychudzony, wpółprzytomny mężczyzna o skołtunionych włosach, tak zarośnięty, że nie było widać jego twarzy, odziany jedynie w brudną, poszarpaną koszulę i tak samo liche spodnie. Był boso, stopy miał poranione. Podniósł na mnie udręczone ciemne oczy, a mnie natychmiast w głowie wyświetlił się obraz więzionego Jędrzeja.

– Kto to? – spytałam wstrząśnięta, patrząc to na męża Marianny, to na nieznanego.

– Nazywa się Bartłomiej Ostrowski. Uciekł z Cytadeli. Szuka go wojsko i policja – wyjaśnił Antoni ściszym głosem.

– Och! – Nic innego nie wydobyło się z moich ust.

Nie znałam tego mężczyzny. Pełna najwyższego zdumienia wlepiłam w niego spojrzenie i nie wiedziałam, co powiedzieć.

Antoni niespodziewanie złapał mnie za rękę, jakby w ten sposób próbował mnie uspokoić.

– Ukrywa się i oboje z Marianną pomyśleliśmy, że mogłabyś nam pomóc.

– Ja? – Patrzyłam na doktora, nie rozumiejąc. – Jak mogłabym pomóc?

Mąż mojej przyjaciółki odchrząknął i spojrzał na Bartłomieja Ostrowskiego.

– Bo widzisz... Ja i Marianna od dawna ukrywamy u siebie poszukiwanych bojowców, to znaczy... Tych, którzy biorą udział w zamachach na Rosjan i są ścigani przez policję i Ochronę. Rosjanie już jakiś czas temu nas zdemaskowali i co chwila przeszukują nasz dom wraz z obejściem. Wiecznie mamy na głowie żandarmów, więc musimy być ostrożniejsi. Natomiast ten tu – wskazał na niemal nieprzytomnego uciekiniera, który teraz patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem – zjawił się u nas, bo wiedział, że nie odmówimy pomocy. Nie możemy go zostawić. Jeśli go nie ukryjemy, do jutra go złapią i wykonają na nim publiczną egzekucję.

– Mój Boże! Nie miałam pojęcia, że ty i Marianna...

Byłam głęboko zdumiona tym, co usłyszałam. Jak to możliwe, że się nie domyśliłam? Jakim cudem Marianna nie zdradziła się nawet słowem? A ja niesłusznie miałam ją za nieco naiwną idealistkę.

– Nie chcieliśmy cię narażać. Miałaś dość własnych problemów. – Antoni zastukał w dach i powóz ruszył. – Wybacz, ale nie możemy stać i rozmawiać. Szczególnie tutaj, gdzie pewnie zaraz zjawi się kozacki patrol.

Powóz jechał wolno, kołysząc się na nierównościach, a ja spoglądałam wstrząśnięta na nieznanego i gorączkowo rozmyślałam, co z nim zrobić.

– Uciekł kilka godzin temu i jakimś cudem udało mu się ukryć przed pościgiem. Ale jest już niemal nieprzytomny ze zmęczenia, a w dodatku ranny i niemal bliski śmierci głodowej. Opatrzę go, będę go doglądał, ale pomyślałem, że może choć na tę noc mogłabyś go ukryć w oficynie – powiedział Antoni. – Ciebie nikt nie będzie podejrzewał o ukrywanie więźnia, a jutro coś wymyślimy. Marianna jest taka słaba po porodzie, nie chcę jej fundować dodatkowego stresu. Wiesz, jaka ona jest. Wpierw myśli o innych, później o sobie.

– Chyba mam lepszy pomysł – odparłam. – Mój dziadek ma domek na Pradze. Mieszka tam sam i prócz służki nikt do niego nie zagląda. Myślę, że tam byłoby najbezpieczniej.

– Ale czy twój dziadek się zgodzi?

Skinęłam głową.

– Z pewnością. U niego pan Ostrowski na pewno będzie bezpieczniejszy niż pod dachem moich rodziców. Gdyby papa się zorientował, natychmiast wszcząłby alarm. A mnie znów wygoniłby z domu.

Pojechaliśmy ciemnymi uliczkami w stronę mostu na Wiśle.

W mroku późnego wieczora domek dziadka wyglądał jeszcze bardziej ponuro, jakby obłupane ściany i zmurszały dach trzymały się tylko na słowo honoru. Wsiadłam z powozu i się rozejrzałam – wszędzie było cicho i pusto. Żadnych patroli. Zastukałam do drzwi, ale dziadek nie otwierał, więc zrobiłam to sama, domyślając się, że pewnie śpi.

Kiedy weszłam do izby, rzeczywiście leżał w łóżku i spał. Na dźwięk moich kroków unióś powieki i w pierwszym odruchu próbował podnieść się na łóżku, ale zaraz stęknął boleśnie, bo wymagało to od niego sporo wysiłku.

– To ja, dziadku – uspokoiłam go, zapalając świecę.

– Klara? Czy ten łajdak znowu wyrzucił cię z domu? – spytał dziadek zachrypniętym od snu głosem.

– Nie, wszystko w porządku. Papa mnie nie wygonił. Chodzi o coś innego...

W tym samym momencie w drzwiach stanęły dwie postaci. Doktor podtrzymywał bezwładne ciało więźnia, który resztką sił obejmował swojego wybawcę za szyję.

– Panie Tyszkowski, jest wielka prośba – zaczął mąż Marianny konkretnym, choć proszącym tonem. – Ten człowiek uciekł z Cytadeli i potrzebuje pomocy. Czy może tu zostać na jedną noc? Pozwoli pan? Nie chcemy, żeby dorwali go Rosjanie.

– Z dziesiątego pawilonu czy zwykły łotr? – spytał dziadek.

– Z dziesiątego pawilonu – potwierdził doktor.

– To co mam nie pozwolić. Jak z dziesiątego, to porządny obywatel.

Uśmiechnęłam się z ulgą, słysząc te słowa, po czym pomogłam Antoniemu zdźwignąć ślaniającego się więźnia. Zapach, który wydzielał, był tak odpychający, że niemal osłabłam.

– Przejdźmy do drugiej izby. Tam jest łóżko – wykrztusiłam, starając się nie zaciągać zbyt głęboko.

Razem zaprowadziliśmy rannego do izby, w której dwa lata temu spędziłam kilka tygodni po tym, jak ojciec nakazał mi opuścić dom.

Mężczyzna z jękiem i jednocześnie westchnieniem ulgi opadł na posłanie i dopiero wówczas, zaraz po tym jak wpieryw przytknął powieki, a następnie je otworzył – spojrzał na mnie nieco bardziej przytomnie. Jego oczy były ciemne, boleśnie naznaczone cierpieniem. Widziałam to nawet w panującym w izbie mroku i zrobiło mi się go żal.

– Dziękuję – wycedził przez zęby, bo wyraźnie mówienie sprawiało mu nadzwyczajny ból.

Uśmiechnęłam się nieco zawstydzona i gwałtownie odwróciłam głowę.

– Pójdę do dziadka – rzekłam do doktora. – Wyjaśnię mu wszystko.

Wróciłam do obu mężczyzn po kilku minutach, kiedy Antoni fachowo opatrywał rany Ostrowskiego. Przez krótką chwilą przyglądałam się mężowi Marianny – temu silnemu, mocno zbudowanemu mężczyźnie po trzydziestce, który tak szybko zawrócił mojej przyjaciółce w głowie. Rzeczywiście – jak żarliwie zapewniała – był przystojny, ale nie można było nazwać go zbyt urodziwym. Ciemne, nieco przydługie włosy, były poprzątkane pasmami siwizny, a powieki, pod którymi ukrywały się ciepłe orzechowe oczy, opadły od znużenia i przeżytych trudów w pracy lekarza. Antoni uśmiechał się rzadko, ale jeśli już to robił, to szczerze

i całym sobą, szczególnie w towarzystwie niemal dziesięć lat młodszej żony, która potrafiła jednym tylko powłóczyстым spojrzeniem wygładzić posępne rysy jego twarzy. Był zdolnym do poświęceń, gorliwym patriotą i po prostu dobrym człowiekiem, który nie umiał odmówić pomocy. Cieszyłam się, że tych dwoje odnalazło się na jednej drodze, że się pokochali.

– Dziadek jest dumny, że może ukrywać u siebie bojowca – powiedziałam. – Wyznał, że to dla niego patriotyczny obowiązek i zaszczyt.

Antoni skinął głową. Na jego twarzy malowała się wdzięczność.

– Twój dziadek jest odważny i prawy.

– To prawda. Nadal bardzo cierpi, bo lata temu Rosjanie odebrali mu piękny dom i ziemię. Buntował się przeciwko dekretowi cara o wywłaszczeniu, więc wyrzucili go siłą, a potem podpalili część domu i gospodarstwa. To był cios dla moich dziadków. Nigdy się z tego nie podnieśli. Babcia bolała nad tym do samej śmierci.

– Przykro mi.

Wzruszyłam ramionami.

– Każdy z nas ma jakiś krzyż, wszak jesteśmy narodem zniewolonym. Tak to już jest...

– I dlatego nie możemy dłużej milczeć – odpowiedział Antoni. – Sam nie potrafiłbym wyjść na wroga z bronią w ręku. Jestem lekarzem i przyrzekałem ratować ludzkie życie, a nie zabijać. Ale chcę pomagać, jak umiem, tym, którzy występują zbrojnie przeciwko caratowi. Wierzę, że nadejdzie dzień, kiedy odzyskamy wolność. Wierzę w to głęboko.

Coś z nagłą chwyciło mnie za gardło; spojrzałam na rannego mężczyznę, który z trudem oddychał, i znów przypominałam sobie Jędrzeja – chłostanego bezlitośnie, zawieszzonego na łańcuchach. Aż zadrżałam na to wspomnienie. Zdarzało się, że spoglądałam na podłużną bliznę na dłoni, która została mi po dotyku pejcza; czułam wtedy tanto smagnięcie.

– Większość z nas mocno w to wierzy – odparłam z przekonaniem.

ROZDZIAŁ 21

Z samego rana, zaraz po tym, jak nakarmiłam wyjątkowo marudnego tego dnia Stasia, zostawiłam synka pod opieką Dusi i prędko wyszłam z domu z koszykiem pełnym jedzenia. Przygotowałam je zarówno dla uciekiniera, jak i dla dziadka, uznawszy, że temu drugiemu również należało się coś pożywne i pysznego w podziękę za pomoc. Kiedy wychodziłam, rodziców nie było w domu, bo ojciec tradycyjnie udał się robić interesy i miałam pewność, że nie wróci przed wieczorem. Mama z kolei pojechała na wielkie zakupy przed planowanym wyjazdem do Konstancina. Tym razem też uparła się, by wziąć ze sobą na lato Stasia. Zgodziłam się, choć zastrzegłam, że będę do nich przyjeżdżać co kilka dni. Z tęsknoty za synem nie wytrzymałabym całego tygodnia.

Tymczasem pojechałam konnym tramwajem na Pragę do dziadka, zastanawiając się, czy u niego wszystko w porządku i czy uciekinier wciąż tam będzie. Nawet nie chciałam myśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby naszli ich rosyjscy żandarmi penetrujący mieszkania. W nocy nie mogłam zasnąć, myśląc o tym nieszczęsnym człowieku i planując, co dalej z nim zrobić. Był ranny, więc nie mógł tak po prostu odejść, by szukać innej kryjówki.

Dziadek swoim zwyczajem krzątał się po izbie. Na mój widok wyraźnie się rozjaśnił.

- Tak myślałem, że zjawisz się tu z rana – mruknął, patrząc na mnie znacząco. Uśmiechnęłam się i pocałowałam go w policzek.
- Przyniosłam jedzenie. Jak on się czuje? – Skinęłam głową w kierunku drugiej izby.
- Śpi. Ledwo dycha, ale żyje.
- Nikogo w nocy nie było? – spytałam z obawą.
- Nie. – Dziadek machnął ręką. – Nikt tu nie zagląda. Już dawno dali mi spokój. Gdyby nie Haneczka, umarłbym tu i nikt by się nie zorientował.
- Nie mów tak – odparłam z wyrzutem. – Zachodzę do ciebie tak często, jak mogę. Poza tym wiesz, że w każdej chwili możesz się do nas przenieść. Będziesz miał opiekę i czyste, wygodne łóżko. Nie damy ci umrzeć w samotności.
- Nie chcę. Tu mi dobrze i basta!

Westchnęłam i bezgłośnie otworzyłam drzwi do dawnego pokoju babci.

W izbie było ciemno, bo światło odcinały szczelnie zamknięte okiennice. Weszłam do środka i aż wstrzymałam oddech z powodu odoru, jakim zalatywało od leżącego na łóżku mężczyzny. Pospiesznie otworzyłam okno wychodzące na zarośnięte chwastami podwórko i wpuściłam do środka świeże powietrze oraz jasne promienie słońca.

Mężczyzna poruszył się na łóżku. Przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpaczony – skulony, brudny, niemal bez życia. Z pewnością go torturowano.

Otworzył oczy i popatrzył na mnie umęczonym wzrokiem.

– Uratowała mi pani życie – wycharczał. – Jest pani aniołem.

Uśmiechnęłam się zdawkowo. Cóż za romantyczna sytuacja – panna ratuje bohatera z opresji. „Idealny temat na literacki poemat” – pomyślałam z sarkazmem. Tylko że ja nie nadawałam się na bohaterkę wzniosłego romansu.

Usiadłam na popękanych parapecie, wdychając rześki aromat dziko kwitnącego bzu. Z tego miejsca przynajmniej nie czułam brzydkiej woni tego mężczyzny. Jak tylko dojdzie do siebie, natychmiast trzeba skłonić go do kąpieli.

– Nie ja pana uratowałam, tylko doktor Sieradzki – wyjaśniłam. – To on się narażał ledwie dobie po porodzie żony, która powiła mu córeczkę.

– Tak... To bardzo dobry człowiek. Ale to pani znalazła mi kryjówkę. W dodatku nie szepę ze słomą, a izbę z łóżkiem. Czuję się, jakbym spędził noc w pałacu.

– Niech pan nie przesadza – odparłam skrzepowana. – Jak się pan czuje?

Mężczyzna stęknął. Próbował się dźwignąć, ale widać, że każdy ruch sprawiał mu ból.

Jakim cudem udało mu się zbiec z twierdzy pełnej strażników i uniknąć złapania? Ile determinacji i sprytu musiał w sobie mieć ten człowiek, żeby nie dać się schwytać uzbrojonym Rosjanom.

– Teraz już wiem, że będę żył. Jeszcze wczoraj nie miałem takiej pewności...

Widziałam, jak zmagał się ze słabością, jak próbował podnieść się na łóżku. W końcu udało mu się usiąść, opierając plecami o ścianę. Z ulgą odchylił głowę. Miał ciemne, skołtunione włosy i rudą brodę. Wyglądał trochę jak pirat z opowieści przygodowych, które czytałam jako dorastająca panna.

– A jeśli pana złapią? – spytałam.

Popatrzył na mnie. W świetle dnia dostrzegłam, że pod bujnym zarostem ukrywa się młoda twarz.

– Jeśli wczoraj tego nie zrobili, to już im się nie uda. Nie dopuszczę do tego. Najgorsza jest pierwsza godzina... Kiedy zorientują się, że cię nie ma. Im dłużej jesteś na wolności, tym większe szanse masz na przeżycie. Od mojej ucieczki minęła już niemal doba, więc... będę żył. – Stęknął. – Jestem wprawdzie ranny, ale to nic. Bywało gorzej. Takich jak ja szybko lichy nie bierze.

Wydawał się miły, głos miał niski i łagodny. Mimowolnie rozciągnęłam usta w delikatnym uśmiechu. Tymczasem mężczyzna zaczął szukać czegoś po kieszeniach podartych spodni i w pewnej chwili wyciągnął jakiś przedmiot. Potrzebowałam kilku sekund, by zorientować się, że to obrobiony w srebrze wizerunek Matki Boskiej.

– To z Jej pomocą mi się udało. Modliłem się i błagałem Najświętszą Panią, żeby mnie prowadziła i nie dała żołnierzom mnie zabić.

– Długo pan tam siedział?

– Dwa miesiące. Wcześniej sporo czasu na mnie polowali. W końcu im się udało mnie złapać, a ja, jak tylko trafiłem za mury Cytadeli, obiecałem sobie, że długo tam nie zabawię. Od razu zacząłem planować ucieczkę. A na co miałem tam siedzieć? Żeby rozważać, kiedy mnie powieszają albo rozstrzelają? Nic innego mnie tam nie czekało. Z tym, co na mnie mieli, dostałbym tylko wyrok śmierci.

– A co na pana mieli?

Mężczyzna przez dłuższą chwilę milczał, obracając w palcach srebrną Matkę Boską. Wyraźnie bolały go plecy, bo próbował ułożyć się w wygodniejszej pozycji, ale nie mógł. W pierwszym odruchu zaciskał z sykiem szczęki, a ja zastanawiałam się, czy tak jak Jędrzej był chłostany pejcem.

Zapatrzył się na belki na suficie, z których zwisały zakurzone pajęczyny.

– Wierzę w wolność, panienko. Wierzę, że zrzucimy kajdany niewoli i Polska będzie Polską. Ta wiara pomaga mi przetrwać.

Westchnęłam.

– Większość z nas w to wierzy. Chyba dziś nawet bardziej niż kiedyś.

Znów na mnie spojrzał.

– Jestem z Wilna, panienko. Interesuję się fizyką i chemią, choć nie skończyłem żadnej dobrej szkoły. Nie zdążyłem, bo kiedy miałem szesnaście lat, sługusy cara wysłali mnie na Sybir. To była surowa kara za to, że kłóciłem się z nauczycielem. Nie chciałem mówić na lekcji po rosyjsku i przynosiłem do szkoły polskie książki. Kiedy wróciłem ze zsyłki po kilku latach, natychmiast wstąpiłem do PPS-u. Szybko nauczyłem się robić bomby i szkoliłem chłopaków z organizacji. Ktoś doniósł policji, że to ja jestem bombowym mózgiem bojówek. Aresztowali mnie, ale prócz zeznań szpicla nie mieli innych dowodów, więc nie spieszyli się z szybkim wyrokiem.

– Wie pan, kto pana wydał? – spytałam.

– Niestety nie, ale nie przypuszczam, żeby ktoś z organizacji. Tam same bojowe chłopaki i dzielne panny. A wszyscy tęsknią za wolnością... Już zbyt wiele krwi się wylało. Niektórzy zaczęli się wycofywać, stracili wiarę w sens walki. Piłsudskiego wpierw wzięli na przywódcę bojówek i nagle odsunęli go na jesieni, bo uznali, że spiskować nie umie, miota się między rewolucją a polityką, a jego obsesja

stworzenia zorganizowanej armii to mrzonka. A panienka? Nie chciałaby, żeby Polska była wolna?

Wciąż nie umiałam wyzbyć się silnych emocji, które buzowały we mnie, szczególnie gdy chodziło o tematy niepodległości, więc łzy same cisnęły mi się do oczu.

– Oczywiście, że bym chciała – odparłam z przekonaniem. – Brałam udział w demonstracji na placu Grzybowskim w tysiąc dziewięćset czwartym roku. Całym sercem jestem za buntem i rewolucją.

Mężczyzna patrzył na mnie wyczekująco, jakby domagając się ciągu dalszego tej opowieści, ale ja milczałam. W końcu wzruszyłam ramionami, czując się nieco przymuszona jego natarczym spojrzeniem.

– Polska jest w trakcie antycarskiej rewolucji, a tymczasem ja od ostatnich dwóch lat oddaję się macierzyństwu – wyznałam wreszcie i zaśmiałam się z lekkim zakłopotaniem, które nawet mnie zadziwiło. – Niestety nie jestem jak te pańskie dziewczęta z bojówek, które pan zna, bo mam małego synka. Będąc matką, nie mogę ryzykować. To byłoby z mojej strony niepoważne.

Mężczyzna wydawał się moim wyznaniem nie tyle zdumiony, co zakłopotany.

– Proszę o wybaczenie, że odzywałem się do pani nieodpowiednio. Nie miałem pojęcia, że jest pani mężatką. Nie nosi pani obrączki.

– Bo nie jestem mężatką – rzuciłam. – Jestem panną. Sama wychowuję syna. To znaczy... z pomocą rodziców.

– Rozumiem...

Przyglądałam mu się, próbując wywnioskować, jakie myśli o mnie i moim nieślubnym synu zrodziły się w jego głowie. Gdyby się skrzywił, gdyby powiedział coś nieodpowiedniego, byłam gotowa wywalić go na zbity pysk. Niechby go żandarmi dorwali i powiesili na suchej gałęzi. Ale nic nie powiedział. Nie patrzył też na mnie ze wzgardą, a jedynie z tym nawet zabawnym zakłopotaniem.

– Jak ma na imię pani syn? – spytał po chwili, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Stanisław. To bardzo rezolutny chłopiec, choć jeszcze mały. Ma niecałe dwa lata, ale gada jak najęty. Oczywiście głównie po swojemu. Jest mi radością w życiu.

– To szczęście mieć taką radość, panno... – Nagle jakby się zreflektował. – Przepraszam, ale dotąd się nie przedstawiłem. Nazywam się Bartłomiej Ostrowski. Mam dwadzieścia siedem lat i pochodzę z mieszczańskiej rodziny z Wilna. Moja rodzina wciąż tam mieszka, rodzice, brat i siostra. A ja tutaj, w Warszawie, do bojówek wstąpiłem.

Zaśmiałam się.

– Wiem, jak się pan nazywa. Doktor Sieradzki mi zdradził.

– A pani, panno...?

– Klara Tyszkowska. – Uśmiechnęłam się szerzej. – Mieszczanka. Warszawianka – dodałam z rozbawieniem.

– Czy wolno mi spytać, dlaczego wychowuje pani syna samotnie?

Mój uśmiech natychmiast zgasł. Zmarszczyłam brwi.

– Spytać wolno, ale nie muszę na to odpowiadać.

– Przepraszam. To nie moja sprawa – zreflektował się i spuścił głowę.

– Rzeczywiście, nie pańska.

Zsunęłam się z parapetu i wygładziłam fałdy sukni.

– Może pan tu zostać, dopóki nie znajdziemy innego rozwiązania. Dziadek nie będzie pana absorbował nadmiernie swoją obecnością i o to samo proszę pana względem niego.

– Oczywiście! Nie śmiałybym dokuczyć komuś, kto przygarnął mnie pod swój dach. Czuję się głęboko wdzięczny.

Skinęłam głową.

– Pewnie zjawi się tu doktor Sieradzki, by sprawdzić, jak pan się czuje. Gdyby pytał, to może pan tu jeszcze zostać.

Pod wieczór dostałam list od Marianny z wyrazami głębokiej wdzięczności i zapewnieniem, że uciekinier czuje się lepiej. Oczywiście nie użyła wprost tego słowa z obawy o przechwycenie listu, ale domyśliłam się, że pisząc „delikwent”, miała na myśli Bartłomieja Ostrowskiego. Dodała, że Antoni dokładnie zbadał i opatrzył rannego i że robią, co w ich mocy, żeby zapewnić mu inne bezpieczne schronienie, choć to, w którym jest teraz, wydaje się najwłaściwsze. Odpisałam, że dziadek nie ma nic przeciwko jego obecności, wręcz wyznał mi, że czuje dumę, iż na starość mógł się jeszcze przydać. Na koniec upomniałam Mariannę, że powinna przede wszystkim myśleć o dziecku i o sobie.

Okazało się, że policja i wojsko w całej Warszawie rzeczywiście zostały postawione w stan gotowości. Szukano więźnia, który zdołał zbiec z Cytadeli, a to znaczyło, że przeszukiwane były mieszkania, domy, magazyny, fabryki, sklepy, a nawet kościoły i cerkwie wokół twierdzy. Nikt z przedstawicieli rosyjskich władz nie przypuszczał, żeby uciekinier zdołał zbiec daleko. Byłam przerażona; a co, jeśli ktoś się domyśli, że Bartłomiej Ostrowski ukrywa się u dziadka na Pradze? Jednak nawet służka Hania zarzekała się ze znakiem krzyża, że za żadne skarby świata nie wyda bohatera żandarmom.

Nagonka trwała dobry tydzień; nie przespałam wówczas niemal żadnej nocy, w dzień siedziałam jak na szpilkach, a gdy tylko widziałam przejeżdżający ulicą kozacki patrol, truchlałam w strachu. Głównie o dziadka. Papa wracał wieczorami do domu i częstował mnie i mamę opowieściami o tym, gdzie byli Rosjanie i kogo rewidowali, nie mając pojęcia, że więzień ukrywa się pod dachem jego ojca.

W końcu sytuacja nieco się uspokoiła, a rosyjskie władze wydały lakoniczne oświadczenie, że więzień nie został schwytany, ale każdemu, kto pomógł

przestępcy w ucieczce lub wie o miejscu jego pobytu, grozi surowa kara.

* * *

Po ponad tygodniu pojechałam do dziadka sprawdzić, czy wszystko w porządku, choć doktor Sieradzki co dzień nadawał mi krótkie depesze, że jest dobrze, załączając wyrazy głębokiej wdzięczności za pomoc.

Drzwi otworzył mi dziadek, z miną wielce zadowoloną, jakiej dawno u niego nie widziałam.

– Widzę, że humor ci dopisuje – rzekłam, stawiając na stole koszyk ze świeżymi owocami, bochenkiem chleba, butelką wina z ojcowskiego zapasu i innymi wiktuałami.

– A co ma nie dopisywać! Towarzystwo mam, to i humor lepszy. Bartłomiej to chłopak jak się patrzy, odważny, zuchwały, bystry. Cośmy się nagadali przez te dni! Aż mi się umierać odechciało.

Jak na zawołanie w drzwiach prowadzących do izby babci pojawił się Ostrowski. Jakże zdumiała mnie jego przemiana! Po brudnym, zmęczonym i zarośniętym zbiegu nie pozostało ani śladu. Mężczyzna stojący w progu kuchni był wykąpany, ogolony i ubrany w czyste spodnie i koszulę. W niektórych miejscach dostrzegłam opatrunki. Doktor Sieradzki dobrze zadbał o swojego pacjenta.

– Och! Wygląda pan wspaniale! – krzyknęłam spontanicznie, a mężczyzna wyraźnie zarumienił się pod moim baczny spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że już nie straszę wyglądem jak jeszcze kilka dni temu – mruknął, wyraźnie speszony. – Kąpiel to było to, czego potrzebowałam chyba najbardziej, a doktor nie omieszkał pożyczyć mi również brzytwy, więc zdołałam pozbyć się tej rudej szczeciny. – To mówiąc, potarł palcami gładkie policzki i brodzę.

Uśmiechnęłam się i podparłam pod boki. Nie dość, że wyglądał schludnie, to jeszcze był całkiem przystojny. Może nadal zbyt chudy, ale miał zadatki na przyjemną dla oka sylwetkę. W dodatku jego twarz o ostrych rysach była dość urodziwa, a ciemne oczy żarzyły się ciepłym blaskiem.

– Teraz to niejedna panna chętnie by się z panem umówiła – przyznałam i odwróciłam od niego spojrzenie, wracając do wykładania zakupów z koszyka.

– Ale nie pani?

Uniosłam brew w wyrazie zaskoczenia.

– Ale nie ja – powtórzyłam za nim, czując skrępowanie jego bezpośredniością.

– Klarunia obiecała sobie, że za mąż nie pójdzie – skomentował dziadek. – Jest feministką, jeśli wie pan, co to takiego, bo to słowo jest nowe, używane od niedawna. Ale Klarunia mi wyjaśniła, co oznacza.

Cisnęłam w dziadka spojrzeniem pełnym iskier irytacji. Że też staruszka brało na takie komentarze!

– Dziadku, dałbyś spokój – upomniałam go.

Bartłomiej zasiadł przy stole, na którym wyłożyłam zawartość koszyka.

– Jedliście coś dzisiaj? – spytałam, choć dałabym sobie rękę uciąć, że Hania nie zostawiła ich bez niczego.

– Jak zawsze, wnusiu. Haneczka skacze koło naszego bohatera jak kwoka nad kurczęciem. Dlatego tak prędko do sił wrócił.

Kątem oka zerknęłam na Bartłomieja.

– Rzeczywiście czuje się pan już zdrowy?

Pokiwał głową.

– Czuję się dobrze i zamierzam jeszcze dziś opuścić kryjówkę. Choć żal, że muszę się z panem Ignacym pożegnać. Ale dłużej was narażać nie mogę. Doktor Sieradzki wie, że wracam do swoich.

– Do swoich?

– Do organizacji. Nadal będę robił, co robiłem. Nie mogę odpuścić, a jedyne, co muszę, to być ostrożniejszy, żeby mnie ponownie nie aresztowali.

– Nie boi się pan, że ktoś znów pana wyda? Doniesie władzom?

– Ryzyko zawsze jest, ale co to za życie cały czas się bać, czy ktoś ci noża w plecy nie wbije? Wolna Polska jest warta poświęcenia, więc trzeba robić swoje. Ilu już naszych życie oddało dla sprawy?

Nim wyszłam z domu dziadka, poprosiłam jeszcze pana Ostrowskiego o chwilę osobistej rozmowy. Przeszliśmy do drugiej izby, odprowadzani zadowolonym wzrokiem staruszka. Dobrze wiedziałam, co tam dziadek sobie wyobrażał, ale nie zamierzałam się tym irytować ani czegokolwiek mu tłumaczyć.

– Naprawdę się cieszę, że czuje się pan lepiej, panie Bartłomiej – rzekłam na wstępie.

Znów przysiadłam na parapecie otwartego okna, jak przy naszej pierwszej rozmowie. Nie byłam wystrojona, miałam na sobie prostą suknię z błękitnej wełny bez ozdób, a na szyi łańcuszek z medalionem, który dostałam od dziadka. Ale mężczyzna, który stał naprzeciwko mnie, patrzył na mnie tak, jakbym miała na sobie co najmniej suknię balową. Przyznam, że trochę mi to pochlebiało, bo już dawno nikt tak na mnie nie patrzył.

– Jestem pani po stokroć wdzięczny za pomoc. Jeśli kiedykolwiek będzie nam dane spotkać się ponownie, będę szczęśliwy.

Uśmiechnęłam się.

– Mówił pan, że do waszej organizacji należą też panny – rzekłam, ignorując jego uwagę.

– Tak... – przyznał ostrożnie.

– Chciałabym, żeby wprowadził mnie pan w szeregi – powiedziałam z całą stanowczością.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, a kiedy się odezwał, w jego głosie słyszałam wahanie.

– Sama pani mówiła, że ma dziecko i nie chce się narażać.

– Nie zamierzam się narażać. Z pewnością jest wiele spraw, które nie wymagają narażania życia. Nie chcę siedzieć bezczynnie, podczas gdy ojczyzna woła o pomoc. Należę do Związku Równouprawnienia Kobiet i myślę, że to mogłoby pomóc w wielu kwestiach, chociażby w uświadamianiu kobiet, jak ważny jest sprzeciw całego społeczeństwa.

– To prawda – przyznał. – To rzeczywiście ważne. Panny z organizacji zajmują się agitacją wśród kobiet.

– Otóż właśnie. A ja jestem wykształcona, mam sporą wiedzę, potrafię pisać. Z pewnością ktoś taki jak ja może wam się przydać. Ja pomogłam panu, więc niech pan pomoże mnie. A w razie potrzeby z pewnością będę mogła liczyć na pana wsparcie. Myślę, że to uczciwe.

Nie odrywał ode mnie uważnego wzroku.

– Tak, to uczciwe – przyznał. – Ale wciąż ryzykowne.

– Nigdy nie byłam bojaźliwa. Mój syn z chwilą pojawienia się na świecie nieco mnie utemperował, ale... – Uśmiechnęłam się. – Wciąż czuję, że mogę się na coś przydać. Robić coś ważnego.

– Dobrze więc. W takim razie wkrótce dam pani znać, gdzie powinna się pani zgłosić. Myślę, że pani wsparcie będzie rzeczywiście nieocenione. Partia socjalistyczna potrzebuje takich osobowości.

ROZDZIAŁ 22

Pokój mieszczący się na piętrze ładnego mieszkania kamienicy na Powązkach był duży i przestronny. Kiedy weszłam tam po raz pierwszy, zdumiało mnie, jak jasne i schludne jest to pomieszczenie, bo tajna drukarnia kojarzyła mi się raczej z ciemną piwnicą czy strychem. Poza tym miałam w pamięci sekretne wykłady na Uniwersytecie Latającym, które odbywały się w różnych dziwnych miejscach, nawet na tyłach starych magazynów do składowania towarów. Ze zdumieniem patrzyłam na stojące tam meble i urządzenia: spore biurko redakcyjne, w którego szufladach pochowane były rękopisy z notatkami do druku i inne wydawnictwa służące pomocą przy redagowaniu odezw czy artykułów, sporych rozmiarów kosz na drukarskie odpadki, które później były regularnie spalane w piecu kaflowym, szafka z drewnianymi kasztami na czcionki drukarskie i w końcu najważniejsza maszyna drukarska.

– Całkiem tu miło, prawda? – odezwała się Amelia Jarząbek, posługująca się pseudonimem Ania, która niemal samodzielnie zajmowała się pisaniem tekstów i ich drukiem.

Bywały tu inne dziewczęta do pomocy, nieraz zaglądał któryś z kolegów z partii, jeśli praca wymagała szybkich efektów, ale w większości czasu panna Jarząbek musiała radzić sobie sama. Później tylko przychodził ktoś po gotowy druk do kolportażu.

Po interwencji Bartłomieja Ostrowskiego zostałam oddelegowana do stałej pomocy Ani.

– Nikt się nie zorientował, że tu...? – Urwałam wymownie.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– To mieszkanko przekazał nam jeden z warszawskich adwokatów, należący do PPS. Sąsiedzi są przekonani, że to nadal jego biuro i że ja jestem jego sekretarką, więc o nic nie pytają. Nie wydajemy tu „Robotnika” ani innych ważnych biuletynów, bo tym zajmuje się inna drukarnia, ale za to produkujemy całą masę ulotek, które trafiają do fabryk i dzielnic robotniczych. To tu rodzą się pomysły, jak przekonać prostych ludzi do buntu i walki o prawa. – Piękne bursztynowe oczy Amelii „Ani” śmiały się, kiedy to mówiła.

Widać było, że ta praca sprawia jej nie lada przyjemność. Młodziutka, ledwie dziewiętnastoletnia, zdawała się zahartowana w pracy konspiracyjnej. Trochę zazdrościłam jej tej pewności siebie, którą ja też przecież miałam, tylko uśpiłam ją, siedząc w domu ze Stasiem.

– We dwie będzie nam rażniej i więcej zdziałamy – kontynuowała z zapałem. – Bartłomiej zapewniał, że jesteś otwarta na wszelkie nowe pomysły. Klawo mieć wsparcie, bo jednak co dwie głowy to nie jedna!

– Mam mnóstwo pomysłów! – zapewniłam, przejeżdżając pieszczotliwie dłonią po maszynie drukarskiej.

Znów ogarnęło mnie to niezwykle podniecenie jak w czasach, kiedy pracowałam w „Bluszczu”. Znów czułam, że odnajduję sens istnienia. Moją głowę rozsadzały pomysły i górnolotne hasła. Do tego byłam stworzona! Oczami wyobraźni widziałam nagłówki kolejnych odezw do kobiet robotnic, które otworzą im oczy, pomogą wstać z kolan niewoli i odrodzić się w duchu wolności.

Nie miałam jednak pojęcia, jak bardzo się wówczas myliłam i jaka byłam naiwna w swoim feministycznym idealizmie. Szybko się okazało, że większość socjalistów zupełnie inaczej podchodzi do kwestii kobiet, a wręcz ją marginalizuje.

Ania zdjęła niewielki kapelusik i powiesiła na stojącym w kącie wieszaku, poprawiła żakiet, a następnie przysiadła na krześle za biurkiem. W takim anturazie rzeczywiście wyglądała jak sekretarka, a nie działaczka organizacji w walce z caratem. Obraz ten zmienił się po chwili, kiedy z jednej z szuflad wyjęła stosik opracowań.

– To program. Powinnaś się z nim zapoznać. Oczywiście nie musisz znać go na pamięć, wystarczy, że w danym dniu zajrzysz do niego, by sprawdzić, o czym należy napisać.

– Co to znaczy? – zdumiałam się.

Dziewczyna popatrzyła na mnie, unosząc brwi w niemym pytaniu.

– Nie rozumiem, po co ten program – rzekłam wyjaśniająco.

– W tym programie zostały zawarte informacje na temat tego, o czym mamy pisać. Odezwy i hasła mają być krótkie i zrozumiałe, ale mocne w odbiorze i zgodne z założeniem partii. Bartłomiej zapewniał, że znasz się na tym, podobno pisziesz...

Wzięłam do ręki kartki z programem. Przerzuciłam kilka stron, przebiegłam wzrokiem po tekście i nigdzie, w ani jednym zdaniu, nie znalazłam nic, co można by skierować bezpośrednio do kobiet, w nawiązaniu do ich osobistej pracy na rzecz wyzwolenia.

– To suchy program. Jak ze zjazdu proletariatu – zauważyłam z przekąsem.

Ania zrobiła minę, jakby znów nie rozumiała.

– To program naszej partii – rzekła po chwili. – Na jego podstawie...

– To wiem, ale gdzie tu odezwy do kobiet? Jak mamy się do nich odnosić? Jak je przekonać? Głoszenie, że musimy przejąć kontrolę nad ziemią, kopalniami oraz fabrykami i znieść pracę najemną, nie podziela na wyobraźnię kobiety, która nierzadko sama musi się utrzymać i wykarmić dziecko! Walka o niepodległość to walka o wolność dla każdego, również dla kobiety!

Ania patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Więc co proponujesz? – spytała wyraźnie zaskoczona.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na skąpaną w słońcu ulicę.

Skoro tu byłam, skoro miałam możliwości, musiałam je właściwie wykorzystać.

– „Kobieto przytłoczona brzemieniem trosk, o zapadłej z nędzy twarzy, czy też przynależysz do społeczeństwa obywatelskiego? Czy też masz prawo domagać się udziału w wolności?” – wyrecytowałam mocnym tonem. – „Kobiety! Przyszłość Wasza w rękach Waszych!”

Odwróciłam się od okna i popatrzyłam na oniemiałą dziewczynę.

– To... – Wskazała na leżący na biurku program. – Tego tam nie ma.

– Nie ma, a powinno być.

– Ale...

Zmarszczyłam brwi.

– Sama mówiłaś, że chodźcie na spotkania z kobietami w fabrykach, że urządzacie wiece w biednych dzielnicach. Mówcie więc takim językiem, żeby kobiety was rozumiały! Niech czują, że ich działanie ma moc sprawczą! Ja to wiem, ty to wiesz, ale większość z tych biednych służek, robotnic, matek nie ma o tym pojęcia! Trzeba je uświadomić... Powoli, bez nacisku, ale skutecznie. Spróbujmy obudzić w Polkach wiarę, że one też się liczą, że niepodległość i socjalizm też są dla polskiej kobiety.

– No tak, to logiczne. – Anna przyznała mi rację. – Ale jeśli ktoś się zorientuje, że te hasła odbiegają od przewodniej myśli programowej?

Pochyliłam się nad biurkiem i popatrzyłam jej hardo w oczy.

– Przecież PPS to partia wszystkich ludzi, nie tylko mężczyzn. My, na równi z nimi, narażamy w buntach i manifestacjach swoje życie. Walka z uciskiem to walka o dobro wszystkich – mężczyzn, kobiet, młodzieży i dzieci, bez względu na narodowość i wyznanie.

Pierwszego dnia siedziałyśmy w Anią w drukarni do wieczora, kiedy zjawily się dziewczyny po materiały do rozniesienia. Patrzyłam z podziwem, jak sprawnie chowały świeżutkie ulotki w specjalnie doszytych kieszeniach wewnątrz sukni, w gorsetach, a nawet pantalonach, choć jak same mówiły, bibuła to nic takiego. Większą sprawą było przemycanie w bieliźnie dynamitu i broni, ale tym zajmowały się inne koleżanki, między innymi lubiana przez wszystkich Olka Szczerbińska[7], która strach miała za nic, a niebezpieczeństwu śmiała się w twarz.

W kolejnych dniach szłam do drukarni zaraz po lekcjach z Julią i zaczęłyśmy z Anią przygotowywać kolejną porcję krótkich, ale czytelnych ulotek. Do domu wracałam wykończona, ale z uczuciem przyjemnej satysfakcji. I tylko puste łóżeczko w pokoju dziecięcym boleśnie przypominało mi, że mój słodki synek spędza lato z babcią w Konstancinie, a ja szalenie za nim tęsknię.

Pojechałam do „Pałacyku Magnolia” po tygodniu rozłąki ze Stasiem, kiedy już bardzo dotkliwie odczułam, że dłużej nie dam rady. Spałam z nim podczas każdej nocy pobytu tam, bawiłam się z nim, całowałam go bez końca i wdychałam słodki zapach jego dziecięcej skóry oraz delikatnych włosów. A później trudno mi było rozstać się z malcem i wrócić do Warszawy.

Kolejny tydzień był nie mniej intensywny, wiedziałam jednak, że moja praca konspiracyjna zaczyna przynosić owoce, bo wśród działaczek rozchodziły się wieści, że moje hasła trafiają na podatny grunt.

– Robisz coś naprawdę ważnego – pochwaliła mnie Marianna, kiedy odwiedziłam ją pewnego popołudnia.

Tego dnia skończyłyśmy z Anią szybciej i mogłam pozwolić sobie na chwilę wytchnienia.

– Zresztą widzę po tobie, że jesteś inna, bardziej ożywiona – dodała moja przyjaciółka.

– Bo tego mi było trzeba. Nie zrozum mnie źle, bo czas spędzony ze Stasiem był wyjątkowy, ale... Ja potrzebuję coś zrobić! Wciąż rozpira mnie energia! Nawet nie wiesz, ile mam pomysłów dzięki tym spotkaniom w Związku Równouprawnienia. Ostatnio chodzę tam rzadko, bo nie miałam wolnej chwili, ale idee kielkują mi w głowie. Poza tym dziewczyny zaczęły się sprzeczać o poglądy polityczne... Część jest za narodową demokracją, część mocno lewicowa. Mnie zakusy polityczne nie obchodzą. Ja mam inne priorytety.

Marianna zaśmiała się i popatrzyła z czułością na śpiącą w ramionach córeczkę.

– Przecież cię znam! I doskonale rozumiem. Sama się zastanawiam, kiedy poczuje, że trzeba mi czegoś więcej niż przewijania i karmienia. Ale na razie... – Pocałowała maleństwo w główkę. – Cieszę się każdą chwilą. Za to ty... – Podniosła na mnie wzrok. – Może powinnaś trochę zwolnić i... No wiesz. Z doświadczenia mogę ci powiedzieć, że mężczyźni nie są tacy źli... – To mówiąc, uśmiechnęła się słodko. – Gdybyś się z którymś umówiła...

Niedbale wzruszyłam ramionami.

– Mam nieco inne doświadczenia niż ty, więc powinnaś mnie zrozumieć. Poza tym kto chciałby samotną matkę z dzieckiem? Świat wciąż nie jest na to gotowy.

– Ty i tak sporo w tym względzie zdziałałaś! Ludzie z początku byli zszokowani, plotkowali, oburzali się, a teraz przywykli. Nawet patrzą na twójego Stasia z sympatią i nie wytykają palcami jako nieślubnego.

– Bo uparłam się, że będę żyć normalnie. Nie boję się ludzkiego gadania. Ale sama wiesz, że wiele kobiet nie ma takiej odwagi ani możliwości ekonomicznej. I przez to żyją w odosobnieniu i strachu przed ludzką zawiścią.

Kolejnego dnia nie miałam lekcji z hrabianką Czarnecką, bo dziewczyna złapała przeziębienie, więc natychmiast po śniadaniu udałam się do tajnej drukarni. Nie miałam pewności, czy zastanę Anię, ale uznałam, że jeśli będę sama, przygotuję tekst, a kiedy Ania przyjdzie, zrobimy wspólnie resztę.

Nie spodziewałam się jednak tego, co w rzeczywistości tam zastałam.

Nie byłam na to przygotowana, więc widok Jędrzeja Witebskiego stojącego nad biurkiem, przy którym siedziała Ania, wstrząsnął mną do głębi i stanęłam w drzwiach jak wryta. Nie potrafiłam wykonać żadnego gestu ani wykrztusić z siebie słowa. Cała moja pewność siebie i hardość, którymi tak się szczyciłam, nagle gdzieś uleciały, kiedy zatopiłam spojrzenie w znajomych błękitnych oczach. Jędrzej spojrzał na mnie równie zaskoczony znad sterty trzymany w rękę papierów.

Nie widziałam go trzy lata. Trzy długie lata, podczas których tyle się zmieniło. Wszystko się zmieniło.

W pierwszym odruchu chciałam odwrócić się na pięcie i uciec – byle na niego nie patrzeć. Byle nie czuć tego szaleńczego kołatania serca, które omal nie rozsadziło mi piersi. Czy dawniej uważałam, że Jędrzej był przystojny? Cóż... Więc jak miałabym określić go teraz, kiedy znikła młodzieńcza twarz, szczupła sylwetka i zawadiacki uśmiech, a na ich miejscu pojawiły się powaga, siła i męskość? Wydał mi się wyższy, mocniejszy.

To nie był mój Jędrzej. To był mężczyzna, którego nie znałam.

Wydawał się równie wstrząśnięty jak ja. Nie spodziewał się mnie tutaj. Pewnie gdyby wiedział, nie zjawiłby się.

– O, to właśnie „Maria” – rzekła Ania, gwałtownie podnosząc się z krzesła.

– Maria? – Jędrzej nie odrywał ze mnie zdumionego wzroku.

– To mój pseudonim – odrzekłam, odzyskując głos.

Na drżących nogach weszłam do pokoju. Miałam wrażenie, że Jędrzej wypełnia całą tę przestrzeń, a przez to zrobiło się nieznośnie ciasno.

– To wymóg w tej pracy, należy mieć pseudonim. Dla bezpieczeństwa – dodałam, próbując zebrać rozszałe myśli.

Nie wspomniałam, że pseudonim obrałam na pamiątkę naszej wspólnej znajomej, która ponad trzy lata temu odebrała sobie życie.

– Wiem. Znam zasady – odparł. – Nie spodziewałem się jednak...

– To wy się znacie? – wtrąciła się Ania, patrząc raz na mnie, raz na Jędrzeja.

– Owszem – przytaknął.

– Jeszcze z dzieciństwa – dodałam, zdejmując z głowy słomkowy kapelusz.

Miałam wrażenie, że Jędrzej obserwował każdy mój ruch, widział, jak poprawiałam wysunięte ze szpilek ciemne loki, jak drżały mi palce, bo zdawało mi się, że on dotyka ich swoim spojrzeniem.

– Więc to ty jesteś odpowiedzialna za całe to zamieszanie? – spytał suchym tonem.

Zdumiona zmarszczyłam czoło, nie rozumiejąc.

– Jakie zamieszanie?

– Z ulotkami. Drukujecie tu z panną Jarząbek własną propagandę.

Dumnie uniosłam podbródek.

– Co to za bzdurne insynuacje!

– To nie są insynuacje! – Jędrzej pospiesznie wyjął z kieszeni eleganckiej marynarki pomiętą ulotkę, na którym widniało hasło: *Kobiety warte są swobód obywatelskich*.

– Te ulotki krążą między pracownikami fabryk, między innymi w fabryce mojego ojca!

Gniewnie zmarszczyłam brwi i podparłam się pod boki.

– Więc tu tkwi problem? Nie podoba ci się, że w fabryce twojego ojca kobiety dowiadują się, że też należą im się prawa?

Jędrzej zacisnął szczękę. Widziałam, jak jego niebieskie oczy pociemniały.

– Nie o to chodzi! – Przez chwilę się wahał, zanim wycedził kolejne słowa. – Też należę do PPS-u i też zależy mi na szerzeniu informacji wśród robotników, ale... – Nagle urwał i zaśmiał się kpiąco, a następnie odwrócił ode mnie. Bezsilnie potarł twarz dłonią. – Ktoś, kto pozwolił ci się zająć produkcją tych ulotek, nie miał pojęcia o twoich poglądach – mruknął z sarkazmem.

Uniosłam brwi w geście zaskoczenia.

– A jakie to niby poglądy?

– Z pewnością niezgodne z podstawą programową socjalistów! Związkowcy są wściekli i zdumieni tym, jak mogło do tego dojść, skoro każdy na każdym etapie prac dostaje wytyczne. Oczywiście całą winą obarczono pannę Jarząbek!

– Ania nie ma z tym nic wspólnego! To moja inicjatywa, której ona się jedynie poddała.

– Ale ta inicjatywa bardzo przypadła mi do gustu – przyznała poważnym tonem Ania. Spojrzałam na nią z wdzięcznością. – Te hasła działają na wyobraźnię. Budują w kobietach poczucie godności.

– Ale nie budują podstaw działania partii! – wycedził Jędrzej. – Walka z caratem to nie walka o prawa kobiet. Rewolucja nie jest właściwym czasem na babskie fanaberie. Myślałem, że już z tego wyrosłaś, ale jak widzę, nie!

– A czy my żyjemy w innym świecie niż mężczyźni? – uniosłam się. – Nas niewola dotyka tak samo, a nawet bardziej, bo podczas gdy wy możecie bez kłopotu pracować, podejmować decyzje, bawić się, pić na umór alkohol i palić papierosy, my

musimy się ze wszystkiego tłumaczyć! Wszystko, co robimy, podlega ciągłej analizie i jest krytykowane. Każde nasze poświęcenie zbywa się machnięciem ręki!

Jędrzej zbliżył się do mnie. Jego oczy ciskały iskry gniewu. Zdawało mi się, że w pierwszym odruchu chciał mnie dotknąć, ale szybko się opamiętał.

– Masz natychmiast zaprzestać samowolnych działań albo zostaniesz odsunięta od drukarni!

– A jakie ty masz prawo, żeby mi rozkazywać?

– Takie, że to ja jestem za ten obszar odpowiedzialny. To ja kieruję zespołem tajnych wydruków. Dotąd robiłem to wyłącznie w Łodzi, ale skoro przyjechałem do Warszawy, również tu objąłem to pieczę. Znamy się z panną Jarząbek i dotąd nie mieliśmy problemów, dopóki... ty się nie pojawiłaś. – Urwał i westchnął ciężko. – Ta sprawa nie podlega żadnej dyskusji. Albo zaczniecie produkować ulotki zgodne z programem, albo będziesz musiała odejść.

Patrzyłam na Jędrzeja kompletnie rozbita. Nie spodziewałam się z jego strony takiej bezkompromisowości. Owszem, kiedyś też potrafił być stanowczy i forsował swoje zdanie, ale przy mnie zawsze łagodniał. Teraz jednak... No cóż, nic nas już nie łączyło, a dzieliło bardzo wiele.

– W porządku – mruknęłam z rezygnacją, zła, że nie mogę się sprzeciwić. – To źle, że tak stawiasz sprawę, ale chyba nie mam wyjścia i muszę się dostosować.

Widziałam, jak jego usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

– A to nowość. Panna Klara Tyszkowska postanowiła się do czegoś dostosować – zadrwił.

Nie poznawałam go. Jego słowa mnie raniły, były wymierzone wprost w moje czułe punkty, choć nie wiedziałam dlaczego. Nie widzieliśmy się od czasu wypuszczenia go z Cytadeli; wówczas zaszła w nim przemiana, której nie rozumiałam. Poza tym różnica polegała również na tym, że dawniej bym się tym nie przejęła, a teraz uderzało to we mnie z całą mocą.

Kiedy założył kapelusz i skierował się do wyjścia, uświadomiłam sobie, że nadal mam mu coś do powiedzenia. Chciałam wyjaśnić; informacji na temat tego, co się stało, że tak nagle odrzucił mnie bez słowa.

Kiwnęłam głową do Ani na znak, że zaraz wracam, i wyszłam za Jędrzejem, który już zbiegał po schodach.

– Poczekaj! – zawołałam za nim, ale nie posłuchał.

Wypadł z korytarza na zalaną słońcem ulicę. Wybiegłam za nim.

– Jędrzej!

Uparcie szedł przed siebie. Dumny i wyprostowany.

Poczułam rozczarowanie i gniew. Jak mógł mnie tak traktować? Nie oczekiwałam od niego niczego prócz krótkiej rozmowy. Chyba po tylu latach bliskiej przyjaźni mogliśmy sobie na to pozwolić.

Nagle się zatrzymał. Odwrócił się powoli i popatrzył na mnie z pustką w oczach.

– Czego ode mnie chcesz?

Przystanąłam, nieco zdyszana. Czułam, że moja twarz płonie od emocji.

– Porozmawiać.

– O czym?

Z trudem panowałam nad sobą, by nie wybuchnąć. Zrobiłam nieokreślony ruch ręką i zbliżyłam się o krok.

– O tym, co się stało. Czemu nagle przestałeś ze mną rozmawiać? Nie chciałeś mnie widzieć, nie odpisywałeś na listy...

Zaśmiał się szyderczo, a ten śmiech zawibrował mi w uszach.

– Każdy ma swoją granicę, Klaro.

Pokręciłam głową, nie rozumiejąc, ale on odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Nie myśląc długo, pobiegłam za nim i chwyciłam go za rękaw marynarki.

– Jędrzej...

Wyszarpnął się jednym ruchem.

– Muszę iść. Jestem umówiony z żoną na obiad i nie chcę się spóźnić.

Patrzyłam za nim, jak odchodził. Jak znikał mi z oczu. Wszystko we mnie krzyczało. Wiedziałam, że coś w moim życiu bezsprzecznie się skończyło – coś, co kiedyś miałam w zasięgu ręki. I tylko ból złamanego serca uświadomił mi, że zawsze Jędrzeja kochałam. Początkowo jak brata, jak przyjaciela; lecz gdybym w porę zrozumiała, że ta miłość zmieniała tor, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nie spotkałam go więcej. Widać skrupulatnie zadbał o to, żeby nie chodzić tymi samymi ścieżkami co ja. Nie pojawił się również latem na tajnym spotkaniu członków PPS, choć przecież zapewniał, że należy do organizacji.

Później Marianna przyznała mi się, że widziała go kilka razy z żoną na spacerze.

– Ładnie razem wyglądają, ale coś mi w tym związku nie gra – skwitowała. – Znam Jędrzeja i wiem, że potrafi być zabawny i całkiem swobodny, a przy Jadwidze ciągle wydawał się spięty i zbyt poważny. Jakby cały czas się kontrolował. Ona jest bardzo ładna i nawet do siebie pasują, ale i tak nie mogę uwierzyć, że się z nią ożenił. Przecież gołym okiem widać, że w tym małżeństwie nie ma... No wiesz, namiętności.

– W większości małżeństw nie ma namiętności – stwierdziłam drwiąco, trochę zła, że moja przyjaciółka wspomina przy mnie o Jędrzeju. – Przecież to jeden z wielu powodów, dla których nie chciałyśmy wyjść za mąż.

Marianna westchnęła teatralnie.

– No tak. Dobrze, że jednak zmieniłam zdanie, choć nie powiem, poszczęściło mi się. A co do ciebie, byłam święcie przekonana, że odpuścisz i dasz się w końcu

schwytać. Nie znam chłopaka, który tak ostentacyjnie okazywałby dziewczynie miłość, jak Jędrzej tobie. Nawet trochę ci tego zazdrościłam.

– Jak widzisz, niepotrzebnie. Ty jesteś szczęśliwą mężatką, a ja pielęgnuję w sobie staropanieństwo.

[\[7\]](#) Aleksandra Szczerbińska – działaczka niepodległościowa, członkini Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiej Organizacji Wojskowej. Służyła w Legionach Polskich, odznaczona Orderem Wojennym Virtuti Militari, druga żona Józefa Piłsudskiego, Pierwsza Dama II Rzeczypospolitej.

ROZDZIAŁ 23

Lato minęło, a wraz z jego odejściem do domu wrócił Staś z mamą. Przez pierwsze kilka dni nie chodziłam do drukarni, a jedynie jeździłam do Czarneckich na lekcje z Julią, po których natychmiast wracałam do domu, by nacieszyć się synkiem. On też mnie potrzebował; czułam to, bo nie opuszczał mnie na krok, dreptając za mną na krótkich nóżkach. Był moim światłem, radością i inspiracją. Nie mogłam nadziwić się, że tak szybko rósł i robił błyskawiczne postępy w mowie, choć jeszcze na początku lata powtarzał ledwie kilka słów.

W końcu jednak wróciłam do pracy w drukarni. Po tym, jak Jędrzej wymusił na mnie zmianę haseł na ulotkach, ściśle trzymałyśmy się z Anią programu, ale przestało mnie to ekscytować. W suchych tekstach o walce z caratem i pracy na rzecz dobra ogółu nie widziałam przestrzeni na wolność dla kobiet i było mi z tym ciężko. Robiłam jednak swoje, bo uważałam, że mimo wszystko gra jest warta świeczki. Wciąż głęboko wierzyłam w odzyskanie przez naród niepodległości, choć wielu już tę wiarę utraciło. Ludzie zaczęli odchodzić z partii i organizacji bojowej, dochodziło do coraz częstszych rozłamów. Byli i tacy, co nadal widzieli głęboki sens w walce bojówek z carską policją i żandarmami; część, idąc za głosem Narodowej Demokracji, chciała postępowych reform. A my z Anią robiłyśmy swoje.

Wydawało mi się, że nasza drukarnia jest bezpiecznym miejscem. Przez te wszystkie tygodnie, kiedy tam chodziłam, nie zaglądał do nas nikt prócz przychodzących po bibułę dziewcząt. Nikt przypadkowy nie zapytał, czym się zajmujemy, więc jakie było moje zaskoczenie, kiedy w połowie września do mieszkania na piętrze wpadło nagle kilku uzbrojonych policjantów.

Ania, zachowując zimną krew, zaczęła zapewniać, że wydajemy broszurę z modą i na dowód pokazała policjantom kilka druków, które trzymałyśmy na wierzchu właśnie w sytuacji wpadki. Oni jednak nie dali temu wiary i zaczęli rozbebeszać szuflady i szafki na podłogę, aż z triumfem wyjęli plik nielegalnych ulotek.

– Kapitan Kirsanov będzie zadowolony, widząc was, drogie panie – rzekł, szczerząc w zadowoleniu zęby, jeden z policjantów.

Na dźwięk tego nazwiska zachwiałam się.

– Kto? Kapitan Kirsanov?

– We własnej osobie, panienko. Kapitan nie lubi takich buntowniczek, które zamiast grzecznie siedzieć w domu, produkują nielegalną bibułę.

Szarpnął mnie za ramię i wypchnął z mieszkania na korytarz. Zaraz za mną drugi wyprowadził siłą Anię.

Prowadzili nas przez miasto na piechotę, robiąc z nas widowisko. Ludzie oglądali się za nami, kiedy policjanci szli w szeregu, trzymając mnie i Anię na muszce. Niektórzy przechodnie składali ręce jak do modlitwy, inni czynili znak krzyża. Nikt jednak nie śmiał głośno się odezwać ani tym bardziej sprzeciwić. A mnie rozpierał gniew. Szłam z zaciśniętymi zębami, myśląc tylko o tym, że mam ochotę napluć Kirsanowowi w twarz. Nie myślałam wówczas, co będzie ze Stasiem. Miałam wewnętrzną pewność, że mój synek jest bezpieczny. Żał mi było za to Ani, która w pewnym momencie, widząc, że prowadzą nas w stronę Pawiaka, zaczęła bezgłośnie płakać. Próbowałam dodać jej otuchy spojrzeniem, ale łzy przesłoniły jej pole widzenia.

Zaprowadzili nas prosto do Serbii, kobiecego więzienia na Pawiaku, i tam zamknęli w jednej celi z czterema kryminalistkami. Przyglądające nam się bacznie więźniarki, z których najmłodsza miała około szesnastu lat, a najstarsza była staruszką, która uśmiechała się bezzębnie, odgarniając sękatymi dłońmi z pomarszczonej twarzy siwe kosmyki włosów, wyglądały groźnie. Spodziewałam się najgorszego.

Kiedy dozorczyńni z hukiem zamknęła drzwi celi, obie z Anią chwyciłyśmy się za ręce.

– Spokojnie – rzuciła jedna z więźniarek, mierząc nas od stóp do głów i bez trudu dostrzegając, że obie jesteśmy śmiertelnie przerażone. – My tu nie tykamy porządnych. A wy porządne jesteście, bo polityczne.

Mimo tych zapewnień całą noc nie zmrużyłam oka. Leżałam na twardej, śmierdzącej pryczy i wsłuchiwałam się w nocne odgłosy więzienia. Skądś dochodziły miarowe stukania, gdzieś ktoś krzyknął, ktoś inny śpiewał, co było dla mnie zadziwiające, bo jak można śpiewać w takim miejscu, i to w środku nocy.

Myślałam o moim synku. Bałam się, że szybko go nie zobaczę. Myślałam też o Kirsanowie. Jego niespodziewany powrót do Warszawy wywołał we mnie paralizującą obawę o przyszłość dziecka. Byłam gotowa walczyć, zrobić wszystko, byle ochronić Stasia przed tym człowiekiem.

Co będzie ze mną – o tym nie myślałam.

* * *

Zaprowadzili mnie do niego z samego rana. Był w pokoju przesłuchań.

Kiedy weszłam, stał wyprostowany, odwrócony do mnie plecami, z rękami splecionymi z tyłu, jak zwykł to robić. Mundur pułku lejbgwardyjskiego leżał na nim idealnie. Jediną zmianą w jego powierzchowności były włosy, nieco dłuższe niż poprzednim razem, w których pomiędzy ciemnymi puklami dostrzegłam siwe nitki.

Nie pasował do tego prostego, zimnego miejsca. Jego światem był luksus, piękno, przepych. W tak surowej przestrzeni więziennego gabinetu Kirsanov prezentował się jak egzotyczny ptak.

Nieprzespana noc mnie wymęczyła, od leżenia na twardej pryczy bolało mnie całe ciało i czułam się przemarznięta. Ale poza tym trzymałam się dobrze. I na widok kapitana zrodził się we mnie potężny gniew.

Kirsanov odwrócił się do mnie powoli, kiedy tylko policjant zamknął za sobą drzwi, i zostaliśmy w gabinecie sami.

Przez chwilę stał tylko bez ruchu i patrzył. Obserwował mnie jak łowczy zwierzynę, a ja czułam, jak wszystko we mnie dygocze. Nie ze strachu, ale z oburzenia. Jego wyniosłość, poczucie wyższości, władza, którą się chełpił – wzbudzały we mnie pogardę. Patrzyłam na niego z wysoko podniesioną głową i z trudem pojmowałam, jak to możliwe, że taki człowiek mógł być ojcem tak cudownego chłopca. Na samą myśl o tym zrobiło mi się niedobrze.

– I znów się spotykamy, Klaro – rzekł niskim głosem. – Szkoda jedynie, że okoliczności są dla ciebie nieco mniej przyjemne.

Obszedł mnie, oglądając uważnie od stóp do głów.

– Spodziewałaś się, że jeszcze będziemy mieli okazję się zobaczyć? – Stanął przede mną i ujął mnie pod brodę, zatapiając spojrzenie w moich oczach. – Ja mocno na to liczyłem...

Nim się zorientowałam, co zamierza, pochylił się i mnie pocałował. Syknęłam wściekle i odwróciłam głowę, a on zaśmiał się cicho, po czym cofnął o krok.

– Wciąż jesteś zadziorna – skwitował z satysfakcją. – To dobrze, bo jedyna zmiana, jaką w tobie widzę, to ta, że jesteś jeszcze bardziej urodziwa. Rozkwitłaś i jesteś diabelnie piękna, Klaro. – Nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby moja wściekłość nie robiła na nim wrażenia. – Przez te dwa lata w Petersburgu próbowałem o tobie zapomnieć, ale niestety, uderzasz do głowy jak najlepsze wino. I z zadowoleniem odnajduję fakt, że twój chłoptaş jednak cię nie poślubił. Czyżby miłość nie wytrzymała próby, której was poddałem? A ty tak uparcie o niego walczyłaś. Jak suka o psa.

Zacisnęłam zęby, obiecując sobie, że nie dam mu się sprowokować. Już znałam go na tyle, żeby wiedzieć, że właśnie to lubił najbardziej – kiedy byłam nieprzejednana i buntownicza. Kiedy musiał mnie jarzmić.

– Usiądź!

Pchnął mnie na pobliskie krzesło, a sam zasiadł za biurkiem.

– Obserwowałem cię od jakiegoś czasu, zleciłem policjantom śledzenie i znów muszę powiedzieć, że mnie rozczarowałaś. Wciąż lubisz pakować się w kłopoty, choć powinnaś pamiętać, że tylko dzięki mnie nie zapłaciłaś za tamten udział w demonstracji. Po co ci ta śmieszna konspiracja? Tak bardzo brakuje ci w życiu wrażeń?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o twoim nielegalnym drukowaniu. Kazałem już zrewidować maszynę i wszystko, co tam było. Mamy niezbity dowód twojej winy i tej dziurki, co była z tobą.

– Ona nic nie zrobiła!

– Oczywiście! Tak jak twój narzeczony. Wszyscy są niewinni. Ale dobrze, że wiesz, że ich przyszłość tak naprawdę spoczywa w twoich rękach. I w tym, co masz mi do zaoferowania... Bo widzisz... Wciąż pamiętam, że coś tam jednak możesz mi dać.

Nim zorientowałam się, co zamierza, zerwał się, chwycił mnie pod łokieć i podniósł z krzesła. Jęknęłam z bólu, bo ścisnął mnie tak brutalnie, że miałam wrażenie, iż zmiażdży mi kość. Pchnął mnie na stojącą pod ścianą pryczę i zadarł moją suknię. Wrzasnęłam wściekle, próbując się podnieść, ale był większy i silniejszy, więc bez trudu ponownie rzucił mnie na twarde posłanie.

– Nie zwykłem gwałcić kobiet – szepnął ochryple, pochylając się nade mną i szamocząc z moją bielizną. – Ale ty masz w sobie coś takiego...

Nim zdołałam go powstrzymać, już czułam go w sobie. Szarpałam się, próbowałam go z siebie zepchnąć, aż w końcu ugryzłam go w szyję. Syknął wściekle i nakrył mi usta dłonią, aż zaczęłam się dusić. Poruszał się we mnie szybko, rytmicznie, podczas gdy łzy bezsilności przesłaniały mi oczy. Płakałam nad sobą, nad moim biednym dzieckiem i nad tym, jak bardzo nienawidzę tego człowieka. Kiedy skończył, wysunął się ze mnie, a ja obróciłam twarz, żeby nie widział moich oczu ani nie mógł dotknąć ust. Byłam pewna, że teraz już mnie zostawi, ale on niespodziewanie przygarnął mnie do siebie, niemal z czułością, i schował twarz w mojej piersi.

– Tęskniłem za tobą – wyszeptał. – Jesteś jak trucizna, która wnika w skórę, przepływa przez żyły, dociera do mózgu. Bóg mi świadkiem, że próbowałam o tobie zapomnieć, Klaro, ale nie potrafię.

– Puść mnie! – zażądałam, krztusząc się odrazą do niego.

Czułam na sobie jego ciężar, który przypominał mi, ile razy musiałam znosić jego zachcianki i to, jak się nade mną pastwił.

– Zejdź ze mnie! – syknęłam ponownie i wówczas posłuchał.

Wstał, poprawił na sobie mundur i po chwili usiadł za biurkiem, jakby nic się nie wydarzyło.

Podniosłam się z pryczy i naciągnęłam suknię. Między udami czułam nieprzyjemny ból, ale jeszcze bardziej bolało mnie zgwałcone poczucie godności.

– Ta sprawa z drukarnią... Nie próbuj już tego powtarzać, bo w końcu trafisz na kogoś, kto będzie wobec ciebie mniej łaskawy.

Być może czekał, aż coś odpowiem, ale kiedy uparcie milczałam, ponownie się odezwał.

– Jesteś wolna – rzekł suchym tonem.

Z początku nie rozumiałam, co do mnie mówi; myślałam, że chodzi mu o to, że mam wrócić do celi. Ale on, nie patrząc już na mnie, oświadczył, że Ania też zostaje zwolniona. Nie postawią nam zarzutów, bo drukarnia została przejęta i zlikwidowana.

– Spotkamy się jeszcze – oznajmił tylko na odchodne. – Wkrótce.

Wyszłam z jego gabinetu, nie oglądając się za siebie. Coś mocno gniotło mnie w piersi, jakiś wewnętrzny krzyk, który nie mógł wydostać się na zewnątrz.

Z Anią zobaczyłam się zaraz za bramą więzienia.

– Myślałam, że wcale nas nie wypuszczą – rzekła z głębokim przejęciem dziewczyna. – Zastanawiałam się, co z nami zrobią, na jakie tortury nas skazają... Ale nie przewidziałam w ogóle, że tak szybko pozwolą nam odejść.

– Przesłuchiwali cię?

– Tak, raz. Jeden policjant zadał mi kilka pytań. Udałam, że nie wiem, o czym mówi. Zapewniałam, że nie znam nikogo z bojówek. A ty? Byłaś u tego kapitana? Jesteś taka blada. Wszystko w porządku?

Popatrzyłam w dal, przed siebie. Nie chciałam, żeby ta dziewczyna widziała moje poruszenie.

– W porządku. Tak, byłam u kapitana. Też zadał mi zdawkowe pytania. Nic wielkiego.

Chwyciliśmy się za ręce, jakby każda chciała dodać tej drugiej nieco otuchy, i ruszyliśmy przed siebie, w stronę domu.

Po tym, jak nie wróciłam na noc, matka i ojciec odchodzili od zmysłów. Powiadomili znajomych, wypytywali każdego, kogo znali, i zdziwili się, kiedy wieczorem nadeszła wiadomość od Jędrzeja Witebskiego z krótką informacją, że zostałam aresztowana przez rosyjską policję, ale on robi wszystko, żebym czym prędzej wróciła do domu. Byłam pewna, że tak naprawdę nie zrobił nic, a już na pewno nic na tyle skutecznego, żebyśmy rzeczywiście szybko wyszły z Anią na wolność. Jeśli nawet podjął jakieś kroki, to wyłącznie na polecenie działaczy PPS. Miałam świadomość, że tak szybkiej wolności nie zawdzięczałam jemu, a jedynie samemu Kirsanowowi.

Tymczasem dla mnie liczyło się tylko to, że znów miałam Stasia w ramionach. Rozkleiłam się kompletnie, kiedy poczułam go blisko. Nie umiała powstrzymać łez, gdy jego drobne ramionka oplotły moją szyję. Rzadko płakałam, ale tym razem

musiałam dać upust emocjom, czując jednocześnie lęk i ulgę. Tuląc swoje dziecko, obiecałam sobie, że nigdy, przenigdy nie pozwolę, aby ten potwór dowiedział się, że Staś jest jego synem.

Po sprawie z aresztowaniem wiedziałam, że na jakiś czas muszę zapomnieć o pracy w partyjnej drukarni. Nie mogłam narażać siebie, innych, a przede wszystkim Stasia. Miałam świadomość, że Kirsanov z pewnością mnie obserwuje, że wysyła za mną swoich ludzi, i to napawało mnie potwornym lękiem. Dopóki nie domagał się mojego towarzystwa, mój syn był względnie bezpieczny, ale czułam, że nadejdzie dzień, kiedy kapitan znów zażąda, abym do niego przyszła...

Ogarnięta lękiem niemal przestałam wychodzić z domu. Jeździłam tylko do hrabiostwa Czarneckich na lekcje z Julią i natychmiast wracałam do domu. Wciąż czułam irracjonalny strach, że któregoś dnia stracę syna. Ten lęk opanował mnie bez reszty i nawet mama zauważyła, że zaczęłam zachowywać się inaczej.

– Przecież nic mu nie jest! – gderала, kiedy wpadałam do domu po lekcjach z Julią i już w progu dopytywałam niemal histerycznie, gdzie jest Staś.

Moje niecodzienne zachowania zauważyła nie tylko mama, ale i Marianna, która wielokrotnie zwracała mi uwagę, że w trakcie naszych spotkań jestem nienaturalnie rozkojarzona. W końcu uznałam, że jej jednej mogę wyznać choć częściową prawdę o tym, co mnie gryzie.

– Kirsanov wrócił do Warszawy.

Marianna oniemiała.

– Jesteś pewna?

– Niestety. To on kazał mnie aresztować i... – Przełknęłam nerwowo ślinę na wspomnienie tamtego spotkania. – Wezwał mnie na osobiste przesłuchanie.

– Myślisz, że on wie?

– O Stasiu? Myślę, że nie. Ale boję się, że się dowie.

– Och, Klaro! – Marianna uściśnęła współczująco moje ręce, a potem objęła mnie w geście pocieszenia. – Wyobrażam sobie, jak się czujesz. Ten strach o dziecko... To coś potwornego!

Pokiwałam głową.

– Każdego dnia boję się, że wrócę do domu, a mojego syna tam nie będzie. Odczuwam potworny lęk! Nie jestem w stanie nad tym zapanować.

– Myślę, że powinnaś na jakiś czas wyjechać razem ze Stasiem.

– Nie! Jeśli ucieknę z Warszawy, Kirsanov uzna to za podejrzenie.

Marianna przyjrzała mi się bacznie.

– A może nie? Może po tym wszystkim już przestał się tobą interesować?

Zaprzeczyłam. Nie zamierzałam mówić jej o tym, co wyznał mi Kirsanov ani że mnie zgwałcił. Ale nie chciałam też udawać, że z jego strony nic mi nie grozi.

– Nie mogę uciec, bo to tylko zwiększy jego podejrzliwość.

– Więc spróbuj zachowywać się naturalnie. Wiem, że to trudne, ale chyba jedyne słuszne rozwiązanie. Nie daj mu powodu, żeby zaczął coś podejrzewać.

– A jeśli będzie chciał... No wiesz.

– Żebyś znów została jego kochanką? To przecież odmówisz!

Westchnęłam ciężko. Nie było mi łatwo, ale wiedziałam, że i tym razem muszę zachować zimną krew. Tym bardziej że nie chodziło już o feministyczne idee czy walkę ze skostniałym w poglądach światem. Chodziło o mojego syna.

ROZDZIAŁ 24

Paulina Kuczalska-Reinschmit^[8] była kobietą przed pięćdziesiątką. Postawna, dobrze zbudowana, z pozoru surowa, o szerokiej, niemal kwadratowej twarzy, której kształt podkreślała zaczesana do tyłu i przycięta na krótko po męsku fryzura. Na nosie miała binokle w cieniutkich srebrnych oprawkach; przez jedno przezroczyste szkło przezierało przenikliwe spojrzenie zdrowego oka, drugie zaś zakrywało szpetną bliznę po drugim oku, które Paulina straciła wskutek przebytej choroby wenerycznej, którą zaraził ją jej były mąż.

Znałam Paulinę, odkąd wraz z Marianną wstąpiłyśmy do Związku Równouprawnienia Kobiet. Kuczalska-Reinschmit – nazywana przez wszystkich „Hetmanką” – wraz z innymi działaczkami, między innymi Zofią Bojanowską i Teodorą Męczkowską, kierowała organizacją. Wiedziałam, że jest kobietą absolutnie nieprzeciętną, porywającą mówczynią, o wewnętrznej sile i determinacji, która na ustach miała hasła wolności dla wszystkich Polek. Wierzyła w równouprawnienie i w wartość kobiety nie tylko jako żony i matki. Sama osobiście przetrwała sześć lat w trudnym małżeństwie; jej mąż nie tylko nie szanował jej ani wyznawanych przez nią poglądów, ale notorycznie ją zdradzał. Po rozwodzie, w wyniku którego Paulina według obowiązujących norm została pozbawiona wszelkich praw do syna, wyjechała do Genewy, by skończyć studia i rozpocząć osobistą krucjatę z męską dominacją nad kobiecym życiem.

Była wzorem dla innych kobiet, niedoścignioną pogromczynią smoka, jak o niej mówiono, nie tylko dlatego, że miała odwagę rozwiązać złe małżeństwo, ale gdy opowiadała o bolesnej walce z samą sobą po odebraniu jej syna. Rozumiałam ją bardzo dobrze, bo na samą myśl o tym, że Kirsanov mógłby odebrać mi dziecko, drętwiałam ze strachu.

– To dobra decyzja – rzekła do mnie Paulina, kiedy pewnego jesiennego południa zjawiłam się w redakcji „Steru” z prośbą o przyjęcie mnie w poczet dziennikarek. – Jesteś obyta w tematach emancypacji, umiesz ładnie i zrozumiale pisać. – To mówiąc, raz po raz zerknęła na moje artykuły, które przez ostatnie trzy lata zgromadziłam w teczce i tak bardzo chciałam opublikować.

„Ster” miał już swoją renomę. Był pierwszym na ziemiach polskich radykalnym pismem polskiego feminizmu; w pierw ukazywał się we Lwowie jako „Dwutygodnik dla Spraw Wychowania i Pracy Kobiet”, a od lata tego roku reaktywowano go w Warszawie. I zarówno we Lwowie, jak i tu redaktorką naczelną pisma była Paulina.

– Mam tylko jedno zastrzeżenie. – Wbiła we mnie uważne spojrzenie zdrowego oka. – Czy jesteś gotowa na wszelkie niedogodności związane z publikowaniem w „Sterze”?

– Nie rozumiem...

– Niedawno carska policja zamknęła nielegalną drukarnię PPS-u, w której działałaś. Aresztowali cię i zamknęli na noc na Pawiaku. Jak to na ciebie wpłynęło, moja droga? Praca w „Sterze” też może, a nawet jestem przekonana, że będzie wiązać się z szykanami, pogrózkami i groźbami aresztu. Jesteśmy pismem radykalnym i nie boimy się mówić odważnie, ale takie słowa często rodzą oburzenie i społeczny sprzeciw.

– Wiem – przyznałam z pełnym przekonaniem. – Znam to doskonale.

– Dlatego takie kobiety jak ty i ja muszą liczyć się z prześladowaniami – ciągnęła Paulina. – Jeśli boisz się jutra, to daj sobie spokój już teraz, Klaro. Bardzo szanuję twoje poglądy, ale wyznawanie ich po cichu a wygłaszanie publicznie to dwie różne sprawy. Głoszenie „herezji”, jak często nazywa się prawa kobiet, wymaga nie lada odwagi. Musisz uzbroić się w oręż, który ochroni cię przed wyśmiewaniem i szydzeniem. To samo może spotkać twoich rodziców.

– Żadna walka nie jest łatwa – rzekłam. – Ale tylko ta toczona przez mężczyzn jest poważana i uznawana za godną miana bohaterskiej. Jednak to my, kobiety, stajemy prosto i dumnie, kiedy nas opluwają i gdy odbierają prawo do myślenia. Kiedy wmawiają nam, że nie umiemy logicznie podejmować decyzji i kierujemy się głupimi emocjami. Marii Domańskiej odebrano dziecko w imię fałszywie pojętej moralności, karząc ją w najokrutniejszy sposób za grzech cudzołóstwa, bo uznano, że wina leży wyłącznie po jej stronie. To okrutne.

– Owszem. Najbardziej okrutne jest to, kiedy w imię archaicznych zasad odbiera się matce dziecko – powiedziała Paulina z goryczą. – Ale odbieranie matce dziecka w imię moralności jest grzechem największym. Ty na to nie pozwoliłaś, twój syn jest przy tobie, choć wielu chciałoby cię ukamienować. Jeśli masz odwagę, jeśli się nie boisz, zapraszam na nasz pokład. Będziesz nam podporą i inspiracją. Jesteś młoda, ładna, a takie kobiety szczególnie często znajdują się w centrum wszelkiej krytyki. Już samo to, że nie masz męża... – Uśmiechnęła się znacząco. – Czyni cię kobietą upadłą.

Wzruszyłam ramionami.

– W tej kwestii może byłabym skłonna się poddać, ale wyłącznie w przypadku prawdziwej miłości.

– Prawdziwej miłości! – Moja rozmówczyni zaśmiała się, a ja usłyszałam w tym śmiechu nutę sarkazmu. – Dla mnie prawdziwa miłość to ta do człowieka, bez względu na jego płeć, pochodzenie czy wyznanie. Miłości, o której mówisz, nie zaznałam.

– Ja niestety również jej nie zaznałam – odparłam, ale bez smutku czy goryczy, a raczej z pewnym rozczarowaniem.

Wciąż byłam młoda i nawet jeśli nie uznawałam miłości do mężczyzny jako nadrzędnego celu w życiu, to jednak podświadomie tęskniłam za czułością, oddaniem i namiętnością. I wszystkie te buzujące we mnie uczucia kojarzyły mi się tylko z jednym mężczyzną, który był dla mnie stracony na zawsze.

– A zatem witaj w „Sterze”, Klaro. Spora część artykułów, które napisałaś, nadaje się do natychmiastowej publikacji, ale z wiadomych względów będziemy to robić stopniowo. Część oczywiście wymaga zredagowania. Pamiętaj, że nasza gazeta stawia sobie za cel wychowanie nowego pokolenia kobiet, które mają być samowystarczalne, świadome swoich praw i wartości, odcytane oraz nowoczesne. Jednak w przeciwieństwie do wydań lwowskich „Ster” warszawski jest skierowany nie tylko do kobiet, ale także mężczyzn, którym równość płci leży na sercu. Jest również publikacją ponadklasową.

– To oczywiste. Wszyscy ludzie mają prawo do edukacji.

– Niestety to nie takie proste do wypracowania. – Paulina westchnęła. – Tu sprawa wygląda dramatycznie, bo w pierwszej kolejności należy te biedne kobiety z nizin społecznych nauczyć czytać. Dlatego musimy nawoływać do świadomego szerzenia edukacji wśród biedoty. Edukacja to pierwszy krok do wolności.

– Ja mogę to robić – odparłam, zastanawiając się, czemu szybciej na to nie wpadłam. – Mam właściwe wykształcenie.

– Co możesz robić? – spytała Paulina, nie do końca rozumiejąc moje intencje.

– Uczyć kobiety czytać. Mogę do nich chodzić, zbierać je raz w tygodniu w jednym miejscu i uczyć.

Paulina zacisnęła usta w powątpiewającym grymasie.

– Szczytny cel, ale trudny do zrealizowania. Te kobiety w pierwszej kolejności myślą o tym, co do garnka włożyć, jak zająć się gromadką płaczących dzieci. Edukacja to dla nich nieosiągalny luksus, Klaro.

– Mimo wszystko mogę spróbować – zapewniłam.

Uważałam przecież, że walka polega właśnie na tym, by się nie poddawać.

W taki oto sposób, z głową pełną planów i nadzieją w sercu, wyszłam z redakcji „Steru”, prosto na Nowy Świat, ciesząc się, że właśnie rozpoczęłam kolejny rozdział w życiu.

Od czasu mojego aresztowania nie widziałam kapitana Kirsanova. Lękając się o bezpieczeństwo Stasia, mało wychodziłam z domu; odważyłam się dopiero niedawno, kiedy poczułam, że dalsza egzystencja w czterech ścianach z mamą

próbującą wychowywać mojego synka po swojemu doprowadzi mnie do granic szaleństwa.

Dlatego teraz, widząc nadjeżdżającego Nowym Światem kapitana w otoczeniu kilku dragonów, poczułam przebiegający mi po plecach dreszcz lęku.

Aleksander Kirsanov zwyczajowo dosiadał karego konia. Odziany był w paradny płaszcz carskiego gwardzisty i trzymał się prosto, z wysoko podniesioną głową. Widział, jak ludzie oglądali się za nim, kiedy ich mijał – dostojny i piękny niczym sam wielki książę.

Szłam wąskim chodnikiem, nie patrząc w jego kierunku. Staralam się być niewidoczna, wtopić się w tłum przechodniów, zwłaszcza że w skromnym płaszczu i ciemnym kapeluszu nie wyróżniałam się niczym szczególnym. Ale on i tak mnie dostrzegł, gdy akurat na niego zerknęłam. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że chciał wstrzymać konia, i moje serce zadudniło z obawy. Ale on tylko zwolnił, wpatrując się we mnie uporczywie. Mimo woli uniosłam twarz i spojrzałam mu prosto w oczy. Nie znalazłam w nich jednak zaciętości i gniewu, lecz coś innego, czego nie zrozumiałam. Jakaś gorycz pomieszana ze smutkiem. W końcu skłonił mi się, jak zwykł to czynić dawniej, i odjechał. Dopiero wówczas zdołałam nabrać powietrza i przyspieszyłam kroku.

Kiedy na drugi dzień opowiedziałam o tym Mariannie, ta skwitowała to swoim zwyczajem.

– Jakie to dramatyczne! Obaj cię kochają, a żaden nie jest dla ciebie.

– O czym ty mówisz? – spytałam, uznawszy w duchu jej stwierdzenie za bezmyślne.

– O kapitanie i o Jędrzeju, rzecz jasna. Dwóch skrajnie innych mężczyzn w twoim życiu. Przecież nietrudno się domyśleć, że Kirsanov za tobą szaleje... Kocha cię, to pewne.

Zatrzęsłam się ze złości.

– Przypominam ci, że ten człowiek mnie zgwałcił!

– Och, wiem, i już samo to ostatecznie dyskwalifikuje go jako twojego kochanka. A co do Jędrzeja... Mój Boże, jak on mógł się ożenić z tą zimną panną? Ona jest jak mimoza, której nawet czubka palca u dłoni Jędrzej nie może ucałować publicznie, bo od razu czuje się obrażona.

– A skąd ty możesz to wiedzieć! – fuknęłam, coraz bardziej poirytowana.

– Wiem, bo ostatnio zaprosili nas do siebie na obiad. Nie chciałam ci mówić, żeby nie sprawiać ci przykrości.

– A jednak ci się udało!

Nie mogłam uwierzyć, że Marianna rzeczywiście spotkała się na obiedzie z Jędrzejem i jego żoną. To zabolalo niemalże jak zdrada.

– Jadwiga chciała poradzić się Antoniego w pewnej delikatnej sprawie. Wiesz, że wciąż nie mogą mieć dzieci, a mój mąż od jakiegoś czasu szkoli się w dziedzinie

ginekologii.

– Wiem – westchnęłam. – Robi to, odkąd zupełnie słusznie przekonałaś go, że pomoc kobietom w tych kwestiach jest niezwykle potrzebna.

– No właśnie. No i Jędrzej z Jadwigą zaprosili nas i... – Marianna zrobiła niedorzecznie śmieszoną minę. – Klaro, ja jestem przekonana, że oni tych dzieci nie mają, bo nie sypiają ze sobą!

– Co ty za głupstwa pleciesz! – wybuchłam, czując, jak moje policzki robią się purpurowe.

Nie z oburzenia czy zawstydzenia, tylko od dręczącej mnie myśli, że Jędrzej i ta kobieta...

Staralam się w ogóle nie zaprzętać sobie nim głowy, ale każda nawet najmniejsza wzmianka o moim dawnym przyjacielu budziła we mnie lawinę zazdrości i tęsknoty. Nierozsądnie wspominałam nasze niegdysiejsze spotkania i rozmowy. Przypominałam sobie, jak mnie dotykał – niby przypadkiem. Takie dręczące myśli doprowadzały mnie do szaleństwa i bywały dni, kiedy naprawdę czułam gotowość, by rzucić się w pierwsze napotkane męskie ramiona, byle ugasić ten trawiący mnie płomień.

Zamiast tego bez reszty rzuciłam się w wir pracy.

Pisałam artykuły do „Steru”, czytałam zarówno felietony naukowe, jak i eseje feministek z innych krajów, i na nowo odkryłam literaturę francuską w oryginale, której dzieła wypożyczałam w bogatej bibliotece hrabiego Czarneckiego. Od czasu do czasu chodziłam na zebrania socjalistów, ale duch rewolucji przygasiał i w powietrzu czuć było zniechęcenie. Car zgodził się na pewne ustępstwa i reformy, więc działacze partyjni czekali na nowy wiatr, który dmuchnie w skrzydła wolności.

Jednak największą radość sprawiało mi przyglądanie się, jak dwuletni już syn rozwija się i rośnie.

Tak minęła mi jesień, podczas której moje życie towarzyskie ograniczyło się wyłącznie do spotkań z dziewczynami z redakcji, z Marianną, Zofią Czarnecką oraz jej pasierbicą, która wyrastała na świadomą i bystrą emancypantkę.

Aleksander Kirsanov chyba dał mi spokój. Nie spotkałam go już na ulicy, choć za każdym razem, kiedy opuszczałam redakcję „Steru”, rozglądałam się z obawą. Staralam się omijać wszystkie miejsca, do których uczęszczali rosyjscy oficerowie, ograniczyłam również spacerowanie w parku, aż pewnego dnia sobie uświadomiłam, że ukrywając się przed dwoma mężczyznami – zarówno Kirsanovem, jak i Jędrzejem – tak naprawdę ograniczam własną wolność, o której tak hardo mówiłam i pisałam.

Moje zdziwienie nie miało granic, kiedy okazało się, że na obiad bożonarodzeniowy ojciec zaprosił do nas pana Wierzbickiego.

– Mam nadzieję, papo, że to zwykła uprzejmość z twojej strony – skwitowałam ten niedorzeczny pomysł.

Odniosłam wrażenie, że ojciec znów miał górnolotne plany co do mojej osoby.

– Władziu zamierzał spędzić święta samotnie, więc pomyślałem, że z nami będzie mu różnie. Twoja matka nie ma nic przeciwko.

W odpowiedzi tylko wzruszyłam ramionami i wróciłam do swoich zajęć, nie zwracając sobie tym głowy.

Byłam jednak w szoku, kiedy w Boże Narodzenie okazało się, że mój synek nie tylko nie jest zdziwiony obecnością przy obiedzie pana Wierzbickiego, ale nawet go zna.

Władysław Wierzbicki przyniósł każdemu z domowników świąteczny podarek. Mnie ofiarował piękne pióro, mamie – zestaw jedwabnych chusteczek, a tacie nową fajkę. Staś otrzymał od niego konia na biegunach, drewniany miecz i rycerski hełm. Nie kryjąc podejrzliwości, patrzyłam, jak ten nieznany mi mężczyzna, mocno już po czterdziestce, bez skrępowania bawi się z moim uszczęśliwionym prezentami dzieckiem.

W stosunku do mnie pan Wierzbicki był bardziej niż powściągliwy. Rzadko na mnie patrzył, a jeśli już, to wydawał się mocno zawstydzony. Uciekał wzrokiem, kiedy coś do niego mówiłam, ale zawsze grzecznie odpowiadał. Nie próbował jednak nawiązywać głębszej konwersacji.

Co do mnie, uważałam go za starego, mało atrakcyjnego nudziarza i nie wyobrażałam sobie, że coś mogłoby nas połączyć. Gdybym została jego żoną, nasze małżeństwo z rozsądku byłoby jeszcze bardziej pozbawione namiętności niż małżeństwo Jędrzeja i Jadwigi.

– Mamo, jak to możliwe, że Staś zna pana Wierzbickiego? – spytałam po świętach.

– Spotkaliśmy go parę razy w parku na spacerze. – Mama wzruszyła ramionami.

– Tak po prostu?

Zrobiła zdumioną minę.

– A co w tym dziwnego? Przecież parki są dostępne dla wszystkich. Ale swoją drogą, skoro Staś go zna i nawet lubi... z wzajemnością zresztą, bo pewnie zauważyłaś, że Władziu za nim przepada... to może i ty mogłabyś spojrzeć na pana Wierzbickiego przychylnym okiem?

– Mamo!

– Albo chociaż się zastanowić. On nie ma ci za złe tego, że wówczas go odrzuciłaś. Jest nawet gotowy zaakceptować Stasia.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem i narastającą irytacją.

– Ukartowaliście to z papą?

– Ależ skąd! Pomyśleliśmy jedynie, że może...

– Nie pozwalam ci traktować mojego syna jak przynętę! Zrobiłaś to celowo! Wiedziałaś, że chłopiec go polubi, przyzwyczai się!

– I co w tym złego? Dbam o to, żeby Staś czuł się z nim dobrze.

– Ale po co?! – wykrzyknęłam, coraz bardziej zdenerwowana.

Mama westchnęła ciężko, wyraźnie urażona.

– Bo chcielibyśmy z ojcem, żebyś przestała się tak upierać. Pan Wierzbicki to dobry, uczciwy człowiek, w dodatku gotowy przyjąć cię z całym twoim bagażem. Powinnaś to docenić. Staś potrzebuje ojca, a my zięcia, który zajmie się interesami.

– A ja? Gdzie w tym jest miejsce dla mnie?

– Przecież ten człowiek cię uwielbia! On ci nieba przychyli, jeśli tylko mu na to pozwolisz!

– Nie! – odparłam głęboko poruszona.

Kotłowała się we mnie złość. Jak oni mogli robić mi takie rzeczy? Za moimi plecami manipulowali Stasiem!

– Dlaczego wciąż odrzucasz czyjąś miłość? – spytała matka. – Jest tak samo jak z Jędrzejem. Jego miłość też wyśmiewałaś, bawiłaś się nim jak rozkapryszona dziewczynka...

– Kochałam go, mamo! – krzyknęłam w wyrazie kompletnej rozpacz.

Do moich oczu napłynęły łzy wściekłości. Stłumiłam je szybko i wyszłam z pokoju.

Wieczorem, kiedy ochłonęłam i nieco się uspokoiłam, obwieściłam rodzicom, że w żadnym wypadku nie wolno im próbować mnie swatać ani z panem Wierzbickim, ani z nikim innym.

– To bezcelowe – wyjaśniłam sucho. – Jeśli moje staropanieństwo tak bardzo was boli, mogę odejść i zabiorę ze sobą Stasia. I nie jest to próba grania na waszych emocjach, po prostu chcę żyć po swojemu.

Wydawało się, że oboje to zrozumieli, ale i tak czułam, że zraniłam ich dogłębnie.

[8] Paulina Kuczalska-Reinschmit – polska działaczka społeczna, wydawczyni i publicystka, feministka nazywana Wodzem, Hetmanką, Sterniczką. Stworzyła Związek Równouprawnienia Kobiet. Założycielka gazety „Ster”, pierwszego polskiego pisma poświęconego prawom kobiet.

ROZDZIAŁ 25

Rodzice przystali na moją prośbę i ani słowem nie wspomnieli o panu Wierzbickim. Wiedziałam, że mama przestała chadzać ze Stasiem do parku, w którym mogliby go spotkać. Byłam im wdzięczna, że spełnili moje życzenie, ale z drugiej strony wiedziałam, że zrobili to, bo bali się, iż rzeczywiście odejdę i zabiorę im wnuka. To w Stasiu, nie we mnie, pokładali wszelkie nadzieje na przyszłość.

Wiosna przyszła szybko, wytęskniona po długiej zimie, rozpieszczając ciepłym wiatrem, pachnącym deszczem i jasnym słońcem. Ludzie wylegli na ulice, przybyło letnich dorożek, a nawet pojawiło się więcej modnych samochodów. Za zarobione w „Sterze” pieniądze kupiłam rower, którym śmigałam po Warszawie, czując się jak królowa życia. Z rozkoszą patrzyłam na zieleniące się parki, skwery i ogródki, myśląc o tym, że życie mimo wszystko może być przyjemne. Szczególnie jeśli ma się kogoś do kochania. A ja miałam mojego syna.

Z uporem kilka razy w tygodniu zaczęłam jeździć do dzielnicy robotniczej z dużą torbą, do której pakowałam tabliczki do pisania i elementarz, oraz głową pełną nadziei, że uda mi się choć trochę odmienić los kobiet. Na naukę czytania i pisania, którą zorganizowałam na tyłach starej fabryki między gęstymi trawami, z początku przychodziły tylko dwie młode dziewczyny. Z czasem grono uczennic zaczęło się powiększać, choć coraz częściej słyszałyśmy wykrzykiwane w naszą stronę wyzwiska i szykany. Majstrowie darli się na całe gardło, że mamy nie zawracać sobie głowy głupotami, a ja powinnam siedzieć w domu i wziąć się za robotkę albo za gotowanie, a nie „nabijać babom głowy nauką”. Zagrozili nawet, że naślą na mnie kozaków. Nie zamierzałam się bać tych gróźb; regularnie robiłam swoje, zyskując coraz większą wdzięczność wśród moich uczennic.

Poza tym żyłam pewnością, że Kirsanov dał mi spokój. Zdołałam odetchnąć, bo od zimy nie miałam żadnej sposobności do spotkania z nim. Być może znów wyjechał do Petersburga.

Jednak wraz z początkiem lata, kiedy mama zwyczajowo szykowała się do wyjazdu ze Stasiem do Konstancina, dostałam list, który gwałtownie zburzył mój z mozołem wypracowany spokój.

*Klaro,
z nadzieją, że wyrazisz zgodę, chciałbym zaprosić Cię na Wielki Bal otwierający
letni sezon, organizowany przez generała-gubernatora Gieorgija Skatona, pod
osobistym patronatem Jego Wysokości Wielkiego Księcia Michaiła Aleksandrowicza
Romanowa, następcy tronu Imperatora Wszechrusi. Twoja obecność, Klaro, będzie
dla mnie radością i zaszczytem, a także nadzieją na pokonanie wszelkich
nieporozumień, jakie między nami wystąpiły.*

*Z wyrazami głębokiego szacunku
Aleksander Dmitrij Kirsanow
kapitan Lejb-Gwardyjskiego Pułku Ułanów Jego Wysokości*

Dłonie mi drżały, kiedy czytałam ten list. Dostałam go z samego rana, a widząc wielce zdumione spojrzenie mamy, która dostrzegła adres spisany po rosyjsku z pieczęcią carskiej gwardii, poczułam, że słabnę.

- Od kogo to? – spytała matowym głosem, nie spuszczając ze mnie spojrzenia.
- Nie mam pojęcia.
- Przecież musi być podpis!

Próbując się opanować, złożyłam list i schowałam go do kieszeni spódnicy, a następnie chciałam minąć mamę i pójść na piętro, ale powstrzymała mnie, zachodząc mi drogę.

- To ojciec Stasia, prawda?
Serce zadudniło mi w piersi.
- Co ty mówisz, mamó?
- Ojciec Stasia jest Rosjaninem. Dlatego tak skrzętnie to przed nami ukrywasz. – Mama wpatrywała się we mnie uporczywie, a mnie oblał zimny pot.
- Skąd ci to przyszło do głowy? – wyszeptałam.
- Wiemy to od Jędrzeja. Twój ojciec z nim rozmawiał. Dawno temu. Myśleliśmy, że może to on... Ojciec chciał wymusić na nim odpowiedzialność za chłopca, a tymczasem... – Matka zachwiała się i złapała poręczę. – Jędrzej wyznał nam wszystko. To, jak starałaś się uwolnić go z Cytadeli i że... byłaś kochanką kapitana Kirsanova.

- Słyszając słowa matki, miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg.
- Powiedział wam to? – wyjąkałam głęboko zdumiona.
- Mama kiwnęła głową.
- Tak. To był dla nas cios. Przed całkowitą rozpaczą uchronił nas tylko Staś.
- Patrzyłam na nią, nie mogąc wykrztusić słowa. Żal sprawił, że nie wiedziałam, jak im to wszystko wytłumaczyć. Zresztą i tak wszystko z papą wiedzieli.
- Mogłaś powiedzieć – wykrztusiłam z urazą. – Byłoby mi łatwiej.
- Mama gwałtownie pokiwała głową. Miała łzy w oczach.

– Nie umiałam wypowiedzieć tego głośno. To jak spojrzeć hańbie w oczy. Twój brat uciekł przez zaborcę, a ty... Pozwoliłaś, żeby ten sam zaborca został twoim kochankiem. To hańba, Klaro!

– Nie robiłam tego dla przyjemności! Zostałam zmuszona...!

Mama zacisnęła usta.

– Nie będę tego słuchać! Na to jest już za późno i uważam, że twoje tłumaczenia są zbędne.

Ojciec wrócił późnym wieczorem. Weszłam do jego gabinetu i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Na zewnątrz było już niemal ciemno, a chłodny wiatr delikatnie kołysał muślinową firanką w otwartym oknie.

Papa siedział w wysokim fotelu, z nogą założoną na nogę i fajką w zębach, którą dostał w prezencie od Wierzbickiego. W głębokim zamyśleniu pochylał siwą głowę nad kieliszkiem żytniówki. Był zmęczony i wyraźnie przepracowany – widziałam to w każdej jego zmarszczce, każdym powolnym ruchu.

Kiedy przysiadłam w drugim fotelu, spojrzał na mnie.

– Dziś przy kolacji byliście z mamą bardzo milczące – zauważył. – Coś się stało?

Mimowolnie zacisnęłam palce na fałdach spódnicy.

– Mama powiedziała mi, że trzy lata temu rozmawiałeś z Jędrzejem. Na mój temat.

Ojciec westchnął i zmarszczył krzaczaste brwi.

– Tak – przyznał ochryple. – To była długa męska rozmowa. Wyznał mi wówczas, że kochał cię jak nikogo innego. Że byłaś jego marzeniem, córko. Ale ty... – Urwał i zrobił nieokreślny ruch ręką.

Gwałtowny skurcz chwycił mnie za serce. Miałam wrażenie, że jeszcze chwila i przestanę oddychać. Wciągnęłam gwałtownie powietrze. Boże, chyba nigdy nie czułam takiego żalu, jak w tej chwili.

– Powiedział mi również, że nikt tak jak ty nie potrafi kpić z miłości.

– Papo... – Duża łza potoczyła się po moim policzku. – Ja też go kochałam. Dlatego pozwoliłam Kirsanowowi... Nie miałam wyjścia, chciałam ratować Jędrzeja!

– To straszna ujma na honorze mężczyzny, kiedy ten dowiaduje się, że jego ukochana oddaje się innemu. Jędrzej nie mógł tego przeboleć.

– Uratowałam go! – upierałam się.

Łzy już płynęły swobodnie, a od środka ścisnął mnie żal, poczucie straty i niezrozumienia.

– Dumny mężczyzna pamięta jedynie to, że kobieta, którą kocha, zdradza go z innym. A w twoim przypadku tym innym był wróg, Rosjanin, carski oficer, którego powinnaś nienawidzić. A ty... – Ojciec pokiwał głową. – To dziecko, które wydałaś na świat, nie powinno było się urodzić.

Zerwałam się na równe nogi.

– To mój syn! A twój wnuk! Najdroższy, najukochańszy! Dla mnie nie ma znaczenia, kto jest jego ojcem!

Ojciec popatrzył na mnie z tak zimną pogardą, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Przeraziło mnie to i równocześnie sprawiło przeogromny ból.

– Akceptujemy go, rozpieszczamy – odezwał się ojciec. – Twoja matka świata poza Stasiem nie widzi, ale ja wiem, że kiedyś przeszłość upomni się o niego. Zadając się z tym Rosjaninem, popełniłaś karygodny grzech. Nic nie usprawiedliwia twojego występku, nawet to, że chciałaś ratować Jędrzeja. Dla niego lepiej by było, gdyby wywieźli go w głąb Rosji albo gdyby umarł na stokach Cytadeli. Wówczas nie trawiłby go dzień po dniu wstyd.

– Jak możesz tak mówić, papo...

Tej nocy nie byłam w stanie zasnąć. Siedziałam na łóżku i wpatrywałam się w chmurne niebo, nieświadomie szukając w nim ratunku na moje troski. Nawet płacz nie ukoił mojej rozpacz. Nie zgadzałam się z ani jednym słowem, które powiedział mi ojciec, i czułam całą sobą, że drugi raz postąpiłabym dokładnie tak samo. Bolało mnie też niesprawiedliwe odrzucenie przez Jędrzeja. Już dawno domyśliłam się, że wiedział o Kirsanowie, ale teraz, kiedy zyskałam pewność, moja gorycz urosła do monstualnych rozmiarów.

Na drugi dzień postanowiłam pojechać do Zofii Czarneckiej, mimo że nie miałam zajęć z Julią. Potrzebowałam poradzić się, jak postąpić z zaproszeniem od Kirsanova.

– Pani hrabina jest w saloniku – wyjaśnił uprzejmie kamerdyner, prowadząc mnie w znajomym kierunku.

Gdy otworzył drzwi, zaskoczona zobaczyłam Zofię w towarzystwie Jędrzeja i jego żony.

– Klaro! Co za miła niespodzianka! – Zofia zerwała się na równe nogi i szybko podeszła do mnie, jakby bojąc się, że ucieknę.

Chwyciła mnie pod ramię.

– Mój kuzyn z żoną przybyli, żeby się ze mną pożegnać – wyjaśniła z uśmiechem. – Wracają do Łodzi. Znasz Jadwigę, prawda?

Wstrzymując oddech, popatrzyłam na śliczną, delikatną blondynkę w różowej sukni z muślinu. Siedziała na sofie, dumnie unosząc głowę, z delikatnym rumieńcem na policzkach.

Jędrzej wstał, lecz nie patrzył na mnie. Utkwił wzrok w wiszącym na ścianie obrazie przedstawiającym elegancką kobietę pędzla Wojciecha Podkowińskiego, jakby właśnie w tej chwili nie było nic ważniejszego od tego dzieła sztuki.

Widząc go, poczułam znajomy ból, tym większy, że natychmiast przypomniałam sobie wczorajsze słowa ojca. Nie chciałam patrzeć na Jędrzeja jak na straconą szansę ani jak na mężczyznę, którego pragnęłam. Miałam dwadzieścia sześć lat

i wystarczająco oleju w głowie, żeby wybić sobie z niej takie romantyczne mrzonki, szczególnie w stosunku do żonatego mężczyzny. A jednak gdy tu stał – wysoki, przystojny, z jasnymi włosami i tą wymuszoną powagą w twarzy – siłą rzeczy musiałam przyznać przed sobą, że kocham go całego. I nie dlatego, że był piękny, ale że go... znałam. Wiedziałam, jaki był, co lubił, a czego nie znosił. Znałam go jak samą siebie. Czy ta eteryczna ślicznotka bez emocji wiedziała o nim równie dużo?

– Przyjdę innym razem – rzekłam do Zofii, czując niezręczność sytuacji. – Powinnam była cię uprzedzić o odwiedzinach.

– Ależ skąd! Usiądź z nami, Klaro. Napijemy się kawy.

– To my musimy już iść – odezwał się nagle Jędrzej.

Błyskawicznie prześlizgnął się wzrokiem po mojej sylwetce i na ułamek sekundy zatrzymał spojrzenie na moich oczach. Szybko jednak uciekł nim do żony, a ja poczułam, jak serce trzepocze mi w piersi.

Jadwiga wstała z gracją i ujęła męża pod ramię.

– Zobaczymy się za kilka miesięcy, jak tylko...

– Oczywiście! – Zofia promieniała uśmiechem. – Klaro, pewnie nie wiesz, ale Jadwiga spodziewa się dziecka. Dlatego jadą do domu, do Łodzi.

– Och! Gratuluję! – wyraziłam nie mniejszą radość, choć czułam, jak coś w środku rozrywa mnie na strzępy.

– Dziękujemy – odparł Jędrzej, nie patrząc na mnie.

Jadwiga obdarzyła mnie zdawkowym uśmiechem.

Nim się zorientowałam, oboje pożegnali się z Zofią i wyszli.

Stałam w miejscu, nie mogąc się poruszyć.

Odprowadziwszy małżonków, hrabina podeszła do mnie i usadziła w fotelu.

– Chyba potrzebujesz czegoś mocniejszego niż kawa – rzekła i przywołała pokojówkę. – Przynies pannie Klarze lampkę tego porto, co ostatnio hrabia kazał kupić.

– Tak, psze pani. – Pokojówka pomaszerowała po wino, a ja popatrzyłam na Zofię z głębokim cierpieniem w oczach.

– Mój Boże, Klaro! Chyba nikt nie skomplikował sobie życia tak jak ty – wykrztusiła moja przyjaciółka i pracodawczyni bez żenady. – To błąd, że nie jesteście razem. Nie trzeba być zbyt spostrzegawczym, żeby widzieć, co się z wami dzieje. Tak żałuję, że jesteście dla siebie straceni.

Zacisnęłam szczęki.

– Nie mów tak... Proszę. Ledwie przed minutą był tu z żoną – wycodziłam. – Nie chcę o nim rozmawiać. Ani teraz, ani nigdy.

Zofia podeszła do rzeźbionej komody i wzięła z niej książeczkę.

– Kazał ci to oddać. Widać nie potrafił zrobić tego osobiście. Oczywiście dał mi to w tajemnicy przed Jadwigą.

Popatrzyłam na znajomy tomik poezji, który lata temu wręczyłam Jędrzejowi z okazji urodzin. Wiersze Cypriana Kamila Norwida, którego tak lubił.

Otworzyłam pierwszą stronę z pięknie wykaligrafowaną przeze mnie dedykacją:

*Choć każde słowo ma swoje granice,
to moje przywiązanie do Ciebie nie zna takich przeszkód.
Jędrzejowi – zawsze oddana Klara*

– Nie chcę tego. Możesz to spalić – wykrztusiłam, głęboko poruszona.

Zofia pokręciła głową.

– Nie zrobię tego. Takich pamiątek nie wolno niszczyć.

Wzruszyłam ramionami.

– Więc zrób z tym, co chcesz. Cokolwiek...

Oddałam Zofii tomik, a ona ponownie odłożyła go na komodę.

Kiedy pokojówka przyniosła mi porto, jednym haustem wypić niemal całą zawartość, mimo że takie zachowanie kłóciło się z obowiązującym *savoir-vivre'em*. Zofia popatrzyła na to z półuśmiechem, po czym nakazała dziewczynie ponownie napełnić mój kieliszek.

– Widzę, że jesteś w kłopotcie – rzekła po chwili.

– Rzeczywiście – rzuciłam z ironią. – W dodatku w dość sporym kłopotcie.

Wyjęłam z torebki list i podałam hrabinie. Ta bez słowa rozłożyła papeterię i przebiegła wzrokiem po treści.

– I co zrobisz? – spytała po dłuższej chwili, wbijając we mnie spojrzenie błękitnych oczu.

– Nie mam pojęcia! Boję się, że jeśli odmówię, ten drań się zemści! A ja mam Stasia, którego muszę chronić za wszelką cenę. Boże, Zofio, co robić?

Przez kilka chwil przyjaciółka patrzyła na mnie współczującym wzrokiem, aż w końcu ciężko westchnęła.

– Myślę, że musimy to solidnie przedyskutować – skwitowała.

Zofia uznała, że sprawa jest zbyt poważna i wymaga gruntownego podlania dobrym winem, więc za jej namową wysłałam do domu wiadomość, że zostaję u hrabiostwa na noc, i poprosiłam o zaopiekowanie się Stasiem. Postanowiłam dać upust swoim żalom i pozwolić oczom porządnie się wypłakać. Lęk o dziecko mieszał się we mnie ze wzdrgadą do Kirsanova, a tłem tej historii było jeszcze głupio złamane serce, więc miałam aż nadto powodów do płaczu.

– Każda panna idzie prostą drogą, a ty musiałaś wybrać wyboje i zakręty – mruknęła Zofia, kiedy siedziałyśmy w jej osobistym, jakże wygodnym buduarze.

Za oknem już zmierzchało.

– I teraz nie ma na to rady prócz dobrego wina, które trochę ukoi nerwy. – To mówiąc, Zofia sama napełniła kryształowe kieliszki burgundowym trunkiem, odesławszy pokojówkę, żeby nam nie przeszkadzała. – A co do balu, to zdecydowanie musisz na niego pójść. Kirsanov gotowy uprzykrzyć ci życie, jeśli tego nie zrobisz. Jednak dla własnego bezpieczeństwa nie powinnaś tam iść sama.

– Przecież nie mogę pójść z partnerem. Kapitan się na to nie zgodzi – rzekłam, upijając spory łyk wina. – Skąd twój mąż bierze takie wyśmienite roczniki? – spytałam z nagłą, przyglądając się kieliszkowi.

– Och! – Zofia machnęła ręką. – Teofil potrafi wyczarować wszystko, co najlepsze. Dlatego za niego wyszłam, bo jestem stworzona do luksusu – zaśmiała się, lecz zaraz przybrała poważną minę. – A wracając do balu: napisz kapitanowi, że pójdziesz pod warunkiem, że zaprosi również mnie i mojego męża.

– Ciebie?

Popatrzyłam na Zofię szeroko otwartymi oczami, choć wzrok miałam już mocno zamglony, a ta wyjęła z szuflady toaletki pięknie inkrustowaną papierośnicę i wyciągnęła ją w moją stronę. Uśmiechnęła się znacząco, kiedy bez sprzeciwu wyjęłam cieniutką cygaretkę i zaciągnęłam się z lubością, po czym wypuściłam zgrabny obłoczek dymu.

– No tak. Ja i hrabia będziemy twoją osobistą ochroną. – Zofia puściła do mnie oko i zaśmiała się perliście. – Poza tym chętnie wybiorę się na bal. Dawno na żadnym nie byłam, a ten zapowiada się wyjątkowo ciekawie. Muszę tylko zdażyć zamówić jakąś suknię... Teofil będzie trochę zdziwiony, ale wszystko mu wyjaśnię.

– Zofio! Naprawdę chcesz pójść ze mną?

– Oczywiście! Nie pozwolę, żeby ten brutal znów cię skrzywdził. Będę miała na ciebie baczenie i gdyby coś się działo...

Zaśmiałam się. Kiedy Zofia mówiła o tym tak lekko, poczułam, że pomysł jest godny rozważenia. Zwłaszcza że wino coraz przyjemniej rozchodziło się po moich żyłach, papieros smakował wyśmienicie, a to połączenie stawiało sprawę w nieco innym świetle. Niewiele myśląc, odpięłam trzy górne guziki błękitnej bluzki i rozsiadłam się wygodniej na sofie.

– Ten Kirsanov jest diabelnie przystojny! Aż szkoda, że taki z niego drań – rzekła Zofia, idąc za moim przykładem i też kładąc się na poduszkach z cygaretką między zgrabnymi palcami. – Nie masz ty szczęścia do mężczyzn, Klaro.

– Przypominam ci, że nigdy nie chciałam mieć do nich szczęścia. Przyrzekłam sobie, że nie wyjdę za mąż.

– No tak, ale już kochanek to całkiem niegłupi pomysł. Praktyczny i zdrowy. Szczególnie dla młodej kobiety.

– W tej kwestii również nie mam dobrych doświadczeń – przyznałam, choć nie bez wahania, i opróżniłam kolejny kieliszek.

– Ja zanim wyszłam za mąż, miałam dwóch kochanków – rzekła Zofia, wyraźnie ukontentowana. – Teraz oczywiście jestem wierna i nawet o tym nie myślę. Mój mąż może i ma już swoje lata, ale w tych sprawach daje radę. A ty? Czy Kirsanov był tym pierwszym? Jeśli tak, to...

Mimo woli zadrżałam.

– Nie... – wyszeptałam i zapatrzyłam się w pusty kieliszek. – Pierwszy był...

– Jędrzej – dokończyła za mnie Zofia. – No cóż, mój kuzyn jest honorowy i z pewnością nie zdradzi żony, więc jako kochanek się nie sprawdzi. Choć kocha cię z pewnością. Widziałam to.

Uśmiechnęłam się gorzko.

– Zawsze mnie kochał – wybąkałam z zalem. – Mówił mi o tym, a ja śmiałam się z tego jak głupia.

– Nie użalaj się nad sobą. Nie on jeden na świecie. Tylko wybierz mężczyznę pięknego. Kochanek musi być piękny.

– Zofio! – zaśmiałam się i opadłam na fotel. – Namawiasz mnie do grzechu.

– Już i tak zgrzeszyłaś, więc co ci szkodzi? Lubisz białe wino? To francuskie podobno jest całkiem dobre.

– Możemy spróbować...

Spróbowałyśmy. I nie była to ostatnia butelka, którą wypiliśmy tego wieczora.

Na drugi dzień obudziłam się z potężnym bólem głowy, lecz równocześnie ze świadomością, że nie jestem na tym świecie sama. Że są ludzie, przyjaciele, którzy szczerze się o mnie troszczą i chcą mojego dobra. Z tą też myślą wysłałam do kapitana Kirsanova wiadomość, że przyjmę jego zaproszenie na bal, ale wyłącznie z dodatkowym zaproszeniem dla hrabiostwa Czarneckich.

Moje zdumienie było przeogromne, kiedy wraz z zaproszeniem dla Zofii i jej męża dostarczono mi również przepiękną suknię z czerwonej tafty oraz złoty naszyjnik z rubinami, misternie wykonany w pracowni znanego rosyjskiego jubilera Petera Faberge, z dołączonym bilecikiem od Kirsanova.

Doskonale pamiętam Twoje kształty, więc suknia powinna leżeć jak ulał. Naszyjnik będzie dopełnieniem.

Aleksander

ROZDZIAŁ 26

Zdarzało mi się nosić piękne suknie, ale ta od Kirsanova była krawieckim dziełem sztuki. Zmieniłam się w niej w kobietę uderzająco piękną, luksusową, godną pożądania. Moje ciemne, gęste włosy, ozdobione piórami i połączonym grzebieniem, idealnie kontrastowały z czerwienią kreacji, a naszyjnik Faberge z rubinami układał się miękko na odsłoniętym dekolcie. Kirsanov znał się na rzeczy; miał wyrafinowany gust i był wystarczająco bogaty, by sobie folgować. A tego wieczora wyraźnie chciał zrobić ze mnie kobietę, jakiej zawsze pragnął.

Matka patrzyła na mnie z pogardą, kiedy pojawiłam się w salonie tuż przed wyjściem z domu.

– Sprzedajesz mu się jak pospolita dziwka – wycodziła przez zęby, chłoszcząc mnie brutalnie słowami.

A ja wiedziałam, że nie mam wyjścia, bo tylko tak mogłam ochronić mojego synka.

Zanim udałam się na spotkanie z kapitanem, długo trzymałam Stasia w ramionach. Całowałam go po policzkach i ciemnej główce, a on odwzajemniał się tym samym. Czułam się źle z myślą, że przyjąłam zaproszenie od Kirsanova. Nie mogłam przewidzieć, co wymyślił, ale musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby w końcu dał mi spokój. Jedynym jasnym punktem tej sytuacji miała być obecność na przyjęciu Zofii i Teofila Czarneckich. Wmawiałam sobie, że nie mam się czego obawiać.

Na były Zamek Królewski zawiózł mnie przysłany przez Kirsanova powóz. W pierwszej chwili obawiałam się, że kapitan zechce sam się po mnie zjawić, a wówczas mógłby przypadkowo dojrzeć Stasia, ale na szczęście wysłał stangreta. Sam czekał na mnie przy szeroko otwartych drzwiach do sali balowej.

Już kiedy kroczyłam korytarzem, Kirsanov nie spuszczał ze mnie uważnego wzroku, a ja, nie wiedząc, czego się mogę spodziewać, mimowolnie wstrzymałam oddech. W otoczeniu innych dostojnych gości on sam prezentował się niczym księżę w paradnym mundurze, z przypiętymi do piersi odznaczeniami. W końcu wyszedł mi na spotkanie.

– Klaro...

Pochylił się sztywno, z wyszukaną manierą, i dotknął ustami mojej dłoni. Tej samej, która niegdyś w lochu Cytadeli poczuła smagnięcie pejcza wymierzonego w Jędrzeja. Natychmiast poczułam dreszcz wzdrygi. Nie umiałam się przed tym obronić, ale ten mężczyzna wzbudzał we mnie naturalny instynkt samoobronny. Choć starał się być czarujący i uprzejmy, to ja we wspomnieniach widziałam, jak brutalnie popycha mnie na więzienną pryczę i zadziera spódnicę. Jak bierze mnie siłą. Kiedy poczułam jego dotyk, wzdrygnęłam się, bo jego palce jawiły mi się jak oślizgłe węże sunące po moim ciele.

– Jestem szczęśliwy, że zechciałaś mi towarzyszyć. – Jego oczy z niekłamanym podziwem sunęły po mojej twarzy. – Wyglądasz pięknie.

– Kapitanie...

W tym samym momencie jak spod ziemi wyrosli przed nami hrabia i hrabina Czarnecy, oboje przepysznie wystrojeni. Aż westchnęłam z ulgi na ich widok. Moja przyjaciółka z gracją podała Kirsanowowi dłoń do ucałowania – a ten ujął ją szarmancko, a następnie objęła mnie i pocałowała w oba policzki.

– Cóż za uroczym przyjęciem! – zaszczebotała ze słodkim uśmiechem, zgrabnie otwierając wachlarz.

– Witam szanownych gości. Pani hrabino, panie hrabio. – Kirsanov skłonił się z szacunkiem przed Teofilem Czarnieckim. – Jego Wysokość carewicz Michaił Aleksandrowicz Romanow i generał Skałon są radzi, mogąc państwa gościć.

– W naszym królewskim zamku – dodała Zofia nie bez nuty złośliwości, a ja pomyślałam, że uwielbiam ją za to jeszcze bardziej.

Weszliśmy do tłumnej sali balowej, skrzęcej się od kryształowych żyrandoli, których światło odbijało się od złotych sztukaterii. Gości dyskretnie obsługiwali lokaje w liberjach i białych rękawiczkach, roznosząc na złotych tacach przystawki i kieliszki z winem. Orkiestra przygrywała.

Nietrudno było wśród licznie zebranych dostrzec znajome twarze polskich arystokratek, które konwersowały z – jak szybko wyjaśnił mi na ucho Kirsanov – młodym księciem Dmitrim Aleksandrowiczem Oboleńskim, który ledwie wczoraj przybył do Warszawy z Petersburga. Dojrzałam również kilku polskich reprezentantów rosyjskiej Dumy, w tym przedstawiciela Narodowej Demokracji, Romana Dmowskiego. Moje zaskoczenie sięgnęło jednak zenitu, kiedy okazało się, że na balu pojawił się osobiście cesarzewicz Michaił Romanow. Nie miałam pojęcia, że Wielki Książę, następca rosyjskiego tronu, przebywa w Warszawie. Żywiłam naiwne przekonanie, że patronat nad balemi przejął... na odległość. Ale prawdą było, że salonowe plotki i towarzyskie wydarzenia niewiele mnie zajmowały, więc skąd mogłam wiedzieć.

Dotąd nie widziałam z bliska żadnego z Romanowów, więc z pewnym zaciekawieniem przyglądałam się szczupłemu mężczyźnie o jasnych przejrzystych oczach w paradnym mundurze Lejb-Gwardyjskiego Pułku Kirasjerów Jej

Wysokości Marii Fiodorowny. I pomyśleć, że ten z pozoru sympatyczny trzydziestoletni mężczyzna należał do najbardziej znienawidzonej przez Polaków rodziny ciemężycieli i krwiopicjów. Każdy, kogo znałam, chętnie zmiotłby ich władzę z powierzchni ziemi. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że moje myśli są prorocze. Że koniec panowania Romanowów będzie tak dramatyczny i spektakularny, jak wielka była ich wszechwładza. I że od tego paradnego balu nie minie nawet dziesięć lat, jak ich ciała zostaną pogrzebane przez bolszewików.

W rogu sali, w otoczeniu carskich oficerów, honory czynił głównodowodzący Okręgiem Warszawskim generał-gubernator Georgij Skałon z niemiecką żoną, Mariją Korf. Wykorzystując swe stanowisko, brutalnie tłumił wszelkie wolnościowe ruchy rewolucjonistów, rozpędzał manifestacje, napuszczając na lud kozaków i każąc strzelać. Bez mrugnięcia okiem podpisywał wyroki śmierci, dręczył ludzi w więzieniach i zsyłał na Sybir.

Patrzyłam na tego poważnego, dumnego w postawie człowieka i czułam gniew pomieszany ze wstrętem. Pomyślałam o biednej Wandzie Kraheleskiej, która próbowała dokonać na niego zamachu, a po której ślad zaginął, gdyż po nieudanej akcji została zmuszona do natychmiastowej ucieczki. Jak bardzo nie chciałam tu być! Jak bardzo ten świat bogactwa i wyzysku był mi nienawistny! Jak bardzo gardziłam wszystkim, co jego mieszkańcy sobą reprezentowali!

„Co ja tu robię?” – snułam rozważania, czując przy sobie nieznośną obecność mężczyzny, który mnie tu zaprosił i nie odstępował na krok. Kirsanov szczyił się mną, jakbym była jego trofeum, i paradował – dumny jak paw – przedstawiając mnie co znamienitszym gościom jako jego „bliską przyjaciółkę”. A ja czułam na sobie zaciekawione baczne spojrzenia wystrojonych dam, które nie znały słowa skromność, a przepych traktowały jak coś naturalnego. Uderzyło mnie, że tym razem Kirsanov nie wybrał nocnego salonu madame Le Bon i nie zamknął się ze mną w prywatnym buduarze, tylko pokazał się ze mną oficjalnie. A to nie wróżyło nic dobrego.

– Przedstawię cię Jego Wysokości – rzekł, popychając mnie lekko w stronę księcia.

– Czy to konieczne?

– Wymagane. Nie musisz nic mówić, wystarczy, że się skłonisz, jak wymaga tego protokół.

Tak też zrobiłam. Przy prezentacji spuściłam wzrok – nie ze skromności, a z przekory, nie chcąc patrzeć na carewicza, i wykonałam zgrabny ukłon. Książę Michaił skłonił głowę i uśmiechnął się lekko.

– Taka piękność u boku naszego kapitana! Nie dziwota, że w Petersburgu mówił tylko o pani, panno Tyszkowska.

Zmarszczyłam brwi. Nie podobało mi się, że Kirsanov rozmawiał na mój temat, nawet jeśli był to sam carewicz.

– Walc to chyba nasz ulubiony taniec, prawda? – zapytał Kirsanov z lekkim uśmiechem, kiedy doszły do nas pierwsze takty utworu Straussa.

Spojrzałam na liczne pary z wdziękiem wstępujące na parkiet i poddające się płynnie muzyce, po czym bezwiednie pozwoliłam Kirsanowowi objąć się w tali. Tuż obok dostrzegłam w tańcu Czarneckich. Zofia wyglądała zjawiskowo w granatowej połyskliwej sukni, której falbany kołysały się miękko, kiedy wirowała.

– Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy, że jesteś tu ze mną – rzekł kapitan.

Zachowywał się, jakby ta sala dla niego nie istniała. Jakby nie było tu innych gości, tylko my dwoje, bo bez żenady przyciskał mnie do siebie i poufale szeptał do ucha.

– Jeszcze większą wdzięczność czuję, widząc cię w tej sukni. Przywiozłem ją z Petersburga. Dla ciebie.

– To zbyt cenny wydatek. Mam własne ubiory – odparłam, nie patrząc na niego.

Sunęłam wzrokiem po złotych sztukateriach sali balowej, jakby ich wykonanie nagle wydało mi się warte uwagi. Tak naprawdę byłam gotowa patrzeć gdziekolwiek, byle nie prosto na Kirsanowa. Jego dotyk mnie parzył, bliskość wzbudzała niechęć. Modliłam się w duchu, żeby muzyka już umilkła, żeby ten bal wreszcie się skończył, bo każda kolejna minuta z tym mężczyzną była jak najgorsza tortura. Zesztywniałam, kiedy kapitan przyciągnął mnie do siebie jeszcze mocniej i pochylił twarz. Poczulałam na policzkach jego oddech i wystraszyłam się, że mnie pocałuje, tu, pośrodku sali, na oczach tych ludzi.

– Chciałbym...

Muzyka ucichła, a ja raptownie uwolniłam się z jego objęć i obróciłam na pięcie, by opuścić parkiet. Czułam na sobie zaciekawione spojrzenia, ale nie zważałam na nie. Kirsanov chciał mnie mieć jak zabawkę, a ja nie zamierzałam być niczyją rozrywką.

Złapał mnie w połowie drogi i przyciągnął ku sobie.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – rzekł oschle, dostrzegłszy, że porzucając go na parkiecie, zrobiłam z niego pośmiewisko.

– My nie mamy o czym rozmawiać – odparłam, próbując zachować spokój.

Bądź co bądź byłam w miejscu, w którym nie mogłam czuć się bezpiecznie, więc musiałam zważyć na zachowanie.

– Chcę wyjść na zewnątrz. Muszę ochłonać. Tu jest zbyt gorąco – dodałam.

Nieznacznie kiwnął głową i poprowadził mnie w stronę zamkowych ogrodów.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia – rzekł, gdy wyszliśmy.

Popatrzyłam na niego ze złością w oczach.

– Już mówiłam, my nie mamy o czym... – Nie dokończyłam, bo przygarnął mnie do siebie i pocałował.

Szarpnęłam się, ale trzymał mnie mocno, napierając wargami na moje usta i próbując zmniejszyć mój opór. Na próżno. Gniew i obrzydzenie nakazały mi

odepchnąć go brutalnie.

– Klaro...

– Nie rób tego! Nie pozwolę znowu się zgwałcić! – syknęłam wściekle, choć w środku drżałam i byłam pełna obaw. – Po co w ogóle zaprosiłeś mnie na ten bal? Po co afiszujesz się mną przed tymi ludźmi? Żeby pokazać, jaką masz nade mną władzę?

Patrzył na mnie jak wówczas, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – drapieżnie i zimno, aż przeszył mnie dreszcz.

– Chcę, żeby wszyscy poznali moją przyszłą żonę.

Nogi się pode mną ugięły. Osunęłabym się na ziemię, ale podtrzymał mnie za łokieć. Serce kołatało mi w piersi jak szalone. Ze strachu.

– Jego Wysokość książę Michaił wie, że pragnę cię poślubić – usłyszałam, jak wypowiada te słowa niczym groźbę.

– Nie...

Wyrwałam mu się i zaczęłam biec przed siebie aleją wzdłuż wysokiego żywopłotu, podtrzymując warstwy sukni. Wiedziałam, że Kirsanov mnie dogoni, ale i tak pędziłam ile sił w nogach, licząc na to, że znajdę wyjście i opuszczę to przeklęte miejsce. Kapitan szybko zrównał się ze mną, ponownie mnie pochwycił i przyciągnął do siebie.

– Uspokój się! – wycedził, zmuszając mnie siłą, żebym usiadła na pobliskiej ławce. – Nie tak to miało wyglądać!

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, oddychając ciężko. Otoczony wieczornym mrokiem, wydał mi się groźny jak sam diabeł. Nienawidziłam go nie tylko za to, że mnie skrzywdził. Gardziłam nim, bo krzywdził także innych, bo wykorzystywał swoją władzę i wyższość, ale przede wszystkim dlatego, że przez niego straciłam Jędrzeja.

Usiadł koło mnie i spojrzał mi w oczy.

– Ostatnie miesiące spędziłem w Petersburgu – zaczął poważnym, ugodowym tonem. – Mam tam dom, duży i bardzo ładny. Mieszka w nim moja matka. Przemyślałem wszystko dokładnie i... – Odchrząknął. – Wówczas, w więzieniu, nie powinienem był. Wiem, że sprawiłem ci ból, i bardzo tego żałuję. Nie chcę cię brać siłą, Klaro. Chcę cię kochać.

Siedziałam sztywno, z wysoko podniesioną głową, bojąc się poruszyć. Czułam jedynie, jak na mojej szyi zaciska się pętla i że powoli przestaje oddychać.

– Załatwiłem wszystko jak należy, uzyskałem wszelkie zgody, nawet samego cara Mikołaja oraz patriarchy cerkwi prawosławnej i... – Urwał i chwycił mnie za rękę. – Chciałbym prosić cię, żebyś została moją żoną.

– Nie! – Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć.

– Mam majątek i kilka posiadłości w Rosji – ciągnął niezrażony. – Możemy zamieszkać, gdziekolwiek będziesz chciała.

– Nie! – powtórzyłam głośniej, z jeszcze większym uporem, czując, jak pełzający strach oblepia jak macki całe moje ciało.

Ale Kirsanov jakby mnie nie słyszał. Mój sprzeciw do niego nie docierał. W końcu uniósł moją dłoń i zarliwie pocałował.

– Jesteś jedyną kobietą, której pragnę. Żadnej nigdy nie pragnąłem tak jak ciebie. To się stało od razu, jak tylko cię zobaczyłem, kiedy szłaś z książkami, za które powinienem cię aresztować. A później spotkałem cię znów... Taką uroczą i dumną... I prosiłaś, żebym pomógł twojemu narzeczonemu. A ja tak cholernie mu zazdrościłem...

– Dlatego kazałeś go skuć i wychłostać! – wycharczałam gniewnie. – Miałeś władzę i wykorzystałeś ją, żeby się nad nami pastwić!

Wiedziałam, że jestem w potrzasku, że z tej sytuacji nie mam wyjścia, bo Kirsanov miał na moim punkcie obsesję. Patrzył na mnie z obłąkańczym uwielbieniem, a mnie robiło się niedobrze.

– Mogłem zrobić o wiele więcej, ale ustąpiłem, bo mnie o to prosiłaś. Zrobiłem to dla ciebie, Klaro. Chciałem, żebyś do mnie przyszła.

– Przyszłam – rzuciłam gniewnie, czując dławiące łzy. – A ty mnie zgwałciłeś!

Spuścił głowę, a ja przygryzłam wargi niemal do krwi.

– Zrobiłem to, bo nie zostawiłaś mi wyboru. Brzydziłaś się moim dotykiem! Chciałem cię kochać, wielbić, a ty patrzyłaś na mnie z pogardą! Żadna kobieta nigdy tak na mnie nie patrzyła.

Wstałam z ławki, ale szarpnął mnie za rękę i usadził ponownie.

– Jeszcze nie skończyliśmy! – warknął. – Znów próbujesz mnie sprowokować, ale nie pozwolę na to. Chcę, żebyś mnie poślubiła. Będiesz żyła jak królowa, niczego ci nie zabraknie. Moja matka gwałtownie sprzeciwiała się naszemu małżeństwu. Twierdziła, że nie jesteś dla mnie dość dobra i że żeniąc się z tobą, popełnię mezalians, ale przekonałem ją, że innej nie chcę. Tylko ciebie.

– Gardzę tobą! – krzyknęłam. – Jesteś nikczemnym draniem! Jak mam poślubić kogoś takiego?

Przez chwilę patrzył na mnie z uporem, wbijając we mnie spojrzenie ostre jak nóż, ale kiedy się odezwał, jego głos brzmiał nadzwyczaj ciepło.

– Bo w głębi duszy wiesz, że nie masz wyjścia, Klaro.

Zmroziły mnie jego słowa.

– O czym ty mówisz?

– O naszym synu. Wiem, że mamy syna. Nie zapominaj, kim jestem, i ile ludzi cię śledzi na mój rozkaz.

To był cios, który mnie powalił. Wiedziałam, że przegrałam. Ścisk w krtani dławił mnie tak, że prawie zaczęłam się dusić. Uchwyciłam się poręczy ławki.

– Wiem, że chłopiec jest mój, bo go widziałem. To krew Kirsanowów. Rosyjska krew.

– To mój syn! – syknęłam przez zaciśnięte zęby. – Tylko mój! Nie jesteś jego ojcem i nie waż się go tknąć!

Złapał mnie za nadgarstek tak brutalnie, że poczułam ból w miejscu, gdzie wbijał palce.

– Jest też moim synem! I albo jeszcze dziś wyrazisz zgodę na ślub, albo jutro go nie zobaczysz.

Patrzyłam na niego z trwogą. Patrzyłam i miałam ochotę go zabić, unicestwić raz na zawsze, jak potworną hydrę.

Przełknęłam ślinę.

– Dobrze... – wycedziłam, czując, że coś we mnie zamiera. – Ale nie ruszaj mojego dziecka.

Jego wzrok natychmiast się zmienił, złagodniał, i kapitan przejechał dłonią po moich plecach.

– To nasze dziecko, Klaro. I będziemy mieć jeszcze inne dzieci.

Pochylił się nade mną, po czym zaczął całować, chciwie i zaborczo. Nie protestowałam. Nie odpychałam go. Miałam jedynie wrażenie, że już nigdy nie zdołam spojrzeć na siebie w lustrze. Nigdy nie odzyskam godności.

Na salę balową wróciliśmy razem. Kirsanov prowadził mnie pod łokieć, bo inaczej nie byłabym w stanie trzymać się prosto.

Orkiestra grała, goście bawili się wyśmienicie.

Zofia dojrzała mnie w tłumie i natychmiast podeszła. W jej błękitnych oczach dostrzegłam strach i troskę.

– Kapitanie, gdzie pan zabrał naszą Klarę? Martwiliśmy się!

– Musieliśmy omówić pewną sprawę – odparł Kirsanov – i chyba możemy się już pochwalić dobrą nowiną. – To mówiąc, uśmiechnął się znacząco.

Zofia popatrzyła na mnie z niepokojem.

– A cóż to za nowina?

– Klara właśnie zgodziła się zostać moją żoną.

ROZDZIAŁ 27

Przez całą drogę do domu nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa. Zofia przyglądała mi się z troskliwą uwagą, a jej mąż, znużony zabawą, drzemał. Wiedziałam, że w głowie Zofii kotłują się myśli. Że moja pracodawczyni i przyjaciółka zapewne usilnie zastanawia się, jak zapobiec temu, co zdawało się nieuniknione.

Ja nie byłam w stanie myśleć. Czulałam się martwa w środku. Jakby wszystko we mnie zamarzło. Lęk przed przyszłością mieszał się we mnie ze strachem o syna. To było paralizujące.

– Na pewno jest jakiś sposób – rzekła po dłuższym milczeniu Zofia. – Nie można pochopnie przesądzać, że to koniec.

Co miałam jej odpowiedzieć? Że mogę trzymać się swoich głupich zasad i zostać cholerną starą panną, ale w zamian Kirsanov zabierze mi dziecko i wywiezie w głąb Rosji? Przecież ta wizja była jak apokalipsa.

Kiedy dojechaliśmy pod moją kamienicę, chwyciłam hrabinę za rękę i wyszeptałam cicho:

– Tak musi być, Zofio. Nic nie da się zrobić. – A następnie wyszłam z powozu.

Idąc po schodach, zerwałam z siebie złoty naszyjnik i zgmiotłam go w dłoni, myśląc z obrzydzeniem, że od teraz będę miała takich błyskotek na pęczki.

Weszłam do holu. Zdziwiło mnie, że pomimo bardzo późnej pory lampy były pozapalane. Przecież o tej porze wszyscy zawsze już spali. Coś musiało się stać.

– Mamo! – zawołałam, a mój głos odbił się echem po wnętrzu.

Na schodach natychmiast pojawił się kamerdyner.

– Panna Klara! Dzięki Bogu! – Jego twarz była zmieniona. Wydawał się głęboko czymś poruszony.

– Co się stało?

– Mały Staś! Chory! Dostał wysokiej gorączki, jak panienka wyszła z domu.

Zesztywniałam z trwogi. Wypuściłam z palców naszyjnik, który upadł na śliską posadzkę, i pędem wbiegłam na piętro.

Mój synek leżał w łóžeczku, mokry od potu, wyraźnie nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje. Dopadłam do niego i odsunęłam siedzącą przy nim mamę.

– Staś! Stasiu, jestem przy tobie! – Z czułością przejechałam drżącą dłonią po jego mokrym czole.

Był rozpalony.

– Co się stało? – zwróciłam się do mamy.

Była blada ze zmęczenia i przejęcia, w jej oczach czaił się niepokój. Mimo późnej pory wciąż miała na sobie dzienną suknię.

Mój ojciec stał w progu pokoju jak duch i z posępną miną obserwował sytuację.

– Zaczął gorączkować tuż po twoim wyjściu. Z początku myślałam, że to nic takiego, ale nagle osłabł. Nie mógł ustać na nóżkach. Płakał... – Głos mamy trząsał się z emocji. – Wezwaliśmy lekarza, dał lek na gorączkę i wyszedł.

– Trzeba wezwać Antoniego. Papo, wyślij kogoś do domu Sieradzkich. Tylko szybko!

– Jest noc, może jutro rano...

– Nie, teraz! Natychmiast!

Mąż Marianny przybył po godzinie, kiedy Staś nagle się przebudził i zaczął wymiotować. Płakał i się krztusił. Trzymałam go w ramionach, a on był coraz bardziej wiotki, łał mi się przez ręce.

– To polio – zawyrokował Antoni matowym głosem.

Popatrzyłam na niego z przerażeniem.

– Co takiego?

– Choroba porażenia mięśni, szczególnie często występująca u małych dzieci.

Zadrżałam z przerażenia.

– Antoni, zrób coś, błagam!

– Nie mam na to lekarstwa. Możemy tylko czekać, aż objawy ustąpią, z nadzieją, że nie dojdzie do porażenia mięśni – westchnął. – Nie mogę cię oszukiwać. Ta choroba ma zwykle lekki przebieg, ale bywają też ciężkie przypadki.

Staś znów zwymiotował, tym razem żółcią, i osłabł. Jego drobne ciało było niemal bezwładne w ramionach Antoniego, kiedy ten po badaniu ostrożnie układał go w łóżeczku.

Chwyciłam małego za rączkę, pogłaskałam po włoskach. Mama z ojcem stali w kącie pokoju i patrzyli trwożliwie.

– Powinni się państwo przespać – rzekł do nich Antoni. – Ja posiedzę tu z Klarą. Będziemy czuwać nad Stasiem.

– Nie wiem, czy zasnę – rzekła mama płaczącym tonem. – To ponad moje nerwy.

– Proszę chociaż spróbować – zasugerował doktor łagodnie.

Byłam mu wdzięczna, że nakazał rodzicom iść spać, bo ich obecność drażniła mnie, a wiedziałam, że muszę zachować rozsądek.

Kiedy wyszli, Antoni wyjął z torby lek na gorączkę.

– Rób mu delikatne okłady. To wspomogę działanie leku.

Trzy kolejne dni były dla mnie czasem odrętwienia i rozpacz. Nie jadłam, nie piłam, nie przebierałam się ani nie czesałam włosów. Bezustannie siedziałam przy łóżeczku Stasia. Niemal cały czas towarzyszył mi Antoni, który podając dziecku środki przeciwgorączkowe, próbował mu ulżyć. Opuszczał nas tylko na kilka godzin, by odświeżyć się w domu, ogarnąć innych pacjentów, i wracał. Jednak sytuacja nie ulegała poprawie, a z każdą kolejną dobą było gorzej. Poiliśmy Stasia łyżeczką, bo nie był w stanie inaczej jeść i pić.

Przez otwarte na oścież okno wpadały do pokoju ciepłe promienie letniego słońca, a ja nienawidziłam tego blasku, bo drażnił mnie swoją jasnością. Jak słońce mogło świecić, kiedy mój malutki synek widział ciemność?

Raz na jakiś czas dochodziły do łóżeczka zapłakane mama i słuźki. Dusia donosiła czystą piżamkę, kiedy ta, w której Staś leżał, robiła się mokra od potu. Przebierałam synka, czując, jak wszystko we mnie dygoce z nerwów. Obejmowałam go mocno i truchlałam z lęku, szepcząc:

– Jestem tu, malutki. Zawsze jestem przy tobie... – Ale mój Staś zdawał się tego nie słyszeć.

Ostatecznie doszło do porażenia mięśni kończyn oraz, jak zdiagnozował Antoni, również do porażenia opon mózgowych. Mój synek umierał w nieświadomości, że cały czas jestem przy nim, że nie opuszczam go nawet na sekundę. Nie płakał, ale też na mnie nie patrzył. A ja tak bardzo chciałam, żeby na mnie spojrzął, i to pragnienie wręcz odbierało mi dech. W rozpacz łąpałam się resztek nadziei, nie przyjmując do wiadomości, że moje dziecko nie ma już siły.

Staś odszedł przed wieczorem, a wraz z nim zgasło całe moje światło. Desperacja, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam, i potworne cierpienie żywcem rozrywały mnie na strzępy. Nie pojmowałam tego. Nie rozumiałam. Jak miałam żyć dalej, skoro moje serce przestało bić?

* * *

Aleksander Kirsanov zjawił się na pogrzebie. Stał w pewnym oddaleniu od reszty żałobników, z nieprzeniknioną miną i w mundurze galowym. Być może kogoś zdziwiła jego obecność, może ktoś zaczął się domyślać, ale ja nie byłam w stanie zareagować ani na jego obecność, ani na żadną inną. Mój świat spowija gęsta mgła.

Stałam nad grobem mojego dziecka, pogrążona w najgłębszym bólu, który odbierał mi zdolność wszelkiego myślenia. Tamtego dnia pragnęłam, żeby pogrzebano mnie żywcem wraz z moim Stasiem. Chciałam gryźć ziemię, zapaść się głęboko, byle nie czuć tej bezgranicznej rozpacz.

Matka i ojciec wzięli na siebie organizację wszelkich uroczystości pogrzebowych, mimo że sami byli pogrążeni w głębokim żalu, a ja tego nie

widziałam. To był czas, kiedy nie widziałam nic.

Później każdy kolejny dzień stał się dla mnie walką o przetrwanie. Pogrzebowe koszmary i przypomnienia o stracie nawiedzały mnie nieustająco, nie pozwalając nawet na chwilową ulgę od cierpienia. Wciąż nie byłam w stanie jeść, każda nawet drobna czynność była ponad moje siły. Widok przedmiotów, które należały do Stasia, jego ubranka i zabawki nieznośnie zalewały mnie wspomnieniami i gorzką żalobą. Siadywałam w pokoju na podłodze z jego przytulanką i płakałam bez końca. Nie dostrzegałam żaloby mamy i ojca, jakby przestali dla mnie istnieć. Nie dostrzegałam nic, co działo się wokół mnie. Oddzieliłam się od świata, odeszłam od życia. Chciałam umrzeć wraz z moim dzieckiem.

Zofia zjawiła się u mnie, kiedy nie byłam już w stanie wyjść z pokoju, kiedy obecność ludzi wywoływała we mnie napady hysterii. Marianna i Antoni nie ustawali w staraniach, żeby mi pomóc, ale odbijali się od ściany mojej rozpacz. Zofia przyszła, kiedy byłam już na krawędzi, walcząc sama ze sobą. Miałam dwie możliwości: przetrwać kolejną godzinę życia albo zapaść się gdzieś głęboko, skąd nie było wyjścia.

Ta jakże młoda, z pozoru zdawałoby się rozpieszczona przez życie kobieta, z wiecznym uśmiechem na ustach, z początku nic nie mówiła. Położyła się obok na podłodze i objęła ciepłymi ramionami. Jej spokój i wrażliwość spływały na mnie kropla po kropli. Jej zrozumienie i głębokie współczucie było plastrem na moje rany. Później podniosła mnie, zaprowadziła do łazienki, a tam rozebrała i pomogła wejść do wanny z gorącą wodą. Następnie obmywała z czułością ciało, szepcząc do ucha kojące słowa. Ścierała delikatnie moje łzy, które nie przestawały płynąć i skapywały do wody. Później znów trzymała mnie w objęciach, aż zasnąłam.

Ten czas przetrwałam tylko dzięki niej. Jej wrażliwość i determinacja pozwoliły mi wyjść z ciemności. Trzymała mnie za rękę, kiedy tego potrzebowałam, i małymi krokami uczyła znów wchodzić w świat, jakbym była błądzącym w ciemności dzieckiem, które należało wyprowadzić ku światłu. To były trudne lekcje pokory również dla niej samej, ale przetrwałyśmy.

– Jestem już taki stary, Klaruś – rzekł mój dziadek, kiedy z początkiem jesieni, podczas jednego z pierwszych wyjść po śmierci Stasia, udałam się do niego z wizytą.

Leżał na łóżku i patrzył na mnie ze smutkiem w oczach.

– To ja powinienem odejść. Moje życie nie jest już nikomu potrzebne, a ten malec...

Nie byłam w stanie nic odpowiedzieć. Wciąż nie potrafiłam. Ujęłam tylko jego pomarszczoną, sękatą dłoń i przyłożyłam sobie do serca.

ROZDZIAŁ 28

Twarz Kirsanova była zimna, jak wykuta w marmurze. Unikał mnie spojrzeniem, co wydało mi się dość osobliwe, bo dotąd zawsze patrzył mi prosto w oczy.

Kiedy zjawiłam się w jego gabinecie w koszarach, zdawał się zdumiony, jakby zupełnie się mnie nie spodziewał, jakby wcale na mnie nie czekał uporczywie każdego dnia, nie liczył, że w końcu do niego przyjdę. A z pewnością tak było. On sam po śmierci Stasia nie wykazał inicjatywy i się do mnie nie odezwał. Podświadomie jednak czułam na sobie złowrogi cień jego obecności, który przenikał moje myśli, kiedy odrywałam się od wspomnień o synu. Wiedziałam, że obietnica złożona kilka tygodni wcześniej pod dramatycznym przymusem musiała zostać spełniona.

Dlatego przyszedłam. Nie po to, żeby toczyć z nim rozmowy i ustalenia na temat przyszłości, ale po to, żeby posłać go raz na zawsze do diabła.

Stałam przed nim inna niż dawniej. Chudsza, z bladą pociągłą twarzą, odziana w żałobną czerń. Nie było już we mnie tej buty i arogancji co dawniej. Był za to wewnętrzny smutek. Moje zielone oczy, do niedawna patrzące na życie z zaciekawieniem i przekorą, już zawsze miały być odbiciem niekończącej się żałoby i próby zrozumienia, dlaczego utraciłam to, co było mi najdroższe.

Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, nie mówiąc ani słowa, aż Kirsanov podszedł do mnie powoli i ujął moją twarz w dłonie.

Nie protestowałam. Było mi obojętne, co zrobi; nie obchodziło mnie, czy potraktuje mnie jak dawniej. Teraz już nic nie miało znaczenia, bo nic nie mogło mnie bardziej zranić niż to, co nie tak dawno stało się moim udziałem.

Pochylił się nade mną i pocałował w policzek.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro – rzekł.

Popatrzyłam na niego. Z moich oczu wyzierała pustka, ale jego spojrzenie również było ciemne.

– Chciałbym coś zrobić. Jakoś ci zadośćuczynić.

– Nic nie jest w stanie zadośćuczynić straty mojego dziecka – odparłam beznamiętnie.

- Naszego dziecka – poprawił łagodnie, ale ja zaprzeczyłam ruchem głowy.
- Mojego dziecka. Mój syn nie miał ojca. Był pólsierotą.

Kirsanov się skrzywił.

– Domyślam się, że bardzo to przeżywasz, Klaro, ale wciąż możemy mieć dzieci. Ile tylko zechcesz: dwoje, troje, nawet więcej.

Zadrżałam i odsunęłam się od niego z odrazą.

- Chyba nie sądzisz, że wyjdę za ciebie za mąż?

Przez jego twarz przemknął cień.

– Rozumiem, że musisz odbyć czas żałoby. To naturalne. Nie będę na ciebie naciskał.

Zaśmiałam się z goryczą. On naprawdę myślał, że przyszedłam tu, aby omówić z nim sprawy małżeństwa?!

– Szantażowałeś mnie odebraniem syna. Teraz nie masz mi już czym zagrozić, a ja nie muszę spełniać twoich zachcianek. Bo przecież chęć poślubienia mnie właśnie tym była.

Te słowa wyraźnie go zirytowały.

– Klaro, co ty wygadujesz? Wyznałem ci przecież, że cię pragnę, i pomimo tej strasznej tragedii nic się w tym względzie nie zmieniło. Wszystko jest już ustalone. Dam ci czas, żebyś się pozbierała...

– Nie! Nie chcę czasu. Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju. Raz na zawsze! Kiedy stąd wyjdę, nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Widziałam, jak się zmienił na twarzy, jak wyprostował się dumnie. Próbował powściągnąć gniew, ale jego szare oczy i tak rzucały na mnie gromy.

– Nie wiesz, co mówisz! Ustaliłem już datę ślubu na przyszły rok. Nakazałem przygotować dom na twój przyjazd. Jak tylko uporasz się z żałobą...

– Ja nie uporam się z żałobą, Kirsanov – rzuciłam pogardliwie. – Jeśli spróbujesz się do mnie zbliżyć, znajdę sposób, żeby cię zabić. Pamiętaj, że nie takich jak ty likwidowano na ulicach Warszawy, a ja już nigdy nie pozwolę, żebyś mi coś zrobił.

Patrzył na mnie zaskoczony, jakby nie pojmował wagi moich słów. W końcu warknął wściekle, jak gotowy do ataku drapieżnik.

- Nie próbuj mi grozić, Klaro!

– To nie groźba. To obietnica. Więc radzę ci, zostaw mnie w spokoju. Najlepiej wyjedź do Petersburga albo gdziekolwiek indziej, i obym cię więcej nie oglądała.

Odwróciłam się, by wyjść, ale doskoczył do mnie i złapał boleśnie za ramię.

– Ostrzegam cię! – wycodził. – Właśnie zagroziłaś wyższemu urzędnikowi carskiemu i jeśli stąd wyjdiesz, gorzko pożałujesz!

Zmrużyłam oczy.

– A co mi zrobisz? Znów mnie zgwałcisz? A może tym razem porwiesz i zamkniesz w swojej posiadłości? – zadrwiłam. – Jesteś żaloszny, Kirsanov. Wiesz,

że cię nie chcę. Gardzę tobą! – Próbowałam wyrwać się z jego uścisku, ale trzymał mnie zbyt mocno. – Puść! – wykrztusiłam. – Jest wiele chętnych dam, które z radością padną ci do stóp...

Jego uścisk nie zelżał i miałam wrażenie, że jeszcze chwila i zmiażdży mi kość. Lecz ten ból, choć intensywny, był niczym w porównaniu z tym, co wypełniało mnie od środka.

Tymczasem w Kirsanowie narastała złość. Dyszał wściekle i w pewnym momencie pomyślałam, że nie pozwoli mi wyjść.

– Chciałem dać ci wszystko. Uczynić cię damą – wysapał. – Dałbym ci wielu synów, ale ty zdecydowałaś się zrobić ze mnie pośmiewisko! Myślisz, że możesz tak po prostu się tu zjawić i oznajmić, że mnie nie poślubisz? Łudzisz się, że pozwolę ci wyjść i dam ci spokój? A co mam powiedzieć mojej matce, która po długich negocjacjach zgodziła się na nasze małżeństwo? Co mam powiedzieć carowi? Że narzeczona mnie odrzuciła, bo mną gardzi?

Wygięłam usta w cynicznym uśmiechu.

– Powiedz im, co chcesz – odpowiedziałam bardzo spokojnym tonem.

– Tam, za tymi drzwiami, są dziesiątki żołnierzy gotowych na mój rozkaz! – ryknął wściekle. – Wyjdiesz stąd, a na jedno moje słowo rozszarpia cię jak sępy ścierwo!

Mimo woli zadrżałam. Przełknęłam ślinę.

– Więc niech tak będzie. Wolę to niż spędzić tu kolejną minutę z tobą – wykrztusiłam.

Cios, który wymierzył mi w policzek, był bardzo bolesny. W pierwszej chwili, zaraz po tym, jak otrząsnęłam się z szoku, pomyślałam, że wybił mi zęby, bo aż zadzwoniło mi w uszach. Poczułam w ustach krew. I wtedy uderzył mnie po raz drugi. Zachwiałam się i upadłam na kolana. Kirsanov stał nade mną, dysząc.

– Nie igraj ze mną, bo nie wiesz, z kim zaczynasz! Pamiętaj, że znam twoje przewinienia. Wiem, co robiłaś, i jednym podpisem mogę wysłać cię tam, gdzie będzie ci bardzo zimno i bardzo głodno!

Wyplułam z ust krew prosto na jego wyglancowane oficerki. Podniosłam twarz i spojrzałam mu w oczy.

– Więc zrób to. Przynajmniej będę miała pewność, że więcej cię nie zobaczę.

Odepchnął mnie ze wzgardą i z hukiem otworzył drzwi gabinetu.

– Szeregowy! Zabrać stąd tę kobietę i dopilnować, żeby nigdy więcej nie przekraczała bramy koszarów! A jeśli się zjawi... strzelać!

Po tym, jak brutalnie wypchnięto mnie poza teren, pomyślałam, że chyba Kirsanowowi naprawdę na mnie zależało, skoro nie oddał mnie żołdakom na pożarcie. A mógł to zrobić chociażby dla własnej satysfakcji. Nie czułam się poniżona; czułam ulgę, że zakończyłam coś, co stało mi kością w gardle. Przynajmniej miałam taką nadzieję...

Stojąc już za bramą, odetchnęłam parę razy, próbując opanować mdłości. Bezwiednie dotknęłam twarzy. Wiedziałam, że mam pękniętą wargę, bo krew sączyła się z niej wąską strużką, ale ból nie był już zbyt dotkliwy.

Przy murze otaczającym koszary stał oparty mój rower. Wsiadłam na niego i w pierwszej chwili zachwiałam się, łapiąc równowagę. W tym momencie z ciężkiej, szarej chmury wiszącej nad miastem lunął deszcz. To były strugi deszczu, które lały się z nieba, spływały wartkimi potokami po ulicach, tworzyły błota i kałuże. A ja pedałowalam zawzięcie, jadąc przed siebie i nie zważając na to, że jestem przemoknięta do ostatka, że moja ciężka od wilgoci suknia przykleja mi się do nóg, utrudniając jazdę.

Do domu dotarłam resztkami sił. Zsiadłam z roweru, weszłam na schody i oparłam się całym ciężarem o balustradę. Deszcz wciąż padał, obmywał mnie na zewnątrz i od środka. Dygotałam z zimna, lecz mimo to poddawałam się tej torturze, jakbym tylko w ten sposób mogła doznać oczyszczenia.

Kiedy kamerdyner stanął w drzwiach, aż otworzył usta ze zdumienia. Zaraz za nim pojawiła się Dusia. Gdy zobaczyła, w jakim jestem stanie, złapała mnie w pół i na siłę wprowadziła do domu.

– Chodźmy, panienko – wyszeptała. – Jak się panienka rozchoruje, to ulgi to nie przyniesie.

Przez kolejne tygodnie wciąż na nowo uczyłam się żyć z tą bezgraniczną pustką, która stała się mą towarzyszką już na zawsze. Szukałam celu, próbowałam łapać chwile, które przynosiły mi względną ulgę, i trzymać się ich kurczowo. Takimi chwilami były głównie praca w redakcji „Steru”, rozmowy z koleżankami z gazety, które z determinacją, ale i czułością wyciągały mnie na powierzchnię, jak tylko zaczynałam znów spadać. Oraz nauka czytania i pisania kobiet z robotniczej dzielnicy, z której nie zrezygnowałam. Po raz pierwszy od bardzo dawna doznałam głębokiego wzruszenia, kiedy jedna z moich „uczennic” – wcześniej niepotrafiąca pisać ani czytać, pokazała mi napisaną przez siebie pracę z osobistymi przemyśleniami na temat noweli *Dym* Marii Konopnickiej. To był dla mnie namacalny dowód na to, jak ważna była moja działalność i ile znaczyła dla tych kobiet.

Zrezygnowałam jedynie z udziału w zebraniach socjalistów, bo sprawa Polski i pokrzykiwania o obowiązku walki o niepodległość w tym dramatycznym dla mnie czasie zniknęły z listy moich potrzeb.

Musiałoby też upłynąć sporo czasu, zanim zdecydowałam się napisać artykuł o życiu po śmierci dziecka. Wiedziałam, że takich kobiet jak ja – cierpiących i pogrążonych w żałobie – jest mnóstwo i każda na swój osobisty sposób radzi sobie z bólem. Napisałam o bezgranicznej tęsknocie oraz niespełnionych marzeniach. Powracałam do wspomnień pełnych radości i beztroski, kiedy moje dziecko żyło i rozwijało się pod ochronnymi skrzydłami najbliższych. A teraz pozostała po nim

tylko pustka, której nie da się zapełnić. Rozpacz matki w moim odczuciu była najtrudniejszym rodzajem bólu, jaki można sobie wyobrazić. A jednak skądś dzień po dniu czerpałam siłę, żeby kontynuować tę drogę przez ciemności.

Po tym artykule, tak trudnym i osobistym dla mnie, dostaliśmy na adres redakcji mnóstwo listów z podobnymi historiami. Odzew był tak ogromny, że przewyższył nasze wyobrażenia. Czytałam te opowieści godzinami, zagłębiałam się w losy zrozpaczonych matek i płakałam nad każdą z nich. Ale chyba właśnie to najbardziej pomogło mi wskrzesić się na nowo. Już nigdy później nie byłam tą samą kobietą co przed śmiercią Stasia. Nigdy nie odnalazłam w sobie tej bezgranicznej i bezinteresownej miłości, którą czułam do swojego dziecka.

Ale nadszedł dzień, kiedy wyszłam na ulicę i poczułam na policzkach jasny promień słońca. Ogrzał moją skórę, wniknął do wnętrza i wywołał na ustach delikatny uśmiech.

– Kobiety potrzebują wyrzucić z siebie swoje dramaty. Chcą być wysłuchane – rzekłam któregoś wiosennego dnia 1909 roku do Marianny, kiedy spacerowałyśmy razem alejami parkowymi: ona ze swoją niespełna dwuletnią córeczką, ja z wciąż żywym wspomnieniem syna w sercu.

– Wiem – przyznała mi rację. – Jest wiele spraw, które sprawiają kobietom problem. Takie listy mogłyby pomóc je rozwiązać. Nie dalej jak wczoraj Antoni przyjął pacjentkę z bardzo silnym krwawieniem. Wstydziła się o tym powiedzieć, cierpiała w milczeniu. Myślała, że to zwyczajna kobieca przypadłość. Dopiero gdy zemdląca i mąż wezwał do niej Antoniego, ten wytłumaczył jej, że taki krwotok nie był normalny i że to objaw groźnej choroby.

– Ale prócz kwestii zdrowotnych są też sprawy ekonomiczne, jak chociażby nasza praca zarobkowa czy dziedziczenie majątku. Albo problemy prawne, na przykład te dotyczące małżeństwa i dostępu do rozwodów... Choć na tym akurat kompletnie się nie znam.

Marianna wzruszyła ramionami.

– Za to ja mogłabym co nieco na ten temat powiedzieć.

Zmrużyłam oczy i popatrzyłam na nią.

– Czyżby kłopoty w rajcu?

– Och, kłopoty są zawsze – odparła z przekąsem. – Ale niczego sobie nie wyobrażaj. Kochamy się z Antonim i będziemy się kochać już zawsze, choć nieraz jest trudno. Szczególnie gdy mój mąż całe dni przebywa poza domem. Wiem, że taką ma pracę, ale gdy siedzę sama w domu, to dostaję bzika! Chodzę na kółka dobroczynne, wzięłam pod opiekę ochronkę dla sierot, gdzie dostarczamy z innymi paniami jedzenie, ubrania oraz inne najpotrzebniejsze rzeczy, ale to dla mnie za mało! Kobiety, z którymi tam chodzę, to same napuszone dewotki i plotkary. Chciałabym coś robić, zająć się czymś, co sprawi, że znów poczuję tamten dawny

młodzieńczy wiatr w skrzydłach. Pamiętasz, jak poszliśmy na manifest na plac Grzybowski? To było coś!

– Przypominam ci, że zostałam wtedy ranna – odparłam z przekąsem.

– I w konsekwencji poznałam męża – dodała Marianna z uśmiechem.

Zatrzymała się nagle w pół kroku i popatrzyła na mnie z błyskiem w oczach.

– Klaro! Mam szalony pomysł! Otwórzmy własną gazetę! Taką z poradami dla kobiet. Będą do nas pisać o swoich problemach i troskach, a my będziemy im odpisywać na łamach czasopisma, starając się pomóc. To znacznie lepsze niż nawoływanie do emancypacji.

– I niby jak miałybyśmy to zrobić? Gdzie? – spytałam, choć pomysł wydał mi się wielce interesujący.

Potrzebowałam nowych bodźców, by żyć. Potrzebowałam czegokolwiek...

– Znajdziemy jakiś lokal. Mam pieniądze, więc na początek wystarczy, abyśmy kupiły maszynę drukarską i wyposażyły redakcję w podstawowe sprzęty. Klaro, jeśli się uda, znów poczujemy, że coś robimy! Zostaniesz redaktorką naczelną i... – Uśmiechnęła się. – Odzyskasz dawny blask. Wiem to!

Popatrzyłam ze smutkiem na małą córeczkę Marianny, Izabelę. Nie zazdrościłam przyjaciółce dziecka. Nie mogłabym – bo to byłoby z mojej strony okrucieństwo. Po prostu ta mała, śliczna istotka, tak wesoła i urocza, wciąż uświadamiała mi, że jeszcze niedawno byłam bezgranicznie szczęśliwa.

– Antoni zna wielu wybitnych lekarzy, którzy mogliby nam pomóc w kwestiach kobiecego zdrowia – kontynuowała Marianna, jakby nie widząc mojej konsternacji. – W dziedzinie mody nieoceniona jest Zofia Czarnecka, poza tym zdążyłaś poznać inne dziewczyny, które znają się na kobiecych sprawach. Och, Klaro! Czyż to nie wspaniałe?

– Kiedy tak o tym mówisz, zaczynam myśleć, że to rzeczywiście niezły pomysł – rzekłam powoli. – „Ster” jest bardzo radykalny, nastawiony na równość płci i walkę o równouprawnienie. My mogłybyśmy pomagać kobietom w życiu codziennym, w ich borykaniu się z życiem.

– Otóż to! Myślę, że to szalenie ważne!

Nie wiem, jak Marianna tego dokonała, ale udało jej się mnie przekonać. Nawet Antoni, choć z początku sceptycznie podchodził do pomysłu żony, w konsekwencji uznał, że ten pomysł ma sens. Pomyślałam sobie wówczas, że gdyby Marianna zażyczyła sobie otworzyć cyrk na Polu Mokotowskim, Antoni też by się zgodził.

Póki co pomógł nam znaleźć niewielki lokal w ładnej kamienicy w Śródmieściu, wyprosił z nami u rosyjskich władz wszelkie pozwolenia na prowadzenie gazety oraz zajął się pomocą w niezbędnych zakupach. Jedyne rodzice patrzyli zgorszeni na mój kolejny ekstrawagancki pomysł, niemający nic wspólnego z normalnym życiem.

– Wpakujesz się w kłopoty! – wyrokował ojciec, kiedy poprosiłam go o niewielką pożyczkę na doposażenie biura. – Już raz zamknęli cię za nielegalny druk, więc po co znów prowokować rosyjskie władze? Nie możesz w końcu usiąść na czterech literach i zająć się tym, co wypada?

– Nasza gazeta nie jest nielegalna. Nie będziemy pisać dla socjalistów ani produkować bibuły, a jedynie zamieszczać porady dla kobiet.

– To jakieś fanaberie! Mało to poradników dla gospodyń domowych? Po co kolejny?

– To nie będzie poradnik wyłącznie dla gospodyń domowych. To będzie gazeta dla wszystkich kobiet. Również tych wykluczonych z powodu niemożności pójścia do pracy, samotnych matek, służących, które za swoją posadę nie dostają zapłaty, oraz dziewcząt bojących się nocy poślubnej...

– To niemoralne! Wręcz banał! – krzyknął zgorzony ojciec.

– To nie żaden banał, papo. To sprawy z codziennego życia każdej kobiety.

Ojciec machnął ręką. Zawsze tak reagował na moje pomysły, a od czasu śmierci Stasia ostatecznie postawił na mnie krzyżyk. Wiedział, że nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku, że nie spełnię jego oczekiwań i nigdy nie wyjdę za mąż. Miałam już dwadzieścia siedem lat i jasno sprecyzowane poglądy. Poza tym nie spotkałam dotąd mężczyzny, który poruszyłby moje serce na tyle, żebym gotowa była zmienić dla niego zdanie co do zamążpójścia.

I tak pewnego letniego poranka zjawiłam się w gabinecie redaktor Kuczalskiej-Reinschmit z żalem i równocześnie nadzieją, obwieszczając jej, że odchodzę ze „Steru”.

– Wiem. – Paulina uśmiechnęła się, choć nie bez pewnego smutku. – Idziesz własną drogą. Domyśliłam się tego.

– Muszę – rzekłam z pełnym przekonaniem. – Przez te prawie dwa lata dałyście mi bardzo dużo. Pomogłyście wyjść z żałoby, choć myślałam, że to się nigdy nie uda. Chcę teraz spróbować żyć według swoich zasad. Muszę to zrobić, jeśli wciąż chcę mieć szansę, by cieszyć się życiem.

– Sama sobie będziesz drogowskazem i szefową.

Wzruszyłam ramionami.

– Niezupełnie. Marianna to kopalnia pomysłów. Zwłaszcza od kiedy odkryła, że życie rodzinne jej nie wystarcza i musi działać znacznie dalej, robić coś więcej.

– Myślę, że wspólnie z Marianną dokonacie czegoś ważnego. Wiem, że twój głos ma znaczenie dla kobiet. Jesteś wrażliwa, ale też piekielnie silna, Klaro. Dziel się tymi cechami, z kim tylko możesz.

I tak oto latem 1909 roku wraz z Marianną Wąsowicz-Sieradzką otworzyłyśmy podwoje „Głosu Kobiet”. Chciałam wierzyć, że nadchodzi dla mnie inny czas. Musiałam w to wierzyć. Inaczej świadomość spędzania kolejnych dni bez mojego dziecka byłaby torturą nie do zniesienia.

CZEŚĆ TRZECIA
1912–1915

ROZDZIAŁ 29

Kobieta wpadła do biura redakcji „Głosu Kobiet” bez pukania, z impetem zatrzasknąwszy za sobą drzwi. Całą swą postawą wyrażała niezadowolenie i złość. Szybko obiegnęła wzrokiem skromne pomieszczenie, a twarz wykrzywiła w nieprzyjemnym w grymasie, jakby samo przebywanie w tym miejscu było dla niej obrazą. Okolone siateczką zmarszczek oczy rzucały iskry pogardy, zwiędłe policzki zaczerwieniły się niezdrowo.

Westchnęłam ciężko. No cóż, wyglądało na to, że znowu nawiedziła nas jedna z tych świętobliwych matron stojących na straży konwenansów, które ostatnio coraz częściej podnosiły słowa protestu przeciwko naszej gazecie. Choć przybyszka była ubrana szykownie, w ciemną drapowaną suknię z żabotem, do którego przyczepiła perłową kameę, zachowaniem przeczyła powierzchownej elegancji. Nadzwyczaj energicznie jak na posunięty wiek, podeszła do mojego prostego biurka i nie zważając na piętrzące się na nim papiery, listy od czytelniczek, których co dzień dostawaliśmy z Marianną całą masę, oraz wycinki prasowe będące pomocą w pracy, uderzyła pulchnymi dłońmi o blat.

– Tego już za wiele! – rzuciła wściekle, gromiąc mnie morderczym spojrzeniem brązowych oczu. – Za kogo się pani uważa? Kim pani jest, żeby mieszać w głowie mojej niewinnej córce? Zresztą nie tylko jej, bo sprowadzacie na złą drogę również inne panny!

Odchyliłam się na krześle i uniosłam brwi w wyrazie zdumienia, udając, że nie wiem, o czym mowa, choć tak naprawdę doskonale wiedziałam, co przywiodło tu tę wściekłą jejmość – dokładnie to samo co jej poprzedniczki, które zjawiały się tu bez pardonu, próbując wytykać mi i Mariannie skandaliczne postępowanie, jakim według nich było wydawanie gazety.

– Czy my się znamy? – spytałam chłodno, choć uprzejmie.

Nie zamierzałam dać tej kobiecie satysfakcji; nie będzie mnie besztala jak zwykłą uczennicę.

– Oczywiście, że panią znam! Wszyscy panią znają! I tę niepoważną doktorową, która zamiast siedzieć w domu i wspierać męża w ciężkiej pracy, z panią na spółkę obmyśla plan zburzenia porządku społecznego!

– Doprawdy? – Uśmiechnęłam się pobłaźliwie. – A jaki to porządek społeczny tak skwapliwie burzymy z panią Marianną?

– Niech się pani tak nie podśmiechuje, bo się ten śmiech w końcu w płacz zamieni! Już się na was wielu poznało! Wiemy, co wy za jedne! Pani postępowanie to jeszcze mogę zrozumieć, bo stara panna bez przyszłości, to i rozum straciła. Ale doktorowa? Tylko wstyd sobie przynosi! Kto to widział, żeby z dwójką dzieci, i to z jednym jeszcze przy piersi, tak się popisywać! To wstyd i hańba! I jeszcze moją córkę bałamucicie, tak wychowaną i ułożoną. I co? Z dnia na dzień dziewczyna rozum straciła! Buntuje się! Wygraża! Przez te głupoty, których się w waszym szmatławcu naczytała!

Westchnęłam. Wolno wstałam od biurka i bez cienia irytacji wskazałam mojej rozmówczyni krzesło.

– Szanowna pani usiądzie – poprosiłam nad wyraz miłym tonem. – Czy mogę spytać, jak się szanowna pani nazywa? Skoro szczyci się pani dobrym wychowaniem, to chyba najpierw wypadałoby się przedstawić.

Kobieta zmierzyla mnie wzburzonym wzrokiem, wyraźnie zdegustowana. W końcu sapnęła i usiadła.

– Nazywam się Teresa Dąbrowska. Mój mąż szanowny, Bolesław Dąbrowski, jest zastępcą kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego. Jesteśmy porządną i szanowaną rodziną. Mamy czworo dorosłych dzieci i każde zostało wychowane w dyscyplinie i poważaniu. Jeden syn jest inżynierem, drugi poszedł na księdza, starsza córka wyszła za mąż i prowadzi spokojne, godne życie. Tylko ta młodsza... – Wykrzywiła usta w grymasie niezadowolenia. – Aurelia nawtykała sobie głupot do głowy! Od kiedy zaczęła czytać tę waszą diabelską gazetę, zupełnie nad nią nie panuje! Porządne panny sprowadzacie na złą drogę!

– Chyba pani przesadza – odparłam z najwyższym spokojem.

Już tyle razy musiałam tłumaczyć się z artykułów drukowanych w „Głosie Kobiet”, że nauczyłam się zachowywać powagę i opanowanie, nawet gdy rozmówcy rzucali mi bluzgi w twarz. Nie żeby nie wywierało to na mnie żadnego wpływu; miałam świadomość, że nasza praca spotyka się z powszechnym ostracyzmem, jednak z drugiej strony otrzymywałyśmy pozytywny odzew wśród wielu kobiet – szczególnie młodych i postępowych. Nasze artykuły uwalniały ich z kajdan surowego wychowania, nakazów i zakazów, które czyniły z kobiety bezwolne marionetki w rękach ojców czy mężów. Nie raz i nie dwa do naszej redakcji przychodziły panny, by podziękować nam za cenne porady, za pomoc w podjęciu odważnej decyzji, a nawet w błahych, zdawałoby się, sprawach, chociażby związanych z modą. Nigdy nie zapomnę jednej z nich, która miała na twarzy uśmiech triumfu. Wyznała, że czuje się cudownie uwolniona od ciągłych bólei pleców i brzucha, które towarzyszyły jej niemal każdego dnia z powodu zbyt niewygodnego i ciasnego gorsetu. Szczególnie jednak odczuła wolność osobistą,

kiedy po lekturze naszego artykułu o szkodliwości noszenia gorsetów zdjęła go zupełnie!

– A mój mąż ile ma z tego pożytku! – rzuciła na odchodne z szerokim uśmiechem i mrugnęła do nas szelmowsko, dając do zrozumienia, że teraz ich małżeńskie pożycie stało się znacznie łatwiejsze.

– Wasza działalność jest zła i bulwersująca i powinna zostać natychmiast zakończona! – Teresa Dąbrowska wyrwała mnie z tych miłych rozmyślań. – Ostrzegam, że jeśli same nie pójdą panie po rozum do głowy, to wraz z moim mężem, który ma szerokie wpływy, dołożymy starań, ażeby ten przybytek zlikwidować raz na zawsze!

– Muszę panią rozczarować – powiedziałam powoli – ale nie zamierzamy zamykać gazety. Mam odmienne zdanie od pani, bo uważam, że nasz „Głos Kobiet” robi wiele dobrego. Gazeta jest potrzebna choćby garstce odbiorców. Nasze artykuły są rzetelne i opracowane w porozumieniu z lekarzami, prawnikami, nauczycielami, a nawet kreatorami mody. Te osoby z misją działają na rzecz poprawy sytuacji polskich kobiet. Nawet Dom Hersego ma u nas szczególną rubrykę poświęconą trendom, a wiele pań podróżujących po Europie dzieli się z nami nowinkami z francuskich czy włoskich żurnali. Koło gospodyń wspiera nas poradami na temat gotowania i zarządzania domem. U nas każda czytelniczka znajdzie coś dla siebie.

– Niech mi tu pani nie opowiada bajeczek! – Pani Dąbrowska prychnęła. – Tymi całymi opowieściami o modzie i gotowaniu bezczelnie pudrujecie zgniliznę! Moja córka przez wasze dywagacje wokół wykształcenia kobiet ubzdurała sobie, że chce wyjechać na nauki do Paryża i zostać lekarzem! Czy pani to słyszy? Lekarzem!

Zaśmiałam się.

– Winszuję córki. Powinna być z niej pani dumna.

Kobieta, zgorszona, otworzyła usta.

– Co też pani wygaduje? Kobieta lekarz to nie przystoi! Będzie chłopom w gacie zaglądać? Będzie ich badać takich gołych? To wstyd!

– No cóż, badanie często wymaga tego, żeby pacjent się rozebrał – odparłam, z trudem powstrzymując śmiech.

Pani Teresa zadygotała z oburzenia.

– Nie ma pani w sobie krzty przyzwoitości! Nie dziwię się, że została pani starą panną, bo jaki mężczyzna zechciałby taką żonę, co to nie umie się przyzwoicie zachować! Ta gazeta to zło! Zło, powtarzam pani! I to zło trzeba natychmiast wyplenić, póki nie zatrulo wszystkich umysłów niewinnych dziewcząt w tym kraju!

– Te niewinne dziewczęta, jak pani mówi, chcą wolności osobistej. Chcą być traktowane poważnie i w zgodzie z ich kompetencjami i potrzebami. Proszę pomyśleć, ile pożytku przyniesie pani córka, gdy zostanie lekarzem. Ilu ludzi

wyleczy, a nawet uratuje od śmierci. Czy to nie wzniosły cel? Myślę, że zamiast się sprzeciwiać, powinna jej pani na to pozwolić, a wręcz ją wspierać.

– Toż to byłby skandal! Nasza rodzina od zawsze trzyma się zasad, jesteśmy wzorem dla innych, a teraz mam pozwolić najmłodszej na zawód, który uczyni z niej pośmiewisko? Co to, to nie! Będzie wytykana palcami, wyszydzana, nie mówiąc już o tym, że nikt przy zdrowych zmysłach nie pójdzie się do niej leczyć! Ja wiem, że takie anomalie występują na świecie coraz częściej, ale ja się z tym nie zgadzam i na to nie pozwolę!

– W takim razie nie umiem pani pomóc. Dziękuję za wizytę, ale dalsza rozmowa jest bezcelowa, a ja mam sporo pracy.

Teresa Dąbrowska na moje ostentacyjne odprawienie spurpurowiała na twarzy.

– Mówiono mi, że jest pani bezczelna, ale nie sądziłam, że aż tak! To wprost niewiarygodne, że ma pani czelność odzywać się do mnie, dojrzałej kobiety, w taki sposób!

– Szanowna pani, to nie ja wtargnęłam do pani biura i nie ja mam pretensje o całe zło tego świata – odparłam spokojnie i wróciłam do redagowania artykułu.

Matrona zerwała się z krzesła i nie mówiąc ani słowa, wymaszerowała z redakcji, ponownie trzasnąwszy drzwiami.

Westchnęłam i oparłam łokcie na biurku. Wierzchem dłoni przetręłam zmęczone oczy i popatrzyłam na wiszącą na ścianie sporych rozmiarów gablotę, na której wieszaliśmy z Marianną te artykuły, które przyniosły naszej gazecie największy rozgłos. Pisałyśmy ostro i dobitnie. O potrzebie zrównania kobiet w prawie cywilnym z mężczyznami. O uwolnieniu ich spod przymusowej kurateli ojców i mężów. O walce z alkoholizmem i prostytutką, o rozszerzeniu edukacji i opieki społecznej na kobiety żyjące na marginesie, szczególnie samotne matki. Ponadto poruszałyśmy sprawy obyczajowe, domagając się równie wysokich jak u dziewcząt wymagań w czystości obyczajów u chłopców. Te wszystkie tematy wyjątkowo bulwersowały opinię publiczną. Narazaliśmy się na ataki i wyzwiska, lecz ja byłam na nie bardziej odporna niż Marianna. Powszechnie uważano, że ona jako żona i matka dwójki małych dzieci powinna prowadzić się wzorowo.

Od kiedy zaczęłyśmy wydawać „Głos Kobiet”, napotkaliśmy na mnóstwo problemów. Wpierw Wydział Cenzury Rządowej bez uprzedzenia cofał nam co jakiś czas cały nakład, oskarżając o niewłaściwe artykuły, choć przecież nie pisałyśmy nic o polityce ani rządach cara. Później zaczęły się męczące kontrole, jakby komuś celowo zależało na osłabieniu naszego zapału. I to jednak zdołałyśmy przeżyć, więc urzędnicy dali nam spokój. Szybko jednak pojawiły się pretensje od niezadowolonych czytelników, którzy w niewybrednych słowach grozili nam nasłaniem na nas policji, specjalną kontrolą, a raz nawet spalaniem redakcji.

Marianna z pewnością spotkała się z Teresą Dąbrowską w wejściu do kamienicy, bo wkraczając do biura, minę miała wielce znaczącą. Do redakcji

przychodziła później niż ja, bo do południa zajmowała się dziećmi, po południu zostawiała je pod opieką piastunki i dopiero wówczas szła tutaj.

– Domyślam się, że nawiedziła nas owa szanowna matrona – rzekła na powitanie, zdejmując z misternie upiętych jasnych włosów modny kapelusz.

Po urodzeniu syna nieco przybrała na wadze i jej twarz stała się okrągłejsza, lecz to tylko dodało jej kobiecości.

– Tak mi nagadała w bramie, że mi niemal w pięty poszło!

– Owszem, była tu – potwierdziłam. – Uważa, że sprowadzamy jej córkę na złą drogę, bo dziewczyna pod wpływem naszej gazety chce zostać lekarzem.

Marianna się zaśmiała.

– Nie omieszkała wspomnieć. Ciekawe, co powie o tym! – Położyła na biurku ekspertyzę dotyczącą potrzeby podnoszenia kwalifikacji kobiet w każdej dziedzinie zawodowej i tworzenia dla nich osobnego prawa chroniącego ich pracę.

Popatrzyłam na wypunktowane uwagi, spisane przez główną pracownicę modnego zakładu krawieckiego, kilka pracownic piekarni i jedną mężatkę prowadzącą z ojcem zakład fotograficzny.

– To rzeczywiście więcej niż niesprawiedliwe, że główny piekarz zbiera pochwały od klientów i odpowiednie wynagrodzenie od właściciela za wypieki, których nawet nie tknął palcem, bo pracownice wszystko zrobiły za niego.

Marianna pokiwała głową.

– A córka fotografa żali się, że klienci nie chcą stawać przed jej obiektywem, bo uważają, że kobieta nie potrafi obsługiwać aparatu. Tymczasem ona doskonale zna się na rzeczy. Jej ojciec zaczął chorować i ma problem z wykonywaniem pracy, a klientów ubywa, bo ona jest kobietą.

– No tak...

Gazetę prowadziłyśmy od dwóch lat. To były pouczające, ale i trudne miesiące. Rozwinęłyśmy skrzydła, pogłębiłyśmy wiedzę dzięki rozmowom ze specjalistami z wielu dziedzin życia. Jednocześnie stałyśmy się wrogami publicznymi. Wytykano nas w towarzystwie, szeptano za naszymi plecami. Staralam się być głucha na wszelkie docinki, zwłaszcza że po tragedii, która mnie spotkała, takie plotki nie były w stanie mnie dotknąć. Za to Marianna wracała wieczorami do domu i omawiała z mężem, jak radzić sobie z ludzką zawiścią i brutalnością osądów. Coraz rzadziej zapraszano ich oboje na przyjęcia i inne spotkania towarzyskie; jej pracę nad gazetą uznano za niegodną żony lekarza, a jego samego za zbyt pobłażliwego wobec jej fanaberii.

Mnie nie zapraszano wcale przez wzgląd na moje staropanieństwo, które chyba mocno rzucało się w oczy. Miałam już trzydzieści lat, a to czyniło mnie według innych kobietą straconą na zawsze, choć ja swoją samotność i brak męża głęboko ceniłam, uznając za jedno z warunków osobistej wolności.

– Antoś zrobił dziś pierwszy krok – rzekła rozpromieniona Marianna. – Nie wiem, kiedy on tak urósł. Przecież ledwo go urodziłam! A Izunia to żywe srebro! Wszędzie jej pełno! Jest taka ciekawska. Chodzi za mną i Antonim i wypytuje nas o wszystko... Och, Klaro! – Spojrzała na mnie z nagłym przerażeniem. – Przepraszam!

Pokiwałam bezwiednie głową, bo nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Coś boleśnie ścisnęło mnie w piersi za każdym razem, kiedy moja przyjaciółka wspominała o dzieciach.

Marianna chwyciła mnie za dłoń.

– Nie chciałam! Taka jestem niemądra! – wykrztusiła z wyrzutem.

– To nic. Nie musisz mnie przepraszać. Nie masz za co. Cieszę się, że Antoś zaczął chodzić. To takie cudowne! – Nie chciałam łez, ale one same potoczyły się po moim policzku.

Łzy dumy i równocześnie niekończącej się tęsknoty za moim dzieckiem. Marianna to wiedziała. Rozumiała. I żal mi było, że z mojego powodu próbowała hamować radość, bo ja nie potrafiłam się powstrzymać od emocjonalnej reakcji.

– Odwiedzę was wkrótce i przyniosę Antosiowi szczególny prezent z tej okazji. To ważne wydarzenie – odparłam, opanowując się.

Marianna przytaknęła i cichutko wróciła do pracy, a mi znów zrobiło się przykro, że odarłam ją z tej pięknej chwili, kiedy z dumą mówiła o synku.

– Dąbrowska groziła, że jej mąż ma wpływy i postara się nam zaszkodzić – rzekłam po chwili, kiedy przyjaciółka z uwagą pochylała się nad gotowymi materiałami do kolejnego numeru.

Popatrzyła na mnie znad urokliwych okrągłych okularów, które zakładała zawsze, kiedy musiała przeczytać większą ilość tekstu, bo wzrok ostatnio odmawiał jej posłuszeństwa.

– Myślisz, że mówiła szczerze? Wielu próbuje nas zastraszyć...

– Brzmiała przekonująco. Jej mąż jest podobno zastępcą kuratora okręgu naukowego, więc z pewnością ma znajomości.

Marianna odchrząknęła i zaczęła machać stopą w eleganckim pantofelku, jak to miała w zwyczaju. Ten gest daleko wykraczał poza ramy właściwego zachowania, ale moja przyjaciółka, gdy byłyśmy same, już dawno przestała zważać na konwenanse.

– Myślę, że nie ma się czym przejmować. Już wiele otrzymywałyśmy takich gróźb, a jakoś zawsze kończyło się jedynie na słowach.

Przeglądała jeden po drugim kolejne artykuły, raz po raz podkreślając coś piórem lub pisząc uwagę na marginesie. Później omawiałyśmy te wątpliwości, podobnie jak moje, tylko że ja miałam na to osobny brulion.

– Antoni spotkał się wczoraj wieczorem z Bartłomiejem Ostrowskim – odezwała się ponownie. – Wiesz, z tym, co niegdyś uciekł z Cytadeli.

– Przyjechał do Warszawy? – spytałam.

Pamiętałam, że uciekinier, który chował się w domku dziadka na Pradze, przeniósł się do Lwowa.

– Tak, przyjechał pod zmienionym nazwiskiem. Podobno pytał o ciebie. Chciałby się z tobą spotkać.

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

– Ze mną? Po co?

Marianna uśmiechnęła się pod nosem.

– No wiesz, chciałby ci podziękować. To miło z jego strony. Myślę, że powinnaś się zgodzić.

Widziałam, że Marianna patrzyła na mnie z błyskiem w oczach.

Prychnęłam z pewnym lekceważeniem, choć po prawdzie zrobiło mi się miło, że ten człowiek o mnie pamiętał. Wspominałam go z sympatią i byłam gotowa się z nim zobaczyć, zapytać, jak się miewa, i czy udało mu się oszukać carską sprawiedliwość.

– Dobrze, spotkam się z nim – odparłam bez żenady, tym samym ucinając temat.

Po uporaniu się z ostatnimi poprawkami wyszłyśmy z Marianną z redakcji, zadowolone z efektów kilkugodzinnej pracy i niczego nie podejrzewając. Jakie więc było nasze zdumienie, kiedy w wejściu do kamienicy zatrzymało nas dwóch żandarmów. Wyglądali, jakby specjalnie na nas czekali.

– Pani Klara Tyszkowska i pani Marianna Wąsowicz-Sieradzka? – zapytał jeden z nich oschłym służbowym tonem.

– Panna Tyszkowska – poprawiłam go. – W czym możemy pomóc?

– Dostaliśmy nakaz sprawdzenia redakcji.

Uśmiechnęłam się łagodnie, choć słowa żandarma mnie zaskoczyły.

– Proszę się nie obawiać, nasza gazeta jest legalna. Mamy na nią urzędowe pozwolenie, więc nie muszą się panowie fatygować.

– Mimo to chcielibyśmy owo pozwolenie zobaczyć.

Popatrzyłyśmy na siebie z Marianną. Pora była już wieczorna, zaczynało zmierzchać, a konieczność powrotu do redakcji i szukania dokumentów sprawiłaby, że wrócimy do domów zupełnie po ciemku.

– Dzisiaj jest już późno, więc prosimy przyjść jutro. Wszystko przygotuję.

– Mamy nakaz, by sprawdzić to teraz – rzekł mundurowy nieustępliwym tonem.

Wiedziałam, że Marianna musi wracać do domu, bo czekały na nią dzieci, a szczególnie mały Antoś, który wymagał dodatkowych matczynych pieczynek przed zaśnięciem.

– Dobrze więc – odpowiedziałam oschle. – Pójdę z panami i wszystko przedstawię, ale pani Wąsowicz-Sieradzka niech wraca do domu. Późno już, jej

dzieci czekają. Panowie żandarmi na pewno to rozumieją.

Żandarm pokręcił przecząco głową.

– Nakazano nam zatrzymać do kontroli obie panie.

– Kontroli? Jakiej kontroli? Kto nakazał?

– Klarciu, nie unoś się, zostanę – rzekła Marianna rozjemczym tonem. – Antoni z piastunką zajmą się dziećmi.

Policjant wskazał na wejście do kamienicy.

– Proszę otworzyć biuro i pokazać pozwolenia na wypuszczanie gazety – zażądał.

Nie mając wyboru, obie wróciłyśmy do redakcji w asyście żandarmów.

Mężczyźni wpierw krążyli wokół z poważnymi minami, oglądając gablotę z artykułami, leżące na biurku broszury, przeglądając książki, aż w końcu zatrzymali się przy szafie, w której schowane były archiwalne egzemplarze „Głosu Kobiet”. Wyciągali jeden po drugim i z grubsza przeglądali zawartość. W tym czasie ja wraz z Marianną wertowałyśmy teczki z dokumentami, szukając tych, które pozwalały nam na legalne wydawanie pisma na terenie Warszawy. Zerknęłam na Mariannę i zauważyłam, że choć starała się być opanowana, to dłonie jej drżały, a na policzki wystąpiły nerwowe rumieńce. Ja też czułam się nieswojo. Coś musiało być na rzeczy, ale postanowiłam zachować spokój.

– To zakazane treści – rzekł nagle jeden z mundurowych, podsuwając mi z pretensją gazetę z biograficznym artykułem o pierwszej bojownicze o prawa kobiet, Olimpe de Gouges, Francuzce, która została ścięta na szafocie podczas rewolucji francuskiej.

– Opisałyśmy historię kobiety, która żyła we Francji podczas rewolucji – wyjaśniłam spokojnie. – A to już odległa przeszłość, więc gdzie tu zakazana treść, panie dzielnicowy? – Uśmiechnęłam się, podając mu dokument z pozwoleniem na wydawanie gazety.

Przyjął go ode mnie z urzędniczą miną.

Wraz ze swym towarzyszem zaczęli uważnie studiować pismo, aż jeden z nich zmarszczył brwi.

– Tu nie ma daty końcowej.

– Co to znaczy? – spytała Marianna.

Ja również nie rozumiałam, o co chodzi. Dostrzegłam jedynie, że mężczyzna miał minę, jakby nagle odkrył coś niezwykle istotnego.

– Brakuje daty wygaśnięcia pozwolenia – rzekł.

– Bo pozwolenie zostało wystawione na czas niekreślony – wyjaśniłam.

Żandarm spojrzał na mnie karcąco.

– To niedozwolone. Każdy dokument powinien być odnawiany. Musimy zamknąć redakcję do czasu wyjaśnienia.

– Absurd! – wykrzyknęłam oburzona. – Wszystkie papiery i pozwolenia są aktualne i legalne! Nie możecie zamknąć redakcji. Jutro mamy druk!

– Przykro mi, ale decyzja jest niepodważalna. Redakcja zostaje zamknięta do odwołania.

Nie mogliśmy wykrztusić ani słowa. Jak to możliwe? Czyżby jednak ktoś z naszych wrogów, których miałyśmy aż nadto, dopiął swego? I celowo nasłał na nas tę nieuzasadnioną kontrolę?

– W porządku. Załatwimy to jutro – rzekła Marianna z nadzwyczajnym spokojem, choć znałam ją na tyle, żeby wiedzieć, że ten spokój był udawany. – Skoro panowie żandarmi muszą zamknąć redakcję, to trudno. Proszę jednak pozwolić nam wrócić do domu, a jutro wszystko wyjaśnimy i będzie po sprawie.

– Do czasu wyjaśnienia musimy skonfiskować materiały i narzędzia – odparł żandarm, bez cienia zażenowania znów krążąc po niewielkim biurze.

Zatrzymał wzrok na przyległym pomieszczeniu, w którym widać było maszynę drukarską.

– Co znaczy skonfiskować? Jak to?

– Zabezpieczyć i zabrać. Przechować.

– To niemożliwe! – krzyknęłam. – Tego nie da się tak po prostu skonfiskować i za chwilę ponownie przenieść na miejsce! Tu jest maszyna drukarska, mnóstwo pism, artykułów! Jesteśmy małą gazetą, działamy legalnie, zgodnie z prawem...

– My tylko wykonujemy rozkazy.

– Czyje rozkazy? – spytałam wściekle, przeczuwając odpowiedź. – To bezprawne!

Żandarm spojrzał na mnie groźnie.

– Radzę się tak nie unosić, panno Tyszkowska. Wiemy, że już raz spędziła pani noc w areszcie za nielegalny druk. Najwyraźniej doprasza się pani powtórki.

– Ten druk nie jest nielegalny! – powtórzyłam, ale Marianna mocno złapała mnie za rękę, powstrzymując przed dalszym wywodem.

– Skoro musicie, to trudno – rzekła, starając się zachować opanowanie. – Proszę robić swoje. Nie wiem doprawdy, jak panowie dzielnicowi zamierzają we dwóch to wszystko skonfiskować, ale widocznie są panowie nadzwyczaj silni. Więc proszę się nie krępować. Od czego panowie zaczną? Może od maszyny drukarskiej?

Popatrzyłam na nią zdumiona, lecz widząc jej poważną minę, z jaką lustrowała raczej wątle postury żandarmów, wpierw miałam ochotę na nią nakrzyczeć, że stroi sobie żarty, a chwilę potem parsknąć śmiechem.

ROZDZIAŁ 30

Zachodzące słońce sprawiło, że niebo nad Warszawą stanęło w płomieniach. Żarzyło się purpurową łuną, tak silną, jakby za chwilę zamierzało strawić dachy i wieże, a nawet krzyże na kościołach i cerkiewne kopuły.

Patrzyłam na ten obraz ze ściśniętym żołądkiem, rozmyślając o tym, że wypuszczono mnie z gabinetu policmajstra po niezwykle krótkim przesłuchaniu, a Marianna wciąż tam tkwiła. Nie chciano jej puścić wolno, choć solennie zapewniałam oficera, że wiem wszystko o gazecie i mogę udzielić wszelkich niezbędnych informacji. Marianna była matką dwójki małych dzieci i powinna natychmiast zostać zwolniona do domu. Tymczasem z niewiadomego powodu bawili się z nią w kotka i myszkę, w ogóle nie słuchając, co miała do powiedzenia. Nie rozumiałam tego i przez to odczuwałam lęk. Cała sytuacja ze sprawdzaniem papierów wydawała mi się skrajnie dziwna.

– Powiniennem się domyślić, że coś się w końcu stanie – rzekł Antoni, kiedy spotkałam go chwilę później przy powozie niedaleko budynku policji.

Stał tu zapewne od dłuższego czasu, w cieniu gęstych drzew, by nie być zaczepianym przez zandarmów, i czekał cierpliwie na żonę. Bał się o nią – wyczuwałam to każdym zmysłem. Widziałam, jaki był blady i spięty. Wcześniej próbował wejść na posterunek, ale mu nie pozwolono, a jeden z zandarmów wprost zagroził mu aresztem.

– Od jakiegoś czasu miałem sygnały, że Ochrona nas sprawdza, że patrzą nam na ręce, a nawet śledzą – rzekł ponuro. – Powiniennem być bardziej ostrożny.

– Co ty mówisz? Skąd takie przypuszczenie?

Antoni miał strapioną minę. Był też zmęczony, bo kilka godzin spędził na dyżurze w szpitalu, a później jeździł z wizytami do domów pacjentów.

Zdjął kapelusz i zaczął miąć go nerwowo.

– Widuję ich w szpitalu. Węszą, obserwują mnie, krążą po salach. Niby kogoś szukają, a w rzeczywistości sprawdzają, kogo leczę. Sytuacja w mieście ostatnio znacznie się uspokoila, organizacja bojowa już nie straszy rosyjskich oficjeli na ulicach, ale to niewiele zmienia, bo polityczni są nieufni w stosunku do każdego, kto wydaje im się podejrzany. Szukają wrogów politycznych.

– Chodzi o to, że jakiś czas temu pomagaliście z Marianną bojowcom? Że ich ukrywaliście i opatrywałeś rannych? – szepnęłam.

– O to pewnie też, ale nie tylko.

– Więc o co jeszcze? – Patrzyłam na niego pytająco.

Antoni zmarszczył brwi.

– Wciąż mam kontakty z byłymi bojowcami. Spotykam się z nimi towarzysko, bo choć działają w tajnych organizacjach, to przecież oficjalnie to zwykli obywatele. Na spotkaniach rozmawiamy o sprawach wolności i niepodległości. O tym, co się dzieje na arenie międzynarodowej, a jak się domyślasz, sytuacja jest bardzo dynamiczna. Mamy w Europie poważny kryzys. Mocarstwa, wyraźnie znudzone, przebijają się nawzajem w wyścigu zbrojeń. Europa podzieliła się na dwa obozy: z Niemcami i Austrią po jednej stronie i Francją, Anglią oraz Rosją po drugiej. A wiesz, co to dla nas oznacza? Wiesz, co może wynikać z wojny między Niemcami z Austrią a Rosją? – W jego głosie usłyszałam nutkę nerwowości.

– Niepodległość dla Polski – rzuciłam natychmiast.

– Tak... I jak nam Bóg miły, musimy to wykorzystać, bo innej szansy nie będzie.

– Ale jaki ma to związek z Marianną? – spytałam, wciąż nie rozumiejąc.

Jaki wpływ miała sytuacja międzynarodowa na zatrzymanie na posterunku policji mojej przyjaciółki w związku z naszą gazetą?

Antoni westchnął i spuścił głowę.

– Wiesz, że niemal cztery lata temu we Lwowie powstała tajna organizacja wojskowa, powołana przez Kazimierza Sosnkowskiego.

– Wiem. Związek Walki Czynnej.

– Tak. ZWC działa bardzo dynamicznie, szkoli nowych żołnierzy w powstałych związkach strzeleckich. Problem tkwi w tym, że o ile Lwów i Kraków działają pręźnie i chcą tworzyć wojsko zawodowe, a nawet mają do tego mnóstwo chętnych, o tyle Warszawa utkwiała w martwym punkcie. Wydaje się, że po rewolucji każdy w Kongresówce przywykł do rosyjskich porządków. A przecież nie o to chodzi! Celem organizacji jest przyszłe powstanie zbrojne! A ja... – Antoni odchrząknął i rozejrzał się, czy przypadkiem nikt nas nie podsłuchuje. – Pomagam rekrutować żołnierzy.

– Ty? – Popatrzyłam na niego zdumiona. – Ale jak to?

– Oczywiście nie robię tego sam, ale staramy się kierować chętnych na właściwe szkolenia wojskowe. Przez to Ochrana węszy, bo coś przeczuwają. I myślę, że dlatego trzymają Mariannę. Chcą ją nastraszyć, by uderzyć tym we mnie. Albo zamierzają ją zwerbować do informowania o tajnych spotkaniach, szkoleniach i kto bierze w tym udział.

– Nie wierzę! – Pokręciłam gwałtownie głową. – To niemożliwe. Nie wybraliby Marianny.

– A ja myślę, że wybrali właśnie ją. Oni tak działają. Chcą osoby, które w razie sprzeciwu miałyby zbyt dużo do stracenia. Na przykład rodzinę.

Zesztywniałam.

– Zamierzają zrobić z niej konfidentkę?

Antoni popatrzył na mnie z udręką w oczach.

– Obym się mylił – wykrztusił.

– Myślę, że się mylisz. Przecież to byłoby zbyt oczywiste.

Rozmawialiśmy jeszcze długo, a czas upływał nieznośnie wolno na nerwach i oczekiwaniu. Antoni namawiał mnie do pójścia do domu, ale nie mogłam tego zrobić, nie wiedząc, co dzieje się z Marianną.

Była niemal noc, kiedy moja przyjaciółka pojawiła się w głównym wejściu na posterunek policji, w towarzystwie szeregowego. Zdawała się skołowana, jakby zdezorientowana. Stała na pustym chodniku i rozglądała się niepewnie.

Antoni natychmiast przebiegł na drugą stronę ulicy i wyszedł jej na spotkanie. Widziałam, jak porwał ją w ramiona i mocno przytulił. Poczułam nagle wzruszenie.

– Nic mi nie jest – rzekła Marianna uspokajająco, kiedy wsiedliśmy do powozu.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się łagodnie. Była blada i miała podkrążone oczy. Dłonie jej drżały.

– Nie rozumiem, po co to całe przedstawienie! – warknęłam z irytacją.

Marianna wzruszyła ramionami i przytuliła się do męża.

– Jedźmy do domu. Do dzieci – zwróciła się do niego, a później popatrzyła na mnie. – Przysłuchiwał mnie Kirsanov – wyznała matowym głosem.

Zadrżałam.

– Co takiego?

Na dźwięk tego nazwiska zjeżyły mi się włoski na karku. Jakbym przeżywała powtórkę tego, co wydarzyło się parę lat temu, kiedy Kirsanov trzymał w areszcie Jędrzeja.

– Zrobił ci coś? Uderzył cię? – dopytywałam ze ściśniętym gardłem.

Marianna nerwowo pokręciła głową.

– Nie. Chciał wiedzieć, co robimy, z kim się spotykamy, kto przychodzi do naszej redakcji. – Popatrzyła na męża. – Pytał o ciebie...

Antoni zacisnął palce na jej dłoni.

– Musimy na jakiś czas zaprzestać spotkań z kimkolwiek. Nie możemy dawać im powodów do podejrzeń.

Marianna niemo przytaknęła.

Ja tymczasem byłam pełna niepokoju. Bałam się o nich. Szczególnie o Mariannę, która tak naprawdę nie знаła Kirsanova i nie wiedziała, do czego ten drań był zdolny.

Przez resztę drogi moja przyjaciółka była milcząca. Wtuliła się w męża i zapatrzyła się w jeden punkt, jakby analizowała w głowie to, co się wydarzyło.

A ja miałam nieznośne wrażenie, że wszystko było złe.

Kiedy wysiadałam z powozu, przed kamienicą na Pięknej, Marianna chwyciła mnie za rękę i uściśnęła.

– Klaro, nie martw się. To na pewno nic takiego...

Mimo woli zadrżałam.

– Na pewno – odpowiedziałam jej ze sztucznym uśmiechem.

Kiedy weszłam do domu, powitali mnie zmartwieni rodzice. Ze smutkiem pomyślałam, że znów naraziłam ich na niepotrzebne nerwy. Kiedy byłam młodsza, niewiele mnie to obchodziło. Teraz przejmowałam się ich strapieniami.

– Gdzie byłaś? – dopytywał zdenerwowany ojciec.

Wydawał się poszarzały i nienaturalnie przygarbiony, jakby dopadł go dręczący ból.

Mama ścisnęła w kruchych dłoniach pasek od jedwabnej podomki. Ona też wyglądała na głęboko poruszoną.

– Do gazety przyszli żandarmi i zabrali mnie oraz Mariannę na posterunek. Chcieli się upewnić, że nasze pozwolenia na druk są właściwe.

Zdjęłam płaszcz i kapelusz i oddałam kamerdynerowi. Próbowałam zachowywać się naturalnie, żeby nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń.

– To nic takiego – dodałam uspokajająco i pocałowałam oboje w policzek. – Idźcie spać.

– Ciągłe napędzasz nam stracha – wydusiła mama płaczącym tonem. – Po co to, Klaro? Czy nie lepiej byłoby, gdybyś dała sobie spokój z tą gazetą? Same problemy przez to.

– Chodź, Eluś. Skoro nic się nie stało, to nie ma co roztrząsać tematu – rzekł ojciec, chwytając mamę delikatnie pod łokieć i prowadząc w stronę schodów.

Mama kiwnęła głową i poszła za ojcem.

Patrzyłam, jak pod rękę wchodzili na górę. Teraz oboje zdawali się przygarbieni i jakby mniejsi. Jak na dłoni widziałam, że się starzeli, i ta nieznośna prawda uderzała we mnie boleśnie.

Na palcach, żeby nikogo już nie niepokoić, poszłam do saloniku i nalałam sobie pełny kieliszek żytniówki. Wprawdzie nie znosiłam wódki, ale w tej chwili uznałam, że potrzebuję czegoś mocniejszego na rozluźnienie.

* * *

Kapitan Aleksander Kirsanov, jako prawa ręka generała-gubernatora Gieorgija Skałona, prócz miejsca w koszarach przy Alejach Ujazdowskich, urzędował

również w reprezentacyjnej kamienicy na Nowym Świecie, niedaleko mojej kochanej redakcji „Steru”.

Szłam do niego z przeświadczeniem, że to będzie trudna wizyta. Może nawet nie zostaną dopuszczona do rozmowy, ale zdecydowałam się zaryzykować.

Znając upodobania Kirsanova, nie chciałam podkreślać swojej urody, więc założyłam prostą brązową suknię ze skromnymi falbankami, zapinaną wysoko pod szyję. Jedyłą ozdobą był medalion otrzymany od świętej pamięci dziadka Ignacego, który rok wcześniej odszedł z tego świata. Ciemne włosy upięłam na karku.

W drzwiach korytarza zatrzymali mnie dwaj żandarmi, z minami świadczącymi o tym, że jakiekolwiek prośby z mojej strony nie będą respektowane.

– Chciałabym się zobaczyć z kapitanem Kirsanovem – poprosiłam miłym tonem, nie chcąc ich rozjuszać.

– Kapitan jest w tej chwili bardzo zajęty – odparł żandarm kategorycznie.

– W takim razie usiądę tu i poczekam, aż znajdzie czas – rzekłam, wskazując na wolną ławkę pod ścianą.

– To może potrwać.

– Jestem cierpliwa – odpowiedziałam z prostotą i usiadłam, ściskając w dłoniach skórzaną torebkę.

Rzeczywiście czekałam długo, bo dopiero po ponad godzinie drzwi gabinetu Kirsanova otworzyły się i wyszła z nich kobieta. Piękna kobieta. Wychodząc, zmierzyła mnie zdumionym spojrzeniem bursztynowych oczu, a ja szybko przypomniałam sobie, że widziałam już tę urodziwą blondynkę na balu w Zamku Królewskim. To była córka polskiego bankiera, Joanna Wojnowicz. Teraz, z lekkim uśmiechem na ustach i zaróżowionymi policzkami, w modnej, podkreślającej smukłą sylwetkę sukni, wydała mi się jeszcze ładniejsza niż wtedy.

Tuż za nią w drzwiach pojawił się Kirsanov. Gdy mnie zobaczył, jego spojrzenie stało się zimne jak lód.

– Co ta kobieta tu robi? – spytał żandarmów, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Pani czeka na widzenie z kapitanem.

Zmrużyłam oczy, czując, jak przeszywa mnie nieprzyjemny dreszcz. Wolno podniosłam się z ławki, unosząc dumnie głowę.

Panna Wojnowicz patrzyła na mnie z drwiącym uśmiechem na ustach. Zapewne ona też mnie rozpoznała i skojarzyła, że byłam z Kirsanovem na owym balu.

– Mówiłem, że jeśli zobaczę cię w pobliżu, nakażę do ciebie strzelać! – syknął Kirsanov przez zaciśnięte zęby.

– Więc na co czekasz? – spytałam zuchwale.

Jego usta wygięły się w drwiącym grymasie.

– Wyprowadźcie stąd tę kobietę! Niech się tu nie kręci! – rozkazał sucho i ponownie spojrzął na swoją towarzyszkę, która obdarzyła go słodkim uśmiechem.

Jeden z żandarmów złapał mnie za łokieć, ale wyrwałam mu się i odsunęłam.

– Umiem chodzić sama! – wykrztusiłam.

Kątem oka patrzyłam, jak Kirsanov całuje pannę Wojnowicz w policzek, a następnie żegna się z nią, odbierając od niej powłóczyście spojrzenie.

Zrobiło mi się niedobrze.

Żandarm próbował pchnąć mnie w kierunku wyjścia, ale stałam sztywno jak przytwierdzona do podłogi.

Dama z wdziękiem skierowała się do drzwi, a Kirsanov zwrócił się do żandarma.

– Co ta kobieta tu jeszcze robi? – spytał obcesowo, patrząc jednak na mnie.

– Daj mi tylko chwilę – poprosiłam, znów opędzając się od natarczywego strażnika, który próbował chwycić mnie za rękę i wyprowadzić na zewnątrz.

Kirsanov zmarszczył brwi.

– O tej porze nie przyjmuję petentów. Jeśli ma pani jakieś sprawy, proszę się umówić.

Ignorując mnie, wszedł do gabinetu, lecz gdy zamykał za sobą drzwi, zablokowałam je, napierając na nie całym ciałem. Żandarm błyskawicznie pochwycił mnie i odciągnął od wejścia, zakleszczając w uścisku.

– Kirsanov! – syknęłam, a on odwrócił się i popatrzył na mnie z drwiącym uśmiechem.

– Nic się nie zmieniałaś. Nadal jesteś jak dzika kotka... Puśćcie ją – rzekł lekceważąco do żandarma.

Tamten wykonał polecenie, popychając mnie tak, że aż się zachwiałam.

Kirsanov zrobił niedbały gest, oznaczający, że mogę wejść, i usunął się z przejścia w głąb gabinetu. Wyglądając na siebie suknię, weszłam za nim.

– Sama prosisz się o kłopoty – rzekł kapitan, siadając nonszalancko za biurkiem.

– To ty je na mnie sprowadzasz – odparłam sucho. – Dlaczego przesłuchiwałeś Mariannę?

Ku mojemu zaskoczeniu Kirsanov wybuchł gromkim śmiechem. Śmiał się tak, że jego szeroka pierś trzęsła się pod opiętą marynarką munduru.

– Przychodzisz tu i bezczelnie pytasz, dlaczego przesłuchiwałam podejrzaną? Czyżby przysłał cię sam generał-gubernator? Czyżbyś to nagle ty stała się jego zastępcą, któremu należy składać raporty?

– Przestań ze mnie drwić!

Pochylił się w moją stronę, pełen niepohamowanego gniewu.

– To ty przestań udawać odważną! Najwyraźniej dotąd nie zdołałem ci udowodnić, na co mnie stać, skoro wciąż masz odwagę otwarcie mi się stawiać. Ale

skoro znalazłaś w sobie dość śmiałości, żeby tu przyjść, to znaczy, że czegoś ode mnie chcesz albo chcesz coś dla mnie zrobić. – Wygiął usta w ponurym uśmiechu. – To się dobrze składa, bo mam dla ciebie całkiem zajmujące zadanie.

Odchylił się na krzesło i rozpostarł ramiona na rzeźbionych oparciach.

– Twoja przyjaciółka i jej mąż są podejrzani o współpracę z tajnymi organizacjami. Wiesz, o czym mówię...

– Nie mam pojęcia – skłamałam.

– Pomagają ludziom o wywrotowych i anarchistycznych poglądach. To jest surowo karane. Już wyjaśniłem twojej koleżance, że jeśli nie posłuchają z doktorciem ostrzeżenia, to wkrótce będzie musiała się z nim pożegnać, bo wydam mu bilet w jedną stronę na daleką Syberię.

– Jak zwykle straszysz – wycodziłam przez zęby.

Jego oczy zwęziły się w szparki.

– Chcesz się przekonać, czy robię to skutecznie? Wciąż pamiętam, że twój kochaś miał wstąpić do carskiej armii i niestety tego uniknął. Pamiętam również, że brałaś udział w nielegalnych zgromadzeniach. Mogę wysłać was wszystkich jednym transportem. Chyba że podobnie jak pani Marianna zreflektujesz się i udzielisz mi kilku cennych informacji. Na przykład z kim i gdzie spotyka się doktorek? Komu pomaga? A jeszcze lepiej byłoby, gdybym się dowiedział, z kim Piłsudski buduje w Warszawie struktury wojskowe.

– Nie ma pojęcia, o czym mówisz – odparłam drwiąco. – Nic nie wiem o żadnych strukturach wojskowych.

– A jeśli zagrozę, że na zawsze zamknę ci gazetę, to się dowiesz? Zdaje się, że polubiłaś ten swój szmatławiec.

– Jeśli ją zamkniesz, otworzę nową.

– Więc przekonajmy się, które z nas ma więcej mocy. Pamiętaj, że twój urok już przestał na mnie działać. Nie masz w sobie nic, co mogłoby mnie zmiękczyć. – Znowu odchylił się na krzesło. – Daję ci miesiąc. Wówczas chcę znać pierwsze szczegóły. Jeśli się uporasz z tematem, gazeta zostanie. Jeśli nie...

– Zostaw Mariannę i jej męża w spokoju! Jeśli przez nich próbujesz uderzyć we mnie...

– Nie pochlebiaj sobie, moja droga! Uroda przemija i u ciebie ten proces już się zaczął. – To mówiąc, posłał mi lekceważące spojrzenie. – Miesiąc – powtórzył z naciskiem. – Po tym czasie przekonasz się, jaką mam moc sprawczą.

ROZDZIAŁ 31

Marianna źle znosiła kolejne dni po przesłuchaniu. Stała się drażliwa, bardziej niespokojna, a w drodze do redakcji notorycznie oglądała się za siebie, jakby zewsząd węszyła niebezpieczeństwo. Wiedziałam, że ma powody do niepokoju; ja sama też nie czułam się bezpiecznie po rozmowie z Kirsanovem, ale mimo wszystko starałam się uspokajać przyjaciółkę.

– Chyba nie zamierzasz mu donosić? – spytała mnie wprost, choć z pewnym wahaniem w głosie, kiedy opowiedziałam jej o mojej wizycie u kapitana i postawionym przezeń ultimatum.

– Oczywiście, że nie! Jak możesz w to wątpić?

– Nie wątpię, chciałam się tylko upewnić. – Marianna westchnęła. – A jeśli spełni swoją groźbę i zamknie naszą gazetę na amen?

Wzruszyłam ramionami.

– To nic. Poradzimy sobie. Myślę, że nie powinnaś się tym teraz przejmować. Wróć do domu i zajmij się dziećmi. Czas z nimi dobrze ci robi. – Patrząc na jej bladą twarz i podkrążone oczy, uznałam, że powrót do domu to najlepsze, co moja przyjaciółka może teraz zrobić.

– Chyba masz rację... – Siedząca przy biurku Marianna bezwiednie podparła dłonią brodę. – Rozmawiałam z Antonim i ustaliliśmy, że na jakiś czas zaprzestanie spotkań z socjalistami. Co ma się dziać, i tak się będzie działo, nawet bez naszej pomocy. Antoni za bardzo się w to wszystko zaangażował. Wprawdzie nie bierze udziału w szkoleniach wojskowych, bo nie chce walczyć z bronią w ręku, ale wspiera organizację finansowo, szuka miejsc na spotkania i wciąż leczy tych, którzy tego potrzebują.

Popatrzyłam jej prosto w oczy.

– Nie boisz się mówić mi o tym wszystkim, skoro wiesz, że Kirsanov zażądał, abym dla niego donosiła? – spytałam ze ściśniętym gardłem.

Marianna gwałtownie pokręciła głową.

– Powiedziałas, że tego nie zrobisz, a ja ci wierzę. – Ze wzruszeniem malującym się na twarzy wstała od biurka i podeszła do mnie, po czym objęła

mnie ramionami. – Ufam ci, Klaro. Nie możemy pozwolić temu draniowi, żeby zniszczył naszą przyjaźń.

„Nie możemy” – pomyślałam z przejęciem, jednocześnie dochodząc do smutnego wniosku, że jeśli Kirsanov zacznie spełniać swoje pogroźki, to Marianna będzie miała do stracenia znacznie więcej niż ja.

* * *

Bartłomiej Ostrowski prezentował się zupełnie inaczej, niż kiedy lata temu widziałam go po raz ostatni. Teraz miał gładko ogoloną twarz i zaczesane do tyłu ciemne włosy. Siedział przede mną w eleganckim prążkowanym garniturze i ze szczerym, choć powściągliwym uśmiechem robił zupełnie inne wrażenie. Wyglądał młodo i atrakcyjnie, choć jego twarz nie była pozbawiona drobnych zmarszczek. Spojrzenie ciemnych oczu miał głębokie i ujmujące.

– Widzę w panu sporą zmianę – rzekłam z uśmiechem, na co on poczerwieniał.

W jego wzroku też dostrzegłam podziw dla mnie, którego nie umiał ukryć, choć bardzo się starał.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, bliżej mi było do małpy niż człowieka – zaśmiał się z zakłopotaniem. – Dzięki pani znów mogę być człowiekiem.

– Przecenia pan moją rolę. Nie zrobiłam nic wielkiego, byłam jedynie pośredniczką.

– Ja widzę to inaczej. A jak szanowny pan Ignacy? Wciąż taki skory do rozmów? Chętnie zamieniłbym z nim parę słów.

Mój nastrój natychmiast się zmienił.

– Dziadek... zmarł kilka miesięcy temu – odparłam ze smutkiem, nie chcąc tłumaczyć nic więcej, bo sama myśl o tym napawała mnie żalobą. – Do samego końca wspominał pana z sympatią. Był dumny, że mógł pomóc polskiemu bohaterowi.

Ostrowski z szacunkiem spuścił głowę.

– Proszę któregoś dnia zaprowadzić mnie na grób. Będę wdzięczny.

– Zrobię to – obiecałam.

Stolik kawiarniany w Garden Café, przy którym zasiedliśmy, mieścił się w pięknie ukwieconej sali ze stojącym w kącie zabytkowym klawikordem. Ściany niewielkiego lokalu, wyłożone tkaniną w butelkowiezielonym kolorze z dodatkiem złotych sztukaterii, czyniły pomieszczenie przytulnym i zarazem eleganckim. Lubiałam to miejsce, choć z braku czasu bywałam tu rzadko. Pamiętałam jednak, że niegdyś przychodziłyśmy tu z dziewczętami przed zajęciami na Uniwersytecie Latającym, a z Jędrzejem wpadałam na kawę i deser lodowy.

– To dla mnie radość, że zechciała się pani ze mną spotkać. Rozmyślałam o tym od dawna, ale nie miałem śmiałości...

Roześmiałam się. Patrzyłam na tego z pozoru skromnego mężczyznę, zastanawiając się, skąd u niego tamta brawura, która popchnęła go do spektakularnej ucieczki z Cytadeli? Jak zdołał to zrobić? W dodatku, choć wciąż był na liście poszukiwanych przez policję, wojsko i Ochronę, nadal głęboko angażował się w sprawy niepodległościowe, za nic mając niebezpieczeństwo. Dlatego mimo zagrożenia więzieniem przybył z Lwowa do Warszawy.

Było w nim coś ujmującego. Może nie wydawał się uderzająco przystojny, raczej nieco zbyt sztywny i z pozoru pospolity, ale miał w sobie pewien urok, który działał na mnie pokrzepiająco. A może tak bardzo brakowało mi męskiego towarzystwa, że podświadomie zaczęłam go idealizować? Może imponowała mi jego wewnętrzna siła, która pchała go ku przygodzie?

– Od kiedy jest pan w Warszawie?

– Od kilku tygodni. Pod zmienionym nazwiskiem oczywiście. Udamę właściciela apteki.

– I dopiero teraz się pan do mnie odezwał? – Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na niego karcąco. – Skoro bez strachu naraża się pan warszawskim żandarmom, to mogliśmy wypić wspólną kawę już dawno. Straciliśmy sporo czasu.

W jego ciemnych oczach dostrzegłam błysk zainteresowania.

– Nie byłem pewien, czy pani zechce... Antoni zapewniał, że jest pani do mnie przychylnie nastawiona, ale nie śmiałem się narzucać. Pani rozumie.

– Towarzyskie spotkanie jest dalekie od narzucania się, panie Ostrowski. Nadal konstruuje pan materiały wybuchowe? – Ostatnie słowo wypowiedziałam niemal szeptem.

Zaśmiał się.

– Jeśli zachodzi taka potrzeba... Stąd wziął się pomysł na aptekę, bo na zapleczu jest sporo miejsca, no i zawsze w razie kontroli mogę skłamać, że sporządzam jakieś skomplikowane lekarstwo. Ale mam też wiele innych zadań. Czasy się zmieniają, to i obowiązki inne.

Nie wiem, dlaczego odczuwałam przeogromną potrzebę flirtu z tym mężczyzną. Biło od niego jakieś ciepło, które koło moją skostniałą z samotności duszę. Z drugiej strony jeszcze bardziej pociągała mnie jego prostota, zwyczajna męskość, kiedy ujmował w szeroką dłoń zbyt małą filiżankę z kawą albo kiedy w jego spojrzeniu widziałam coś, co leżało daleko od kurtuazji. Dotąd znałam jedynie te spojrzenia, którymi obdarzali mnie Jędrzej albo Kirsanov. Pierwszy patrzył na mnie z oddaniem, drugi z pożądaniem. Na innych mężczyzn nie zwracałam szczególnej uwagi.

– Więc z jakiego powodu podjął pan decyzję o powrocie?

– Tego, co zawsze. Z powodu ojczyzny. Dla niej warto się narażać, nawet jakby mnie mieli znowu zamknąć.

– Czy to nie nazbyt górnolotne słowa? Przecież pan widzi, że sporo ludzi przyzwyczało się do panujących obyczajów. Po latach zamieszek na ulicach, wybuchów bomb i krwi na bruku mieszkańcy chcą spokoju.

– Ale to złudny spokój, panno Klaro. Idzie wojna, która zmieni wszystko, poprzestawia porządki. Ta wojna jest już blisko.

Wyjęłam z torebki srebrną papierośnicę i gestem zapytałam rozmówcę, czy pozwoli mi zapalić.

– Ależ proszę – odparł szybko, chyba nieco zaskoczony moją swobodą.

– Pan nie pali?

– Nie, dziękuję. Wolę mocne trunki, ale wyłącznie w męskim towarzystwie.

Uśmiechnęłam się. Odpaliłam papierosa i wypuściłam z ust biały obłok dymu.

– Antoni uważa, że ta zbliżająca się wojna to dla nas szansa – rzekłam.

– Tak. Jeśli Niemcy i Rosjanie zaczną się wzajemnie zabijać, my musimy stanąć po innej stronie. Naszej. Wszyscy Polacy z trzech zaborów muszą się zjednoczyć w jednej walce. To trudne, bo różni się od siebie, mamy inne przywileje i inne trudności do pokonania. Ale wierzę, że to się uda i Polska się odrodzi.

– Pan też popiera chęć Piłsudskiego do stworzenia prawdziwego polskiego wojska ponad podziałami?

– Wierzę gorąco w tę ideę! Organizacja bojowa się wypaliła, nic więcej nie są w stanie zrobić, bo teraz trzeba działać szeroko, mając na celowniku przyszłość. Wraz ze Związkiem Strzeleckim^[9] tworzymy szkolenia dla kandydatów na oficerów. To dobre szkolenia. Bardzo potrzebne. Gdy wybije odpowiednia godzina, musimy być w pełni przygotowani do walki. Tylko tak mamy szansę na odzyskanie niepodległości.

– Przyznam, że nie potrafię strzelać, ale z pana wizjami przyszłej wojny chętnie bym się nauczyła. Chociażby dla samoobrony.

Ostrowski przytaknął.

– To dobry pomysł i chętnie pomogę, oczywiście jeśli się pani zgodzi. Bo nie śmiałybym się narzucać.

– Myślę, że się zgodzę – odparłam ze znaczącym uśmiechem, zaglądając Ostrowskiemu w oczy.

Po wyjściu z kawiarni poszliśmy na spacer.

Na ulicy jak zwykle było tłoczno i głośno; nie dało się tu znaleźć wytchnienia ani sposobności do rozmowy, więc skryliśmy się w alejach parkowych. Wyczuwałam, że moja osoba krępuje Ostrowskiego. Nie był taki jak Kirsanov, który mnie osaczał, brał zuchwale, co chciał. Ten idący obok mnie mężczyzna był nadzwyczaj opanowany, wręcz nieśmiały, jakby miał znikome doświadczenie z kobietami. Z jednej strony było to dla mnie ujmujące, ale z drugiej chciałam,

żeby był tak odważny w postępowaniu ze mną, jak w swoim patriotyzmie. Skoro potrafił uciec z Cytadeli, to chyba potrafił również wziąć kobietę w ramiona?

– Jędrzej Witebski wspominał, że zna się z panią dość dobrze. Podobno przyjaźniliście się w dzieciństwie – zagadnął.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

– Jędrzej? Zna go pan?

– Tak. Jest jednym z oficerów prowadzących szkolenia dla młodych kadetów do polskiego wojska.

Przystanąłam, wstrząśnięta tą wiadomością.

– Jędrzej żołnierzem? To niemożliwe!

Ostrowski zdawał się zdumiony moją reakcją.

– Owszem, możliwe. Od lat szkoli innych w sprawach wojskowych. Sam również przeszedł wiele szkoleń. Od dawna należy do tajnych organizacji, które skupiają pragnących walczyć o niepodległość. Wcześniej był w organizacji bojowej, ale teraz jest już pełnoprawnym żołnierzem. Myślałem, że pani wie, panno Klaro. Skoro się przyjaźnicie...?

– Już się nie przyjaźnimy... – odparłam szybko z nutą goryczy.

Coś w środku zabolalo. Mocno. Gwałtownie. Znow ogarnął mnie ten sam co zawsze żal za przeszłością. Za dawną przyjaźnią. Jednak upływ czasu nie był w stanie zagoić we mnie tej tęsknoty.

Ostrowski obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, jakby słyszał moje myśli, ale już nie skomentował. W końcu zatrzymał się. Z wahaniem ujął moją dłoń.

– Panno Klaro, czy spotkamy się jeszcze?

Uśmiechnęłam się.

– Z pewnością.

Zmieszał się natychmiast.

– Pani wie, że ja...

Nie pozwoliłam mu dokończyć. Wspięłam się na palce i pocałowałam go. Bez pruderii i nieśmiałości. Zrobiłam to, bo ciekawość wygrała we mnie ze zdrowym rozsądkiem. Brakowało mi męskich ramion i czułości. W swoim uporze i zapatrzeniu wyłącznie w jedną stronę zapomniałam, że jestem przede wszystkim kobietą, która potrzebuje bliskości mężczyzny.

Bartłomiej, choć z początku zaskoczony moją śmiałością, szybko przygarnął mnie do siebie.

A więc potrafił to robić.

Poczułam bijące od niego ciepło i twardość mięśni. Wciągnęłam w nozdrza przyjemny zapach. To mnie pobudziło do życia, wlało we mnie pragnienie, którego dawno nie czułam. Oszołomiona odkryłam, że w tym niepozornym pocałunku nie było skromności. Było za to skrętnie ukrywane pragnienie, które teraz świadomie uwolniłam, bo potrzebowałam więcej i więcej...

– Chciałbym... – Jego szept zmieszał się z moim oddechem. – Klaro... – Umilkł, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

Czułam tylko, jak gwałtownie oddychał.

– Jeszcze się spotkamy – zapewniłam, obdarzając go zachęcającym spojrzeniem.

Odprowadził mnie do domu. Wiedziałam, że był tak samo zaskoczony przebiegiem naszego spotkania jak ja. Kiedy go żegnałam, stojąc w cieniu na schodach do kamienicy, jeszcze raz delikatnie dotknęłam wargami jego ust. Tym razem jednak nie odpowiedział na mój pocałunek, jakby dla niego to było już za wiele. Cofnął się o krok, uklonił i ruszył wolno chodnikiem.

Liczyłam na kolejne spotkanie z Bartłomiejem. Nie zamierzałam traktować go jak kandydata do jakiegokolwiek związku, ale wzbudził moje zainteresowanie na tyle, żebym zechciała spędzić z nim więcej czasu. Nie zastanawiałam się, do czego to może doprowadzić, nie analizowałam, czy tak wypada. Takie dylematy miałam już dawno za sobą, bo odeszły ode mnie z chwilą, kiedy Aleksander Kirsanov zmusił mnie do bycia jego kochanką. Wiedziałam za to, że towarzystwo Bartłomieja jest mi potrzebne, bo czułam się z nim dobrze. I ośmielałam się przypuszczać, że on czuje to samo.

Kilka dni później, kiedy ze strony Ostrowskiego nie nadchodziło żadne kolejne zaproszenie, siedząc w redakcji, zapytałam Mariannę, czy był może u nich z wizytą.

– To ty nie wiesz? – zdziwiła się. – Trzy dni temu wyjechał do Lwowa. Został pilnie wezwany przez komendanta.

– Nie wiedziałam – rzuciłam, niedbale wzruszając ramionami, choć poczułam ukłucie żalu.

Dlaczego się ze mną nie pożegnał?

Zajęta wybieraniem szkicu do artykułu, nie zwróciłam uwagi, że Marianna już od dłuższego czasu stała w oknie i patrzyła na ulicę. Dostrzegłam to dopiero, gdy list od jednej z czytelniczek tkwił nieczytany w jej dłoni już od kilkunastu minut.

– Marianno? – spytałam, spoglądając na nią z niepokojem. – Coś się stało?

– Stoją tam – rzuciła ściszym głosem.

– Kto?

– Żandarmi. Po drugiej stronie ulicy. Tam za słupem ogłoszeniowym. Wczoraj był u nas Kuba, ten... wiesz, co roznosi gazety... I wyznał mi, że wypytywali go o nas.

Wolno wstałam od biurka i podeszłam do okna. Rzeczywiście: po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko naszego biura, stali żandarmi, ale nic nie wskazywało na to, jakby znów na nas czekali. Raczej obserwowali codzienny uliczny ruch.

– Myślę, że to rutynowy patrol – próbowałam uspokoić Mariannę, bo widziałam, że nagle pobladła.

– Oni nas obserwują, Klaro. Śledzą nasze ruchy, wiem to.

Ujęłam ją za ramiona i odwróciłam ku sobie.

– Co się wydarzyło na policji? Czego mi nie mówisz? Co Kirsanov ci powiedział?

Marianna popatrzyła na mnie udręczonym wzrokiem.

– Nic szczególnego – odparła.

Ja jednak widziałam, że jej oczy przeczą temu, co wypowiedziały usta.

[9] Związek Strzelecki – powstała w 1910 roku we Lwowie paramilitarna organizacja społeczno-wychowawcza, będąca podstawą budowania struktur wojskowych Legionów Polskich.

ROZDZIAŁ 32

Papa przeczuwał, że wkrótce umrze. Musiał to przeczuwać, bo między słowami coraz częściej dawał mi wskazówki do dalszego prowadzenia interesów. Dziwiło mnie to, bo przecież bezustannie narzekał, że bez męża nie ma ze mnie żadnego pożytku, a innym razem irytowało, kiedy zajęta byłam redagowaniem artykułu do kolejnego numeru „Głosu Kobiet”, a papa wołał mnie do siebie i wyciągał na biurko opasłe księgi rachunkowe oraz te z nazwiskami kontrahentów.

– Pomyśl o małżeństwie – zagadywał raz po raz, kiedy ze znużeniem słuchałam jego wywodów na temat handlu i przechowywania towarów.

To wówczas dowiedziałam się ze szczegółami, że papa jest dzierżawcą naprawdę wielu magazynów, rozmieszczonych na terenie całej niemal Warszawy. Oczywiście miałam świadomość, czym się zajmuje, ale nie zdawałam sobie sprawy, że skala tego jest tak duża. Inne magazyny przeznaczono do składowania sprzętów użytku domowego, inne do produktów spożywczych, a jeszcze inne na tkaniny, odzież czy obuwie. Nie wiedziałam, że ten biznes ma aż taki rozmach i że tak wielu rzemieślników oraz fabrykantów korzystało z magazynów ojca.

– To twardy kawałek chleba – mawiał papa coraz częściej, jakby chciał oswoić mnie z tym, co mnie czeka. – Ale przynosi zyski. Trzeba jedynie dbać, żeby nikt cię nie oszukiwał, nie próbował wykorzystać twojej dobrej woli. A oszustów nie brakuje. I jeszcze urzędnicy... – Tu ojciec zawsze ciężko wzdychał. – Są straszliwie drobiazgowi i nasyłają celników, jakbym był jakimś hochsztaplerem, a nie uczciwym przedsiębiorcą.

– Masz przecież pomocników, papo.

– Mam, ale to nadal moi pracownicy. Pamiętaj, że jeśli nie zadbasz o interes osobiście, to zaraz znajdzie się taki, co cię oszuka, okradnie, i zostaniesz z niczym. Wy z mamą nie musicie się teraz tym przejmować, ale jakby mnie brakło, pamiętaj, że zawsze musisz mieć oczy szeroko otwarte. Twój brat wie, że ma zarządzać interesem na spółkę z wami, ale sama wiesz, że mieszka daleko i te sprawy wyraźnie niewiele go obchodzą.

Miałam wrażenie, że fatalistyczne myśli o śmierci dopadły papę zaraz po tym, jak zmarł dziadek Ignacy. Stał się jeszcze bardziej milczący, zamyślony, nieobecny.

Myslałam, że to wspomnienia o własnym ojcu tak go przygnębiają. Że może w papie obudziło się jakieś sumienie, że taki był dla swojego ojca despotyczny i niewyrozumiały. Tymczasem teraz już wiem, że papa chorował, i to choroba nie dawała mu spokoju. Sączyła mu do głowy troskę o przyszłość moją i mamy, kiedy jego już nie będzie. Ból fizyczny, który dopadał go coraz częściej, znosił w samotności, w czterech ścianach swojego gabinetu, tłumiąc go kieliszkiem żytniówki od usłużnego kamerdynera. Nie chodził do doktora, nie prosił o leki, a jeśli już, to w tajemnicy przede mną i mamą. Do samego końca nie wyznał nam, że jest chory, a kiedy zaniepokojone pytałyśmy, jak się czuje, zbywał nas niedbałym machnięciem ręki. Aż pewnego ranka, dwa dni po tym, jak z Marianną widziałyśmy z okna podejrzanie wyglądających żandarmów, mama znalazła papę martwego w gabinecie.

– To był atak serca – stwierdził wezwany na miejsce doktor. – Pan Tyszkowski od dawna chorował na serce. Mówiłem mu, że powinien się oszczędzać, nie pracować tyle, odpoczywać.

– Nic nie wiedziałam! Nic mi nie mówił! – lamentowała mama, cała we łzach.

– Bo nie chciał się skarżyć, szanowna pani... Zgryzota go zabiła. Wspominał, że jest rozczarowany, że panna Klara nie wyszła za mąż. Nie miał komu przekazać zarządu nad interesami. To go mocno dręczyło. I jeszcze te plotki... – Lekarz oskarżycielsko zawiesił głos.

– Jakie plotki?

– Że panna Klara przynosi wstyd rodzinie. Że prowadzi się, jak chce, postępuje niegodnie i wbrew dobremu wychowaniu.

Mówiąc to, doktor nawet nie patrzył w moją stronę. Jakbym była nieobecna albo niegodna tego, żeby zwrócić się bezpośrednio do mnie. Gdyby na mnie spojrział, ujrzałby moje rozgoryczenie.

Zdawałam sobie sprawę, że doktor próbuje wzbudzić we mnie poczucie winy. Udowodnić, że po części przyczyniłam się do śmierci ojca – i udało mu się. Czułam, że miał rację. Że gdybym choć raz postąpiła według woli papy, mniej się buntowała, ojciec może byłby spokojniejszy, a dzięki temu zdrowszy. Nie męczyłby się nagabywaniem mnie do małżeństwa, nie narzekałby, że nie ma komu oddać schedy. Zawiodłam go i teraz dręczyło mnie poczucie winy. Z drugiej strony wiedziałam, że nie potrafiłabym inaczej. Od urodzenia byłam inna. Nie dość dobra do życia w skostniałych konwenansach ani według wzorców, które papa próbował mi narzucić.

Szarość dnia zdawała się współgrać z nicością w mojej duszy, kiedy dwa dni później razem z mamą i tłumem żałobników zegnaliśmy papę na cmentarzu Powązkowskim, składając jego ciało obok babci Józefiny i dziadka Ignacego. Kiedy trumna schodziła do grobu, na krótki ułamek sekundy przeszył mnie trudny do wytrzymania dreszcz – straszny, niewyobrażalnie bolesny. Dygot, który wywołał,

niemal zwałił mnie z nóg. W tym jednym wstrząsającym momencie przypomniałam sobie inną trumnę, inny pogrzeb i ból nieporównywalny z żadnym innym bólem.

Gwałtownie łapiąc oddech, uniosłam twarz i spotkałam się spojrzeniem z Jędrzejem Witebskim. Jego widok mnie zaskoczył. Nie spodziewałam się, że przybędzie na pogrzeb papy. Nie wiedziałam nawet, że jest w Warszawie. Ale w tej jednej zatrwazającej chwili głębokie spojrzenie jego błękitnych oczu stało się moją ostoją i pokrzepieniem.

Później, kiedy zbliżył się do nas z kondolencjami, obawiałam się na niego spojrzeć. Nie chciałam, żeby wyczytał z mojej twarzy żal i poczucie straty. Wolałam oddać mu obojętność.

On jednak mimowolnie wymusił na mnie ową tkliwość, kiedy pochylił się nad moją dłonią schowaną w czarnej koronkowej rękawiczce.

– Moje kondolencje – rzekł ściszym głosem, który tak dobrze pamiętałam.

I choć walczyłam z sobą ze wszystkich sił, nie zdołałam powstrzymać łez.

Jędrzej wyprostował się i spojrzał na mnie.

– Jeśli mógłbym jakoś pomóc...

Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Nie miałam takiej mocy. Skinęłam głową w geście podziękowania.

Później patrzyłam za nim, jak z wolna odchodził, przedzierając się przez tłum żałobników.

* * *

– To nie tak, że nie kochałam twojego ojca – rzekła mama matowym głosem, kiedy późnym wieczorem siedziałyśmy same w saloniku.

Kamerdyner, Dusia i gosposia, każde po swojemu przeżywając smutek po śmierci swego pracodawcy, zniknęli gdzieś u siebie, a my z mamą, po wyjściu ostatnich żałobników, nagle poczułyśmy się bardzo samotne. Wszystko zdawało się nadzwyczaj ciche – pokoje, sieni, kuchnia, choć przecież o wieczornej porze nigdy nie panował tu gwar. Zamknięte drzwi do gabinetu ojca przypominały, że papa zawsze tam siedział. Wystarczyło zapukać i wejść. Zapytać, czy nie kładzie się spać, czy czegoś nie potrzebuje.

Mama z udręką wpatrywała się w jakiś odległy punkt. Widziałam jej bezradność. Policzki miała zapadnięte, oczy opuchnięte od płaczu; zawsze idealnie ufryzowane włosy były teraz w nieładzie.

– Nasze małżeństwo z początku było trudne, bo nie połączyło nas prawdziwe uczucie ani nawet przywiązanie. Ale z czasem nauczyliśmy się siebie kochać. Twój ojciec był dobrym i pracowitym człowiekiem. Wielu niesłusznie oskarżało go o zbyt dużą pobłażliwość względem Rosjan, ale to haniebne pomówienia. On wiedział, że

inaczej nie przetrwamy. Z zalem patrzył na twojego dziadka, który unosząc się honorem, oddał wszystko zaborcy. Wiedział, że on nie może tak postąpić. Był odpowiedzialny i troskliwy. I to pokochałam w nim jako pierwsze... Tę jego nadzwyczajną troskliwość.

– Wiem, mamó – wykrztusiłam, czując dławiące wzruszenie.

Przysunęłam się do niej i chwyciłam ją za dłonie.

Mama zwróciła na mnie zapłakane spojrzenie.

– Byłaś jego dumą, Klaro. Wiem to. Ambicja, z jaką idziesz przez życie, napawała go szczerym podziwem. Nawet jeśli nie umiał ci tego okazać, to szanował cię za to, że się nie poddajesz. Gdy tymczasem Feliks... – Mama spuściła głowę. – Twój brat rozczarował go głęboko, choć ojciec nie chciał mówić o tym głośno. Nie mógł mu jednak wybaczyć tego szczeniackiego zamachu na cara i uciezki do Francji. Uważał, że twój brat zachował się niegodnie, narażając nas na konsekwencje swojego czynu. – Znów na mnie spojrzała. – Ty byłaś jego światłem, Klaro. Ty i... – Głos jej się załamał. – Nasz mały Stasiu.

* * *

Przez pierwsze kilka dni po pogrzebie nie zachodziłam do redakcji „Głosu Kobiet”. Miałam do załatwienia sporo spraw związanych ze spadkiem po tacie i jego interesami. Zgodnie z prawem majątek papy został podzielony na trzy równe części, które dziedziczyliśmy ja, mama i mój brat Feliks. Jedynie „Pałacyk Magnolia”, ukochana willa mamy w Konstancinie, została zapisana w całości jej.

Papierów było co niemiara, a jeszcze więcej spraw związanych z dostawami i odbiorami towarów z magazynów. Już dwa dni po pogrzebie zaczęli przybywać kontrahenci, domagając się dalszego świadczenia usług. A ja, choć nauczona obchodzenia się z księgami, niewiele rozumiałam z tego, co mi tłumaczyli w kwestii towarów i warunków, na jakich współpracowali z firmą ojca.

– Proszę dać mi czas – tłumaczyłam każdemu z osobna, siląc się na uprzejmość i udając, że nad wszystkim panuję. – Muszę zapoznać się z dokumentacją, porozmawiać z pracownikami...

– Byle szybko, panienko, bo nie mamy czasu na babskie zastanawiajki. Interesy nie lubią czekać, a urzędnicy zaczną się upominać o podatki!

Łamałam sobie nad tym głowę, coraz wyraźniej czując, że nie podołam. W końcu zaczęłam słać do Feliksa list za listem z prośbą o wsparcie, ale brat zdawał się głuchy na moje prośby. Odpisał raz, że sam ma wiele własnych spraw.

– Ktoś powinien cię naprowadzić, wskazać ci kierunek – uznała Zofia Czarnecka, kiedy pewnego wieczora, będąc u niej, wyznałam jej swój kłopot.

– Tak naprawdę mam tych interesów po dziurki w nosie – odparłam. – Moja gazeta czeka! Dopomina się o uwagę!

Hrabina skinęła głową.

– Rozumiem. Ale jestem przekonana, że Marianna przez jakiś czas poradzi sobie bez ciebie. Uporządkuj wszystko, znajdź kogoś, kogo upoważnisz do reprezentowania ciebie i twojej mamy w interesach, i dopiero wróc do swojej gazety.

Westchnęłam ciężko i zaciągnęłam się solidnie papierosem.

– Marianna ma dzieci... Antoś jest jeszcze malutki. A ona sama też ma mnóstwo na głowie! Teraz widzę, że papa miał rację. Powinnam była wyjść za mąż – biadoliłam.

To było zupełnie do mnie niepodobne, ale pierwszy raz od dawna czułam, że sytuacja kompletnie mnie przerasta.

– Och, kochanie, nie dramatyzuj. Zawsze jest jakieś rozwiązanie.

Nie umiałam zrezygnować z gazety nawet na chwilę, więc w dzień chodziłam do redakcji, a wieczorami ślęczałam nad dokumentami i rozmyślałam, jak ułożyć poprawne stosunki z handlowcami, którzy złośliwie mnie ignorowali albo pozwalali sobie na niewybredne komentarze w moją stronę. Na te ostatnie na szczęście byłam głucha; uodporniłam się, nasłuchawszy się wyzwisk ze strony robotników, kiedy to uczyłam pracownice fabryk czytać i pisać.

Tego ranka tradycyjnie siedziałam w redakcji sama i przeglądałam korespondencję. Kiedy usłyszałam pukanie do drzwi, rzuciłam: „Proszę!”, pewna, że to jedna z naszych pomocniczych dziennikarek, z których usług często korzystałyśmy, albo chłopiec na posyłki.

Moje zdumienie było więc ogromne, kiedy w drzwiach zobaczyłam Jędrzeja.

– To... ty? – wyrwało mi się.

Zaskoczona podniosłam się z krzesła.

– Mogę wejść? – spytał z wahaniem.

Ołówek, którym podkreślałam frazy w listach do redakcji, wypadł mi z dłoni.

– Tak...

Jędrzej wszedł do biura i zamknął za sobą drzwi.

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byliśmy tylko we dwoje w jednym pomieszczeniu. I nagle poczułam, że obecność Jędrzeja mnie przytłacza. Automatycznie pochwyciłam ołówek i ścisnęłam go w palcach, próbując opanować nagłe drżenie rąk.

Patrzyliśmy na siebie skrzępowani, oboje odczuwając ciężar minionych lat, który przygniótł nas poczuciem winy i gorzką zdradą, a w moim przypadku również... tęsknotą.

Z pozoru trudno mi było w tym postawnym, emanującym elegancją i powagą mężczyźnie doszukać się mojego dawnego przyjaciela. Zmienił się, dojrzał. Stał się silniejszy, a jego twarz nabrała ostrzejszych rysów. Tylko oczy, bystre i inteligentne, wciąż były te same. Wyraziste i ujmujące.

Próbowałam zobaczyć w nim żołnierza, o którym opowiadał mi Bartłomiej Ostrowski, ale siłą rzeczy, nakładając na jego postać filtr dawnej znajomości, widziałam w Jędrzeju wyłącznie umiarkowanego patriotę, który sprzeciwiał się walce i brzydził przemocą. A z drugiej strony wyszedł na ulicę, mierząc z pistoletu do carskiego żołnierza. No i – jak zapewniał Ostrowski – należał do organizacji bojowej.

Więc jaki naprawdę był Jędrzej? Czy kiedykolwiek go znałam?

Odchrząknęłam, próbując przerwać krępującą ciszę.

– Co cię do mnie sprowadza? Może przyszedłeś do Marianny? Ona zjawi się trochę później.

– Nie. Przyszedłem do ciebie.

– Więc usiądź, proszę. – Wskazałam mu krzesło, na którym zwykli siadać petenci, a sama opadłam na swoje.

Nie sądziłam, że w towarzystwie Jędrzeja mogę czuć się aż tak skrępowana. Lata rozłąki i brak jakiegokolwiek kontaktu zbudowały między nami mur nie do pokonania. I oboje wyraźnie to czuliśmy.

– Chciałem raz jeszcze złożyć ci kondolencje z powodu śmierci ojca. Zawsze poważałem pana Tyszkowskiego. Miałem do niego respekt. Bardzo współczuję tobie oraz twojej szanownej mamie.

Bezwiednie kiwnęłam głową, błędząc wzrokiem po stercie papierów. Dłonie wciąż mi drżały.

– Dziękuję. – Zerknęłam na niego przelotnie. – Co robisz w Warszawie? Zdaje się, że bywasz tu często.

– Ostatnio nawet bardzo często. Mam sporo spraw do załatwienia. Nazbierało się wiele ważnych tematów.

– W fabryce twojego ojca?

– Nie tylko... – zawahał się.

– A jak się miewa twoja żona? – zagadnęłam wyłącznie z uprzejmości, bo akurat samopoczucie Jadwigi niewiele mnie obchodziło.

– Dobrze. Została z naszym synem w domu, w Łodzi. Tadzio to bystry chłopiec. Ma już trzy lata. – Znow wyczułam w jego głosie wahanie. – Podobno rozmawiałaś z Bartłomiejem Ostrowskim – gładko zmienił temat. – Pewnie wiesz, że współpracujemy i że od dawna należę do frakcji PPS.

– Pamiętam, jak zbeształeś mnie za drukowanie ulotek – odparłam. – Panna Jarzabek była wystraszona.

– Tak... – odparł przeciągle. – Czasy się zmieniają. Teraz ulotki to nie wszystko.

Jego spojrzenie stało się bardziej przenikliwe. Zmarszczył brwi.

– Nie wiem, co powiedział ci Ostrowski, ale... popełnił błąd. Skoro jednak to już się stało...

Zesztywniałam. Cała dotychczasowa kurtuazja Jędrzeja się ulotniła, zmieciona przez kolejną falę podejrzeń i nieufności.

– Przyszedłeś mnie sprawdzić? – spytałam wprost. – Boisz się, że wiem o tobie za dużo i cię wydam?

Jędrzej nic nie mówił, tylko patrzył na mnie coraz bardziej dojmująco. To spojrzenie zaczęło mnie peszyć, a w końcu denerwować.

Nie wytrzymałam.

– Trzeba było nie chwalić się swoją bliską przyjaźnią ze mną! – rzuciłam z goryczą.

Zirytowałam się, że podejrzewa mnie o konfidenckie czyny. I pomyśleć, że kiedy się tu zjawił, w pierwszej chwili przebiegło mi przez głowę, iż ma czyste intencje.

– Przyjaźń od zdrady oddziela bardzo cienka linia – odparł beznamiętnie.

– To jest wyłącznie twoja interpretacja przyjaźni – powiedziałam sztywno, bo jego słowa dotkliwie mnie ubodły. – Skoro myślisz, że mogłabym cię zdradzić, to jest to wyłącznie twój problem. Widocznie masz głęboko zniekształcone pojęcie o ludziach. I przyjaźni...

– Chciałem jedynie się upewnić, że Ostrowski nie popełnił błędu, beztrąsko wyznając ci, czym się zajmujemy. Wyraźnie zgłupiał pod wpływem twojego uroku.

Wzburzyłam się.

– Ja, Antoni Sieradzki oraz mój świętej pamięci dziadek Ignacy uratowaliśmy mu życie! Więc jak mogłabym cokolwiek zdradzić? Po co miałabym to robić?

– Bo swego czasu miałaś bliskie kontakty z pewnym wysoko postawionym rosyjskim oficerem.

Bezwiednie zacisnęłam zęby. Słowa Jędrzeja bezlitośnie wbiły się w blizny po ranach, które ledwo zdołały się zagoić. Rozdrapały głęboko ukryte wspomnienia.

– Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, to możemy się pożegnać – odparłam sucho, z trudem nad sobą panując.

Zignorowałam go i wróciłam do czytania listów.

On jednak nie ruszał się z miejsca. Siedział na krześle i mnie obserwował. Zdawałam sobie sprawę, że widzi moje zdenerwowanie; na domiar złego zawsze umiał wyczuć moje nastroje. Szczególnie te buntownicze, narastające we mnie z siłą nawałnicy.

Świadomość tego była dla mnie nieznośna.

W końcu nie wytrzymałam i uniosłam głowę.

– Czy mogę ci pomóc w czymś jeszcze?

– Nadal marszczysz nos, kiedy coś cię denerwuje – zauważył z lekkim uśmiechem.

– Ty mnie denerwujesz! Nachodzisz mnie po latach i oskarżasz o zdradę!

– Chciałem się jedynie upewnić.

– I upewniłeś się, więc wyjdź!

Ani drgnął.

– Powiedz mi szczerze, Klaro – odezwał się po chwili. – Czy ty i kapitan Kirsanov to rzeczywiście przeszłość? I nie zaprzeczaj, że nic was nie łączyło, bo wiem, że urodziłaś mu syna.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, bo niewidzialna dłoń z nagłą zacisnęła palce na moim sercu. Jak mógł mnie o to pytać? Właśnie on? Człowiek, dla którego to wszystko zrobiłam?

– Staś był wyłącznie moim synem – odparłam głucho, próbując ukryć nutę cierpienia, która wybrzmiewała zawsze, ilekroć wspominałam swoje dziecko. – Nigdy nie miał ojca.

Jędrzej patrzył na mnie. Długo i intensywnie, jakby próbował wydrzeć z mojego wnętrza prawdę. A przecież prawda była banalnie prosta – jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochałam, nawet jeśli ta miłość okazała się mocno spóźniona i naszpikowana głupią niedojrzałością, był tylko on. On jeden. I kiedy tak na mnie patrzył, czułam, że nic z tego we mnie nie umarło. Tamto uczucie wciąż żyło i pewnie żyć będzie jeszcze długo...

Przeniosłam wzrok na list, ale dziwna mgła przesłoniła mi litery, bo nie potrafiłam ich odczytać.

– Chciałbym cię kiedyś zrozumieć – wyznał nagle Jędrzej. – Ale obawiam się, że to nigdy nie nastąpi. Zawsze byłaś poza moim zasięgiem.

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam co, bo zdawało mi się, że ze wszystkich ludzi, jakich znałam, to właśnie on jeden zawsze rozumiał mnie najbardziej. I nagle odkrycie, że tak nie było, okazało się smutne i nieznośne.

Nie myśląc nad tym, co robię, bezwiednie założyłam za ucho uwolniony ze szpilek kosmyk włosów. Jędrzej zatrzymał wzrok na mojej dłoni. Na bladej, ledwo widocznej bliźnie. Czy wiedział, skąd się wzięła? Pamiętał?

– Myślę, że twoja żona nie będzie zadowolona, gdy dowie się o tych odwiedzinach. W końcu jesteśmy tu sami, bez przyzwoitki – rzuciłam zaczepnie, próbując rozładować drażniące napięcie. – Zauważyłam, że mnie nie lubi.

– Raczej cię ignoruje – sprostował Jędrzej. – Jadwiga wie, że nic jej nie grozi.

– I nie sprawia jej kłopotu, że tak często wyjeżdżasz?

Jego wyraz twarzy nagle się zmienił. Jędrzej spochmurniał. Zrozumiałam, że dotknęłam czułego punktu.

– Moja żona jest w pełni oddana wychowywaniu naszego syna, więc samotność jej nie dotyka.

– A ty? Nie tęsknisz za nią, kiedy jesteś poza domem?

Tylko wprawne oko mogło dostrzec grymas, który przebiegł przez jego twarz, choć on sam usilnie próbował ukryć emocje.

– Moja żona nie powinna być tematem naszych rozmów – uciął stanowczo.

Uniosłam brwi.

– Rozmów? Czyżbyś planował rozmawiać ze mną częściej? – spytałam z drwiną.

Nagle jakby się rozluźnił.

– Owszem. Przyszedłem tu bowiem również w innej sprawie. Byłem u mojej kuzynki, Zofii, i wiem, że masz kłopot. Z prowadzeniem interesów po ojcu.

– Och, więc ona też dopuściła się zdrady! – sarknęłam. – Muszę jej to wypomnieć.

– Zrobiła to w dobrej wierze. Uważa, że mógłbym ci pomóc.

Zaśmiałam się drwiąco.

– Ty? A w jaki sposób?

– Znam się na biznesie. Mam własną fabrykę w Łodzi i pomagam ojcu tu, w Warszawie. Chętnie przejrzę twoje papiery, kontrakty i coś ci doradzę.

Prychnęłam drwiąco.

– Naprawdę uważasz, że tak po prostu, po latach twojego milczenia i nieobecności, zdołam ci zaufać? Że oddam w twoje ręce majątek ojca? Skoro tak myślisz, to albo jesteś naiwny, albo głupi!

Zirytowany zmarszczył brwi.

– Nie unosi się tak. Powinnaś to przemyśleć. Wiem, że zawsze chcesz radzić sobie sama, ale jest sporo spraw, które mogą cię zaskoczyć. A do tego masz na głowie jeszcze gazetę.

– Dziękuję za troskę, ale nie! Nie potrzebuję twojej pomocy. Tak naprawdę byłbyś ostatnim człowiekiem, do którego zwróciłabym się po nią. I dziwię się, że tego nie wiesz...

Jędrzej wolno podniósł się z krzesła.

– W porządku. W takim razie już pójdę. Gdybyś jednak czegoś potrzebowała...

– Nie będę! – rzuciłam oschle.

Jeszcze przez chwilę patrzył na mnie. To spojrzenie, tak wyraziste i znajome, przypomniało mi, ile razy w taki sposób pokazywał mi, że mu na mnie zależy. Kiedyś. Dawno temu. Zanim wszystko się wydarzyło.

Teraz to już nie miało znaczenia.

Jędrzej skłonił się sztywno i wyszedł, a mnie ogarnęło przygnębienie.

ROZDZIAŁ 33

– Doprawdy, Klaro, nieraz zachowujesz się tak, jakby brakowało ci piątej klepki! – Zofia Czarnecka była wyjątkowo poirytowana, kiedy wyznałam jej, że odrzuciłam pomoc Jędrzeja w interesach. – I jak niby zamierzasz sobie poradzić z tym wszystkim? Bo chyba nie sama?

Wzruszyłam ramionami, raz po raz zerkając na najnowszy nabytek Zofii, a mianowicie prowansalski pejzaż pędzla zmarłego parę lat temu francuskiego malarza Paula Cézanne’a. Hrabina była zapaloną kolekcjonerką sztuki, a ten nowy nabytek przywiózł z podróży jej mąż, kupiwszy go podobno za niebagatelną kwotę.

– Nie wiem, może hrabia mógłby...? – zaczęłam. – Zna się na tych wszystkich kontraktach i przepisach prawnych. Czy nie zgodziłby się zajrzeć w papiery papy?

– Mój małżonek? Ależ moja droga, on nie ma czasu! Nie zauważyłaś, że ostatnio ciągle jestem sama? Hrabia bezustannie wyjeżdża w delegacje. Nie wiem, czy ci wspominałam, ale spotkał się parę razy z Dmowskim i jego wizja niepodległościowa bardzo Teofila zainteresowała. Polityka pochłonęła go na dobre! Oczywiście od razu zaczął psioczyć na socjalistów, ale co mi tam. Uważam, że Dmowski, co by o nim nie mówić, to jednak wielki patriota. Ale wracając do ciebie... Jak chcesz to wszystko rozwiązać? Jędrzej naprawdę szczerze chciał ci pomóc.

– Niepotrzebnie go na mnie nasłałaś! – warknęłam niezadowolona, wspominając tamtą wizytę, z której później długo nie mogłam się otrząsnąć.

– Wcale go nie naslałam, skąd ci to przyszło do głowy? – oburzyła się Zofia. – Sam o ciebie wypytywał. Jakby nagle coś się w nim odmieniło.

– Za późno na wszelkie odmiany – rzuciłam z irytacją i odpałam papierosa. – A co do interesów papy, to rozmawiałam z mamą i obie doszłyśmy do wniosku, że nie podaliśmy, a Feliks nie zamierza nam pomóc. Postanowiłyśmy więc sprzedać, co ojciec miał na własność, i zrezygnować z wszelkich dzierżaw. Pieniądze zdeponujemy i będziemy żyły z procentów. Poza tym mam jeszcze gazetę. Wprawdzie słaby z tego zysk, ale zawsze coś. Choćbym nie wiem, jak głośno

mówiła o zrównaniu wszelkich praw kobiet i mężczyzn, to prawdą jest, że na interesach się nie znam.

Zofia machnęła ręką.

– Kochanie, nie musimy znać się na wszystkim. To wręcz niemożliwe! Ale wciąż będę cię kusić nauką prowadzenia samochodu! Teraz, kiedy twój papa niestety odszedł z tego świata, możesz porzucić rower i przenieść się na coś bardziej nowoczesnego. Kobieta za kierownicą to przecież szczyt emancypacji!

– A niby za co miałabym sobie ten samochód kupić? – spytałam z przekąsem.

Z całym szacunkiem dla Zofii musiałam przyznać, że nader często zapominała, iż nie każdy był tak zamożny jak ona.

– Jak to za co? Przecież planujesz sprzedać magazyny.

– Ale nie mogę wszystkich pieniędzy wydać na zachciankę! Z czegoś muszę żyć! I jest jeszcze mama...

Za nami rozległy się miarowe kroki.

– Zofio, widzę, że próbujesz namówić Klarę do niemożliwego!

Obie jak na komendę odwróciłyśmy się w stronę drzwi do bawialni, w których tuż za kamerdynerem pojawił się Jędrzej. Wszedł dumny, wyprostowany; obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, a ja poczułam nagłe bicie serca. Zaskoczona jego wejściem, gwałtownie odwróciłam wzrok i zaciągnęłam się papierosem.

– Kuzynie! Jak to miło! Tak się cieszę, że jesteś. Ostatnio widuję cię coraz częściej! – Zofia wstała i podeszła, by się przywitać.

– I myślę, że w najbliższym czasie to się nie zmieni – odparł, witając się z nią. Zauważyłam, że Zofia mieniła się na twarzy, jakby nagłe najście Jędrzeja sprawiło jej nadzwyczajną przyjemność. – Mama też jest zadowolona z mojej bytności w Warszawie, choć mówi, że jeszcze Tadzia by chętnie zobaczyła.

– A jak ona się czuje? Ostatnio chorowała... – dopytywała Zofia z nadmierną uprzejmością.

– Już lepiej. Przesyła pozdrowienia. Klaro... – Jędrzej zwrócił się do mnie i kiwnął głową.

Na szczęście nie podszedł, za co byłam mu szczególnie wdzięczna. Nerwowo zgasiłam papierosa w popielniczce.

– Usiądź z nami, kuzynie. Tak dawno nie spędzaliśmy wspólnie czasu! Pogoda jest wyjątkowa, więc może wyjdziemy razem do ogrodu? – Zofia szczebiotała jak młoda panienska, a mnie dziwnie zakręciło się w głowie.

Odczuwałam obecność Jędrzeja każdym nerwem. Nie podobało mi się to.

– Wy idźcie. Ja muszę wracać do pracy – rzekłam, zbierając się do wyjścia.

Nie chciałam spędzać z nim czasu. Tak naprawdę nie chciałam przebywać w tym samym pomieszczeniu co Jędrzej nawet jednej minuty dłużej, niż było to konieczne.

– Och, nie możesz! – oburzyła się Zofia i zadysponowała, by kamerdyner przyniósł Jędrzejowi coś do picia. – Musisz zostać, Klaro. Jesteś taka zapracowana. Zapominasz, że życie nie kończy się na gazecie i takich tam... – Teatralnie machnęła ręką.

– Życie nie składa się również z samych przyjemności – mruknęłam może zbyt złośliwie, ale nie zamierzałam ustępować.

– No trudno... – Zofia zmarkotniała. – Ostatnio zrobiłaś się taka niedostępna. A co do samochodu, to jeszcze wrócimy do tematu. Będę się upierać, że powinnaś jeździć, bo to czysta rozkosz!

Cały czas czułam na sobie spojrzenie Jędrzeja.

Kiedyś nie robiło to na mnie wrażenia, teraz jego wzrok palił mnie żywym ogniem. Zaczęłam zastanawiać się gorączkowo, jaka jestem w jego oczach. Jak mnie widzi po latach? Czy wciąż uważa mnie za piękną? A może wrażenia z młodości lat dawno w nim umarły?

– Mógłbym cię nauczyć – rzekł nagle, a ja aż wstrzymałam oddech.

– Słucham?

– Mógłbym nauczyć cię jeździć. Myślę, że bardziej się do tego nadaję niż moja wspaniała kuzynka, bo Zofia jeździ jak szalona! Na jej lekcjach mogłybyście kogoś przejechać.

Hrabina prychnęła, udając obrażoną.

– Nie radzę ci stawać ze mną do wyścigu, kuzynie, bo nie masz szans!

– W to akurat nie wątpię – odparł z pewnym przekonaniem.

Wpatrywałam się w niego pełna zdumienia. Czy jemu pomieszało się w głowie? Czy on do reszty oszalał?

– Te lekcje... To nie jest dobry pomysł – odparłam.

– A ja myślę, że doskonały! – zawołała Zofia, a ja w odpowiedzi zmroziłam ją wzrokiem.

Co ona sobie wyobrażała? Miałam niejasne wrażenie, że ich oboje nagle dopadła jakaś gorączka.

Podniosłam się z sofy i wygładziłam fałdy spódnicy. Przemknęło mi przez myśl, że dobrze wybrałam dziś strój: ta plisowana spódnica w kolorze soczystej zieleni i kremowa bluzka z perłowymi guzikami były skromne, ale też wyjątkowo eleganckie.

– Pójdę już – zakomunikowałam i nie czekając na reakcję pani domu, ruszyłam do wyjścia.

Kamerdyner odprowadził mnie do drzwi.

Dopiero gdy znalazłam się na zewnątrz i delikatny wiatr owionął moją twarz, poczułam ulgę. Dłonie mi dygotały. Tak naprawdę wszystko we mnie drżało z emocji. A przecież dotychczas było mi już dobrze, dawno oswoiłam samotność,

więc po co nagle Jędrzej postanowił to zburzyć? Przecież on nigdy nie należał do mnie. Miał żonę...

– Klaro?

Westchnęłam ciężko i odwróciłam się do niego.

Stał w drzwiach, w otoczeniu białych kolumn podtrzymujących dach nad gankiem, a ja nie wiadomo który raz poczułam coś, czego już nie powinnam czuć. Coś kompletnie zakazanego i niemożliwego.

– Odwiozę cię – zaproponował. – Zofia zgodziła się na mnie poczekać.

– Nie, dziękuję. Nie mam daleko, pójde pieszko.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę bramy wyjściowej. Jędrzej pobiegł za mną.

– Klaro, chciałbym z tobą porozmawiać...

– Jędrzej... Nie utrudniajmy sobie tego – poprosiłam, odwracając się do niego z niechęcią.

Wszystko we mnie wrzało. Wszystko we mnie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, domagało się czegoś, co było nierealne. Jak Jędrzej mógł przypuszczać, że będę w stanie normalnie z nim rozmawiać? O czym? O tym, jak mnie odepchnął? Jak nie chciał mnie widzieć, kiedy umierałam z niepokoju o niego? A może zamierzał porozmawiać ze mną o tym, jak złamał mi serce, żeniąc się z Jadwigą?

– Rozmawiałem z Marianną i Antonim i wiem, że coś się dzieje. Coś niepokojącego – powiedział spokojnie, nieświadom tego, co kłębi się w moich myślach. – Chciałbym to z tobą wyjaśnić, choć Marianna uważa, że moje podejrzenia są niesłuszne.

– O czym ty mówisz? – nie rozumiałam.

– O waszym niedawnym przesłuchaniu na policji. O śledzeniu was przez żandarmów. To nie jest zupełnie normalna sytuacja.

Popatrzyłam na niego zdumiona.

– Więc co to według ciebie jest?

– Ochrona doskonale wie o działalności Antoniego w PPS i o tym, że Marianna mu pomaga, ale z jakichś powodów nie stawiają im zarzutów. Przypuszczam, że albo zwerbowali kogoś, kto ma na celu inwigilację Antoniego i tajnych struktur PPS, albo... chodzi im o ciebie.

– O mnie? Skąd taki pomysł? Przecież ja nic nie wiem. Nie chodzę na tajne zebrania, dawno przestałam się mieszać w sprawy bojowców.

Jędrzej patrzył na mnie w milczeniu.

– Ty wciąż mi nie ufasz? – wykrztusiłam. – Nadal uważasz, że mam kontakty...

– Z Kirsanovem – dokończył za mnie. – Powiedz szczerze, że nic cię z nim nie łączy. Że o niczym mu nie mówisz. Przysięgnij.

Sapnęłam z irytacją, opuszczając ramiona w wyrazie bezradności.

– Jak możesz? Jak ci nie wstyd oskarżać mnie o coś tak ohydneho, kiedy wiesz, że poświęciłam się dla ciebie! Uratowałam ci życie! Byłam tam, w tym cholernym więzieniu, i widziałam, jak żołnierz cię chłostał, a Kirsanov jednym podpisem był gotowy wysłać cię na śmierć! Jak możesz po tym wszystkim we mnie wątpić!

Zadygotałam ze złości, a Jędrzej w jednej sekundzie pobladł. W jego oczach dostrzegłam skrywaną udrękę.

– Spotykałaś się z nim! Byłaś jego kochanką, więc nie dziw się, że mam wątpliwości!

Zacisnęłam dłonie w pięści. Ból, jaki mnie dopadł pod naporem tych oskarżeń, rozrywał mnie na strzępy.

– On mnie zgwałcił, Jędrzej – wykrztusiłam gorzko, czując, jak wszystko we mnie drży. – Robił to ciągle, bo tak mu się podobało! To była cena, którą zapłaciłam za twoją wolność, żebyś mógł żyć, a później odwrócić się ode mnie plecami, jakbyśmy nigdy nie byli przyjaciółmi. Jakby nigdy nic nas nie łączyło...

Jędrzej patrzył na mnie zdumiony, wyraźnie wstrząśnięty tym, co usłyszał, całą swą postawą zdradzając niedowierzanie. Odruchowo zrobił krok w moją stronę, wyciągnął rękę, ale nagle coś go powstrzymało i ją cofnął.

Pod moimi powiekami zgromadziły się łzy.

– Niemożliwe, że o tym nie wiedziałeś – wyjąkałam.

– Nie wiedziałem...

Zrobiłam dwa kroki w tył.

– Czy to ty nakazałeś Bartłomiejowi Ostrowskiemu wyjechać do Lwowa? – spytałam z wyrzutem.

Nie odpowiedział. Nie musiał. Wiedziałam, że to on. Ostrowski z pewnością wyznał mu, że się spotkaliśmy i coś między nami zaiskrzyło.

Bezradnie pokręciłam głową, po czym odwróciłam się na pięcie i ruszyłam przed siebie. Czułam, że mój dawny przyjaciel patrzy na mnie, wwierca się spojrzeniem w moje plecy. Coś ukrytego głęboko we mnie zapragnęło, żeby za mną poszedł, dogonił mnie i objął ramionami, jak dawniej. Jednak zdrowy rozsądek krzyczał, że to już nigdy nie będzie możliwe.

Do domu wróciłam na piechotę. Szłam wolno, skołowana, z nerwami napiętymi jak postronki. Nim dotarłam na miejsce, zatrzymywałam się kilka razy, spoglądałam niewidzącym wzrokiem na ludzi, na witryny sklepowe, na przejeżdżające dorożki i próbowałam opanować silne wzruszenie. Bo nagle wszystko to, co tak skrzętnie skryłam na dnie duszy, wypłynęło na powierzchnię: niespełniona miłość do mężczyzny, który bez skrupułów oskarżał mnie o zdradę, oraz głęboka nienawiść do oprawcy, który bawił się mną jak lalką. Prócz tego jednak najgorsza była rozpaczliwa tęsknota za miłością mojego życia. Tęsknota za moim najukochańszym synkiem. Za Stasiem.

Moje istnienie nagle zdało mi się pustką. Wielką, bezdenną pustką.

ROZDZIAŁ 34

Zgodnie z naszym postanowieniem zaczęłyśmy z mamą szukać nabywcy na magazyny papy, a w międzyczasie odstępowałyśmy od kolejnych umów na dzierżawę, by jak najszybciej pozbyć się kłopotu. Nie miałyśmy złudzeń, że jakimś cudem zdołamy poradzić sobie z interesami.

Kupiec na magazyny znalazł się szybko, więc musiałyśmy wraz z pełnomocnictwem od Feliksa udać się do notariusza po sporządzenie stosownych dokumentów. Serca nas bolały, że sprzedajemy ojcowską schedę, ale nie było innej drogi. Transakcja miała zostać ostatecznie sformalizowana za niecały miesiąc po przygotowaniu odpowiednich papierów, o czym dowiedziałam się od urzędnika, odwiedzając kancelarię notarialną po raz kolejny, ale już bez mamy, która nie czuła się dobrze i została w domu. Po śmierci ojca chodziła bardzo przygnębiona i sprawa sprzedaży majątku dodatkowo ją przytłaczała.

Tego dnia nie planowałam iść do redakcji; Marianna obiecała zostać dłużej i zająć się wszelkimi zaległościami, bym bez wyrzutów sumienia zajęła się kwestiami finansowymi. Zdeklarowała się, że wszystko ogarnie i kolejny numer „Głosu Kobiet” wyjdzie na czas.

Kiedy późnym popołudniem wracałam od notariusza, rozmyślając nad tym, ile jeszcze mnie i mamę czeka formalności oraz druków prawnych do przejrzenia, drogę niespodziewanie zajechał mi żandarm na koniu.

Odkoczyłam z drogi, zdumiona.

– Klara Tyszkowska? – spytał obcesowo, a gdy kiwnęłam głową, ten, nie siląc się na formalności, zagarnął mnie brutalnie na siodło, jak niegdyś żołnierz rannego Jędrzeja podczas manifestacji.

Nawet nie zdołałam krzyknąć o pomoc, bo wjeżdżając pędem w wąski zaułek, mężczyzna zakrył mi dłonią usta.

– Paniusia nie krzyczy, bo zrobię krzywdę! – wycharczał. – Kapitan dał pozwolenie na ucieszenie paniusi, gdyby zaszła konieczność. A szkoda by było, bo taka ładna, więc jak by bez zębów z pokiereszowanym licem wyglądała?

Trzymał mnie tak mocno, że cała zdrętwiałam z bólu i nie miałam możliwości się poruszyć. Czułam gwałtowne dudnienie serca oraz ogarniający mnie lęk, tym

silniejszy, im bardziej oddalaliśmy się od centrum.

Żandarm nie zawiózł mnie ani na posterunek policji, ani do koszar wojskowych, ani nawet do oficjalnej siedziby Kirsanova. Pędził za miasto leśnym traktem i zatrzymał się dopiero przy starym, opuszczonym dworze, którego popękane, zmurszałe ściany i podziurawiony dach oraz okna bez szyb opanowały dzikie trawy, chwasty i gałęzie bujnych drzew.

Porywacz brutalnie zepchnął mnie z siodła i poprowadził w stronę porośniętych mchem nierównych schodów, prowadzących na obskurny ganek.

Kapitan Kirsanov czekał na mnie w surowym wnętrzu, które niegdyś musiało być naprawdę gustowne. Popękana posadzka, spomiędzy której wypuszczały się chwasty, zdradzała fragmenty barwnej mozaiki, z zawilgoconych ścian łuszczyły się dawne dekoracje. We wnętrzu panował półmrok, rozświetlony jedynie ogniem z łuczywa.

– Nareszcie – mruknął na mój widok Kirsanov i uśmiechnął się z satysfakcją.

Siedział rozparty na obitym aksamitem krześle, przy okrągłym dębowym stoliku, w swoim zwyczajowym mundurze lejbgwardyjskim. Te meble były nowe i eleganckie, najpewniej sprowadzono je tu na jego żądanie.

– Co to za miejsce? – spytałam, cedząc słowa i rozglądając się po ponurym wnętrzu.

Przemknęło mi przez myśl, że skoro mnie tu sprowadził, tak daleko od miasta, nie mógł mieć dobrych zamiarów.

– Prawda, że ładnie? Bardzo klimatycznie. Idealne miejsce na schadzkę byłych kochanków.

Skrzywiłam się ze wzgardą.

– Po co mnie tu sprowadziłeś?

Zaśmiał się, ale nie odpowiedział.

Drugie krzesło stało puste. Wskazał mi je.

– Usiądź, Klaro. Napijmy się wina. Cabernet... Twoje ulubione, pamiętasz? Mam ci przypomnieć, co z takim wdziękiem robiłaś po jednej lampce? Może ty zapomniałaś, ale ja wciąż pamiętam.

Żandarm, który mnie tu przywiózł, pchnął mnie w stronę krzesła. Moje ciało po morderczej przejażdżce było całe zeszytywniałe, więc straciłam równowagę i niemal się przewróciłam.

– Zostaw nas samych – rozkazał mu Kirsanov, a mężczyzna natychmiast spełnił polecenie.

Zniknął jak duch, bo kiedy obejrzałam się przez ramię, już go nie było.

Z ulgą usiadłam, choć nie czułam się ani trochę rozluźniona. Miałam złe przeczucia. To miejsce – ponure i wyglądające na opuszczone – budziło we mnie niepokój. Poza tym nadchodził zmierzch i robiło się zimno, a ja nie miałam na sobie żadnego płaszcza.

Obserwowałam kapitana, jak ten sprawnie nalewał do kryształowych kieliszków czerwone wino. Następnie podał mi jeden, patrząc w oczy.

– Wnieśmy toast! – zarządził uroczyście. – Za naszą owocną współpracę.

Przebiegł po mnie dreszcz. Kirsanov chciał ode mnie informacji. Po to mnie tu sprowadził.

Powinnam była się domyślić. Ktoś taki jak on nie dawał się łatwo zignorować.

Upił łyk wina i ja zrobiłam to samo, uznawszy, że odrobina alkoholu choć trochę mnie odpręży.

Kirsanov z brzękiem odstawił lampkę na stolik, nie spuszczać ze mnie uważnego spojrzenia. Patrzyłam w jego zimną, ponurą twarz, zastanawiając się, jak to możliwe, że mając takiego ojca, jego syn był tak słodką istotą.

Bezwiednie spuściłam głowę.

– Myślisz o nim – zauważył beznamiętnie, czytając mi w myślach. – O naszym synu. Ja też o nim myślę i uważam, że nieźle nam się udał. Szkoda, że już go nie ma. Nie chciałabyś kolejnego?

Uniosłam twarz i popatrzyłam na niego z odrazą.

– Po twojej minie wnioskuję, że nie – skomentował. – Ale to dobrze, bo miałbym z bękartem pewien problem. Czy wspominałem, że się ożeniłem? O, widzę zaskoczenie na twojej twarzy. Czyżbyś była zazdrosna? Powinnaś, bo moja żona to wyjątkowo piękna kobieta, z dobrej rodziny. Rosjanka. Tym razem moja szanowna matka nie miała żadnych wątpliwości. – Ujął kieliszek i upił kolejny łyk wina. – Ksenia jest mi bardzo przychylna, jeśli wiesz, co mam na myśli. Niestety została w naszym domu w Petersburgu, więc czuję się tu nieco samotny.

Patrzyłam na niego, walcząc z nadciągającymi mdłościami.

Jak kiedykolwiek mogłam uważać go za przystojnego, skoro teraz widziałam w nim jedynie karykaturę mężczyzny. Im był starszy, tym większa uwidaczała się w jego ostrych rysach zimna bezwzględność.

– Czego ode mnie chcesz? – spytałam.

– Jak to czego? Zawarliśmy umowę, pamiętasz? Dzisiaj mija miesiąc, więc jesteś mi coś winna.

– Nie jestem ci nic winna. Powiedziałam, że nie będę twoją konfidentką.

– A ja powiedziałem, że jeśli tego nie zrobisz, dowiesz się, co potrafię.

– Zamkniesz moją gazetę? Proszę bardzo, otworzę nową.

– Jak zwykle jesteś zbyt pewna siebie. Dotąd nie traktowałem cię właściwie, ale to dlatego, że czułem do ciebie słabość. Ta słabość jednak minęła i nie podoba mi się, że tak lekceważąco stawiasz sprawę. – Zmrużył złośliwie oczy. – Przewidziałem, że będziesz się stawiać, więc profilaktycznie zająłem się już twoim czasopiśmem – to mówiąc, rozciągnął wargi w krzywym uśmiechu. – Obawiam się, że czekają cię pewne straty, chyba że wykorzystasz ostatnią szansę. Powiedz wszystko, co wiesz na temat działalności wywrotowców z PPS-u, demokratów,

narodowców, jednym słowem: wszystkich, którzy nie lubią władzy Jego Wysokości. Chcę wiedzieć, gdzie się spotykają, kto i z kim, a dam wam spokój... Tobie i twojej doktorowej. Niestety nie mogę obiecać, że zostawię w spokoju doktora, bo on musi zostać ukarany. Sama rozumiesz, nie wolno nam tolerować buntowniczych zachowań.

– Nic nie wiem! – wycedziłam przez zęby, czując narastający gniew. – Prowadzę gazetę dla kobiet, nie zajmuję się polityką.

– Ale na manifestacje chodziłaś...

– To było dawno.

– Dla Jego Wysokości takie sprawy się nie przedawniają. Mamy od cara jasne rozkazy: tłumić wszelkie tajne organizacje, zamykać wyrotowców, skazywać na śmierć zdrajców. Rozkaz to rozkaz i należy go wypełnić... Ale ty możesz nieco złagodzić te wyroki, jeśli wyznasz, co wiesz. To wcale nie musi być trudne, Klaro. Zdziwiłabyś się, jak wielu mamy informatorów. Co ci szkodzi? Podaj kilka nazwisk i będziesz wolna.

Zaśmiałam się z pogardą. Odstawiłam niedopite wino, bo poczułam, że kręci mi się w głowie.

– Nawet gdybym wiedziała, nie usłyszałyś ode mnie ani słowa. Już nie dam ci się szantażować.

Kirsanov zerwał się z krzesła i dopadł do mnie. W jednej sekundzie poczułam na szyi zimne ostrze noża. Zesztywniałam.

– Nie igraj ze mną, bo pokaleczę to twoje gładkie ciało – szepnął kapitan. – Pamiętaj, że już teraz nie będzie mi żal...

Jakby na dowód swoich słów przycisnął nóż jeszcze mocniej. Czułam, że przeciął mi skórę, że kropla po kropli po szyi zaczęła płynąć krew.

Jęknęłam i przygryzłam wargę. Łzy przesłoniły mi obraz jego ohydnej twarzy.

– Mów, do cholery, bo tracę cierpliwość! – wrzasnął.

Zadrżałam. Czułam, jak ostrze wciąż sunie po mojej krtani. Jeden mocniejszy ruch i będzie po mnie.

Łzy ciekły mi po policzkach. Gdzieś tam głęboko czułam, że Kirsanov mnie zabije. Za to, że go odrzuciłam, że go upokorzyłam, że nie chciałam zostać jego żoną. Nienawidził mnie. Wyciągnie ode mnie, co chce, i mnie zabije.

Kirsanov nie zwalniał uścisku. Patrzył mi w oczy, igrając z moim lękiem, czerpiąc z niego nadludzką przyjemność. Aż nagle odsunął nóż od draśniętej szyi i wpił się wargami w miejsce skaleczenia. Czułam, jak zlizuje językiem drobinki krwi i zadygotałam z obrzydzenia, ale bałam się wyrwać z jego uścisku, bo wiedziałam, że wciąż trzyma w dłoni nóż. I rzeczywiście: Kirsanov odsunął się ode mnie i patrząc mi w oczy, zbliżył ostrze do mojego policzka. Zesztywniałam w oczekiwaniu, choć moja dłoń bezwiednie zaczęła sunąć w stronę obszernej kieszeni w spódnicy, gdzie spoczywał pistolet, lata temu odebrany Jędrzejowi

podczas demonstracji. Wciąż go miałam, przechowywałam tak długo jak cenną relikwię, a ostatnimi czasy, wiedzioną złym przeczuciem, wyjęłam z szuflady i zaczęłam nosić przy sobie. Traktowałam go bardziej jako straszak na oprawców niż prawdziwą broń. Bo przecież nie potrafiłam strzelać...

– Wciąż jesteś słodka... – wyszeptał Kirsanov chrapliwie. – Mógłbym się z tobą zabawić, ale...

Głośny strzał przerwał jego wywód.

Kapitan zeszywniał, a jego uścisk w jednej chwili zelżał. W panice odepchnęłam go od siebie, tłumiąc okrzyk przerażenia. Moja dłoń, w której spoczywał dymiący pistolet, drżała, jakby ciało z nagłą zaczęła trawić gorączka. Zakręciło mi się w głowie, kiedy kapitan – z krwawiącą raną na piersi i wyraźnym niedowierzaniem w oczach – osunął się na mozaikową posadzkę. Z krtani wyrwał mi się krzyk, ale zatkałam usta pięścią, wgrzyzając się w nią zębami, by tłumić paniczny szloch. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie teraz. Nie mogłam.

Rozejrzałam się gorączkowo po mrocznym wnętrzu, spodziewając się ujrzeć nadbiegającego żandarma. I rzeczywiście, po kilku sekundach spostrzegłam jego sylwetkę. Nie analizowałam tego, co robię. Działałam mechanicznie. Wycelowałam i strzeliłam po raz drugi, a huk wystrzału odbił się echem od pustych ścian, płosząc nocne ptactwo ukryte w koronach drzew wokół domu.

Po wszystkim zapadła głucha cisza. Nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Stałam jak sparaliżowana, przygwożdżona do miejsca, z którego miałam widok na dwa leżące na posadzce martwe ciała. Coś mnie dławiło w gardle, a serce waliło tak, że prawie wyskoczyło z piersi. W końcu zerwałam się i potykając się o własne nogi, wybiegłam na zewnątrz. Dopiero tam chwyciły mnie nagłe torsje.

Wokół było zupełnie ciemno. Otarłam twarz i rozejrzałam się. Przed sobą widziałam jedynie ścianę drzew, kołyszących się miarowo pod wpływem wiatru. Wierzchowiec żandarma stał spokojnie przywiązany do pnia. Odetchnęłam z ulgą, że nie przestraszył się wystrzałów i nie uciekł.

Zarżał niespokojnie, kiedy do niego podeszłam, ale pozwolił się dotknąć.

Siedząc w siodle, kurczowo zaciskałam palce na lejcach, co jakiś czas przypadając do karku zwierzęcia i chwytając się jego grzywy w obawie, że z nerwów nie zapanuję nad ciałem i spadnę. Pędziłam na oślep, na złamanie karku przez ciemny leśny trakt, w stronę miasta, jakby coś mnie goniło. Miałam upiorne wrażenie, że ściga mnie sam Kirsanov, a raczej jego bezwładne ciało z krwawiącą raną na piersi. Od tych upiornych wyobrażeń włosy jeżyły mi się na karku.

Kiedy zobaczyłam pierwsze światła miasta, niemal rozplakałam się z ulgi. Przez głowę przebiegały mi szalone myśli. Dokąd jechać? Gdzie się skryć? Zabiłam przecież dwoje ludzi, w tym kapitana carskiej gwardii, więc nie mogłam tak po prostu, jak gdyby nigdy nic, wrócić do domu. Co powiedziałabym mamie?

Dopiero teraz dotarło do mnie z całą jasnością, co zrobiłam i jakie mogą być tego konsekwencje. Wówczas przypomniałam sobie słowa Kirsanova. „Zająłem się twoją gazetą” – tak powiedział.

Popędziłam konia.

Na ulicach wciąż było pełno ludzi, więc jechałam bocznymi zaułkami, nie chcąc rzucić się w oczy, ale i tak raz po raz ktoś spoglądał na mnie dziwnym wzrokiem. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że przecież jadę na koniu w lejbgwardyjskich barwach, a moja bluzka jest umazana krwią. Nie moją – lecz Kirsanova.

Wreszcie, gdy znalazłam się już dość blisko redakcji, zeskoczyłam z konia i puściłam zwierzę wolno.

Widok, jaki pojawił się przed moimi oczami, kiedy dotarłam do celu, niemal zwałił mnie z nóg. Budynek płonął. Ogromne snopy ognia i dymu strzelały w ciemne niebo, sycąc się wszystkim, w co z Marianną włożyłyśmy tyle serca. Pożar trawił całą kamienicę, z wnętrza buchały gęste kłęby dymu i ognia. Tłum gapiów wpatrywał się w to widowisko z przerażeniem, podczas gdy straż ogniowa i ochotnicy zaciekle walczyli z żywiołem. Wiedziałam, że na tym etapie nie byli w stanie już nic uratować. Nic.

Ruszyłam przed siebie, czując, jak coś we mnie burzy się od wściekłego gniewu, coś narasta, jakaś potężna złość pomieszana z rozpaczą. Szłam, zaciskając zęby. Byłam bezsilna. I nagle zobaczyłam obraz, który nakazał mi się zatrzymać. Przeniknął mnie dreszcz – straszny, paralizujący, a wszystko wokół gwałtownie zawirowało.

Z buchającego ogniem budynku jeden ze strażaków wynosił bezwładne ciało kobiety.

– Marianna!

Zaczęłam biec. Biegłam i krzyczałam. Nie zważałam na ludzi, na ich wstrząśnięte moim histerycznym krzykiem spojrzenia. Biegłam. Do czasu, aż świat przed oczami nagle spowił mi gęsty czarny dym.

– Klara! – Ktoś gwałtownie pochwycił mnie w ramiona i mną szarpnął, a ja się szybko poddałam, bo rozpacz odebrała mi wszelkie siły.

Nie byłam już w stanie tego udźwignąć.

Nie wiem, co wydarzyło się później. Nie pamiętam. Już nigdy więcej nie pozwoliłam sobie we wspomnieniach odtworzyć tamtej chwili...

ROZDZIAŁ 35

Czyjeś ramiona podtrzymywały mnie na posłaniu.

Próbowałam unieść powieki, ale oczy mnie piekły, łzawiąc bez końca. W nozdrzach czułam silny swąd dymu. Poruszyłam się, przeczuwając, że coś się dzieje, coś bardzo złego toczy się wokół mnie. Do mojej świadomości przenikały groteskowe obrazy śmierci, strachu i ognia. Wszystko to zdawało się głęboko nierealne, ale był w tym również jakiś trudny do wytrzymania ból.

Poczułam, jak czyjaś twarda dłoń splata się z moją.

– Marianna... – wyrwał się ze mnie zduszony głos.

Coś bardzo głęboko we mnie nie dawało mi złapać oddechu.

Gdy wreszcie siłą woli udało mi się rozewrzeć powieki, ujrzałam przed sobą ciemność. Obok ktoś był. Ten ktoś trzymał mnie mocno za rękę. Pochylał się nade mną. Biła od niego aura pozornego spokoju, podczas gdy we mnie wszystko wrzało, płonęło, spalało się w dzikim szale niezrozumienia i rozpacz.

– Gdzie jest Marianna? – spytałam z wielkim trudem, próbując unieść się na posłaniu. Jednak czyjeś ramiona mnie powstrzymały.

– Później...

– Tam wszystko płonie! Pali się! A Marianna...

– Już po wszystkim, Klaro. Strażakom udało się opanować pożar.

– Jędrzej?

Coś nieznośnie dusiło mnie w piersi, jakieś potwornie złe przecucie, którego się bałam. Wyteżyłam wzrok, by dostrzec sylwetkę dawnego przyjaciela. Trwał tu ze mną. Wiedziałam, że to on, choć jego obraz był zamazany.

– Gdzie jest Marianna? – powtórzyłam zdławionym głosem.

Nie odpowiedział. Otoczył mnie ramionami i przytulił. Trwałam tak w bezruchu, lękając się, że jeśli się poruszę, prawda uderzy we mnie z całą brutalną mocą. Świat nagle przestanie być bezpieczny, a ramiona przyjaciela już nie zdołają ochronić mnie przed okrutną rzeczywistością.

– Prześpij się jeszcze – poprosił Jędrzej po chwili. – Jesteś słaba, cała się trzęsiesz.

– Nie trzęsę się. Muszę się dowiedzieć, co z Marianną...

– Jutro. Teraz spróbuj zasnąć. Zostanę z tobą.

Został ze mną aż do świtu. Kiedy się obudziłam, on czuwał. Patrzył na mnie z niepokojącą powagą. Utonęłam w tym spojrzeniu, szukając weń ratunku, domagając się prawdy i równocześnie błagając, żeby mi jej nie wyjawiał.

– Marianna? – spytałam słabym głosem, odgarniając z twarzy mokre od potu kosmyki włosów.

I wówczas Jędrzej nie zapanował nad załością. Nic nie powiedział. Widziałam, że nie mógł. Jedynie pokręcił głową, a w jego oczach zabłyśły łzy.

Nie pojmowałam tego. Nie rozumiałam okrucieństwa, które spadło na mnie tak nieoczekiwanie, że zdawało się wręcz nierealne. Nie godziłam się na nie. W chaotycznych myślach przeklinałam Kirsanova i zło, którym przez lata mnie otoczył. Bezwiednie spuściłam głowę i wpatrzyłam się w zaschniętą plamę krwi na mojej bluzce, po czym zaczęłam szarpać wściekle materiał, obrywając guzik za guzikiem. Rozgorzała we mnie myśl, że to za mało, że śmierć z mojej ręki przysłała do niego za szybko i za łatwo, bo powinien był odplacić mi po stokroć.

Jędrzej pomógł mi zdjąć bluzkę i przytrzymał mnie mocno.

Płakać zaczęłam dużo później, kiedy dotarło do mnie, że Marianna nie żyje.

* * *

Świat wciąż mienił się barwami. Niebo, ziemia, słońce – to wszystko było realne, pełne życia. Te istnienia przenikały się wzajemnie, dodając sobie blasku i energii. Deszcz z kłębiących się chmur użyźniał glebę, słońce swym ciepłem uwalniało jej piękno. Grube konary drzew wbijały się w wilgotną ziemię, odbierając z niej życiodajne soki, aby wzrastać i czerpać. Świat wydawał się nie mieć końca.

Wydawał się.

Bo jednak miał koniec.

Ten koniec przychodził za każdym razem, kiedy ktoś wrywał drzewo z korzeniami i pozbawiał je możliwości trwania.

– Obudziłaś się...

Głos Jędrzeja dochodził jakby z daleka. Niechętnie odwróciłam głowę od obrazów za oknem i popatrzyłam na niego.

Skuliłam się w sobie.

Jędrzej całą swą postawą wyrażał troskę i głębokie współczucie, a ja nie chciałam współczucia. Chciałam pustki. Ciemności. Pragnęłam, żeby ogarnęła mnie całą i pomogła mi przestać czuć i myśleć.

– Przygotowałam ci coś do jedzenia. I gorącą herbatę. Jedzenie może nie jest wykwintne, ale sycące i doda ci sił.

– Ty umiesz zrobić jedzenie? – spytałam, siląc się na normalny ton, choć proza życia wydawała mi się czymś skrajnie nieodpowiednim wobec faktu, że lada moment miał nastąpić koniec świata.

Jędrzej wzruszył ramionami i postawił tacę z jedzeniem na stoliku.

– Pamiętasz, jak lata temu zdarzało mi się jeździć z ojcem na polowania? Wówczas sami przygotowywaliśmy sobie posiłki. Poza tym... Wiele o mnie nie wiesz.

„Tak jak ty o mnie” – pomyślałam ze smutkiem.

– Gdzie jesteśmy? – Skinęłam głową w kierunku okna, za którym rozciągał się las.

Nie znałam tego miejsca i dziwiłam się, że tu jestem. Jędrzej nie powinien mnie tu sprowadzać. Powinien pozwolić mi zostać tam, przed płonąącym budynkiem, w tym strasznym miejscu, gdzie rozegrała się tragedia. Może wówczas nie musiałabym patrzeć na kolejny wschód słońca i czuć... Bo czucie było najgorsze.

– Jesteśmy w domku myśliwskim mojego ojca. Ostatnio nikt tu nie zagląda. Ja sam bywam tu sporadycznie. Pomyślałem, że chwilowo nie powinnaś być na widoku. Za dużo się wydarzyło.

– Muszę wrócić do domu.

Przesunęłam drżącą dłońią po szyi, czując pod palcami piekącą ranę. Widziałam, że Jędrzej zatrzymał spojrzenie na tym miejscu.

– Moja mama nie wie, co się stało – powiedziałam.

– Byłem u niej, gdy spałaś – odparł. – Wyjaśniłem, że nic ci nie jest, ale że w związku z pożarem musisz przez jakiś czas pozostać w ukryciu. Dla własnego bezpieczeństwa. Zapewniłem ją, że nic ci tu nie grozi.

Czy rzeczywiście nic mi nie groziło? Czy jeszcze kiedykolwiek będę mogła czuć się bezpieczna?

Popatrzyłam bezradnie na dawnego przyjaciela. Moje ciało nagle zwiotczało, przygniecione cierpieniem.

– Jędrzej... – załkałam. – Dlaczego ona? Nasza słodka, kochana Marianna... Miała dwoje dzieci, męża, dobre życie. A Antoni? Mój Boże, jak on bez niej wytrzyma? Była całym jego jestestwem... – Nie mogłam mówić, bo żal odbierała mi oddech.

Jędrzej podszedł do mnie i przytulił. Jego uścisk miał mnie uspokoić, ale jedynie wzmógł poczucie straty i winy.

Marianna umarła przeze mnie. Gdybym nie zadała się z Kirsanovem...

Mój Boże, jak miałam to przetrwać? Jak przyjąć tę kolejną tak niesprawiedliwą śmierć i żyć dalej? Jak?

– Nie chcę żyć! – wyjęczałam. – To ja powinnam tam zginąć, w tej redakcji. Nie ona. Ona była dobra, pomagała ludziom, narażała się dla innych...

– Cicho już, cicho... – Jędrzej pogłaskał mnie po plecach.

Czułam, że też był spięty. Też przeżywał to, co ja. Ten sam smutek, stratę kogoś, kto nie powinien był jeszcze odchodzić. Przecież znał Mariannę, wiedział, jaka była wspaniała i piękna.

Poczułam, jak jego wargi dotknęły moich włosów.

– Będę z tobą, dopóki nie zdołasz wyjść do ludzi.

Nie zastanawiałam się, czemu to robił. Co nim kierowało, że tak nagle zostawił dotychczasowe życie i był ze mną akurat teraz. Dzięki niemu nie rozsypałam się na kawałki.

Nie pozwolił mi również pojechać na pogrzeb. Znosił moje cierpienie, karmił, gdy nie byłam w stanie ująć w trzęsącą się dłoń łyżki, ale nie pozwolił mi uczestniczyć w pochówku mojej przyjaciółki. Udał się tam sam, a kiedy wrócił, zapewnił, że złożył na grobie różę ode mnie.

– Przyszła też twoja mama – rzekł spokojnie, choć widziałam, że był zgnębiony.

Cała jego twarz stężała w bolesnym grymasie.

– Dlaczego mnie nie zabrałeś? Chciałam się pożegnać.

– To jeszcze nie czas, Klaro. Musisz nabrać sił, spojrzeć na to z dystansu. W twoim obecnym stanie mogłabyś tego nie wytrzymać.

Później, kiedy znów nie mogłam zasnąć, a on siedział przy mnie bez słowa, wyznałam mu bez ogródek, że zabiłam Kirsanova i żandarma.

– Wiem. Domyśliłem się tego – odparł bez cienia emocji. – W mieście wrze, a po tym, jak znaleziono ciało Kirsanova, sytuacja stała się wyjątkowo napięta. Tym bardziej nie możesz się stąd ruszać. Póki co nie słyszałem, żeby ktoś głośno wypowiadał twoje nazwisko, ale musimy być ostrożni.

– Ja muszę być ostrożna – poprawiłam go dobitnie.

Po co Jędrzej to wszystko dla mnie robił? Czemu był tu ze mną? Czy nie powinien wracać do swojego domu, do żony i syna? Te pytania zaczęły cisnąć mi się na usta, ale nie miałam śmiałości wypowiedzieć ich na głos. Może bałam się odpowiedzi?

– Podczas tamtej pamiętnej manifestacji w tysiąc dziewięćset czwartym, zanim wprowadził cię żołnierz, schowałam do kieszeni twój pistolet. – Spojrzałam mu w oczy. – Dotąd nie wiem, skąd go miałeś, ale chowałam go przez te wszystkie lata. To tym pistoletem zastrzeliłam Kirsanova. Gdybym go przy sobie nie miała...

Umilkłam i spuściłam głowę, próbując uspokoić drżące dłonie.

– Błędnie sądziłeś, że coś mnie z nim łączyło, bo urodziłam Stasia – podjęłam po chwili. – Ale łączył nas jedynie układ, który pozwolił uratować ciebie. – Czułam, jak głos więźnie mi w gardle. – Tylko tym się kierowałam. Niczym innym. Nie kochałam Kirsanova, nie pragnęłam, nie było we mnie żadnych dobrych uczuć do niego.

Jędrzej nic nie odpowiedział, jedynie kiwnął głową. Po chwili wstał i wyszedł.

Zostałam sama, ale wiedziałam, że tym razem nie mogę oczekiwać od niego żadnych słów. Potrzebował sobie wszystko poukładać.

Nie wiem, ile czasu spędziłam w domku myśliwskim, bo straciłam rachubę. Przez pierwsze dni siedziałam w tej jednej izbie, w której ulokował mnie Jędrzej, i wpatrywałam się bezmyślnie w okno. Dręczące myśli nie opuszczały mnie nawet na chwilę. Nie mogłam spać, a gdy już zasnęłam, to budziłam się z lękiem, niespokojna, wystraszona. Jędrzej uspokajał mnie. Był ze mną niemal bez przerwy, poza tymi momentami, kiedy jechał do miasta po jedzenie. Kiedy wracał, oddychałam z ulgą. Dlatego gdy któregoś rana obudziłam się i nie zobaczyłam go, bardzo się zdziwiłam. Przecież zawsze nim wyjechał, mówił mi o tym.

Właśnie wtedy po raz pierwszy wyszłam z chaty wprost na leśną polanę, by go poszukać. Uderzyła mnie rześkość, lekkość wiatru, aromat żywicy wnikaający w moje nozdrza. Tak jakbym zapomniała, jak to jest czuć na sobie powietrze. Zakreśliło mi się w głowie. Byłam oszołomiona urodą lasu, który mnie otaczał; miałam wrażenie, że spoglądam na niego po raz pierwszy.

Więc świat rzeczywiście nadal istniał! Podczas gdy mnie ogarniała żaloba i nicość, wszystko wokół wciąż trwało w swojej niezwykłej urodzie. Tętniło życiem. I pomyślałam, że to nie ja powinnam tu teraz być, by chłonąć to wszystko. Powinna tu być Marianna.

Ruszyłam powoli leśną ścieżynką, nasłuchując śpiewu ptaków w koronach sosen. Czułam, jak w moje odrętwiałe ciało wlewa się nowa siła – wciąż nieśmiała, nieco oporna, która jednak pcha mnie do przodu. Zatapiałam się w leśnej głuszy, brnęłam w zieleni paproci, unosiłam głowę i patrzyłam na falujące miarowo wysokie drzewa.

Coś we mnie drgnęło i to drgnięcie wyzwoliło we mnie nagłą potrzebę zaczerpnięcia głębokiego oddechu.

Szybko dotarłam do leśnego jeziora. Tafla wody, pokryta gęstym kożuchem rzęsy, błyszczała jak klejnoty, odbijając w sobie promienie słońca.

Na brzegu leżały niedbale rzucone buty, spodnie i koszula. Zaraz potem dojrzałam Jędrzeja. Odetchnęłam i uśmiechnęłam się mimo woli. Był tam. Nie opuścił mnie.

Jędrzej zawsze lubił pływać. W dawnych czasach często spędzaliśmy lato nad brzegiem Wisły albo nad rzeką w Konstancinie. Doskonale pływał. Ale kiedy to było? Jak bardzo byliśmy wówczas młodzi, beztroscy, nieświadomi życia i bez tego balastu, który teraz obciążał nasze barki.

Jędrzej zorientował się, że stoję na brzegu. Przez chwilę patrzył na mnie z oddali, mrużąc oczy przed jasnym słońcem. W końcu podплыnął bliżej i powoli wynurzył się z jeziora, a mnie uderzył widok dużej, poszarpanej blizny po postrzale na jego ramieniu. Chciałam odwrócić wzrok, ale nie mogłam. Chłonięłam

jego męskość i zderzałam ten obraz ze świadomością, że każdego dnia te szerokie ramiona pomagają mi żyć na nowo. Choć przecież nie był mój. Nie należał do mnie.

– Myślałem, że zdążę wrócić, zanim się obudzisz – rzekł, kiedy był już dostatecznie blisko.

Nie śmiałam spojrzeć mu prosto w oczy. Obawiałam się, że dostrzeże w moim spojrzeniu wszystko, co tak wyraźnie czułam w środku – tęsknotę za nim, miłość... Miłość, która mnie zdumiewała, bo przetrwała tyle lat i tyle kolei losu.

Jędrzej podszedł do mnie śmiało i bez wahania, jakby wiedział... I bez słowa ujął moją twarz w dłonie. W jego palcach był żar, który przeniknął mnie całą, wtargnął głęboko w moje trzewia i już nie było innej drogi, bo świat w tej jednej chwili skurczył się tylko do nas samych.

Dotknął ustami moich warg. Wpierw powoli, jakby się bał, ale już po chwili całowaliśmy się gwałtownie, nie potrafiąc się od siebie oderwać. Czułam, jak dłonie Jędrzeja suną w dół moich ramion, jak walczą z moim ubraniem, by w ostateczności zerwać ze mnie halkę jednym mocnym szarpnięciem. I byłam dla niego cała.

Ułożył mnie na wilgotnej trawie, a ja wyciągnęłam do niego ramiona.

Chciałam jego ust, dłoni. Chciałam wszystkiego. Objęłam go za szyję. Sprawdzałam dotykiem jego skórę, wdychałam zapach włosów, a on przyciągnął mnie do siebie tak mocno, że zabrakło mi tchu. I wówczas wyczułam pod palcami gęsto rozsiane zgrubienia na jego twardych plecach. Blizny. Wyczułam, jak zadrżał pod moim dotykiem.

Otworzyłam się dla niego drżąca; przyjęłam go z uczuciem ulgi, z szaleństwem i myślą, że należę do niego jak do nikogo innego. Moje biodra poruszały się same, odnajdując wspólny rytm, pozostając w ciasnym zespoleniu z jego biodrami. I to trwało całą wieczność... A może trwało ledwie kilka pchnięć?

Później Jędrzej wziął mnie na ręce, jakbym była dzieckiem, i zaniósł do domku. Tam ułożył na łóżku i okrył ciepłą narzutą.

Spałam tak długo, że kiedy w końcu otworzyłam oczy, okazało się, że zapadał już zmrok. W pierwszym odruchu zerwałam się z pośłania. Byłam naga, nie poznawałam własnego ciała i dopiero po chwili zaczęła do mnie docierać realność tego, co się wydarzyło.

Jędrzej siedział niedaleko. Patrzył na mnie. W szarości wieczora widziałam jedynie zarys jego sylwetki.

Opadłam na łóżko z gwałtownym westchnieniem.

– Jędrzej...

Wysunęłam się spod okrycia i podeszłam do niego. Nie miało dla mnie znaczenia to, że nie jestem ubrana. Nie czułam wstydu ani zażenowania, a jedynie potrzebę bliskości. Ogromną. Rozsadzającą mnie od środka.

Jędrzej położył dłonie na moich biodrach i przyciągnął do siebie. Jego palce chciwie wbiły się w moją skórę.

– Powinienem być pochwyć cię wówczas, kiedy tak nedorzecznie zaproponowałaś mi małżeństwo – rzekł zduszonym głosem. – Wtedy nie wydarzyłoby się to wszystko...

Tym razem to ja ujęłam jego twarz w dłonie i przesunęłam palcami po lekkim zarostcie. Całowałam go: wpierw delikatnie, z czułością, lecz po chwili pożądanie wzięło górę. Usiadłam na nim i objęłam go nogami w pasie, tak że wypełnił mnie całą. Nasze oddechy przyspieszały wraz z ruchem moich bioder, nasze usta przeciągały pieszczotę. Nigdy nie odczuwałam tak gwałtownej potrzeby bycia z kimś blisko, do granicy bólu, do granicy rozkoszy. Nie wiedziałam, że może być tak dobrze.

– Kocham cię, Klaro – wyznał mi kilka minut później, a ja poczułam, jak te proste słowa zapadają się głęboko we mnie.

Jeszcze głębiej, niż on sam był przed chwilą. Kiedyś takie wyznanie nie miało dla mnie większego znaczenia. Teraz mnie porażało.

– Jędrzej... Co my zrobimy? – spytałam szeptem, jakby w obawie, że ktoś nas usłyszy.

Przez chwilę milczał, tuląc mnie do siebie, a ja bezwiednie gładziłam palcami blizny na jego plecach.

– Muszę w końcu zachować się uczciwie. W stosunku do ciebie, do mojej żony i syna. I do siebie samego.

Popatrzyłam na niego, zdumiona tą nagłą szczerością. Nie chciałam się poruszyć, w obawie, że coś nam w tej szczególnej chwili umknie, zostanie przerwane przez niepotrzebny gest, nieprzemyślane słowo.

Jędrzej przesunął dłonią po moich opadających na ramiona włosach. Ujął w palce pukiel.

– Nie umiem cię nie kochać, Klaro, choć Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Byłem głupi. Cholernie głupi i przez tę moją głupotę straciliśmy zbyt dużo czasu. Skrzywdziłem kobietę, która nie jest niczemu winna. Skrzywdziłem ciebie. Nigdy nie powinienem był zenić się z Jadwigą. – Jego oczy wypełniała udręka, bo wszystko, co skrywał w sobie przez lata, wychodziło teraz na wierzch wraz z poczuciem winy. – Nasze małżeństwo od początku było farsą. Ona wiedziała, że tkwiłaś między nami jak cień. I choć próbowałem z całych sił, nie potrafiłem się cię wyrzec. Nie było dnia, miesiąca, nie było chwili, żebym patrząc na nią, nie wyobrażał sobie, że to ty...

„To już nie ma znaczenia” – pomyślałam, zatapiając się w jego spojrzeniu. Już nic nie miało znaczenia.

Uwolniłam się z jego objęć. Gdybym tego nie zrobiła, nie potrafiłabym myśleć, jak należało.

– Oboje byliśmy głupi – wyznałam z goryczą, okrywając nagość łózkową narzutą. – Kirsanov to wiedział i perfidnie wykorzystał nas oboje. Drwił z nas. Wiedział, że zrobię dla ciebie wszystko. I zrobiłam. Nie wstydzę się tego. Jedyne dobro, jakie z tego wynikło, to mój najukochańszy syn... – Głos mi się załamał. – Moje piękne dziecko...

– On powinien być nasz, Klaro.

Zmarszczyłam brwi, czując łzy piekące pod powiekami.

– Staś po części był nasz. – Spojrzałam na niego z wyrzutem. – Został poczęty z miłości do ciebie, więc to tak, jakby był nasz...

Jędrzej podszedł do mnie.

Nie umiał się mną nasycić. Jego dłonie znów gorączkowo szukały mojego ciała, jego oczy chłoneły moje spojrzenia.

Dałam mu siebie. I brałam to wszystko, co on zechciał mi dać.

Od tamtej chwili każdy dzień i każdą noc byliśmy razem. Kochaliśmy się i ta miłość stała się dla nas ukojeniem. Szukaliśmy siebie nawzajem, odzegnując się od tęsknoty. Uczyliśmy się swoich pragnień, namiętności. Uczyliśmy się siebie na nowo, inaczej niż kiedyś, i dawaliśmy sobie to, czego nigdy wcześniej nie daliśmy nikomu innemu. Przy Jędrzeju na moment zapomniałam o złu. Zamknęłam się w jego ramionach jak w wieży z kości słoniowej, do której nikt nie miał dostępu prócz niego. I trwałam tak, bojąc się świata i życia, które czekały na nas za ścianą lasu.

Nie odczuwałam nadmiernego szczęścia. Nie umiałam. Wiedziałam jedynie, że wbrew wszystkiemu to, co nas łączy, jest ostateczne. Takie było od początku. Tylko że teraz Jędrzej nie był już wyłącznie moim przyjacielem. Był moją miłością.

ROZDZIAŁ 36

Do domu wróciłam po miesiącu nieobecności. Dusia wybiegła mi na spotkanie, a mama rozplakała się na mój widok. Zmartwiłam się, bo wyglądała marnie, była wychudzona, o poszarzałej twarzy, bez cienia dawnego blasku.

– Ile warte jest życie, jeśli gaśnie tak niespodziewanie – wykrztusiła z prawdziwym żalem, wspominając Mariannę.

Bez przyjaciółki moje dni, do których musiałam powrócić, straciły barwy. Życie znów stało się gorsze, jak wówczas, gdy odszedł Staś. Nawet śmierć papy, choć jej wspomnienie wciąż było we mnie świeże, nie tkwiło taką bolesną zadrą w sercu, jak śmierć mojej drogiej przyjaciółki – wiernej swoim przekonaniom, wspaniale szczerej w miłości do ojczyzny, której wolności tak gorąco pragnęła.

Pogorzelnisko, na które odważyłam się pójść sama, kłuło mnie w oczy. Patrząc tępo na zgliszcza, nie wierzyłam, że jeszcze niedawno byłam tu razem z Marianną, że wspólnie urzeczywistniałyśmy swoje młodzieńcze ideały, że walczyłyśmy o każdy kolejny dzień naszej gazety. To miejsce, teraz szerniałe od ognia i dymu, smutne, tak tragicznie groteskowe, jeszcze chwilę temu rozbrzmiewało jej perlistym śmiechem.

Nie potrafiłam zapłakać. Myślamy uciekałam do Antoniego, ale nie spotkałam się ani z nim, ani z jego nieszczęsnymi dziećmi. Nie miałam na to dość odwagi. A kiedy w końcu ją z siebie wykrzesalam, okazało się, że doktor Sieradzki wraz z dziećmi opuścił Warszawę i nikt nie wiedział, dokąd wyjechali.

– Wyemigrował – wyjawiał mi któregoś razu Jędrzej, widząc moje głębokie strapienie. – Tak będzie dla niego lepiej, Klaro, bo tu nie miałby życia. Ochrona nie dałaby mu spokoju. Deptali mu po piętach, szukali na niego dowodów. Chodziły nawet słuchy, że podejrzewano go o zastrzelenie Kirsanova... Gdyby zapadł na niego wyrok, dzieci zostałyby sierotami.

Słuchając Jędrzeja, poniekąd przyznałam mu rację. Dobrze, że Antoni wyjechał. Nie zniosłabym, gdyby oskarżono go o czyn, którego nie popełnił. Wciąż miał dla kogo żyć, musiał wychować dzieci, a tu byłoby to bardzo trudne.

Nie mogłam powstrzymać łez, dopiero kiedy udałam się na cmentarz i na marmurowym nagrobku przeczytałam:

Marianna Wąsowicz-Sieradzka

Matka, żona i córka. Nieskończenie piękna na ciele i duszy. Kochana ponad wszystko. Odeszła tragicznie.

Mnie jak dotąd nikt nie podejrzewał o zabicie kapitana. Podobno śledztwo wciąż trwało, szukano zabójcy i krążyły plotki, że policja miała na liście kilku prawdopodobnych sprawców, ale mnie nikt nie niepokoił. Traktowano mnie raczej jak ofiarę, która straciła pracę w wyniku podpalenia redakcji, a póki co to odsuwało ode mnie podejrzania.

* * *

– Co zamierzasz? – spytała mnie któregoś wieczora mama.

Wiedziała, że jawnie spotykam się z Jędrzejem i że nie są to niewinne spotkania. Żadne z nas nie ukrywało swoich uczuć. Nie wstydziłam się przed ludźmi, że nie chcę bez niego żyć. Już nie miałam na to siły; zamiast tego zachłannie chwyciłam wspólne chwile, jakby w obawie, że i te zostaną mi kiedyś odebrane.

– Jędrzej złożył pozew o rozwód – rzekłam wprost, nie siląc się na szczegółowe tłumaczenia. – Nie chce żyć w zakłamaniu i oszukiwać żony.

– To skandal! – wykrzyknęła moja mama wzburzona. – Ludzie wezmą nas na języki!

– Naprawdę? – spytałam lekceważąco. – A czy ja się kiedykolwiek przejmowałam skandalami?

Warszawa rzeczywiście plotkowała. Domysłom i oskarżeniom nie było końca. Tym razem nazywano mnie bezwstydnicą, która nie mając powodzenia u kawalerów, bez skrupułów uwiodła czyjś męża. Oczywiście nie próbowałam się tłumaczyć, obruszałam się jedynie tym, że Jędrzeja – choć był mężem i ojcem – nikt nie posądzał o złe prowadzenie się. To ja byłam tą złą, która bezczelnie rzuciła na niego urok, wczepiła się w niego szponami i uwięziła. Prawdy nikt nie chciał znać, bo nikt jej nie potrzebował.

Jędrzej, pomimo z pozoru nieskazitelnej reputacji, uzyskał rozwód po kilku miesiącach długiej i trudnej batalii z żoną. Jadwiga, rozgoryczona decyzją męża, nie chciała pozwolić mu na kontakty z synem. Walczyła zaciekle, publicznie oskarżała go o zdradę – w czym oczywiście miała rację, jednak prawo było po jego stronie, nawet jeśli – a raczej mimo moich osobistych przekonań – powinno być inaczej. W głębi duszy współczułam Jadwidze, wiedziałam, że źle musi się czuć ze świadomością, iż jej małżeństwo stało się farszą. Z drugiej strony miałam już prawie trzydzieści lat i wiedziałam, że żadne ustępstwa nie wchodzą w grę: ja

i Jędrzej nie przestaniemy się kochać. Już nie. Nawet jeśli ktoś będzie próbował nam wbić do głowy, że to, co robimy, jest złe i nieprzyzwoite.

Naszą więź, o dziwo, rozumiała matka Jędrzeja, która na wiadomość o rozwodzie syna przyznała bez zażenowania, że do tego ślubu nigdy nie powinno było dojść.

– Jędrzej stracił rozum, poślubiwszy tę dziewczynę. Miałaś rację, kiedy pisałaś, że małżeństwo z rozsądku to cierpienie – rzekła do mnie bez ogródek po tym, jak nie zważając na plotki, zaprosiła mnie na herbatę. – Patrzyłam na mojego syna i widziałam, że męczy się w tym związku. Był lojalny, ale płacił za to samotnością. Przez to uciekał od Jadwigi. Jeździł po tych różnych dziwnych miejscach, szukając swojej drogi, oddając się rewolucyjnej idei, gdy tymczasem ty byłaś tak blisko. I to go trapiło. Mój Boże, czemu był wówczas taki uparty! Przecież miałaś dla niego serce na dłoni, widziałam to! Nawet zaczęłam się modlić, żeby przejrzał na oczy, ale on zagubił się zupełnie! I teraz ten rozwód, który dotyka ich oboje. Na szczęście jesteś tu i wiem, że tak trzeba. Szkoda mi biednej Jadwigi, szkoda mi mojego wnuczka, bo kocham go całym sercem, ale inaczej nie można. – Pelagia dyskretnie otarła łzę.

Mnie też ścisnęło wzruszenie. Nie spodziewałam się takich słów ze strony tej, zdawałoby się, chłodnej i konserwatywnej kobiety. A jednak po raz kolejny obdarzyła mnie serdecznością i zaufaniem – a to znaczyło dla mnie więcej niż setki złośliwych plotek.

– Klaro, jeśli zdołasz, wybij mu z głowy tę wojaczkę. Zabierz go gdzieś, gdzie zapomni o tej przeklętej walce, o której tyle mówi.

– Pani wie, że nie mam takiej mocy – odparłam szczerze.

Jędrzej w konsekwencji rozwodu otrzymał możliwość swobodnych kontaktów z synem oraz pełen wpływ na jego wychowanie, jednak chłopiec do czasu, aż podrośnie, miał zostać przy matce. Jędrzej, czując się w powinności, zostawił byłej żonie ich wspólny dom w Łodzi i zabezpieczenie finansowe, nie domagając się niczego.

Tego dnia, kiedy oficjalnie stał się wolny, przyszedł do mnie. Czekałam na niego w oknie i widziałam, jak zatrzymał się na chodniku i spoglądał w stronę oficyny, na dachu której zwykłam siadać. Teraz też miałam ochotę tam pójść. Wspiąć się po drabinie i zapomnieć o wszystkich strapieniach tego świata.

Po chwili Jędrzej stanął w drzwiach.

– A twoja mama? – spytał, kiedy bez skrępowania przyłgnęłam wargami do jego ust.

– Mama nic nie powie. Już się przyzwyczaiła do myśli, że ma nieprzyzwoitą córkę.

* * *

– Nie możemy zostać w Warszawie – rzekł któregoś ranka Jędrzej, wtulając twarz w zagłębienie na mojej szyi.

Pościel przesycona była zapachem naszej miłości.

Już dawno powinniśmy zejść na śniadanie. Wiedziałam, że gospościa będzie niezadowolona, a kamerdyner spojrzy na nas karcąco, ale od czasu, gdy mama wyjechała do Konstancina, a my z Jędrzejem mieliśmy dom tylko dla siebie, poranki spędzaliśmy w łóżku. Chcieliśmy się sobą nacieszyć, nadrobić stracone chwile, które naznaczyły nas głęboką tęsknotą. Wciąż jeszcze nie pozbyliśmy się lęku, jakby nasze szczęście było tylko pozorne i zaraz miało się skończyć. Jakby to był tylko piękny sen, z którego wkrótce przyjdzie nam się obudzić.

– Śledztwo w sprawie Kirsanova trwa – ciągnął Jędrzej, choć ja doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, bo cień jego śmierci towarzyszył mi każdego dnia, nawet jeśli udawałam, że nic mnie ona nie obchodzi. – Prędzej czy później ktoś was ze sobą skojarzy. Poza tym wiesz, że mam swoje obowiązki, które mnie wzywają.

Uniosłam się na łokciu, a moje włosy spłynęły na jego pierś w miejscu, gdzie odznaczała się blizna.

Wiedziałam, jakie Jędrzej ma obowiązki. Pewnego wieczora opowiedział mi nieco więcej o swojej działalności podczas szkoleń wojskowych, o tym, jak sam się szkolił, jak zaczął już w Petersburgu niemal dziesięć lat temu, wstępując w szeregi młodych zapalonych socjalistów, którzy chcieli walki o wolność. Z Walerym Sławkiem i Józefem Kwiatkiem na rozkaz działaczy PPS strzelali w lasach do prowizorycznych tarcz strzelniczych, w prymitywnych laboratoriach konstruowali ładunki wybuchowe, redagowali ulotki do ludności robotniczej, nawołujące do sprzeciwu wobec władzy. To wówczas Jędrzej zdał sobie sprawę, że walka jest możliwa i ma sens. To go zafascynowało i pociągnęło w szeregi organizacji bojowej. Uwierzył na wiecach młodym rewolucjonistom pokroju Walerego Sławka, którzy z zapalem wbijali jemu i innym młodzieńcom do głów, że walka z caratem to walka o naród polski, który ma szansę się odrodzić.

– Chociaż te nasze pierwsze szkolenia były strasznie nieudolne – rzekł z uśmiechem, wyraźnie zażenowany. – Byliśmy grupką szalonych zapaleńców bez żadnego doświadczenia. Petersburg nas obudził, ale w głowach mieliśmy jedynie wzniosłe hasła, a w dłoniach pistolety. Wydawało się nam, że możemy ruszyć na cara, bo mamy wolność w sercu.

– Mój bezmyślny brat myślał dokładnie tak samo – wtrąciłam z przekąsem.

– Tak... Może gdybym miał wówczas większe doświadczenie, tamten żołnierz na placu Grzybowskiem nie postrzeliłby mnie. Ale byłem żółtodziobem bez żadnego obycia. Teraz to wszystko wygląda inaczej. Podczas gdy Piłsudski po nieudanej rewolucji popadł w marazm i uważał się nad sobą, jego towarzysze działali. To z inicjatywy Kazimierza Sosnkowskiego powstał Związek Walki Czynnej. To on dał

początek wszystkiemu. Twierdził, że choć rewolucja się nie udała, musimy działać dalej. Teraz nasz Związek Strzelecki jest organizacją legalną, zatwierdzoną przez galicyjską administrację, bo musisz wiedzieć, że z Wiedniem jest znacznie łatwiej się układać niż z Petersburgiem. Mamy z towarzyszami opracowany plan szkoleniowy, mamy cele i zupełnie inne warunki do działania. Nasze szkolenia podoficerskie i oficerskie są sensowne. Wkrótce będziemy zdolni do prawdziwej walki, więc sama rozumiesz, że nie mogę odpuścić i grzać się tu z tobą w miłosnym gniazdku. Mam pod rozkazami młodych kadetów. Musimy jechać do Lwowa.

– A skąd ci przyszło do głowy, że pojedę z tobą?

Jędrzej zmarszczył brwi. Wyraźnie nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– A masz lepszy pomysł? – spytał zaczepnie. – Bo nie zamierzam się z tobą rozstawać nawet na chwilę. Jeśli nie pojedziesz po dobroci, porwę cię i będę trzymał jak brankę.

Zaśmiałam się, choć ten śmiech miał zamaskować moją konsternację. A Jędrzej szybko stłumił ten śmiech pocałunkiem.

* * *

Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek widziała Zofię Czarnecką w stanie tak głębokiego poruszenia. Odwiedziłam ją po długiej nieobecności, by zapytać o nowiny i poradzić się w sprawie wyjazdu Jędrzeja do Lwowa, lecz Zofia powitała mnie tak zdenerwowana, że z trudem panowała nad wybuchami złości – bo inaczej nie można było nazwać jej pokrzykiwań na służbę, które wywoływały zdumienie u dwójki jej nastoletnich dzieci.

Okazało się, że pasierbica Zofii, dwudziestojednoletnia Julia, którą swego czasu uczyłam na prywatnych lekcjach, wyjechała na nauki do Krakowa, choć ojciec proponował jej nawet Paryż. Dziewczyna uparła się jednak, że Kraków bardziej jej odpowiada, i wybrała Wydział Filozoficzny na Uniwersytecie Jagiellońskim, choć powszechnie było wiadomo, że odsetek kształcących się tam dziewcząt jest znikomy i że nie traktowano ich z takim samym szacunkiem, jakim darzono studentów płci męskiej.

– Ale się uparła – tłumaczyła Zofia, raz po raz wzdychając głęboko. – I teraz Teofil jest wściekły! – wykrztusiła, gasząc nerwowo jednego papierosa i natychmiast odpalając drugiego. – I oczywiście twierdzi, że to wszystko moja wina! I twoja, droga Klaro. – To mówiąc, popatrzyła na mnie znacząco.

– Jest zły, że Julia poszła na studia? Przecież sam zachęcał ją do nauki.

Zofia zaprzeczyła.

– Nie. Jest wściekły, bo zamiast się uczyć, nasza panna postanowiła zostać walkirią. Tak, moja droga, nie rób takiej miny, bo to głównie twoja zasługa!

Przynajmniej tak uważa mój mąż, więc radzę ci, nie wchodź mu w drogę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – rzekłam urażona, po czym dałam znać pokojówce, żeby uraczyła mnie lampką wina.

Czułam, że moja rozmowa z Zofią będzie długa i bardzo zajmująca.

Hrabina, która dotąd chodziła po pokoju tam i z powrotem, stukając miarowo obcasami modnych pantofelków i wypuszczając z ust dym papierosa, w końcu z ciężkim westchnieniem opadła na sofę.

– Julia wstąpiła do Polskich Drużyn Strzeleckich^[10] w Krakowie – wykrztusiła. – Do żeńskiego oddziału. Jednym słowem, szkoli się na żołnierkę.

Siłą woli stłumiłam uśmiech, który cisnął mi się na usta. Ta informacja jakoś szczególnie mnie nie zaskoczyła. Znałam Julię i jej niepokorny charakter. Było w niej tyle życia i woli działania! Czasami odnosiłam wrażenie, że opływający w zbytki hrabiowski dom tłamsił jej prawdziwe potrzeby.

– Rozumiem, że ty i Teofil nie jesteście zadowoleni? – spytałam ostrożnie, upijając duży łyk wina.

Zofia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– A ty uważasz, że mamy się z czego cieszyć? No wiesz co!

– Tak naprawdę decyzja Julii wcale mnie nie dziwi – odparłam. – Zawsze była otwartą i spontaniczną dziewczyną. A do tego szalenie inteligentną.

– No tak. – Zofia zacisnęła usta. – A mój mąż uważa, że przez to, że nawtykałyśmy jej do głowy hasła o emancypacji i równości płci, poszła uczyć się strzelać. Mój Boże, Julia z pistoletem! Teofil jest tak wściekły i rozgoryczony, że wysłał za nią kogoś, kto ma sprowadzić ją do domu.

– I myślisz, że mu się uda? Julia ma swój rozum i nie da sobie w kaszę dmuchać.

Zofia przyłożyła dłoń do skroni.

– Och, to prawda, że miałyśmy na nią duży wpływ i teraz to wychodzi! Szczególnie ty na nią wpłynęłaś, Klaro, z tym swoim podejściem do życia!

– Niby jakim? – spytałam, udając głęboko urażoną, podczas gdy w głębi duszy chciało mi się śmiać.

– Jak to jakim? Takim, no... swobodnym! I ona też czuje się teraz zbyt swobodnie.

– Przecież sama mnie namawiałaś do tych lekcji!

Obie patrzyłyśmy na siebie w skupieniu, a po chwili uśmiechnęłyśmy się ze zrozumieniem.

– Teofil zapowiada, że będzie wojna. I to już wkrótce. – Zofia zmieniła temat. – Nikomu w Europie się nie podoba, że Austria ot tak sobie, ignorując głos mocarstw i przymuszając Serbię, ustanowiła swoje wpływy na zachodnich Bałkanach. Z tego konfliktu bałkańskiego utworzy się gorący kocioł. Przecież kraje europejskie tylko obmyślają, co by tu zrobić, żeby zacząć się nawzajem wyrzynać.

– A ta wojna to dla nas szansa – rzekłam, choć bez przekonania.

Od dawna byłam daleka od jakichkolwiek entuzjastycznych wróżeń. Widziałam, jak wyglądała na polskich ulicach rewolucja, ta sama, która miała przynieść wolność, a przyniosła jedynie strach, chaos i ostateczne pogodzenie się z rządami cara. Wielu z tych, którzy z bronią w ręku organizowali zamachy, teraz gryzło ziemię na stoku Cytadeli.

– No tak. Niby tak – odparła Zofia z przekąsem. – Mężczyźni patrzą na to jak dzieci, myślą, że biegając z pistoletem, wszystko da się załatwić. Po co ten cały wyścig zbrojeń? Po co te czołgi i karabiny? Żeby odbierać ludziom życie? Nic dobrego z tego nie przyjdzie. Mocarstwa świata, wydając ogromne majątki na zbrojenia zamiast na dyplomatyczną walkę o pokój i o pokonanie ludzkiej nędzy, nie rozumieją, że im więcej armii, tym większa szansa na wojnę. A wojna to tylko śmierć.

– Jesteś idealistką, Zofio.

– Nie, Klaro, raczej realistką. A co z Jędrzejem? – spytała już nieco ostrożniej, przyglądając mi się z uwagą. – Wiem, że jest już po rozwodzie...

– Nie planujemy ślubu, jeśli o to pytasz – odparłam.

Zofia wzruszyła ramionami.

– Wcale mnie to nie dziwi. Ale... Co dalej?

– Nie wiem – rzekłam. – Co ma być, to będzie. Żyję dniem dzisiejszym. Boję się wychodzić daleko w przyszłość, planować. Życie nauczyło mnie, że ważne jest tu i teraz. A teraz... Jędrzej jest ze mną i tylko to się liczy.

– Czyżbyś zamierzała go stracić? Mówisz o tak niepomysłnych rzeczach, że aż mam ciarki!

– Nie! – zaprzeczyłam gwałtownie, choć coś ścisnęło mnie w piersi. Jakiś pierwotny lęk, którego nie umiałam się wyzbyć. – Po prostu – westchnęłam – on wyjeżdża do Lwowa.

Zofia zmarszczyła brwi.

– Mówił, że jedziecie razem.

– Nie – odparłam głucho. – Przyszedłam się ciebie poradzić w tej sprawie, ale teraz już wiem, że nie mogę wyjechać. Nie zostawię mamy. Nie zostawię mojego Stasia ani papy, dziadków i Marianny. Oni żyją we mnie i muszę być tu z nimi, blisko.

Zofia pokiwała głową.

Wróciłam do domu z myślą, że muszę to jeszcze wyznać Jędrzejowi. Spodziewałam się, że będzie zły, że zacznie mi czynić wyrzuty, bo przecież nie po to rozwiódł się z Jadwigą, żebym teraz go odrzuciła.

On jednak patrzył na mnie długo. Widziałam, jak się zmieszał, kiedy wyjaśniłam powody mojej decyzji. Już chciałam zacząć się tłumaczyć, ale uciszył mnie gestem i zrobił krok w moją stronę.

– Będę przyjeżdżał – zapewnił niskim głosem, ujmując moją twarz w dłonie. – Tak często, jak zdołam. A gdy to wszystko się skończy, będziemy razem na zawsze. Do starości. Jeszcze się sobie znudzimy, zobaczysz.

Pokiwałam głową, czując, jak łzy zbierają mi się pod powiekami. Jędrzej ucałował je, kiedy spłynęły mi po policzkach, a potem przytulił mnie mocno i dotykał wargami moich dłoni i palców, jakby chciał je zapamiętać. Poddawałam się tym pieszczotom. Nie broniłam mu. Sama chciałam nasycić się nim bez reszty.

[\[10\]](#) Polskie Drużyny Strzeleckie – polska organizacja niepodległościowa powstała w 1911 roku we Lwowie, powołana przez Organizację Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie”. Z chwilą wybuchu I wojny światowej zarządzono mobilizację połączonych Związków Strzeleckich i Drużyn Strzeleckich pod jedną komendą Józefa Piłsudskiego i scalenie ich w I Brygadę Legionów Polskich.

ROZDZIAŁ 37

W poniedziałek dwudziestego dziewiątego czerwca 1914 roku, u progu sezonu urlopowego, na który mama jak zwykle szykowała się z pełnymi walizkami, „Kurier Warszawski” rozpisywał się o niedzielnym zamachu w Sarajewie. Pisano, że bomba „była podobna do szklanki i napełniona gwoździami i kawałkami ołowiu”, a celem zamachowca szaleńca okazał się nikt inny jak sam następca austro-węgierskiego tronu, Franciszek Ferdynand z żoną Zofią. Na wypowiedzenie Serbii wojny przez Austro-Węgry nie trzeba było długo czekać. W taki oto sposób Wielka Wojna przyszła niespodziewanie. Zaskoczyła zarówno tych, którzy na nią czekali, jak i tych, którzy twierdzili, że to mrzonki. I choć tamten niedzielny zamach nie miał szczególnego znaczenia, to stał się pretekstem dla mocarstw Europy do uruchomienia maszyny konfliktu. Od pierwszego do czwartego sierpnia Niemcy pod rządami cesarza Wilhelma II Hohenzollerna i wspierających go sił wojskowych wypowiedziały wojnę Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii, a konflikt rozlał się nie tylko na tereny Europy Zachodniej, ale również na ziemie trzech zaborów. A Warszawa znalazła się na linii frontu.

Przyjęłam ten fakt ze spokojem, choć gdzieś głęboko we mnie rósł strach. Staralam się jednak nie panikować. Nauczona doświadczeniem wiedziałam, że płacze i lamenty nic nie pomogą, a jedynie wzmocnią poczucie zagrożenia. Mama była innego zdania; najpierw zrezygnowała z wyjazdu do Konstancina, a gdy wojska carskie wystąpiły z koszar, z nerwów płakała przez kilka dni bez przerwy.

– Przyjdą Niemcy i powybijają nas wszystkich! – zawodziła, spoglądając w okno, jakby w każdej chwili spodziewała się Niemców kroczących chodnikiem z karabinami w rękach.

Warszawa nagle z dnia na dzień zmieniła swój rytm. W sklepach zapanowała drożyzna, a banki przestały funkcjonować jak należy. W jednym z nich miałyśmy z mamą zdeponowany cały kapitał po papie i nagle, z dnia na dzień, okazało się, że te papiery są nic niewarte! Już nie martwiłam się biadoleniem mamy o Niemcach wkraczających do Warszawy. Martwiłam się, że za chwilę nie będziemy miały co jeść.

Jak się okazało, te obawy miała większość warszawiaków, dlatego już z początkiem wojny powołano Komitet Obywatelski, który pomagał ludziom w trudnej sytuacji: sierotom, wdowom i rannym żołnierzom.

– Panno Klaro, powołano też Komitet Sanitarny do pomocy uchodźcom wojennym i rannym – rzekła pewnego dnia Dusia, która od czasu ogłoszenia wybuchu wojny zaczęła często wychodzić z domu i angażować się w pomoc humanitarną.

Ja też nie zamierzałam siedzieć z założonymi rękami ani za przykładem mamy wgapiać się w okno. Wraz z Dusią jeszcze tego samego dnia poszłam do pierwszego napotkanego szpitala polowego, by zgłosić się na ochotniczkę do pomocy.

– Na razie nic wielkiego się nie dzieje – rzekła do mnie pulchna, gadatliwa przełożona w fartuchu pielęgniarzkim ze znakiem Czerwonego Krzyża, kiedy oprowadzała mnie po prowizorycznym namiocie z kilkoma łózkami polowymi dla rannych. – Ale pewnie zacznie się dziać, więc trzeba się przygotować – prorokowała. – Tam jest pralnia bandaży. – Wskazała na wielki kocioł z parującą wodą. – Dziewczęta są urobione po łokcie, więc nie ma na co czekać. Zajmijcie się tym w pierwszej kolejności. Trzeba też odkazić narzędzia chirurgiczne, przygotować czyste prześcieradła...

Do domu wróciłam wykończona, ręce bolały mnie od wkładania szmat do wielkiego kotła i wyciągania ich do wielkich wiklinowych koszy, a następnie rozwieszania na sznurkach. Byłam mokra od potu, włosy lepiły mi się do twarzy, ale gdy powłóczę nogami, dotarłam do swojego pokoju, miałam poczucie, że zrobiłam coś przydatnego. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, jak bardzo nasza praca już wkrótce się zmieni. Jak bardzo ranni napływający do z początku niemal pustego szpitala nagle zmienią nasze spojrzenie na świat.

Jeszcze nigdy tak przejrzyście jak teraz nie zarysowały się różnice między zaborcami. Rosja, Austro-Węgry i Prusy, każde na swój sposób starały się przekonać polską ludność do walki na ich korzyść. Niemiecki cesarz Wilhelm nagle przypomniał sobie, że Polacy mówią w języku polskim, bo właśnie po polsku wydał odezwę mobilizacyjną do wojska. Jednak jeszcze bogatsza w treść okazała się rosyjska odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, głównego dowódcy wojsk rosyjskich:

„Wojska rosyjskie niosą Wam błogą wieść tego pogodzenia. Niech znikną granice, które rozdzieliły na kawałki naród Polski! Niech złączy się On w jedną całość pod berłem Cesarza Rosyjskiego! Pod berłem tem odrodzi się Polska, wolna pod względem swej wiary, języka i samorządu”^[11].

Przeczytałam te zdania na słupie ogłoszeniowym tuż przy Alejach Ujazdowskich. Manifest rozrzucony i rozklejany był wszędzie, a warszawiacy przyjmowali go z nadzwyczajnym entuzjazmem. Nawet w cerkwiach i kościołach zaczęto odprawiać msze i liturgie w intencji cara Mikołaja II, wierząc w jego

zwycięstwo nad kajzerem. Ja miałam zdecydowanie mniej entuzjastyczne podejście. Działałam niegdyś w propagandzie za czasów PPS i wiedziałam, jak silnie słowo potrafi oddziaływać na ludność. Jak potrafi być przekonujące, jak kusi obietnicami bez pokrycia. Dla mnie car był carem, ciemieżcą, a nie wybawicielem, za jakiego niektórzy zaczęli go uważać.

– Ludziom się w głowach przestawia! – biadoliła Zofia Czarnecka, która też chętnie dołączyła do Komitetu Sanitarnego, choć już po pierwszym dniu pracy miała dość. – Naiwnie myślą, że ten, co im wolność zabierał, teraz da im ją na złotej tacy. Widać, że Narodowa Demokracja wykonała świetną robotę na rzecz Imperium, skoro z taką łatwością przekonała Polaków do ugodowości względem Rosji. Teofil, choć nieco zapatrzonej w endecję, jednak cały czas powtarza, że to mrzonki. Rosjanom się nie wierzy, bo to naród złoćców i krwiopijców. Oni chcą tylko naszej daniny z krwi, ot co.

– A co z Julią? – spytałam, kiedy Zofia skończyła swój wywód.

– A co ma być? Dalej w tym oddziale wojskowym siedzi, ale żołnierek z nich nie robią, lecz jedynie gotować zupy każą. Dla żołnierzy. Taka to właśnie sprawiedliwość. Dziewczyny szkoliły się, musztrowały, siódme poty wyciskały na ćwiczeniach w okopach, a teraz je do garów pogonili.

Mobilizację wojskową ogłoszono niemal natychmiast, i to w trzech zaborach. Ci, którzy już byli w wojsku, jak Jędrzej, stojący teraz na czele nowo utworzonej kadry pod komendą Józefa Piłsudskiego, znajdowali się w pełnej gotowości bojowej. Nie chcieli jednak walczyć ani za cara, ani za kajzera, ani za cesarza Austro-Węgier. Chcieli walczyć za wolną Polskę. Niestety kolejny raz okazało się, że oprócz kilku zapaleńców pozostała ludność nie chciała wierzyć w odzyskanie niepodległości. Ja sama zresztą miałam mieszane uczucia. Powątpiewałam w siłę naszej ledwo utworzonej armii, nawet jeśli hartu ducha nie można było jej odmówić. Bo czy garstka polskich żołnierzy mogła wystąpić przeciwko potężnej, wyszkolonej armii cara? Uważałam, że jak zwykle ponosi nas ułańska fantazja.

Ci, którzy odpowiedzieli w Warszawie na apel mobilizacyjny cara, rozstawali się ze swoimi rodzinami na Pradze. Żegnano ich kwiatami, uściskami, całusami. Nie gorzej żegnano również szarżujące jeszcze niedawno po Warszawie znieawidzone sotnie, jakby nagle dostrzeżono w nich wybawienie. Większość z nich, jak się okazało, kilka dni później zginęła w pierwszej wielkiej bitwie pod Tannenbergiem.

Jesteśmy nowo utworzoną Pierwszą Kompanią Kadrową – pisał do mnie Jędrzej w jednym z listów. W pięć batalionów ruszyliśmy w połowie sierpnia do opuszczonych przez Rosjan Kielc. Nie muszę Ci pisać, jak nas przywitano. Brano nas za Niemców, za armię kajzera. Nawet nam kubka wody nie dano. Ta wojna nie toczy się o Polskę, to wiadomo, ale naiwnie myśleliśmy, że jeśli mocarstwa zaczną

się nawzajem zarzynać, wykorzystamy ten fakt dla swojej sprawy. Złudne było owo myślenie, Klaro.

Nie muszę Ci pisać, jak bardzo za Tobą tęsknię, bo Ty to wiesz. Nie muszę Ci pisać, jak bardzo Cię kocham, bo też to wiesz. Napiszę jedynie, że chciałbym już mieć Cię w ramionach.

Jędrzej

Pierwsi uciekinierzy z terenów przyfrontowych zaczęli przybywać do Warszawy już kilka dni po rozpoczęciu działań wojennych. Nagle na ulicach, do niedawna pełnych rosyjskich patroli, teraz pojawiły się skrzypiące i rozklekotane wozy ze sprzętem użytku codziennego oraz furmanki, na których kotłowały się zwierzęta domowe. Za nimi lub obok szli właściciele tego dobytku, hałasując cynowymi wiadrami i garnkami, które obijały się o siebie. To była przedziwna kawalkada. I ci ludzie w pierwszej kolejności potrzebowali pomocy. Zaraz po nich zaczęły się pierwsze transporty z rannymi.

* * *

Rozdawałam jedzenie grupie poszkodowanych żołnierzy, siedzących przy namiocie sanitarnym. To było jedno z lżejszych zajęć, a ja akurat potrzebowałam zaczerpnąć chłodnego powietrza. Jeszcze chwilę temu asystowałam doktorowi przy operacji i tylko siłą woli udało mi się nie zemdleć od ilości krwi, która wypływała z ciała młodego chłopaka rannego w głowę. Dzieciak nie miał również nogi – stracił ją po ostrzale artyleryjskim. Takich jak on przybywało coraz więcej i coraz częściej umierali od zbyt ciężkich obrażeń. Patrzyłam na to z odrętwieniem, mając w głowie obraz Jędrzeja. Bałam się o niego. Od września nie otrzymałam od niego żadnej wiadomości, a był już koniec października. Złe przecucia nie opuszczały mnie nawet na chwilę, więc kiedy niespodziewanie stanął tuż przede mną przy namiocie sanitarnym, aż zabrakło mi tchu. Wiedziałam, że to on, ale mimo to go nie poznawałam. Po raz pierwszy zobaczyłam Jędrzeja w wojskowym mundurze, i to carskiego wojska. Dotąd byłam przekonana, że mundury kompanii Jędrzeja są austriackie.

A on stał przede mną – cały i zdrowy – i patrzył na mnie tym swoim przejrzystym spojrzeniem błękitnych oczu, więc kolor munduru nie miał w tej chwili żadnego znaczenia.

– Chyba będę musiał tu stać całą wieczność – rzekł z uśmiechem na ustach.

– Jak panna niezadowolona z widoku ukochanego, to my się nim zajmiemy! – krzyknęła zaczepnie siostra przełożona i dopiero wówczas dotarło do mnie, że to naprawdę on.

Wtopiłam się w jego rozłożone dla mnie ramiona i przyłgnęłam ustami do ust, za którymi tak tęskniłam. Po dłuższej chwili Jędrzej odsunął się ode mnie i spojrzał na mój poplamiony krwią fartuch oraz opaskę z czerwonym krzyżem. Byłam spocona, niedbale splecione włosy wychodziły z warkocza, ale Jędrzej patrzył na mnie tak, jakbym była najpiękniejsza na świecie.

– Jak mógłbym wejść do Warszawy pełnej Rosjan jako austriacki żołnierz? – spytał z odrobiną ironii, kiedy zapytałam o ten rosyjski mundur. – Nie nacieszylibyśmy się sobą, bo natychmiast by mnie aresztowali albo zastrzelili.

– A gdzie twój prawdziwy mundur?

– Tutaj. – Wskazał na ciasno zawiązany tobołek, po czym rozsupłał go i wyjął marynarkę oraz spodnie z niebieskiego sukna, lecz bez ich naramienników i oznaczeń, których pozbył się, idąc śladem innych polskich żołnierzy. Następnie wyjął również maciejówkę z polskim orzełkiem.

– Wypiorę ci to wszystko – zapewniłam, próbując opanować nagłe wzruszenie.

Trudno nam było nasycić się bliskością przez te kilka dni. Niemożliwe było powiedzieć sobie wszystko, co należało. Słowa wydawały się zbyt banalne, rozmowy o przyszłości niemożliwe. Cieszyliśmy się więc swoją obecnością, kochaliśmy jakby na zapas, próbując zapamiętać swoje ciała, ich zapach, smak, gładkość i szorstkość. Chcieliśmy za pomocą zmysłów stworzyć mapę naszej miłości. Czułam, że kocham Jędrzeja jeszcze bardziej niż dawniej, choć wydawało się to niemożliwe.

Kiedy tydzień później zegnałam go na zatłoczonym i gwarnym Dworcu Petersburskim, nie umiałam ukryć lęku. Przemarznięta od porywów zimnego wiatru, patrzyłam na Jędrzeja, czując gwałtowny ścisk w żołądku. Bałam się. Jakiś irracjonalny strach nakazywał mi patrzeć na niego przez cały czas, nie odrywać od niego oczu nawet na chwilę, jakby zaraz miał rozpląnąć się w powietrzu.

– Przecież wrócę – zapewniał mnie skwapliwie, niemal nie odrywając się od moich warg.

Najwyraźniej odbierał moje napięcie, bo był czulszy i delikatniejszy niż zwykle.

– Jak tylko ta wojna się skończy, dam sobie spokój w wojaczką. Ożenię się z tobą, czy tego chcesz, czy nie.

– Wiesz, co myślę o małżeństwie – odparłam, tłumiąc łzy.

– Udowodnię, że miałaś rację lata temu, kiedy pisałaś, że wychodzić za mąż należy wyłącznie z miłości – mruknął. – Do licha, jak mam cię nie całować?

– Twój pociąg... Zaraz ruszy.

– Więc nigdzie nie pojedę i zostanę tu z tobą.

– To nie jedź. Błagam, nie jedź.

– Muszę. Ale powiedz, że mnie kochasz.

– Wiesz, że tak...

- Powiedz to, Klaro.
- Kocham cię, Jędrzeju.

Oderwał się ode mnie i wskoczył na schodki wagonu. Gapiłam się na niego jak zaczarowana. Jak młoda dziewczyna żegnająca swojego oblubieńca. A przecież oboje nie byliśmy już tacy młodzi i naiwność pierwszej miłości mieliśmy za sobą. A mimo to, żegnając go teraz, czułam, jakbym kochała po raz pierwszy w życiu.

Jędrzej odjechał, a ja zostałam z myślami o nim, wspomnieniami i niejasnym lękiem, który nie opuszczał mnie nawet na chwilę.

Zima przysła szybko. Była trudna, pełna niepewności i strachu. W mieście zaczynało brakować jedzenia. Rosjanie nagle przestali patrzeć na Polaków jak na sojuszników i z dnia na dzień zaczęły się dziwne aresztowania ludzi związanych ze środowiskiem dawnych rewolucjonistów. Obawiałam się o Jędrzeja, bo napisał mi w lakonicznym liście, że z jego Kompanii Kadrowej utworzono I Brygadę Legionów Polskich pod głównym dowództwem Józefa Piłsudskiego, a Wódz został awansowany przez Austriaków na brygadiera. Teraz walczyli z rosyjskimi oddziałami głównie w Małopolsce i na Karpatach. Ucałowałam ten list z nabożną czcią, modląc się, żeby mój ukochany szybko do mnie wrócił.

Rosjanie coraz częściej zmuszali ludność Warszawy do budowania fortyfikacji na wypadek przesunięcia się frontu w stronę miasta. Brano wszystkich jak leci, nie zważając na płeć i wiek, więc ze strachu o mamę załatwiłam jej zajęcie w komitecie pomocowym, aby nikt jej nie zmusił do wyjścia na ulicę. Nie miałyby na to siły. Wojna ją przytłoczyła, gwałtownie posunęła w latach. Mama postarzała się o kilkanaście lat w zaledwie kilka tygodni.

W lutym 1915 roku na Krakowskim Przedmieściu pojawiła się kolumna rosyjskiego wojska. Miałam złe przeczucia. Stojąc w tłumie gapiów, patrzyłam na carskich żołnierzy i nie widziałam w nich śmiazków, którzy wierzyli w zwycięstwo. Widziałam duchy, które sunęły przed siebie bez woli walki, bez chęci przetrwania. Nie sądziłam wówczas, że moje przeczucia sprawdzą się co do joty.

Już w maju, kiedy nacierała niemiecka ofensywa, w Warszawie rozpoczęto ewakuację ludzi z carskich urzędów, pracujących w przemyśle oraz personelu, a w niektórych przypadkach nawet całych załóg fabrycznych wraz z rodzinami. Demontowano fabryki i zakłady przemysłowe. Rozkręcano tory i niszczone dworce kolejowe, byle utrudnić Niemcom wjazd do miasta. Z samej tylko fabryki Lilpopa wywieziono setki wagonów kolejowych z mieniem fabrycznym opiewającym na niebagatelne kwoty. A w nocy, z czwartego na piątego sierpnia, ostatnie oddziały rosyjskie przez most Kierbedzia opuściły Warszawę.

Obawy mamy, która z takim strachem wyglądała niemieckich oddziałów, teraz się ziściły. Już o szóstej rano piątego sierpnia od strony Mokotowa i Woli do Warszawy wkroczyły pierwsze oddziały armii z Zachodu.

Co do mnie, najbardziej bałam się nie żołnierzy, a niepewności. Wszak Niemcy pogonili z Warszawy Rosjan, więc może nie byli tacy najgorsi? Czy można było się z nimi ułożyć na zasadzie prowizorycznej współpracy? Te pytania nurtowały mnie szczególnie wówczas, kiedy pod komendanturą niemiecką zbierały się tłumy warszawiaków domagających się informacji co do zarządzania miastem. Ja również przyłączałam się do tych żądań, jak tylko miałam przerwę w szpitalu. Wszyscy chcieliśmy wiedzieć, co dalej z nami będzie.

Jednego dnia utknęłam w szpitalu na kilkanaście godzin. Z każdą minutą przybywało rannych niemieckich żołnierzy. Lekarze nie nadążali operować, pielęgniarki biegały od jednego pacjenta do drugiego, myjąc, karmiąc, podając wodę, opatrując rany i asystując medykom przy zabiegach. To wówczas przybiegła do mnie pani Pelagia. Zdyszana, głęboko przejęta, z rozwianymi włosami.

– Klara! – krzyknęła, szukając mnie pośród rannych i pielęgniarek.

Spojrzałam na nią: stała w wejściu do namiotu, oddychając z trudem. Jej chuda dłoń spoczywała na falującej piersi. Natychmiast do niej podeszłam.

– Jędrzej... – wysapała ciężko.

Moje serce zaczęło bić jak szalone. Musiałam pochwycić się najbliższego słupka przytrzymującego ciężki namiot, inaczej osunęłabym się na ziemię.

– Co z nim?

– Jedzie tu! Jedzie! Pierwsza Brygada w Warszawie!

* * *

Pierwsza Brygada Legionów rzeczywiście wjechała do Warszawy. Owacyjne przyjęcie, jakie zgotowała im warszawska młodzież, defilując z naręczami kwiatów przez Marszałkowską, a później rzucając je legionistom pod nogi, wywołało konsternację niemieckich władz, które początkowo wyraziły zgodę na wjazd polskich żołnierzy. Szczególnie nie spodobało im się uwielbienie okazane komendantowi Józefowi Piłsudskiemu, który wkroczył do Warszawy po raz pierwszy.

Ja miałam Piłsudskiego gdzieś. Mnie interesował inny oficer, zmęczony, nieco poszarzały na twarzy, ale mój... Kapitan Jędrzej Witebski. Przedefilował wraz z innymi na swoim koniu, a później dopadł do mnie i nie zważając na panujący wokół chaos ani na to, że jego przejęta matka patrzy, nie mógł wypuścić mnie z objęć.

– Mówiłem, że wrócę – powiedział, przygarniając mnie do siebie, kiedy leżeliśmy już w pościeli, wciąż nienasyчени, wpatrując się w cienie tańczące na ścianach pokoju.

Było mi dobrze i ciepło. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że tej wojny wcale nie ma, że odeszła gdzieś daleko, a my możemy tak zostać na zawsze

w miłosnym uścisku.

Wojna jednak trwała. Z każdym miesiącem coraz straszniejsza, przynosząca coraz większy strach, ból i straty po każdej ze stron. Nikt nie mógł czuć się wygrany. Nikt nie mógł przewidzieć, kiedy ta gehenna się skończy.

My, Polacy, podświadomie czuliśmy, że to jest historyczny moment dla naszego narodu. Że niepodległość zaczyna być możliwa. Komitety Obywatelskie stały się dla nas znakomitą szkołą solidarności i narodowości. Czuliśmy, że robimy coś dla siebie, dla nas. Jędrzej też to czuł; widziałam to w jego oczach, słyszałam w biciu serca, kiedy wspominał walki, jakie toczyli z Rosjanami.

– Polska będzie nasza, Klaruś – szeptał z pasją, całując moje włosy, oczy, usta, z taką szczęśliwością, jakbyśmy już w tej Polsce żyli.

I nie przerażało nas nawet to, że Niemcy – ustanawiając godzinę policyjną, rewidując towary i samochody, a przede wszystkim tworząc Cesarsko-Niemieckie Generalne Gubernatorstwo Warszawskie z Hansem von Beselerem na czele – krok po kroku starali się zagłuszyć naszą tożsamość.

Pierwsza Brygada szybko opuściła Warszawę i wróciła na front, a wraz z nią mój Jędrzej. I znów żegnałam go ze łzami oraz złym przeczuciem, które mnie paraliżowało. Zdjęłam z szyi medalion, niegdyś otrzymany od dziadka, i zawiesiłam mu na piersi.

Amor tollit timorem.

– Czekam na ciebie – wyszeptałam, kiedy odchodził, a on w odpowiedzi zasalutował mi po żołniersku.

I ten jego gest został ze mną.

Później pisał do mnie, że nie jest źle, że walczą. Że mają szansę utrzyć nosa Rosjanom.

Pamiętaj, że cokolwiek się stanie, masz żyć pełnią życia. Masz cieszyć się każdą chwilą, łapać je zachłannie, jak tylko Ty to potrafisz.

W grudniu do Warszawy znów przyjechał Piłsudski. Tym razem pociągiem, z wielką obstawą towarzyszy, by objąć oficjalne stanowisko przewodniczącego Referatu Wojny w utworzonej przez okupacyjne władze niemieckie Tymczasowej Radzie Stanu. Legioniści wkroczyli do miasta na koniach, przyjęci przez wiwatujących mieszkańców.

Lecz Jędrzeja z nimi nie było.

Przed jesienią dostałam krótki i prosty w przekazie list z informacją, że kapitan Jędrzej Witebski zginął bohatersko podczas największej bitwy Legionów – pod Kostiuchówką.

Tamtego zimowego dnia, kiedy Legiony defilowały ulicami Warszawy, stałam na chodniku i wsłuchiwałam się w rytmiczny stukot butów maszerujących

oddziałów. Sercem odbierałam niosące się w eterze dźwięki orkiestry. A kiedy padły słowa polskiej komendy, z moich oczu wypłynęły łzy.

Odruchowo szukałam go w tym tłumie. Łudziłam się, że go zobaczę.

„Zapłaciliśmy wysoką cenę za tę wolność” – pomyślałam. „Zapłaciliśmy ją razem”.

Czy gdyby ból, który mnie trawił, był mniejszy, umiałabym się z tej wolności cieszyć? Czy gdyby byli ze mną Jędrzej, Marianna, mój syn i papa, smakowałaby ona tak słodko, jak słodka wydawała się jej obietnica?

[\[11\]](#) Odezwa wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków z 14 sierpnia 1914 roku.

EPILOG

**Grudzień 1918 roku
Warszawa – Polska**

Deszcz miarowo bębnił o szyby, drzewa tańczyły targane porywistym wiatrem. Lało od paru dni i wszystko wskazywało na to, że nie przestanie, dopóki deszcz nie zamieni się w zamarzający śnieg, który szczelnie pokryje dachy, ulice, skwery i pola i nie stopnieje aż do lutego, a może i marca.

Siedziałam w salonie Zofii Czarneckiej i wpatrywałam się w to ponure widowisko za oknem, rozmyślając nad tym, co mi właśnie zaproponowała hrabina.

Miałam trzydzieści sześć lat i sporo przeżyć na barkach, więc inicjatywa, jaką przedstawiła, wydała mi się z gruntu śmieszna. Najwyraźniej jednak to, co wydarzyło się zaledwie parę dni temu, dodało jej energii, o jaką bym jej nie podejrzewała. Zofia i gazeta? Przecież ona kochała swój piękny dom, dzieła sztuki, a nade wszystko szybkie samochody, więc skąd u niej nagle upodobanie do gazety?

– Mamy, co chciałyśmy – odparła z entuzjazmem, który trzymał ją od dnia, kiedy Piłsudski jako naczelnik państwa podpisał dekret o nadaniu Polkom praw wyborczych. – Musimy to wykorzystać! A kto jak nie ty zna się na tym najlepiej?

– Nie robię już gazety – odparłam z przekonaniem, choć miałam wątpliwości.

Bo znów dopadło mnie coś na kształt tego podniecenia, które odczuwałam dawniej, jeszcze jako młoda, nieopierzona dziennikarka. Jakbym nagle przebudziła się z letargu.

Od zakończenia wojny nie miałam stałego zajęcia i coś mi mówiło, że pora to zmienić. Patrzyłam na rodzącą się w bólach politykę w młodej, ledwo odrodzonej Polsce, i już mnie trafiał szlag jasny na widok panoszącego się w niej bałwochwalstwa.

– Nie robisz gazety, ale możesz ją robić. Powinnaś reaktywować „Głos Kobiet”.

Zmarszczyłam brwi. Wspomnienia uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą. „Głos Kobiet”, Marianna...

– „Głos Kobiet” spalił się wraz z Marianną – odparłam głucho.

Zofia pokiwała głową, niezrażona.

– Wiem, ale to będzie nowy „Głos Kobiet”. Inny. Taki, w którym kobiety naprawdę zaczną się wypowiadać. Gdzie będą uczyć dewotki i stare zrzędy. Taki

głos wolnych Polek. Bo co z tego, że mamy te prawa wyborcze, skoro jest jeszcze tyle do zrobienia. Sama to widzisz...

– Widzę... – mruknęłam.

Zofia miała rację. Teraz, w chaosie tworzenia się państwowości, odnosiłam wrażenie, że należy podjąć wysiłek o wiele większy niż ten dziesięć lat temu, kiedy z takim zacięciem chciałam przekonywać kobiety do emancypacji.

– A kto wyłoży na to pieniądze? – spytałam z brutalną szczerością, nie zostawiając mojej entuzjastycznie nastawionej przyjaciółce złudzeń, że ja nie mam grosza przy duszy.

– No jak to kto? – prychnęła Zofia, jakby to było z góry wiadome. – Mój szanowny małżonek oczywiście! Skoro stać go na wystawny ślub dla córki, to i stać go na skromną redakcję dla żony i jej przyjaciółki. Tfu, co ja mówię: na odpowiedniej wielkości redakcję. Bo przecież musimy mieć prestiż. Prestiż to dobre wrażenie, a dobre wrażenie to pierwszy krok do sukcesu! Oczywiście słówkiem mu nie pisnę, na co wydam te pieniądze, które rzecz jasna mi da, bo tylko by się wściekł. Oficjalnie to będzie twoja gazeta. Ja się tam pojawię... incognito.

Zaśmiałam się mimo woli. Wiedziałam, że nawet jeśli zechcę udawać, że skończyłam z tym raz na zawsze, to oczami wyobraźni już widziałam tę gazetę. Już w głowie rodziły mi się tematy artykułów. A pierwszy z nich będzie o poszanowaniu godności kobiety. Każdej kobiety.

KONIEC

Dwudziestolecie międzywojenne, odradzająca się
Polska i trzy różne kobiety związane ślepych losem
z tym samym mężczyzną.



GENIALNA POWIEŚĆ O WIELKIEJ MIŁOŚCI,
DETERMINACJI I ODWADZE.

Agnieszka Więdocha

FILIA

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytaty](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA. 1904–1905](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[CZEŚĆ DRUGA. 1907–1909](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[CZEŚĆ TRZECIA. 1912–1915](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[EPILOG](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Barbara Wysoczańska, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Zdjęcie na okładce: © Leonardo Baldini/Arcangel

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Agnieszka Luberadzka, Marta Akuszevska
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-147-8

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.